

LAUREATKA NAGRODY

HUGO

NOMINOWANA
DO NAGROD
NEBULA I LOCUS

PRAWDZIWA
UCZTA CZYTELNICZA.

„NEW YORK TIMES”

KAMIENNE NIEBO

ZIEMIA MA WŁASNE PLANY

N.K. JEMISIN

SON
imaginatio

KAMIENNE
NIEBO

N.K. JEMISIN

ŹEUMACZENIE:
JAKUB MAŁECKI

KRAKÓW 2018

*Dla tych, którzy przetrwali: oddychajcie.
Właśnie tak. Jeszcze raz. Dobrze. Idzie wam dobrze.
A nawet jeśli nie, przynajmniej żyjecie. To już sukces.*



prolog kiedy byłem sobą

Czas ucieka, moja mała. Zakończmy początkiem świata, dobrze? Tak. Zakończmy właśnie tym.

To dziwne. Moje wspomnienia są jak owady zatopione w bursztynie. Te nieruchome, od dawna zapomniane istnienia nie zachowały się w dobrym stanie. Po większości pozostała tylko jakaś noga, jakiś kawałek skrzydła albo część tułowia – całość można odwzorować tylko na podstawie fragmentów, przysłoniętych na dodatek licznymi, nieregularnymi pęknięciami. Kiedy skupiam się na tych wspomnieniach, widzę twarze i zdarzenia, które powinny coś dla mnie znaczyć... ale nic nie znaczą. Osobą, która widziała te twarze i brała udział w tych wydarzeniach, jestem ja, a jednocześnie wcale nie ja.

Byłem wtedy kimś innym, tak samo jak Bezruch był czymś innym. Wtedy i teraz. Ty i ja.

Wtedy. Wtedy ląd był trzema lądami, znajdującymi się w tym samym miejscu, w którym kiedyś pojawi się Bezruch. Na skutek kolejnych Sezonów powstanie więcej lodu na biegunach, zmniejszając morza i powiększając wasze „Arktykę” i „Antarktydę”, które będą się stawać zarazem coraz zimniejsze. Ale później... to znaczy teraz, bo wspomnienie tamtych czasów wydaje się teraźniejszością... właśnie to mam na myśli, mówiąc, że to dziwne...

Teraz, w czasach przed Bezruchem, daleka północ i dalekie południe to przyjazne tereny uprawne. To, co znacie dziś pod nazwą Zachodniego Wybrzeża, to głównie bagna i lasy deszczowe, które wyginą w przyszłym stuleciu. Część Nomidlatów w ogóle jeszcze nie istnieje; tereny te powstaną z lawy wulkanicznej stygnącej tam przez tysiące lat erupcji. A obszar, który stanie się Palełą? Również go jeszcze nie ma. Na dobrą sprawę nie są to wielkie zmiany, ale przecież jeśli spojrzeć na to pod kątem tektoniki, od tego teraz nic nas właściwie nie dzieli. Pamiętaj, że kiedy mówimy, że „świat się skończył”, zazwyczaj kłamiemy. Planeta ma się dobrze.

Jak zatem nazywamy ten utracony świat, to teraz?

Pozwól, że najpierw opowiem ci o pewnym mieście.

Według waszych standardów miasto to zbudowane jest nieprawidłowo. Rozrasta się w sposób, na jaki żadna nowoczesna wspólnota by nie pozwoliła, ponieważ wymagałoby to budowy zbyt wielu kilometrów muru. Odnogi tego miasta ciągną się wzdłuż rzek i innych życiodajnych akwenów, dając początek innym miastom, niczym pleśń biegnąca wzdłuż żył zdrowego gospodarza. Uznalibyście, że te miejscowości znajdują się zbyt blisko siebie. Że te płodne miasta i ich wijące się potomstwo są ze sobą zbyt silnie powiązane, a ich tereny za bardzo na siebie nachodzą. Lecz każda z tych wspólnot, odcięta od reszty, nie zdołałaby przetrwać.

Czasami miasta-dzieci noszą różne lokalne nazwy, zwłaszcza jeśli osiągają takie rozmiary, że same mogą dawać początek kolejnym miejscowościom, ale jest to trochę sztuczne. Słusznie postrzegasz ich powiązania: mają tę samą infrastrukturę, tę samą

kulturę, te same pragnienia i obawy. Wszystkie miasta są do siebie podobne. Stanowią całość. Ten świat zawiera się we własnej nazwie: Syl Anagist.

Czy jako dziecko Bezruchu potrafisz zrozumieć, do czego zdolny jest kraj? Całe Stare Sanze, pozszywane wreszcie z setek „cywilizacji”, które żyją i wymierają pomiędzy „teraz” a „wtedy”, będzie przy tym naprawdę niczym – zbieraniną ogarniętych paranoją państw-miast i wspólnot, które zdecydują się na współpracę, czasami wyłącznie po to, aby przetrwać. Ach, Piąte Pory Roku ograniczą świat do tak marnych marzeń.

Tu i teraz pragnienia nie mają granic. Mieszkańcy Syl Anagist opanowali siły natury, dostosowali życie do własnych kaprysów i zgłębili tajemnice nieba do tego stopnia, że znudzili się nimi i skierowali swoją uwagę ku ziemi. Syl Anagist żyje, ach, jak bardzo żyje! Ulice są ruchliwe, handel kwitnie, a konstrukcja budynków wymykałaby się waszemu pojmowaniu. To budynki o ścianach z wzorzystych błon, które ledwie widać pod warstwami liści, mchu, trawy oraz kiści rozmaitych bulw i owoców. Ponad niektórymi dachami łopoczą żagle, które w rzeczywistości są olbrzymimi grzybiastymi kwiatami. Ulice pełne są obiektów, w których nie rozpoznalibyście pojazdów, ale które rzeczywiście służą do przemieszczania się i transportu. Niektóre poruszają się na kończynach niczym masywne stawonogi. Inne stanowią otwarte platformy sunące na dywanie rezonansowego potencjału. Ech, przecież tego nie zrozumiesz... Niech ci zatem wystarczy, że te pojazdy unoszą się kilka centymetrów nad ziemią. Nie ciągną ich żadne zwierzęta. Nie napędza ich para ani żadne związki chemiczne. Gdyby jakieś zwierzę albo dziecko znalazło się pod takim pojazdem, na chwilę przestałoby istnieć, ale po drugiej stronie pojawiłoby się z powrotem. Nikt nie uważa czegoś takiego za śmierć.

W samym sercu miasta jest jednak coś, co mogłabyś rozpoznać. Jest to najwyższy i najjaśniejszy obiekt w promieniu wielu kilometrów – w ten czy inny sposób prowadzi do niego każda droga i każde torowisko. To twój stary przyjaciel: ametystowy obelisk. Nie unosi się w powietrzu – jeszcze nie. Tkwi, niezupełnie nieruchomy, w swoim gnieździe. Co jakiś czas pulsuje w sposób, który po wydarzeniach z Allia powinien być ci znajomy. Jest to jednak zdrowszy puls; ametyst nie jest jeszcze tym zniszczonym, umierającym głazem, który widziałas. Jeśli jednak podobieństwo przyprawia cię o dreszcz, to wiedz, że nie bez powodu.

W centrum każdego większego węzła Syl Anagist na wszystkich trzech kontynentach znajduje się obelisk. Powierzchnia ziemi usiana jest tymi dwustoma pięćdziesięcioma sześcioma pajakami w ich dwustu pięćdziesięciu sześciu pajęczynach – karmią one wszystkie większe miasta i same się nimi posilają.

Możesz myśleć o nich jak o sieciach życia. Bo życie w Syl Anagist jest święte.

A teraz wyobraź sobie ośmiokątny kompleks budynków, który otacza ametyst. Cokolwiek wymyślisz, będzie znacznie odbiegać od stanu faktycznego, ale wyobraź sobie coś ładnego i to wystarczy. Przyjrzyj się ścianie budynku położonego na pochyłym zboczu pagórka – tej za południowo-zachodnią krawędzią obelisku. W kryształowych oknach nie ma poprzeczek ani słupków, ale pomyśl o biegnących po nich ciemniejszych niciach materiału. To efekt parzydełkowania, popularnej metody wzmacniania okien; zabezpieczenia te znajdują się jednak tylko na zewnętrznej stronie szyb i mają na celu powstrzymanie potencjalnych intruzów. Gdy się ich dotknie, wywołują ból, ale nie

zabijają (życie w Syl Anagist jest święte). Wewnątrz nie ma straży. Strażnicy są zbędni. Fulcrum nie jest pierwszą instytucją, która poznała odwieczną prawdę na temat ludzkości: nie warto ustawiać straży jeśli można przekonać ludzi, aby sami pilnowali murów swojego więzienia.

A to jest właśnie cela w pięknym więzieniu.

Wiem, wcale tak nie wygląda. Znajduje się tu piękny mebel, który mogłabyś nazwać kanapą, choć nie ma oparcia i składa się z kilku osobnych, połączonych ze sobą części. Pozostałe meble na pewno byś rozpoznała: w każdym społeczeństwie ludzie potrzebują stołów i krzeseł. Widok z okna rozciąga się na ogród położony na dachu jednego z sąsiednich budynków. O tej porze dnia ogród chwyta promienie słońca przenikające przez wielki kryształ, a rosnące tu kwiaty posadzono specjalnie z myślą o tym zjawisku. Fioletowe światło barwi ścieżki i rabaty, a kwiaty wydają się lekko lśnić. Niektóre z tych drobnych kwiatowych światełek co jakiś czas przygasają, co sprawia, że cały ogród wydaje się migotać niczym nocne niebo.

A oto chłopiec obserwujący to migotanie przez okno.

Właściwie to już młody mężczyzna. Dojrzały w jakiś nieokreślony sposób. Nie do końca krępy w swojej formie, raczej „nabity”. Ma szeroką twarz o wydatnych kościach policzkowych i drobnych ustach. Wszystko w nim jest białe: skóra, włosy, oczy i całe elegancko udrapowane ubranie. W pokoju też wszystko jest białe: meble, dywany i podłoga pod nimi. Ściany wykonane są z białej błony i nic na nich nie rośnie. Kolory znajdują się tylko za oknem. W tym sterylnym pomieszczeniu tylko chłopiec widoczny we fioletowym świetle zza szyby przejawia oznaki życia.

Tak, ten chłopiec to ja. Nie pamiętam jego imienia, ale przypominam sobie, że składa się ono ze zbyt wielu zardzewiałych liter. Przyjmijmy więc, że brzmi ono Houwha – wypowiada się je tak samo, ale zawiera w sobie kilka dodatkowych, niemych głosek i ukrytych znaczeń. Jest bardzo podobne, a jednocześnie odpowiednio symbolizuje...

Ach, jestem bardziej rozżłoszczony, niż powinienem. Fascynujące. Zmieńmy więc temat na mniej drażliwy. Powróćmy do teraz, które nadejdzie, i do zupełnie innego tutaj.

To teraz jest czasem Bezruchu, na którym wciąż pobrzmiwa echo Pęknięcia. To tutaj nie jest samym Bezruchem, ale grotą położoną tuż nad zbiornikiem lawy olbrzymiego wulkanu. Jest sercem wulkanu, jeśli lubisz i rozumiesz metafory – jeśli nie, przyjmijmy, że jest głębokim, ciemnym i niestabilnym pęcherzem pośród skał, które nie ostygły zbyt wiele przez tysiące lat, od czasu, kiedy Ojciec Ziemia poruszył je po raz pierwszy. Wewnątrz tej groty stoję ja, częściowo połączony z bryłą skały, aby móc lepiej wyczuwać drobne poruszenia ziemi i poważniejsze zmiany poprzedzające kataklizm. Nie muszę tego robić. To, co zacząłem, jest jednym z najmniej możliwych do powstrzymania procesów, jakie można sobie wyobrazić. Mimo wszystko rozumiem, jak to jest być samotnym w momencie zagubienia, strachu i niepewności co do przyszłych wydarzeń.

Nie jesteś sama. Nigdy nie będziesz, chyba że tak postanowisz. Wiem, co tak naprawdę liczy się tutaj, podczas końca świata.

Ach, moja kochana. Apokalipsa to rzecz względna, nieprawdaż? Kiedy ziemia drży, dla zamieszkującego ją życia oznacza to zagładę, natomiast Ojca Ziemi nie dotyka

w ogóle. Śmierć mężczyzny jest katastrofą dla dziewczynki nazywającej go kiedyś ojcem, ale przestaje mieć znaczenie, jeśli dziewczynka ta nazywała go potworem tyle razy, że określenie to trwale do niego przyłgnęło. Bunt niewolnika jest niczym dla ludzi, którzy o nim czytają. To tylko drobne słowa na cienkim papierze, niszczone powoli przez tryby historii. („A więc byliście niewolnikami. No i co z tego?”, szepczą. Jakby to nic nie znaczyło). Jednak dla ludzi, którzy żyją podczas buntu niewolników – zarówno dla tych, którzy traktują swoją dominację jako coś oczywistego, jak i dla tych, którzy wolą zobaczyć, jak płonie świat, niż pozostać choćby chwilę dłużej na „swoim miejscu”...

To nie jest metafora, Essun. To nie hiperbola. Ja naprawdę widziałem, jak płonie świat. Nie mów mi o niewinnych ofiarach, o niezasłużonym cierpieniu i o zemście. Jeśli siedziba wspólnoty mieści się ponad linią uskoku, to czy winisz jej mury, kiedy w końcu zgniatają mieszkających tam ludzi? Nie, winisz tych, którzy byli na tyle głupi, by sądzić, że mogą wiecznie przeciwstawiać się siłom natury. Cóż, niektóre świąty zbudowane są na wulkanach. Nie płacz, kiedy upadają. Reaguj wściekłością na fakt, że w ogóle je tam wzniesiono.

Teraz opowiem ci więc, jak zakończył się tamten świat, Syl Anagist. Opowiem ci, jak ja go zakończyłem, a przynajmniej na tyle dużą jego część, że musiał się odbudować.

Opowiem ci, jak otworzyłem Wrota i odesłałem Księżyc w dal, uśmiechając się przy tym.

Opowiem ci też, jak później, w ciszy nadchodzącego zniszczenia, wyszeptałem:

Teraz.

Teraz.

A Ziemia odpowiedział szeptem:

Płoń.

Dobrze. Przypomnijmy to sobie.

Jesteś Essun, jedyny górotwór na całym świecie, który otworzył Wrota Obelisków. Nikt nie spodziewał się po tobie czegoś tak doniosłego. Należałaś kiedyś do Fulcrum, ale nie byłaś tam wschodzącą gwiazdą tak jak Alabaster. Byłaś dzikuską znalezioną w dziczy, wyjątkową tylko dlatego, że miałaś większy talent niż przeciętny rogga. Zaczęłaś dobrze, a jednak szybko przestałaś robić postępy – bez żadnego wyraźnego powodu. Brakowało ci chęci zdobywania kolejnych osiągnięć, a przynajmniej tak właśnie seniorzy lamentowali za zamkniętymi drzwiami. Rozwijalaś się zbyt szybko jak na sztywne ramy Fulcrum. One cię ograniczały.

Ale to dobrze, bo w przeciwnym razie nie poluzowaliby ci tak smyczy, wysyłając cię na misję z Alabastrem. On zardzewiałe ich przerażał. Ty jednak... uważali, że jesteś jednym z bezpiecznych, odpowiednio złamanych i wyszkolonych do posłuszeństwa górotworów, którym nie zdarza się przypadkowo obracać w pył całych miast. A to dobre! Ile miast do tej pory obróciłaś w pył? Jedno po części celowo, trzy inne przypadkiem, ale czy ma to jakiegokolwiek znaczenie? Na pewno nie dla zmarłych.

Czasami wyobrażasz sobie, że to wszystko się nie dzieje. Że nie wpadasz w granatowy obelisk w Allia, a zamiast tego obserwujesz radosne ciemnoskóre dzieci bawiące się na czarnej plaży i jednocześnie się wykrwawiasz, bo czarny nóż Stróża śmiertelnie cię zranił. Wyobrażasz sobie, że nie zostajesz zabrana do Meov przez Antymonę, lecz wracasz do Fulcrum, aby urodzić tam Korunda. Straciłabyś go po urodzeniu i nigdy nie miałabyś Innona, ale prawdopodobnie obaj by teraz żyli. (Pytanie tylko, czy życie Koru w węźle w ogóle można byłoby nazwać życiem). W ten sposób nigdy jednak nie trafiłabyś do Tirimo, nigdy nie urodziłabyś Uchego, aby później umarł pod ciosami ojca, nigdy nie wychowałabyś Nassun, aby później została przez tego ojca porwana, i nigdy nie zniszczyłabyś swoich sąsiadów, którzy próbowali cię zabić. Gdybyś tylko pozostała w swojej klatce, ocaliłabyś tak wiele istnień. Albo gdybyś posłusznie umarła.

A teraz i tutaj, wolna od uporządkowanych, niezmiennych reguł Fulcrum, mogłabyś stać się wielką. Ocaliłaś mieszkańców Castrimy kosztem samej Castrimy; była to niewielka cena w porównaniu z ceną krwi, którą wyegzekwowałaby wroga armia, gdyby udało jej się wygrać. Odniosłaś zwycięstwo, uwalniając skoncentrowaną moc tajemnego mechanizmu starszego niż cała pisana historia (twojego) świata – a ponieważ jesteś tym, kim jesteś, zdobywając tę wiedzę, zabiłaś Alabastra Dziesięciopierściennika. Nie chciałaś tego. Tak naprawdę podejrzewasz, że to on chciał, abyś to zrobiła. W każdym razie Alabaster nie żyje, a cała ta sekwencja wydarzeń sprawiła, że zostałaś najpotężniejszym górotworem na tej planecie.

Oznacza to również, że twoja nowa pozycja opatrzona została datą ważności, ponieważ dzieje się z tobą to samo, co działo się z Alabastrem: zamieniasz się w kamień. Na razie przemiana objęła tylko twoją prawą rękę. Mogło być gorzej. I będzie gorzej,

kiedy następnym razem otworzysz Wrota albo kiedy użyjesz więcej tego dziwnego, srebrnego niegórotwórstwa, które Alabaster nazywał magią. Nie pozostawiono ci jednak wyboru. Masz do wykonania zadanie, co zawdzięczasz Alabastrawowi oraz tajemniczej frakcji zjadaczy kamieni, usiłującej po cichu zakończyć pradawną wojnę pomiędzy życiem a Ojcem Ziemią. Zadanie, które musisz wykonać, jest łatwiejszym z dwóch, które cię czekają. Wystarczy złapać Księżyc. Załatać Pęknięcie w Yumenes. Skrócić przewidywany obecnie czas trwania Sezonu z kilku miliardów lat do jakiegoś sensownego okresu, który rasa ludzka miałaby szansę przetrwać. A oprócz tego raz na zawsze zakończyć wszystkie Piąte Pory Roku.

A zadanie, które chcesz wykonać? To odnalezienie Nassun, twojej córki. Odebranie jej człowiekowi, który zamordował twojego syna, a ją przeciągnął przez pół ogarniętego apokalipsą świata.

Tu mam dobrą i złą wiadomość. Ale do Jiji jeszcze dojdziemy.

Tak naprawdę nie jesteś w śpiączce. Stanowisz kluczowy element skomplikowanego układu, który potężna siła wprawiła właśnie w ruch i który awaryjnie zamknięto, nie dając mu odpowiedniego czasu na schłodzenie, to bowiem wymagałoby właściwego tajemnochemicznego stanu oporu i mutagennego sprzężenia zwrotnego. Potrzebujesz czasu, aby... uruchomić się ponownie.

Oznacza to, że nie jesteś nieprzytomna. To bardziej stan pół jawy, pół snu, jeśli w ogóle ma to sens. Jakimś sposobem jesteś świadoma pewnych rzeczy, jak choćby kołysania i okazjonalnych szarpnięć. Ktoś wkłada ci do ust jedzenie i wlewa tam wodę. Na szczęście zachowujesz na tyle przytomności umysłu, by gryźć i przełykać, bowiem koniec świata na pokrytej popiołem drodze to niezbyt dogodny czas na szukanie rurki do karmienia. Jakieś dłonie zakładają na ciebie ubranie, a na biodrach wisi ci coś miękkiego – pielucha. Na to również nie jest najlepsza pora i miejsce, ale najwyraźniej ktoś chce zapewnić ci taką opiekę, a dla ciebie to bez znaczenia. Ledwie to zauważasz. Nie odczuwasz głodu ani pragnienia, a wypróżnianie się nie przynosi ci ulgi. Życie trwa. Nie musi towarzyszyć temu entuzjazm.

W końcu okresy jawy i snu stają się łatwiej rozróżnialne. Aż pewnego dnia otwierasz oczy i widzisz niebo nad głową. Kołyszysz się w przód i w tył. Co jakiś czas widok przesłaniają ci szkieletowate gałęzie. Za chmurami majaczy niewyraźny cień obelisku. Podejrzewasz, że to spinel. Po śmierci Alabastra, na powrót przyjąwszy swoją zwykłą, olbrzymią postać, podąża za tobą niczym wierne szczenię.

Po chwili obserwowanie nieba staje się nudne, obracasz więc głowę i próbujesz zrozumieć, co się dzieje. Poruszają się wokół ciebie sylwetki jak ze snu, obleczone w coś biało-szarego... nie. Nie, mają na sobie zwyczajne ubrania, tyle że pokrywa je popiół. Ludzie noszą po kilka warstw odzienia, ponieważ jest zimno – nie na tyle, by zamarzała woda, ale prawie. Od początku Sezonu upłynęły prawie dwa lata – dwa lata bez słońca. Pęknięcie wyrzuca na tereny wokół równika duże masy ciepła, ale nie rekompensuje to braku olbrzymiej kuli ognia na niebie. Mimo wszystko bez Pęknięcia temperatura byłaby znacznie niższa – poniżej temperatury zamarzania. Dobre więc i to.

W każdym razie jedna z pokrytych popiołem postaci zauważyła chyba, że się ocknęłaś, a może wyczuła ruch twojego ciała. Twarz osłonięta maską i goglami zwraca

się na chwilę w twoją stronę. Pomiędzy dwoma idącymi przed tobą osobami padają słowa, których nie rozumiesz. Nie należą do obcego języka – jesteś po prostu ledwie przytomna, a rozmowę zagłusza padający wokół ciebie popiół.

Za tobą również ktoś się odzywa. Odwracasz się i dostrzegasz kolejną zamaskowaną twarz w goglach. Kim są ci ludzie? (Nie przychodzi ci do głowy, że mogłabyś się bać. Tego typu pierwotne odruchy, podobnie jak głód i pragnienie, są w tobie całkowicie stłumione). Następnie coś zaskakuje ci w głowie i nagle rozumiesz: leżysz na noszach, niesionych przez cztery osoby i wykonanych z dwóch kijów oraz rozciągniętej między nimi płachty skóry. Jedna z tych osób woła kogoś, a z pewnej odległości dobiegają inne głosy. Wiele głosów. Wielu ludzi.

Kolejny okrzyk gdzieś z oddali i cztery osoby przystają. Spoglądają po sobie i odkładają cię na ziemię – robią to z taką swobodą i wprawą, że musieli wykonywać ten manewr wiele razy. Czujesz, jak nosze łagodnie osiadają na miękkiej warstwie popiołu, pokrywającej grubszą i twardszą warstwę popiołu, pokrywającą coś, co może być drogą. Następnie cała czwórka oddala się i otwiera jakieś sakwy, rozpoczynając rytuał, który dobrze znasz z miesięcy spędzonych na drodze. Przerwa.

Wiesz, jak to wszystko się odbywa. Powinnaś wstać. Zjeść coś. Sprawdzić, czy w butach nie ma dziur ani kamieni, czy na stopach nie pojawiły się pęcherze, czy twoja maska... Chwila, czy masz na sobie maskę? Skoro wszyscy inni je mają... Trzymałaś maskę w swoim ratujworku, prawda? Gdzie jest twój ratujworek?

Ktoś wyłania się z mroku i popiołu. To wysoka postać o szerokich ramionach i kędzierzawej burzy popiołowych włosów. Kuca obok twojej głowy.

– Hmm. A jednak nie umarła. Wygląda na to, że przegram zakład z Tonkee.

– Hjarke – mówisz. Twój głos jest jeszcze bardziej ochryply niż jej.

Widząc napinający się materiał jej maski, domyślasz się, że się uśmiecha. Dziwnie jest obserwować ten uśmiech bez towarzyszącego mu złowrogiego błysku zaostzonych zębów.

– Twój mózg jest prawdopodobnie w porządku. A więc przynajmniej wygram zakład z Ykką – rozgląda się wokół siebie i krzyczy: – Lerna!

Usiłujesz podnieść dłoń i chwycić Hjarke za spodnie. Przypomina to próbę poruszenia góry. Powinnaś móc poruszać góry, dlatego skupiasz się i unosisz rękę na niewielką wysokość – ale nagle zapominasz, co chciałaś powiedzieć Hjarce. Na szczęście ona odwraca się do ciebie i dostrzega twoją uniesioną dłoń. Drżącą z wysiłku. Po chwili zastanowienia wzdycha i chwyta cię za nią, a potem odwraca wzrok, jakby ją to zawstydzalo.

– Dzieje... – wykrztuszasz z siebie.

– Niech mnie rdza, jeśli wiem. Nie potrzebowaliśmy jeszcze przerwy.

Nie o to ci chodziło, ale wypowiedzenie reszty wymagałoby zbyt dużego wysiłku. Leżysz więc z dłonią trzymaną przez kobietę, która ewidentnie wolałaby robić coś innego, ale postanowiła okazać ci współczucie, bo uważa, że tego potrzebujesz. To nieprawda, jednak cieszysz się, że przynajmniej się stara.

Z szarości wyłaniają się dwie kolejne postaci, które rozpoznajesz po ich charakterystycznej budowie. Jedna jest szczupłym mężczyzną, a druga przysadzistą

kobietą. Ten szczupły zajmuje miejsce Hjarki przy twojej głowie i pochyla się, żeby zdjąć gogle, o których nie wiedziałaś nawet, że masz na twarzy.

– Podajcie mi odłamek – mówi. To Lerna, ale jego słowa nie mają sensu.

– Co? – pytasz.

Ignoruje cię. Druga osoba, czyli Tonkee, uderza Hjarkę łokciem, a ta wzdycha i przebiera w swojej torbie, aż w końcu znajduje jakiś niewielki przedmiot. Podaje go Lerne.

Lerna kładzie ci dłoń na policzku, jednocześnie podnosząc otrzymany przedmiot. Ten zaczyna lśnić znajomym białym blaskiem. Domyślasz się, że to odłamek kryształu z podziemnej Castrimy, który świeci, ponieważ taką właśnie reakcję wywołują w kryształach górotwory, a ten połączony jest z tobą za pośrednictwem Lerny. Sprytne. Używając tego światła, Lerna pochyla się bliżej i patrzy ci w oczy.

– Żrenice zwięzają się prawidłowo – szepcze do siebie. Jego dłoń przesuwa się po twoim policzku. – Brak gorączki.

– Czuję się ociężała – mówisz.

– Żyjesz – stwierdza Lerna, jakby to była oczywista odpowiedź na twoją uwagę. Wszyscy mówią dzisiaj językiem, którego nie rozumiesz. – Zdolności ruchowe kiepskie. Świadomość...?

Tonkee pochyla się nad tobą.

– Co ci się śniło?

Brzmi to mniej więcej tak logicznie jak: „Podajcie mi odłamek”, ale próbujesz odpowiedzieć, bo jesteś zbyt nieprzytomna, by uświadomić sobie, że nie powinnaś.

– Miasto – szepczesz. Krzywisz się, kiedy płatek popiołu spada ci na powiekę. Lerna z powrotem nakłada ci gogle na twarz. – I był nad nim obelisk. – Nad nim? – A może w środku. Chyba.

Tonkee kiwa głową.

– Obeliski rzadko unoszą się ponad ludzkimi osadami. Jeden mój kolega z Siódmego miał kilka teorii na ten temat. Opowiedzieć ci o nich?

W końcu dociera do ciebie, że zrobiłaś coś głupiego: zachęciłaś Tonkee do mówienia. Nadludzkim wysiłkiem woli posyłasz jej groźne spojrzenie.

– Nie.

Tonkee spogląda na Lerne.

– Jej oznaki życiowe wydają się w porządku. Może jest trochę ociężała, ale przecież u niej to normalka.

– Tak, dziękuję za potwierdzenie tego faktu. – Lerna kończy robić to, co robił, i siada w kucki. – Spróbujesz się przejść, Essun?

– Czy to nie za szybko? – pyta Tonkee. Marszczy czoło, co widać nawet przez maskę. – Po śpiączce i tym wszystkim?

– Wiesz tak samo jak ja, że Ykka nie da jej dużo więcej czasu na dojście do siebie. Może nawet dobrze jej to zrobi.

Tonkee wzdycha. Ale to ona pomaga Lerne, kiedy ten wsuwa ci rękę pod plecy, żebyś mogła usiąść. Zajmuje wam to całe wieki. W końcu siadasz i natychmiast dostajesz zawrotów głowy, które szybko mijają. Coś jednak jest nie w porządku. Być może to wynik

tego, że tak wiele przeszłaś, ale wydaje ci się, że twoja sylwetka jest dziwnie przygarbiona, a prawe ramię zwisa, nienaturalnie ciężkie, jakby...

...zrobione było z...

Och. Och...!

W chwili, kiedy dociera do ciebie, co się stało, wszyscy nagle milkną. Obserwują, jak w miarę możliwości unosisz bark, żeby lepiej móc się przyjrzeć swojemu ramieniu. Jest ciężkie. Bark boli cię podczas wykonywania tego ruchu, mimo że twoja ręka to nadal w większości ciało – może właśnie dlatego odczuwasz ból, że ciężar wisi na tym ciele. Niektóre ścięgna już się przekształciły, ale nadal przyłączone są do zdrowej kości. W panewce stawowej chrzęszczą jakieś szorstkie drobinki. Nie boli to jednak aż tak bardzo, jak byś się spodziewała, wiedząc, co przechodził Alabaster. To już coś.

Pozostała część ramienia, z którego ktoś zerwał rękawy koszuli i kurtki, zmieniła się nie do poznania. Nie masz jednak wątpliwości, że to twoje ramię. Poza tym, że nadal przytwierdzone jest do twojego ciała, ma też dobrze znany ci kształt. Nie jest tak smukłe jak w czasach twojej młodości. Później zrobiłaś się korpulentna, co nadal można poznać po masywności przedramienia i odrobinie tłuszczu powyżej łokcia. Lecz teraz biceps jest bardziej wyrzeźbiony, niż powinien – to kwestia dwóch lat walki o życie. Dłoń jest zaciśnięta w pięść, a cała ręka lekko zgięta w łokciu. Wykonując co trudniejsze czynności górotwórcze, zawsze miałaś w zwyczaju zaciskać pięści.

Pieprzyk, który kiedyś tkwił na środku twojego przedramienia niczym mały czarny cel, zniknął. Nie możesz obrócić ręki, żeby spojrzeć na swój łokieć, a więc tylko go dotykasz. Pozostałej po dawnym upadku wypukłej blizny nie sposób już wyczuć – tego typu detale zniknęły w zbitej, zwirowatej powierzchni przypominającej niewygładzony piaskowiec. Ulegając być może pokusie autodestrukcji, pocierasz ją, ale na palcach nie zostają ci żadne drobinki – kamień jest twardszy, niż się wydaje. Ma jednolitą szarą barwę, która w niczym nie przypomina twojej skóry.

– To już tak wyglądało, kiedy Hoa przyniósł cię z powrotem – to Lerna, który milczał, kiedy badałaś swoje ciało. Jego głos jest spokojny. – Twierdzi, że potrzebuje twojej zgody, żeby...

Przestajesz pocierać swoją kamienną skórę. Może to szok, może strach pozbawił cię zdolności odczuwania szoku, a może nic tak naprawdę nie czujesz.

– A więc powiedz mi – zwracasz się do Lerna. Wysilek związany z podniesieniem się i ujrzeniem swojej ręki pozwolił ci trochę dojść do siebie. – Co, jako... ekhm, specjalista, doradziłbyś, żebym z tym zrobiła?

– Myślę, że powinnaś dać do Hoi do zjedzenia albo pozwolić komuś z nas potraktować to młotem kowalskim.

Krzywisz się.

– To trochę drastyczne, nie uważasz?

– Nie sądzę, by cokolwiek mniej drastycznego niż młot kowalski zdołało choćby zarysować to coś. Zapominasz, że miałem dużo czasu na badanie Alabastra, kiedy działał się z nim to samo.

Nagle przypominasz sobie, jak trzeba było wmuszać w Alabastra jedzenie, bo nie czuł już głodu. Ta myśl nie ma związku z tematem, ale po prostu pojawia ci się w głowie.

– Pozwolił ci?

– Nie dałem mu wyboru. Musiałem wiedzieć, czy to jest zaraźliwe, ponieważ wydawało się rozprzestrzeniać po jego ciele. Wziąłem kiedyś próbkę, a on zażartował, że Antymona, ta zjadaczka kamieni, będzie ją chciała z powrotem.

Prawdopodobnie wcale nie był to żart. Alabaster zawsze uśmiechał się w chwilach brutalnej szczerości.

– I oddałeś ją?

– Przyjmijmy, że tak. – Lerna przesuwając sobie dłonią po włosach i otrzepując je z popiołu. – Posłuchaj, musimy owinąć ci ramię na noc, żeby chłód kamienia nie wyziębził reszty ciała. Skórę w okolicach barku masz mocno naciągniętą. Podejrzewam, że to coś deformuje kości i napina ścięgna; staw nie jest skonstruowany do dźwigania takiego ciężaru. – Waha się przez chwilę. – Możemy usunąć to i dać Hoi później, jeśli chcesz. Nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy... robić to po jego myśli.

Podejrzewasz, że Hoa znajduje się gdzieś pod waszymi stopami i słucha. Lerna jest jednak dziwnie drażliwy na tym punkcie. Dlaczego? Zgadnij.

– Nie przeszkadza mi, że Hoa to zje – odpowiadasz. Mówisz to nie tylko ze względu na Hoę. Naprawdę tak uważasz. – Jeśli na tym skorzysta, a ja pozbędę się tego czegoś, to dlaczego nie?

W wyrazie twarzy Lerna coś się zmienia. Jego pozbawiona emocji maska nagle się zsuwa, a ty zdajesz sobie sprawę, że obrzydza go wyobrażenie Hoi pożerającego twoje ramię. Właściwie, jeśli tak to ująć, rzeczywiście jest to obrzydliwe. Ale myślenie o tym w ten sposób jest zbyt proste. Zbyt prymitywne. Po wielu godzinach wędrowania pomiędzy komórkami zmieniającego się ciała Alabastra wiesz już, co dzieje się w twoim ramieniu. Patrząc na nie, widzisz srebrzyste nici magii przekształcające twoje nieskończone małe komórki i twoją energię, ustawiające poszczególne cząstki tak, aby znajdowały się na tej samej linii co inne, i misternie splatające je ze sobą. Czemukolwiek służy ten proces, z pewnością jest zbyt precyzyjny i zbyt potężny, żeby można było uważać go za przypadkowy – albo żeby trawienie tej materii przez Hoę można było rozpatrywać tylko w kategoriach ponurej groteski, co najwyraźniej robi Lerna. Nie wiesz jednak, jak mu to wyjaśnić, a nawet gdybyś wiedziała, nie masz na to siły.

– Pomóż mi wstać – mówisz.

Tonkee delikatnie chwyta twoje kamienne ramię, podtrzymując je, żeby nie wyrwało ci barku. Rzuca Lerne wściekłe spojrzenie, a ten w końcu przełamuje swój opór i znowu wsuwa ci rękę pod plecy. Z pomocą ich dwojga udaje ci się stanąć na nogach, ale nie jest to proste. Dyszysz ciężko, kolana masz jak z waty. Twój krwiobieg nie jest nastawiony do tego wszystkiego zbyt entuzjastycznie, i zaczynasz się chwiać, czując zawroty głowy.

– Dobra, połóżmy ją z powrotem – mówi natychmiast Lerna. Chwilę później znowu siedzisz i brakuje ci tchu, a ramię dziwnie ciągnie w dół cały bark, aż w końcu Tonkee odpowiednio je układa. To coś jest naprawdę ciężkie.

(Twoje ramię. Nie żadne „coś”. To twoje prawe ramię. Straciłaś swoje prawe ramię. Jesteś tego świadoma i wkrótce będziesz je opłakiwać, ale na razie łatwiej ci jest myśleć o nim jako o czymś osobnym. O wyjątkowo bezużytecznej protezie. O niegroźnej narośli,

którą trzeba usunąć. To wszystko prawda. Ale równocześnie to twoje zardzewiałe ramię).

Siedzisz tak, dysząc, i pragniesz, żeby świat przestał wirować, a wtedy słyszysz, że ktoś się do was zbliża. Nawołuje, że pora się pakować, że postój dobiegł końca i że przed zmierzchem trzeba pokonać jeszcze osiem kilometrów. To Ykka. Kiedy podchodzi, unosisz głowę i w tej samej chwili uświadamiasz sobie, że uważasz ją za przyjaciółkę. Uświadamiasz to sobie, bo z przyjemnością słuchasz jej głosu i patrzysz, jak wylania się z wirującego popiołu. Ostatnim razem, kiedy ją widziałaś, znajdowała się w śmiertelnym niebezpieczeństwie – groziło jej pożarcie przez wrogich zjadaczy kamieni, którzy zaatakowali podziemną Castrimę. Był to jeden z powodów, dla których podjęłaś walkę, unieruchamiając napastników za pomocą kryształów – chciałaś, żeby Ykka, wszystkie inne górotwory z Castrimy, a także wszyscy uzależnieni od nich ludzie przeżyli.

Uśmiechasz się więc. To słaby uśmiech. Być może dlatego właśnie boli, kiedy Ykka odwraca się do ciebie, a na jej ustach maluje się ewidentny wyraz obrzydzenia.

Ściągnęła z głowy tkaninę przysłaniającą dolną połowę twarzy. Widzisz tylko szaroczarny makijaż, który nakłada nawet po końcu świata, choć oczy skrywa za prowizorycznymi goglami – to okulary szczelnie owinięte szmatą.

– Kurwa – mówi do Hjarki – nigdy nie pozwolisz mi posłuchać końcówki, co?

Hjarka wzrusza ramionami.

– Chyba że zapłacisz.

Patrzysz na Ykkę, a twój niepewny uśmiech gaśnie.

– Najprawdopodobniej całkowicie wyzdrowieje – stwierdza Lerna. Spokój w jego głosie natychmiast odczytujesz jako przejaw ostrożności. Ostrożności człowieka stąpającego po czynnym wulkanie. – Choć minie jeszcze kilka dni, zanim będzie mogła stanąć na nogi.

Ykka wzdycha, opierając rękę na biodrze i najwyraźniej rozważając całe mnóstwo rzeczy, które chce powiedzieć. Ostatecznie decyduje się na coś równie neutralnego.

– W porządku. Zwiększę rotację osób przy noszach. Ale zadbaj o to, żeby jak najszybciej zaczęła chodzić. W tej wspólnocie każdy sam nosi swój ciężar albo zostaje z tyłu.

Odwraca się i odchodzi.

– No i tak – odzywa się Tonkee szeptem, kiedy Ykka znajduje się już wystarczająco daleko. – Jest lekko wkurwiona za to, że zniszczyłaś geodę.

– Zniszczyłam... – Ach. Zamknięcie zjadaczy kamieni w kryształach. Zamierzałaś wszystkich ocalić, ale Castrima była mechanizmem: bardzo starym i bardzo delikatnym mechanizmem, którego działania nie rozumiałaś. A teraz jesteście na powierzchni i brniecie przez popiół... – Na zardzewiałą Ziemię, tak, zrobiłam to.

– To ty nie wiedziałaś? – Hjarka chichocze. Za tym śmiechem coś się jednak kryje. – Myślałaś, że cała nasza wspólnota wyszła na powierzchnię i maszeruje na północ w zimnie i w popiele dla zabawy? – Odchodzi, kręcąc głową. Nie tylko Ykka jest na ciebie wkurzona.

– Ja nie... – chcesz powiedzieć „Ja nie chciałam”, ale nie robisz tego. Ponieważ nigdy nie chcesz, ale ostatecznie nie ma to żadnego znaczenia.

Lerna spogląda na twoją twarz i wzdycha.

– To Rennisi zniszczyli wspólnotę, Essun. Nie ty. – Pomaga ci usiąść, ale nie patrzy ci w oczy. – Przegraliśmy w chwili, kiedy postanowiliśmy sprowadzić do podziemnej Castrimy wrzątki, założywszy, że to nas ocali. One nie poszłyby sobie ani nie zostawiłyby tam niczego, co dałoby się zjeść. Zostając w geodzie, byłibyśmy zgubieni tak czy inaczej.

To logiczne. A jednak reakcja Ykki to dowód na to, że logika nie zawsze jest najważniejsza. Nie można odebrać ludziom domów i poczucia bezpieczeństwa w tak nagły, dramatyczny sposób i oczekiwać, że zamiast wpaść we wściekłość, zaczną analizować powody, które to tego doprowadziły.

– Przejdzie im. – W spojrzeniu Lery dostrzegasz czystość i szczerość. – Skoro ja sobie z tym poradziłem, to oni też sobie poradzą. Trzeba tylko dać im czas.

Nie wiedziałaś, że zdołał poradzić sobie z tym, co stało się w Tirimo.

Lerna ignoruje twój wzrok, a potem daje znać czterem osobom, które zgromadziły się w pobliżu. Leżysz już, dlatego tylko układa kamienne ramię przy twoim ciele i nakrywa je kocami. Noszowi podejmują swoje zadanie, a ty musisz tłumić w sobie górotwórstwo, które teraz, kiedy się obudziłaś, nakłania cię do reakcji przy każdym poruszeniu noszy, jakby to był wstrząs. Kiedy ruszacie przed siebie, w zasięgu twojego pola widzenia pojawia się głowa Tonkee.

– Hej, wszystko będzie dobrze. Mnie też wiele osób nienawidzi.

W ogóle cię to nie pociesza. Frustrujące jest również to, że przejmujesz się tym, co zrobiłaś, i że inni to widzą. Kiedyś byłaś taka nieczuła.

Wiesz jednak, dlaczego już taka nie jesteś.

– Nassun – mówisz do Tonkee.

– Co?

– Nassun. Wiem, gdzie ona jest, Tonkee. – Próbujesz chwycić jej rękę prawą dłonią, a w twoim barku odzywa się miarowe pulsowanie. Słyszysz jakieś dzwonięcie. Nie boli, ale przeklinasz samą siebie za ten odruch. – Muszę ją znaleźć.

Tonkee zerka na noszowych, a potem w stronę, gdzie udała się Ykka.

– Mów ciszej.

– Co? – Ykka doskonale wie, że zamierzasz odnaleźć swoją córkę. Była to pierwsza rzecz, którą jej powiedziałaś.

– Jeśli chcesz być zostawiona na poboczu tej zasypanej drogi, to mów dalej.

To, jak również coraz większy wysiłek, którego wymaga powstrzymanie twojego górotwórstwa, każe ci się zamknąć. Ojej. A więc Ykka jest skrajnie wkurzona.

Popiół dalej pada i w końcu pokrywa twoje gogle, bo nie masz siły ich przetrzeć. W szarości, która nastąpiła, zwycięża potrzeba odpoczynku i znowu zasypiasz. Budzisz się i ocierasz popiół z twarzy, dopiero kiedy noszowi kładą cię na ziemi, a jakiś kamień albo gałąź wbija ci się w plecy. Unosisz się na łokciu i jest trochę lepiej, choć nadal nie stać cię na wiele więcej.

Zapadła noc. Kilkadziesiąt osób rozbija obóz na odsłoniętej skalnej platformie wśród wymizerowanych pozostałości lasu. To miejsce wydaje ci się znajome z czasów twoich górotwórczych badań okolic Castrimy, co pomaga ci się rozeznąć w terenie: ten skrawek tektonicznego wzniesienia znajduje się jakieś dwieście siedemdziesiąt

kilometrów od geody Castrimy. Wnioskujesz z tego, że wasza podróż musiała się rozpocząć zaledwie kilka dni wcześniej, ponieważ tak duża grupa ludzi może się poruszać w określonym tempie, jak również że jest tylko jedno miejsce, do którego możecie zmierzać, skoro wyruszyliście na północ. Rennanis. Jakimś sposobem mieszkańcy Castrimy musieli się dowiedzieć, że to miasto jest puste i zdatne do zamieszkania. A może po prostu mają tylko taką nadzieję, a na nic innego nie mogą już liczyć. No cóż, przynajmniej w tej kwestii możesz ich upewnić... jeśli zechcą cię słuchać.

Ludzie wokół ciebie przygotowują latryny, okrągłe paleniska i rożny. Rozstawione w kilku miejscach małe, nędzne fragmenty kryształów z Castrimy zapewniają dodatkowe światło; dobrze wiedzieć, że jest tu wystarczająco dużo górotworów, aby je zasilać. Część prac wykonuje się tu mało efektywnie, bo ludzie nie są do pewnych rzeczy przyzwyczajeni, ale większość zadań realizowana jest sprawnie. Zbawienne okazuje się to, że tak wielu mieszkańców Castrimy potrafi radzić sobie w drodze. Twój noszowie zostawili cię samą i jeśli ktokolwiek zamierza rozpalić ci ogień albo przynieść ci jedzenie, to jeszcze się nie pojawił. Lerna kuca obok niewielkiej grupki leżących ludzi i zaczyna się nimi zajmować. No tak, po tym, jak żołnierze Rennanis wkroczyli do geody, na pewno jest tu wielu rannych.

Nie potrzebujesz ognia i nie jesteś głodna, dlatego bycie lekceważoną na razie ci nie przeszkadza – co najwyżej emocjonalnie. Przeszkadza ci natomiast brak ratujwórka. Niosłaś go przez połowę Bezruchu, trzymałaś w nim swoje stare pierścienie, a nawet ocalałaś go przed spopieleniem, kiedy zjadacz kamieni przechodził metamorfozę w twoim mieszkaniu. Nie trzymałaś tam wielu rzeczy, na których by ci zależało, ale sam worek miał dla ciebie wartość sentymentalną.

No cóż. Każdy coś stracił.

Nagle wyczuwasz obok siebie olbrzymi ciężar materializującej się góry. Pomimo wszystko się uśmiechasz.

– Zastanawiałam się, kiedy się pojawisz.

Hoa stoi nad tobą. Nadal odczuwasz szok, widząc go w takiej postaci: to już bardziej dorosły niż dziecko, a białe ciało zastąpił czarny, żyłkowany marmur. Z drugiej jednak strony łatwo jest postrzegać go jako tę samą osobę – ma te same rysy twarzy, te same obłądne, lodowobiałe oczy, tę samą dziwną postawę i to samo czujne spojrzenie co Hoa, którego znałaś przez ostatni rok. Co takiego się zmieniło, że ten zjadacz kamieni nie wydaje ci się już obcy? U niego zmiany zaszły tylko powierzchownie. U ciebie zmieniło się wszystko.

– Jak się czujesz? – pyta.

– Lepiej – Ramię ciąży ci, kiedy zmieniasz pozycję, żeby na niego spojrzeć, niczym przypomnienie o niepisanej umowie pomiędzy wami. – Czy to ty powiedziałeś im o Rennanis?

– Tak. I ja ich tam prowadzę.

– Ty?

– Na tyle, na ile Ykka mnie słucha. Myślę, że woli, kiedy zjadacze kamieni są jej milczącymi wrogami niż aktywnymi sojusznikami.

Reagujesz na to zmęczonym śmiechem. Ale...

– Czy naprawdę jesteś sojusznikiem, Hoa?

– Nie dla nich. Ykka rozumie jednak również to.

Tak. Prawdopodobnie właśnie dlatego wciąż żyjesz. Dopóki Ykka będzie cię chronić i karmić, Hoa będzie jej pomagał. Jesteś z powrotem w drodze i znowu wszystko jest tylko przedmiotem transakcji. Wspólnota, która kiedyś była Castrimą, nadal istnieje, ale z prawdziwej społeczności zmieniła się w grupę podobnie myślących wędrowców, którzy współpracują ze sobą, aby przetrwać. Być może za jakiś czas, mając nowy dom, którego będzie mogła bronić, znowu stanie się prawdziwą wspólnotą, ale na razie rozumiesz, dlaczego Ykka jest wściekła. Ci ludzie utracili coś pięknego i kompletnego.

Cóż. Spoglądasz na siebie. Nie jesteś już kompletna, ale to, co pozostało, da się naprawić; wkrótce będziesz mogła wyruszyć na poszukiwania Nassun. Jednak po kolei.

– Zrobimy to?

Hoa milczy przez chwilę.

– Jesteś pewna?

– W takiej postaci moje ramię i tak tylko mi przeszkadza.

Rozlega się bardzo cichy dźwięk. Odgłos kamienia, wolno i nieubłagalnie ocierającego się o inny kamień. Potwornie ciężka dłoń spoczywa na twoim w połowie przekształconym ramieniu. Masz świadomość, że mimo ciężaru jest to niezwykle subtelny dotyk, jak na standardy zjadaczy kamieni. Hoa zachowuje się wobec ciebie bardzo delikatnie.

– Nie tutaj – mówi i wciąga cię w głąb ziemi.

Tylko na chwilę. Zawsze dba o to, aby te podróże do wnętrza ziemi były krótkie, prawdopodobnie dlatego, że podczas dłuższego pobytu trudniej byłoby ci oddychać i... nie oszaleć. Tym razem jest to tylko rozmazane wrażenie ruchu, błysk ciemności i bogaty zapach gleby, tak różnej od woni zwałów gryzącego popiołu na górze. Zaraz potem leżysz na innym wzniesieniu skalnym – a może tym samym, na którym rozbijają obóz mieszkańcy Castrimy, ale trochę dalej. Nie widać tu światła ognisk, jest tylko czerwony blask Pęknięcia odbijający się w gęstych chmurach. Twoje oczy szybko przyzwyczajają się do półmroku, choć wokół widać jedynie skały i cienie pobliskich drzew. A także ludzką sylwetkę, która kuca teraz obok ciebie.

Hoa delikatnie, niemal z nabożną czcią, ujmuje w dłonie twoje kamienne ramię. Wbrew sobie odczuwasz powagę chwili. Ale dlaczego nie miałyby być poważna? To ofiara wymagana przez obeliski. Bezwzględnie egzekwowana należność, którą musisz uiścić za krwawy dług swojej córki.

– Błędnie to sobie wyobrażasz – mówi Hoa, a ty przez chwilę się martwisz, że czyta ci w myślach. Raczej chodzi jednak o to, że jest stary niczym góry i widzi wszystko na twojej twarzy. – Dostrzegasz tylko to, co utracone, ale coś również zyskaliśmy. To nie taka brzydka rzecz, jak ci się wydaje.

Wygląda na to, że zaraz weźmie się do rzeczy. Pogodziłaś się z tym, ale chcesz zrozumieć.

– W takim razie co to jest? Dlaczego...

Kręcisz głową, nie wiedząc nawet, jakie właściwie powinnaś zadać pytanie. Być może „dlaczego” jest bez znaczenia. Może nie potrafisz tego zrozumieć. Może to nie dla

ciebie.

– To nie jest pożywienie. Aby żyć, potrzebujemy tylko życia.

Drugie zdanie jest bezsensowne, dlatego uczepiasz się pierwszego.

– Skoro nie jest to pożywienie, to...?

Hoa znowu powoli się porusza. Zjadacze kamieni nie robią tego zbyt często. Ruch jest czymś, co podkreśla ich przedziwną naturę, podobnie jak w przypadku ludzi, a zarazem bardzo odmiennie. Byłoby łatwiej, gdyby byli bardziej obcy. Kiedy poruszają się w ten sposób, widzisz to, czym byli kiedyś, a ta wiedza stanowi zagrożenie i ostrzeżenie dla wszystkiego, co w tobie ludzkie.

„Dostrzegasz tylko to, co utracone, ale coś również zyskaliśmy”.

Podnosi twoje ramię oburącz, jedną dłoń umieszczając pod twoim łokciem, a palcami drugiej obejmując zaciśniętą, popękana pięść. Powoli, powoli. W takiej pozycji nie boli cię bark. W połowie drogi do ust przesuwają dłoń przy twoim łokciu, tak aby znajdowała się wyżej. Kamień jego ciała z cichym chrzęstem ociera się o twój. To zadziwiająco zmysłowe, choć przecież niczego nie czujesz.

Następnie twoja pięść dotyka jego ust. Wargi Hoi nie poruszają się, kiedy mówi gdzieś z głębi klatki piersiowej:

– Boisz się?

Zastanawiasz się nad tym przez chwilę. Powinnaś? Ale...

– Nie.

– To dobrze – odpowiada. – Robię to dla ciebie, Essun. Wszystko jest dla ciebie.

Wierzysz mi?

Z początku nie jesteś pewna. Pod wpływem impulsu unosisz zdrową rękę i przesuwasz palcami po jego twardym, chłodnym, gładkim policzku. Słabo go widzisz – to czerń na tle ciemności – ale odnajdujesz kciukiem jego brwi i nos, który teraz jest dłuższy niż kiedyś. Hoa powiedział ci kiedyś, że pomimo swojego dziwnego ciała uważa się za człowieka. Dopiero teraz uświadamiasz sobie, że ty również postanowiłaś tak go postrzegać. To sprawia, że cały ten akt jest czymś więcej niż tylko pożywianiem się. Nie jesteś pewna, czym, ale... sprawia wrażenie pewnego daru.

– Tak – odpowiadasz. – Wierzę ci.

Hoa otwiera usta. Coraz szerzej i szerzej, szerzej, niż mogą otworzyć się jakiegokolwiek ludzkie usta. Kiedyś się martwiłaś, że są zbyt małe; teraz widzisz, że mogą pomieścić pięść. Ma drobne, równe i diamentowo czyste zęby, które lśnią pięknie w czerwonym blasku wieczoru. Za tymi zębami jest już tylko ciemność.

Zamykasz oczy.

Była w złym nastroju. To z powodu wieku, wyjaśniło mi jedno z dzieci. Ona powiedziała z kolei, że to po prostu kwestia stresu związanego z próbami ostrzeżenia ludzi, którzy nie chcieli jej słuchać, że nadchodzą ponure czasy. Nie chodziło o zły nastrój, ale o zyskany z wiekiem przywilej trzymania się z dala od uprzejmych kłamstw.

„W tej historii nie ma żadnego złoczyńcy”, powiedziała. Siedzieliśmy pod kopułą ogrodu, która na jej życzenie była właśnie tylko kopułą. Sylsceptycy nadal twierdzą, że

nie ma żadnego dowodu, by wydarzenia miały się potoczyć zgodnie z jej przewidywaniami, ale ona nigdy wcześniej się nie myliła, a poza tym jest Syl bardziej niż oni. Piła bez, jakby chciała w ten sposób odcisnąć prawdę w związkach chemicznych.

„Nie ma konkretnego zła, które dałoby się wskazać, ani konkretnej chwili, kiedy wszystko się zmieniło – ciągnęła. – Było źle, potem jeszcze gorzej, a potem strasznie, następnie lepiej, a później znowu źle, i wszystko to działa się wciąż od nowa, bo nikt tego nie zatrzymał. A pewne rzeczy można... dostosowywać. Wydłużyć okresy dobre, przewidzieć i skrócić te okropne. Czasami zapobiec tym najgorszym, skupiając się na po prostu złych. Przestałam próbować was powstrzymywać. Nauczyłam swoje dzieci sztuki pamięci, przyswajania wiedzy i przetrwania... żeby mogły doczekać momentu, kiedy ktoś w końcu przełamie ten cykl na dobre”.

Byłam zbita z tropu.

„Ma pani na myśli Pożogę?”

Bo to w końcu o tym przyszłam porozmawiać. Sto lat, jak przewidziała pół wieku temu. Co innego miało teraz znaczenie?

Tylko się uśmiechnęła.

Transkrypcja wywiadu przetłumaczonego z Budowniczego Obelisków typu C, znalezionej w Ruinach Płaskowyżu Tapita nr 723 przez Shinash Innowatorkę Dibars. Data nieznana, autor transkrypcji nieznany. Spekulacja: pierwsza mędrzyni? Notatka osobista: Baster, powinieś zobaczyć to miejsce. Na każdym kroku skarby historii, większość zbyt zniszczona, by można je odczytać, ale mimo wszystko... Szkoda, że cię tu nie ma.

Nassun stoi nad ciałem swojego ojca – jeśli w ogóle można nazwać ciałem tę stertę połamanych klejnotów. Chwieje się lekko i czuje zawroty głowy, bo rana w ramieniu – tam, gdzie ojciec ją dźgnął – krwawi obficie. Ugodzenie nożem to konsekwencja żądania ojca: miała się zdecydować, czy chce być jego córką czy górotworem. Nie potrafiła tego zrobić. Odmówiła popelnienia egzystencjalnego samobójstwa. On uznał, że nie pozwoli, aby górotwór dalej cierpiał, żyjąc. W tamtej ostatecznej chwili żadne z nich nie kierowało się złą wolą – było w tym wszystkim jedynie ponure okrucieństwo nieuchronności.

Po jednej stronie Nassun stoi Schaffa, jej Stróż, który spogląda na szczątki Jiji Obrońcy Jekity z mieszaniną zdumienia i chłodnej satysfakcji. Po drugiej stronie znajduje się Stal, jej zjadacz kamieni. Można już nazywać go „jej” zjadaczem, ponieważ przybył do niej w chwili, kiedy go potrzebowała – nie po to, aby jej pomóc, nie, tego nigdy nie robią, ale coś jednak jej podarował. Tym, co jej ofiarował, i czego, jak w końcu sobie uświadomiła, bardzo potrzebowała, jest cel. Nawet Schaffa jej tego nie dał, ale to dlatego, że kocha ją bezwarunkowo. Nassun potrzebuje również miłości, ach, jak bardzo jej potrzebuje, ale w tym momencie, kiedy jej serce jest złamane, a umysł nie potrafi się skupić, pragnie czegoś bardziej... konkretnego.

Dostanie to, czego pragnie. Będzie o to walczyć i zabijać, ponieważ musi to robić – to już nałóg, a jeśli jej się uda, będzie mogła za to umrzeć. W końcu jest córką swojej matki, a poza tym śmierci boją się tylko ci, którzy sądzą, że mają jakąś przyszłość.

W zdrowej ręce Nassun pulsuje ostry, metrowy odłamek kryształu o barwie głębokiego błękitu; jest idealnie gładki, ale przy podstawie jego kształt wydaje się lekko zaburzony i tworzy coś w rodzaju rękojeści. Co jakiś czas ten dziwny długonóż przyjmuje przezroczystą, nieuchwytną i wątpliwie rzeczywistą formę. Jest bardzo rzeczywisty; tylko koncentracja Nassun sprawia, że w jej dłoniach nie zamienia ją w kolorowy kamień, tak jak zrobił z jej ojcem. Dziewczyna boi się, co by się stało, gdyby zemdlała pod wpływem upływu krwi, dlatego bardzo chciałaby wysłać szafir z powrotem w powietrze, gdzie mógłby przyjąć swoją normalną, olbrzymią formę – ale nie może. Jeszcze nie teraz.

W budynku sypialnym znajdują się dwa powody: Umber i Nida, pozostali dwaj Stróże z Odnalezonego Księżyca. Obserwują ją, a kiedy Nassun spogląda w ich stronę, łączące ich srebrne nici nagle zaczynają lśnić. Żadnych słów ani spojrzeń, tylko to milczące porozumienie, które byłoby niedostrzegalne, gdyby Nassun nie była tym, kim jest. Wszystkich Stróżów łączy z ziemią delikatne srebrne wiązki, które przenikają ich ciała wzdłuż nerwów i żył, zespalać się z maleńkimi odłamkami żelaza umieszczonymi w ich mózgach. Te przypominające korzenie nici zawsze tam były, ale być może dopiero dramatyzm chwili sprawia, że Nassun spostrzega, jak bardzo są grube w porównaniu z wiązkami Schaffy. W końcu rozumie też, co to oznacza: Umber i Nida to tylko marionetki w rękach kogoś potężniejszego. Nassun próbowała wierzyć w ich dobre intencje i w to, że ci dwoje są ich sprzymierzeńcami, ale tutaj i teraz, z szafirem w dłoniach i ojcem martwym u swych stóp... Tak, czasami dojrzewanie nie może czekać

na bardziej odpowiedni moment.

Nassun zakorzenia więc swój torus głęboko w ziemi, ponieważ wie, że Umber i Nida to wyczują. To tylko odwrócenie uwagi; nie potrzebuje mocy ziemi i podejrzewa, że oni o tym wiedzą. A mimo wszystko reagują: Umber rozkłada ręce, a Nida, która opierała się o balustradę ganku, nagle się prostuje. Schaffa również reaguje: przenosi wzrok na Nassun. Umber i Nida z pewnością to dostrzegą, ale nie da się nic na to poradzić; Nassun nie ma w mózgu kawałka Złej Ziemi, dzięki któremu mogłaby się porozumiewać z innymi. Tam, gdzie zawodzi materia, sprawdza się jednak troskliwość.

– Nida – mówi Schaffa, i to jej wystarczy.

Umber i Nida poruszają się. Robią to szybko – bardzo szybko – ponieważ znajdujące się w nich srebrne kratownice wzmocniły ich kości i mięśnie, dzięki czemu ich ciała zdolne są do wyczynów przekraczających możliwości ludzkiego organizmu. Fala negacji płynie przed nimi z siłą huraganu, natychmiast paraliżując główne płyty sejsod Nassun, ale Nassun jest już w ofensywie. Nie fizycznej; nie może mierzyć się z nimi w tego rodzaju walce, a poza tym ledwie stoi. Wola i srebro to wszystko, co jej zostało.

Dlatego Nassun – jej ciało nieruchome, jej umysł wypełniony przemocą – chwyta srebrne nici wokół niej i splata je w prymitywną, ale skuteczną sieć. (Nigdy wcześniej tego nie robiła, ale nikt też nie powiedział jej, że to niemożliwe). Częścią tej sieci oplata Nidę, ignorując Umbera, bo tak nakazał jej Schaffa. Chwilę później rozumie, dlaczego kazał jej się skupić tylko na jednym z wrogich Stróżów. Srebro, którym oplotła Nidę, powinno unieruchomić ją niczym pajęczyna owada. Nida jednak tylko się zatrzymuje, a potem wybucha śmiechem, podczas gdy *coś* innego wypływa z niej i tnie powietrze dookoła, rozrywając krępującą ją sieć. Znowu rzuca się w stronę Nassun, ale ona – uchyliwszy się błyskawicznie – chwyta tkwiący w ziemi kamień, aby przebić stopę Nidy. Wstrzymuje ją to tylko na moment. Nida prze naprzód, łamiąc unieruchamiający ją kamień, i biegnie dalej, z odłamkami wystającymi jej z butów. Jedną dłoń trzyma przed sobą niczym szpon, druga jest płaska, jakby utwardzona w ostrze. Od tego, która z nich jako pierwsza dosięgnie Nassun, zależy, jak rozpocznie się rozrywanie ciała dziewczyny gołymi rękoma.

Nassun ogarnia panika. Nie całkowicie, ponieważ w przeciwnym razie straciłaby kontrolę nad szafirem, ale jednak. Czuje surowe, głodne i chaotyczne pulsowanie srebrnych nici wokół Nidy, tak jak jeszcze niczego nigdy nie czuła, i w pewien sposób jest to przerażające. Nie wie, co to dziwne pulsowanie mogłoby jej zrobić, gdyby Nida dotknęła jej odsłoniętej skóry. (Wie za to jej mama). Wykonuje krok do tyłu, w nadziei, że szafirowy długonóż wsunie się pomiędzy nią a Nidę. Zdrową dłoń wciąż zaciska na rękojeści szafiru, ale wygląda, jakby władała nim zbyt wolno i niepewnie. Nida znowu wybucha piskliwym i radosnym śmiechem, ponieważ obie widzą, że nawet szafir nie wystarczy, aby ją zatrzymać. Szponiasta dłoń Nidy wystrzela do przodu, a palce dosięgają policzka Nassun, mimo że dziewczyna robi rozpaczliwe uniki.

Nassun upuszcza szafir i krzyczy, a jej otępiałe sejsody napinają się do granic możliwości. Na próżno.

Tyle że wszyscy Stróże zapomnieli o innym stróżu Nassun.

Stal wydaje się nie poruszać. W jednej chwili stoi, tak jak stał przez dwadzieścia

minut, zwrócony plecami do pozostałości po Jiji i wpatrzony w północny horyzont. W następnej chwili znajduje się bliżej, tuż przy Nassun – przemieścił się tak szybko, że dziewczyna słyszy gwałtowne klaśnięcie wypełniającego pustkę powietrza. Rozpędzona Nida zatrzymuje się nagle, z gardłem zamkniętym w uniesionej dłoni Stali.

Wrzeszczy. Nassun godzinami słuchała jej gderania i być może właśnie z powodu tego jej charakterystycznego, przyjemnego głosu zawsze wyobrażała ją sobie jako sympatycznego, ćwierkającego i nieszkodliwego ptaka. Ten wrzask jest jednak wrzaskiem drapieżnika, to brutalność zmieniająca się w furię w chwili nagłego odgrodzenia od ofiary. Nida próbuje się wyswobodzić, ryzykując, że skręci sobie kark, ale uścisk Stali jest silny. Stróżka jest w potrzasku.

Jakiś dźwięk za plecami Nassun każe jej gwałtownie się obrócić. Trzy metry od niej Umber i Schaffa toczą walkę wręcz. Nassun nie widzi, co się tam dzieje. Obaj poruszają się zbyt szybko; ich ciosy są błyskawiczne, okrutne. Kiedy jej uszy wyłapują odgłos ciosu, walczący są już na zupełnie innych pozycjach. Nie potrafi nawet powiedzieć, co dokładnie robią – ale się boi, bardzo się boi o Schaffę. Srebro w Umberze płynie niczym rzeka i nieustannie dodaje mu mocy. Cieńsze strumienie w Schaffie tworzą natomiast dziką płataninę prądów i wirów, szarpiąc za jego nerwy i mięśnie, rozpalając się nieoczekiwanie w próbach pozbawienia go kontroli. Po skupieniu na jego twarzy Nassun widzi, że Schaffa wciąż nad nimi panuje i że właśnie to go ocaliło: jego ruchy są nieprzewidywalne, strategiczne, przemyślane. A jednak sam fakt, że daje radę walczyć, jest zdumiewający.

To, w jaki sposób kończy pojedynek, wbijając od dołu rękę aż po nadgarstek w szczękę Umbera, jest przerażające.

Umber wydaje z siebie okropny dźwięk i zastyga w bezruchu – chwilę później jego dłoń ponownie sięga do gardła Schaffy; ruch jest tak szybki, że ramię się rozmazuje. Zaskoczony Schaffa wciąga powietrze – tak szybko, że mógłby to być zwykły wdech, ale Nassun słyszy w tym zaniepokojenie – i odparowuje cios, ale Umber nadal atakuje, choć oczy wywróciły mu się białkami do góry, a jego ruchy są rwane, niezdarne. Nassun nagle rozumie: Umbera nie ma już w jego ciele. Jest tam coś innego, co kieruje jego kończynami i odruchami dzięki temu, że główne połączenia nerwowe pozostają sprawne. I tak: w następnym ułamku chwili Schaffa przyciska Umbera do ziemi, wyswobadza rękę i miażdży głowę swojego rywala.

Nassun nie może na to patrzeć. Słyszy trzask – to jej wystarczy. Słyszy, że Umber dalej wierzga, coraz słabiej, ale uparcie, słyszy też cichy szelest ubrania Schaffy, kiedy ten się pochyla. Jeszcze później słyszy coś, co jej matka słyszała po raz ostatni w niewielkim pokoju w należącem do Stróżów skrzydle Fulcrum jakieś trzydzieści lat wcześniej: pękającą kość i rozrywane chrząstki, kiedy Schaffa wciska palce w podstawę strzaskanej czaszki Umbera.

Nassun nie potrafi odciąć się od tych dźwięków, dlatego skupia się na Nidzie, która wciąż próbuje się uwolnić z niewzruszonego uchwytu Stali.

– Ja... ja... – zaczyna. Jej serce zwolniło tylko odrobinę. Szafir mocniej drży jej w dłoniach. Nida nadal chce ją zabić. Wystarczy, aby Stal, który przedstawił się jako możliwy, ale niepewny sojusznik, rozluźnił palce, a wtedy Nassun zginie. Mimo to

dziewczynka mówi: – Ja nie chcę cię zabijać – To prawda.

Nida nagle nieruchomieje i milknie. Wściekłość na jej twarzy zmienia się w pustkę.

– Zrobiłam, co musiałam zrobić, po raz ostatni – mówi.

Nassun czuje ciarki na myśl, że wydarzyło się właśnie coś niezrozumiałego. Nie jest pewna co, ale wydaje jej się, że to już nie jest Nida. Przelyka ślinę.

– Ale co zrobiłaś? Kim jesteś?

Wzrok Nidy pada na Stala. Usta zjadacza kamieni z cichym chrzęstem wyginają się w wyszczerzony uśmiech. Zaraz później, zanim Nassun zdąży wymyślić kolejne pytanie, palce Stali zmieniają położenie. Nie rozluźniają się, ale obracają w ten nienaturalnie powolny sposób, który prawdopodobnie ma imitować ruchy ludzi. (Albo je parodiować). Przyciąga dłoń do siebie i obraca nadgarstek tak, żeby Nida stała zwrócona do niego plecami. Podstawa jej czaszki znajduje się teraz przy jego ustach.

– Jest wściekłe – ciągnie Nida spokojnie, choć Nassun nie widzi już jej twarzy – a mimo wszystko być może nawet teraz byłoby skłonne do kompromisu i przebaczenia. Pragnie sprawiedliwości, ale...

– Dostało swoją sprawiedliwość po stokroć – odpowiada Stal. – Nic mu nie jestem winien.

Po tych słowach szeroko otwiera usta.

Nassun znowu się odwraca. Tego ranka, kiedy roztrzaskała własnego ojca na kawałki, pewne rzeczy nadal pozostają zbyt obrzydliwe dla jej dziecięcych oczu. Przynajmniej Nida już się nie porusza, kiedy Stal upuszcza jej ciało na ziemię.

– Nie możemy tu zostać – mówi Schaffa. Nassun z trudem przelyka ślinę i obserwuje, jak stojąc nad zwłokami Umbera opiekun ukrywa coś w zakrwawionej dłoni. Schaffa patrzy na przedmiot z takim samym chłodem, jakim obrzuca tych, których zamierza zabić. – Pojawią się inni.

Dzięki jasności myśli uzyskanej za sprawą wywołanego śmiertelnym niebezpieczeństwem skoku adrenaliny, Nassun wie, że Schaffa ma na myśli innych zanieczyszczonych Stróżów – zanieczyszczonych nie tylko w części, jak sam Schaffa, który jakimś sposobem zdołał zachować odrobinę wolnej woli. Nassun kiwa głową. Czuje się znacznie spokojniejsza, kiedy nikt aktywnie nie próbuje jej zabić.

– A c-co z pozostałymi dziećmi?

Niektóre ze wspomnianych dzieci stoją na ganku budynku sypialnego, obudzone wstrząsem szafira w momencie, kiedy Nassun wezwała go, aby przyjął formę długonoża. Nassun zdaje sobie sprawę, że były świadkami całej tej sceny. Niektóre płaczą na widok swoich martwych Stróżów, ale większość tylko wpatruje się w Schaffę, zszokowana. Jedno z młodszych dzieci wymiotuje obok schodów.

Schaffa mierzy je wzrokiem, a potem zerka na Nassun. Odrobina chłodu nadal bije z jego oczu i można wyczytać z nich to, czego nie wypowiadają jego usta.

– Muszą szybko opuścić Jekity. Bez Stróżów mieszkańcy wspólnoty raczej nie będą tolerować ich obecności.

Albo sam Schaffa ich zabije. Zrobił tak ze wszystkimi napotkanymi górotworami, które nie poddały się jego kontroli. Jeśli górotwór nie jest mu posłuszny, staje się jego wrogiem.

– Nie – wypala Nassun. Odpowiada nie na słowa Stróza, ale właśnie na ten cichy chłód. Na chłód, który teraz się nasila. Schaffa nie lubi, kiedy mówi mu „nie”. Nassun bierze głęboki wdech i poprawia się, próbując zachować spokój:

– Proszę, Schaffa. Ja po prostu... ja więcej nie znoję.

To czysta hipokryzja. Słowom Nassun zaprzecza milcząca decyzja, którą podjęła przed chwilą, stojąc nad ciałem ojca. Schaffa nie może wiedzieć, co takiego postanowiła, ale kątem oka Nassun dostrzega delikatny, zakrwawiony uśmiech Stali.

Zaciska mocniej usta. Wierzy w to, co powiedziała. To nie jest kłamstwo – nie może znieść okrucieństwa i nieustannych cierpień, o to właśnie chodzi. To, co zamierza zrobić, będzie przynajmniej szybkie i miłosierne.

Schaffa przygląda jej się, a następnie nieznacznie się krzywi; w ciągu ostatnich kilku tygodni Nassun często widziała u niego ten grymas. Po chwili uśmiecha się i podchodzi do niej, ale najpierw zaciska pięść wokół metalowego przedmiotu, który wyjął z Umbera.

– Jak twoje ramię?

Nassun unosi dłoń, żeby go dotknąć. Materiał koszuli nocnej jest mokry od krwi, ale nie przesiąknięty nią zupełnie, a ona może poruszać ręką.

– Boli.

– I jeszcze przez jakiś czas, obawiam się, będzie boleć. – Rozgląda się i podchodzi do zwłok Umbera. Odrywa jeden rękaw jego koszuli (Nassun z nieznaczną ulgą dostrzega, że nie jest on tak zakrwawiony jak drugi), a potem wraca do niej i pomaga jej zawiązać prowizoryczną opaskę wokół ramienia. Mocno ją zaciska. Nassun wie, że tak trzeba i że opaska prawdopodobnie pomoże jej uniknąć szycia rany, ale kiedy ból się nasila, mimowolnie opiera się o niego. Schaffa jej na to pozwala i gładzi ją po włosach wolną dłonią. Druga, zakrwawiona, nadal mocno zaciska się na kawałku metalu.

– Co z tym zrobisz? – pyta Nassun, wpatrując się w jego zaciśniętą pięść. Nie potrafi się powstrzymać i wyobraża sobie coś wrogiego, wysuwającego swoje macki w poszukiwaniu kolejnej ofiary, którą mogłoby zarazić wolą Złej Ziemi.

– Nie wiem – odpowiada Schaffa z ciężkim westchnieniem. – Nie stanowi dla mnie niebezpieczeństwa, ale pamiętam, że w... – Marszczy czoło, wyraźnie próbując przywołać jakieś wspomnienie, które mu umknęło. – Że kiedyś, daleko stąd, przywracaliśmy je do użytku. Podejrzewam, że tutaj będę musiał znaleźć jakieś odizolowane miejsce i tam to porzucić w nadziei, że nikt szybko się na to nie natknie. A co ty zrobisz z tym?

Nassun podąża za jego spojrzeniem utkwionym w szafirowym długonożu, który, niepilnowany, wzbił się za jej plecami w powietrze i teraz unosi się w odległości dokładnie jednej stopy od jej ciała. Porusza się razem z nią, szumiąc cicho. Nassun nie rozumie, dlaczego to robi, choć jego spokojna siła daje jej pewną pociechę.

– Chyba powinnam to odłożyć.

– Jak ty...?

– Po prostu go potrzebowałam. A on wiedział, czego potrzebuję, i zmienił się dla mnie. – Nassun wzrusza ramionami. Bardzo trudno jest opisywać te rzeczy słowami. Chwilę później zdrową ręką chwyta koszulę opiekuna, ponieważ wie, że jeśli Schaffa tak

długo milczy, nie oznacza to niczego dobrego. – Co z innymi, Schaffa?

Stróż w końcu wzdycha.

– Pomogę im się przygotować. Możesz chodzić?

Ogarnia ją taka ulga, że przez chwilę czuje się, jakby mogła latać.

– Tak. Dziękuję. Dziękuję, Schaffa.

Opiekun kręci głową, wyraźnie niezadowolony, a jednak znowu się uśmiecha.

– Idź do domu swojego ojca i spakuj wszystko, co może się okazać przydatne, maleńka. Spotkamy się tam.

Nassun się waha. A co, jeśli Schaffa postanowi zabić pozostałe dzieci z Odnalezonego Księżyca...? Ale nie zrobi tego, prawda? Powiedział, że nie.

Schaffa unosi brew, patrząc na nią badawczo, ale spokojnie. To tylko złudzenie. Srebro nadal wije się wokół niego niczym bicz, próbując nakłonić go do zabicia jej. Schaffa musi doświadczać niesamowitego bólu, jednak opiera się temu naporowi od tygodni. Nie zabija jej, bo ją kocha. A jeśli komukolwiek Nassun może ufać, to właśnie jemu.

– Okej – odpowiada mu. – Widzimy się w domu tatusia.

Odsuwając się od niego, spogląda na Stalą, który też odwrócił się do Schaffy. W ciągu ostatnich kilku oddechów zjadacz kamieni oczyścił usta z krwi. Nassun nie wie, jak to zrobił. Wyciągnął w ich stronę swoją szarą rękę... Nie – wyciągnął ją w stronę Schaffy. Widząc to, Stróż przechyla głowę, a potem kładzie na dłoni Stali metalowy odłamek. Palce Stali zaciskają się w pięść i powoli wracają do poprzedniej pozycji, tak jakby wykonywał jakąś magiczną sztuczkę. Metalowy odłamek rzeczywiście znika. Schaffa kiwa głową w uprzejmym geście podziękowania.

Jej dwaj potworni opiekunowie, którzy muszą współpracować ze sobą dla jej dobra. A jednak czy Nassun też nie jest potworem? Ponieważ to, co wyczuła, zanim Jija podszedł, aby ją zabić – ten przypływ nieprawdopodobnej mocy, skupiony i nasilony dzięki dziesiątkom zaprzęgniętych do wspólnej pracy obelisków... Stal nazwał to Wrotami Obelisków: potężnym i złożonym mechanizmem stworzonym przez wymarłą cywilizację, która z niewiadomych przyczyn zbudowała również same obeliski. Stal wspominał też o tak zwanym Księżycu. Nassun słyszała kiedyś historie o tym, że dawno, dawno temu Ojciec Ziemia miał dziecko. To właśnie utrata tego dziecka rozwścieczyła go i sprowadziła na świat Piąte Pory Roku.

Były to opowieści o niemożliwej do spełnienia nadziei, którymi mędrcy próbowali zaintrygować znudzonych słuchaczy. „Pewnego dnia, kiedy dziecko Ziemi powróci...” Zawierała się w tych słowach sugestia, że Ojciec Ziemia może kiedyś zostać udobruchany. Że pewnego dnia Sezony dobiegną końca, a na świecie wreszcie zapanuje spokój.

Tyle tylko, że ojcowie nadal będą próbowali zabijać swoje dzieci--górotwory, zgadza się? Nawet jeśli Księżyc powróci. Nic nigdy tego nie powstrzyma.

„Sprowadź Księżyc z powrotem”, powiedział Stal. Zakończ ból świata.

Niektóre wybory wcale nie są wyborami.

Nassun przywołuje szafir przed siebie. Nie sejszy żadnych konsekwencji likwidacji Umbera i Nidy, ale istnieją inne sposoby na postrzeganie świata. I wśród wodnistych

rozbłysków szafiru, który na zmianę zanika i odtwarza się z powodzi srebrnego światła zgromadzonego w sieci krystalicznej, tkwi ledwie dostrzegalna wiadomość, zapisana w postaci równań siły i równowagi, które Nassun rozwiązuje instynktownie za pomocą czegoś innego niż matematyka.

Daleko. Za nieznanym morzem. Jej matka może trzymać klucz do Wrót Obelisków, ale na pokrytych popiołem drogach Nassun nauczyła się, że każdą bramę pokonać można na wiele sposobów – można wyrwać jej zawiasy, przeskoczyć ją albo podkopać. Daleko stąd, po drugiej stronie świata, znajduje się miejsce, gdzie można odebrać Essun kontrolę nad Wrotami Obelisków.

– Wiem, dokąd musimy się udać – mówi Nassun.

Schaffa mierzy ją wzrokiem, a potem zerka to na Stalę, to na nią.

– Wiesz?

– Tak. Ale to bardzo daleko – przygryza wargę. – Pójdziesz ze mną?

Schaffa podnosi głowę, uśmiechając się szeroko i życzliwie.

– Gdzie tylko chcesz, maleńka.

Nassun wzdycha z ulgą i również niepewnie się do niego uśmiecha. Następnie odwraca się plecami do Odnalezionego Księżyca oraz jego trupów i schodzi ze wzgórza, ani razu nie oglądając się za siebie.

2729 rok imperialny: naoczni świadkowie ze wspólnoty Amand (kwardon Dibba, zachodnie Nomidlaty) donoszą o niezidentyfikowanym rogdze płci żeńskiej, która otworzyła kieszeń gazową w pobliżu miasta. Nie jest jasne, jaki był to gaz. Zabijał na miejscu czy tylko zabarwiał język? Dusił czy zatruwał? A może jedno i drugie? Inny roggą płci żeńskiej rzekomo powstrzymał tę pierwszą i jakoś zatkał ujście gazu. Mieszkańcy Amand zastrzelili je obie, aby zapobiec dalszym incydentom. Kieszeń gazowa została oceniona przez Fulcrum jako istotna – zawarty w niej gaz wystarczyłby do zabicia większości mieszkańców zachodniej części Nomidlatów, a także do zanieczyszczenia gleby. Wiek sprawczyni: około siedemnastu lat. Prawdopodobnie zamierzała się zemścić na rzekomym gwałcicielu swojej młodszej siostry. Wiek dziewczynki, która zasklepiła otwartą kieszeń: około siedmiu lat, siostra tej pierwszej.

Notatki Yaetr Innowatorki Dibars

Syl Anagist: pięć

– Houwha – mówi głos za moimi plecami.

(Moimi? Moimi).

Odwracam się od parzącego okna i ogrodu pełnego migoczących kwiatów. Jakaś kobieta stoi tu w towarzystwie Gaewhy i konduktorki, ale nie znam jej. Na oko jest jedną z nich – skóra miękka i brązowa, oczy szare, włosy ciemnobrązowe i w strąkach, poza tym wysoka. W jej szerokiej twarzy widać jednak innych – a może, odtwarzając to wspomnienie przez soczewki stuleci, widzę po prostu to, co chcę widzieć. Jej wygląd nie ma znaczenia. Dla moich sejsod jej przynależność do naszej rasy jest równie oczywista jak puszyste, białe włosy Gaewhy. Oddziałuje na otoczenie kipiącą, niepowstrzymaną siłą. Dzięki temu jest jedną z nas w takim samym stopniu, w jakim byłaby, gdyby odcedzono ją z tej samej mieszanki biomastrycznej.

(Wyglądasz jak ona. Nie. Chcę, żebyś wyglądała jak ona. To niesprawiedliwe, nawet jeśli to prawda; jesteś taka jak ona, ale pod innymi względami niż wygląd. Przepraszam, że tak to zbagatelizowałem).

Kobieta przemawia w sposób typowy dla ludzi: drobnymi wibracjami, które burzą powietrze i ledwie poruszają ziemię. Słowa. Znam jej słowo-imię, wiem też, że jest ona jedną z tych bardziej uprzejmych konduktorów, ale wiedza ta jest niewyraźna, jak tak wiele rzeczy związanych z ludźmi. Bardzo długo nie potrafiłem ich rozróżniać. Każdy z nich wygląda inaczej, ale wszystkich ich otacza ta sama aura nieobecności. Ciągle muszę sobie przypominać, że kolor włosów, kształt oczu i zapach skóry mają dla nich takie samo znaczenie jak dla mnie poruszenia płyt tektonicznych.

Muszę szanować ich odmienność. W końcu to my jesteśmy istotami niekompletnymi, w dużym stopniu odartymi z tego, co czyniłoby nas ludźmi. To konieczne i nie przeszkadza mi, że jestem tym, czym jestem. Lubię być przydatny. Pewne rzeczy byłyby jednak prostsze, gdybym mógł lepiej zrozumieć naszych stwórców.

Wpatruję się więc w nową kobietę, w nas-kobietę, i próbuję się skupić, kiedy konduktorka ją przedstawia. Przedstawienie to rytuał wydawania z siebie dźwięków określających nazwisko i relacje... rodzin? Zawodów? Szczerze mówiąc, nie wiem. Stoję, gdzie powinienem stać, i mówię rzeczy, które powinienem mówić. Konduktorka wyjaśnia nowej kobiecie, że jestem Houwha i że Gaewha to Gaewha, bo takich używają wobec nas słów-imion. Nowa kobieta ma na imię Kelenli. To też się nie zgadza. Jej prawdziwe imię brzmi „głębokie nacięcie, wyrwa w glinianym słodkotrysku, miękki krzemienisty podkład i drzenie”, ale ponieważ muszę wypowiadać słowa, spróbuję zapamiętać to „Kelenli”.

Konduktorka wydaje się zadowolona, kiedy we właściwym momencie mówię: „Jak się pani miewa”. Cieszę się – przedstawienie się jest bardzo trudne, ale ciężko pracowałem, żeby je opanować. Następnie konduktorka zaczyna mówić coś do Kelenli. Kiedy staje się jasne, że nie ma mi już nic więcej do powiedzenia, przemieszczam się za Gaewhę i zaczynam zaplatać jej grube, gęste włosy. Konduktorzy najwyraźniej lubią, kiedy to robimy, choć w zasadzie nie wiem dlaczego. Jeden z nich powiedział kiedyś, że to „urocze”, że tak się sobą zajmujemy – zupełnie jak ludzie. Nie jestem pewien, co

znaczy „urocze”.

Tymczasem słucham.

– To bez sensu – mówi Pheylen, wzdychając. – To znaczy liczby nie kłamią, ale...

– Jeśli chciałabyś zarejestrować sprzeciw – zaczyna Kelenli. Jej słowa fascynują mnie w taki sposób, w jaki nie fascynowały mnie nigdy wcześniej. W przeciwieństwie do głosu konduktorki jej głos ma ciężar i fakturę, jest głęboki i składa się z warstw. Gdy Kelenli mówi, wysyła słowa do ziemi, wykonując swego rodzaju subwokalizację. Dzięki temu wydają się bardziej prawdziwe. Pheylen, która nie wyczuwa chyba głębi jej słów – a może po prostu nie zwraca na to uwagi – reaguje na nie skrzywioną miną. Kelenli powtarza:

– Jeśli chciałabyś, mogę poprosić Gallata, żeby usunął mnie z listy.

– I miałabym słuchać jego wrzasków? Na Złą Śmierć, on nigdy się nie zamknie.

Dzikus z niego – Pheylen się uśmiecha. Nie jest to wesoły uśmiech. – To musi być dla niego trudne, bo chce, żeby projekt się powiódł, a jednocześnie chce cię... no cóż. Nie przeszkadza mi, że będziesz tylko w gotowości, ale przecież nie widziałam danych z symulacji.

– Ja widziałam – ton głosu Kelenli jest grobowy. – Ryzyko opóźnienia jest niewielkie, ale istotne.

– No widzisz. Nie powinniśmy pozwolić nawet na niewielkie ryzyko. Myślę jednak, że skoro cię angażują, muszą być bardziej zaniepokojeni, niż to okazują... – Nagle Pheylen robi zawstydzoną minę. – Oj, przepraszam, nie chciałam cię urazić.

Kelenli się uśmiecha. Ja i Gaewha widzimy, że to tylko wierzchnia warstwa, a nie prawdziwy wyraz emocji.

– Nic się nie stało.

Pheylen wzdycha z ulgą.

– W takim razie wycofam się do Obserwacji, a wy troje poznajcie się nawzajem. Zapukajcie, kiedy skończycie.

Konduktorka Pheylen opuszcza pokój. To dobrze, bo kiedy konduktorów nie ma w pobliżu, możemy rozmawiać bardziej swobodnie. Drzwi się zamykają, a ja stoję twarzą do Gaewhy (która tak naprawdę zwie się „pękniętą geodą, smakiem adularescyjnej soli, ginącym echem”). Nieznacznie kiwa głową, ponieważ prawidłowo odgadłem, że ma mi coś ważnego do powiedzenia. Jesteśmy nieustannie obserwowani. Musimy odgrywać przedstawienie.

– Koordynatorka Pheylen powiedziała mi, że przygotowują zmianę naszej konfiguracji – mówi Gaewha ustami. Całą resztą siebie, perturbacjami atmosfery i niespokojnym porywem srebrnych nici, oznajmia: „Tetlewhę przeniesiono na wrzosową grzędę”.

– Zmiana na tak późnym etapie? – Zerkam na Kelenli, żeby sprawdzić, czy śledzi całą rozmowę. Wygląda jak jedna z nich, z całą tą barwną powłoką i długimi kośćmi, które czynią ją o głowę wyższą od nas.

– Czy masz coś wspólnego z tym projektem? – pytam ją, odpowiadając jednocześnie na wieści o Tetlewhie. „Nie”.

Moje „nie” nie jest zaprzeczeniem, a stwierdzeniem faktu. Nadal wyczuwamy

znajome wrzenie punktu zapalnego, uniesienie warstw, zgrzyt osiadania Tettlewhy, ale... coś się zmieniło. Nie jest już w pobliżu, a przynajmniej nigdzie w zasięgu naszych sejsmicznych poszukiwań. A jego wrzenia i zgrzyty prawie zupełnie ucichły.

Kiedy któreś z nas zostaje usunięte ze służby, konduktorzy wolą używać słowa „wycofane”. Każdego prosili o opis tego, co czujemy podczas zmiany, ponieważ dochodzi wtedy do rozerwania naszej sieci. W ramach milczącego porozumienia każdy z nas opowiada o poczuciu straty – o oddalaniu się, o pustce, o słabnącej sile sygnału. W ramach milczącego porozumienia nikt z nas nie wspomina o całej reszcie, której w języku konduktorów nie dałoby się zresztą opisać. Doświadczamy oparzeń, dreszczy i *zrujnowanego splotu oporu* starodawnych, przedsylanagistryjskich drutów, podobnych do tych, na które czasami natykamy się podczas badania ziemi – zardzewiałych, zniszczonych, o zmarnowanym potencjale. Coś takiego.

„Kto wydał rozkaz?”, chcę wiedzieć.

Gaewha stała się powolną zmarszczką na linii uskoku – sztywnym, sfrustrowanym, niewyraźnym wzorem. „Konduktor Gallat. Pozostali są na to źli i ktoś doniósł o tym górze, dlatego właśnie wysłano tu Kelenli. Zatrzymanie onyxu i kamienia księżycowego wymagało współpracy nas wszystkich. Martwią się o naszą stabilność”.

Rozzłoszczony odpowiadam: „Powinni pomyśleć o tym wcześniej...”.

– Tak, jestem zaangażowana w projekt – przerywa nam Kelenli, choć w rozmowie słownej nie było żadnej przerwy. W porównaniu z mową ziemi słowa wypowiedane na głos są bardzo powolne. – Mam pewną świadomość i podobne umiejętności do waszych – oznajmia i dodaje: „Jestem tu, aby was uczyć”.

Przechodzi od słów konduktorów do naszego języka ziemi równie swobodnie jak my. Jej obecność komunikatywna to promieniujący ciężki metal, przypalone, skryształizowane linie magnetyczne meteorowego żelaza i bardziej skomplikowane warstwy położone poniżej, tak ostre i potężne, że oboje z Gaewhą wzdychamy, pełni podziwu.

Ale o czym ona mówi? O tym, że ma nas uczyć? Nie potrzebujemy nauki. Odcedzono nas z wiedzą na temat prawie wszystkiego, co potrzebujemy wiedzieć, a reszty nauczyliśmy się razem z innymi stroicielami podczas pierwszych kilku tygodni życia. W przeciwnym razie również trafilibyśmy na wrzosową grzędę.

Uważnie marszczę czoło.

– Jak to możliwe, że jesteś stroicielką, tak jak my?

Wypowiadam te słowa, by zmylić naszych obserwatorów, którzy zawsze dostrzegają tylko powierzchnię i myślą, że my też. Kelenli nie jest biała, niska ani dziwna, ale wiemy, że należy do naszego rodzaju od chwili, kiedy poczuliśmy kataklizm jej obecności. Nie wątpię w to, że jest jedną z nas. Nie mogę wątpić w to, co niezaprzeczone.

Kelenli uśmiecha się krzywo, wyczuwając kłamstwo.

– Nie do końca tak jak wy, ale bardzo was przypominam. Wy jesteście skończonymi dziełami sztuki, a ja tylko modelem. – Nici magii w ziemi rozgrzewają się i drgają, dodając innych znaczeń. *Prototypem*. Kontrolą nad naszym eksperymentem, przygotowaną wcześniej, żeby sprawdzić, jak powinniśmy zostać wykonani. My różnimy się od ludzi pod wieloma względami, ona tylko pod jednym: jej sejsody zostały

zaprojektowane. Czy to wystarczy, żebyśmy ukończyli zadanie? Pewność jej ziemskiej obecności wskazuje, że tak. Kelenli kontynuuje za pomocą słów: – Nie jestem pierwszą, którą wykonano. Ale jako pierwsza przetrwałam.

Wszyscy unosimy dłonie, aby odegnąć Złą Śmierć. Przyjmuję minę kogoś, kto nie rozumie, a jednocześnie zastanawiam się, czy mogę jej ufać. Widziałem, że konduktorzy się przy niej rozluźniają. Pheylen to jedna z bardziej sympatycznych konduktorek, ale nawet ona nie zapomina, czym jesteśmy. Przy Kelenli zdarzyło jej się jednak zapomnieć. Być może wszyscy ludzie myślą, że jest jedną z nich, dopóki ktoś im nie powie, że jest inaczej. Jak to jest być traktowanym jak człowiek, kiedy się nim nie jest? Dochodzi do tego fakt, że zostawili ją z nami samą. Z nami, których traktują jak broń mogącą wypalić w każdym momencie... Mimo to jej ufają.

– Z iloma komponentami jesteś zestrojona? – pytam na głos, jakby to było ważne. Moje słowa stanowią jednocześnie wyzwanie.

– Tylko z jednym – odpowiada Kelenli. Nadal jednak się uśmiecha. – Z onyxsem.

Och. Ojej, to ma znaczenie. Gaewha i ja wymieniamy zdziwione i pełne niepokoju spojrzenia, a potem znowu na nią patrzymy.

– Jestem tutaj, ponieważ wydano nakaz – kontynuuje Kelenli, nagle zdeterminowana, aby przekazać tę ważną informację tylko słowami, co w jakiś perwersyjny sposób nadaje im większą wagę. – Komponenty znajdują się w stanie optymalnej pojemności i są przygotowane do cyklu wytwórczego. Rdzeń oraz Strona Zero zaistnieją za dwadzieścia osiem dni. Wreszcie stworzymy też silnik plutoniczny.

(Za kilkadziesiąt tysięcy lat, po tym, jak ludzie wielokrotnie zdążą zapomnieć, czym są silniki, a komponenty będą znać już tylko jako „obeliski”, ta rzecz, która determinuje dziś nasze życie, nazywać się będzie inaczej. Otrzyma nazwę, która jest zarówno poetycka, jak i dziwnie prymitywna – Wrota Obelisków. Wolę właśnie ją).

Teraz, kiedy ja i Gaewha stoimy, wpatrzeni w Kelenli, ona wpuszcza ostatni wstrząs w wibracje pomiędzy naszymi komórkami:

„Oznacza to, że mam niecały miesiąc, aby pokazać wam, kim naprawdę jesteście”.

Gaewha marszczy brwi. Nie reaguję, ponieważ konduktorzy przyglądają się nie tylko naszym twarzom, ale i sylwetkom, lecz ledwie mi się to udaje. Jestem zaskoczony i poważnie zaniepokojony. W trakcie tej rozmowy nie mam pojęcia, że to początek końca.

Ponieważ my, stroiciele, nie jesteśmy górotworami. Górotwórstwo jest tym, do czego nasza inność doprowadzi po stuleciach dostosowywania się do zmienionego świata. Jesteście płytszą i lepiej wyspecjalizowaną esencją naszej tak nienaturalnej dziwności. Tylko kilku z was, na przykład Alabaster, zbliży się kiedykolwiek do naszej mocy, ale to dlatego, że my skonstruowani zostaliśmy tak samo celowo i w tak samo sztuczny sposób jak komponenty, które nazywacie obeliskami. My również jesteśmy częściami wielkiej maszyny – stanowi ona triumf geoinżynierii, biomagestirii, geomagestirii oraz innych nauk, na które przyszłość nie będzie miała nazw. Podobnie jak każdy pomnik, berło czy inny cenny obiekt swoim istnieniem sławimy świat, który nas stworzył.

Nie gniewamy się o to, ponieważ nasze opinie i doświadczenia też zostały starannie zaprojektowane. Nie rozumiemy, że tym, co przyszła dać nam Kelenli, jest poczucie człowieczeństwa. Nie rozumiemy, dlaczego wcześniej nam na nie nie pozwalano... ale

zrozumiemy.

Zrozumiemy również, że ludzie nie mogą być własnością. A ponieważ my jesteśmy czyjąś własnością, mimo że nie powinno tak być, kształtuje się w nas zupełnie nowa koncepcja, choć nigdy nie słyszeliśmy jej nazwy – konduktorom nie wolno o niej przy nas nawet wspominać. To rewolucja.

No cóż. I tak nie mamy wielkiego pożytku ze słów. Ale tak właśnie jest. To początek. Ty, Essun, zobaczysz tego koniec.

Dojście do siebie na tyle, żeby móc stanąć na nogi, zajmuje ci kilka dni. Kiedy tylko ci się to udaje, Ykka przydziela twoich noszowych do innych zadań, musisz więc kuśtykać za pozostałymi, słaba i niezdarna z powodu braku ramienia. Przez pierwsze kilka dni zostajesz daleko w tyle za całą grupą, doganiasz ją dopiero kilka godzin po rozbiciu obozu. Nie pozostaje już wtedy dla ciebie zbyt dużo ze wspólnego jedzenia. Dobrze, że nie czujesz głodu. Nie ma też zbyt wiele miejsca na rozłożenie śpiwora – ale przynajmniej dostałaś kilka podstawowych przedmiotów i drobne zapasy, które w pewnym stopniu rekompensują ci utratę ratujworka. Miejsca, które zostały, nie są dobre: znajdują się na obrzeżach obozu albo zupełnie poza drogą, gdzie ryzyko ataku dzikich zwierząt lub bezwspółnotowych jest większe. Mimo wszystko śpisz tam, bo jesteś wykończona. Domyślasz się, że w razie poważnego niebezpieczeństwa Hoa znowu zabierze cię ze sobą; najwyraźniej potrafi bez problemu przemieszczać cię pod ziemią na niewielkie odległości. Trudna do zniesienia jest natomiast złość Ykki – i to z wielu powodów.

Tonkee i Hoa wędrują razem z tobą. Jest prawie jak za dawnych czasów, z tą różnicą, że teraz Hoa pojawia się w jednym miejscu, zostaje z tyłu, a potem znowu pojawia się gdzieś przed wami. Zazwyczaj przyjmuje zwyczajną pozę, ale czasami robi coś zabawnego, na przykład wygląda, jakby biegł. Najwyraźniej zjadacze kamieni też się nudzą. Hjarka dotrzymuje towarzystwa Tonkee, więc w sumie jest was czwórka. No dobrze, piątka – Lerna idzie razem z wami, zły na tak niewłaściwe potraktowanie jego pacjentki. Jego zdaniem kobieta dopiero wybudzona ze śpiączki nie powinna być zmuszana do chodzenia, a co dopiero do gonienia innych. Próbujesz mu wytłumaczyć, żeby z wami nie szedł i nie sprowadzał na siebie gniewu Castrimy, on jednak tylko prycha i odpowiada, że jeśli Castrima naprawdę chce się poróżnić z jedynym człowiekiem we wspólnocie, który potrafi przeprowadzić operację, to na niego nie zasługuje. A to... no tak, właściwie ma rację. Zamykasz się.

Przynajmniej dajesz sobie radę lepiej niż się Lerna spodziewał. Głównie dlatego, że tak naprawdę nie była to śpiączka i że podczas tych siedmiu czy ośmiu miesięcy w Castrimie nie straciłaś kondycji wyrobionej podczas podróży. Stare przyzwyczajenia szybko wracają: przyjęcie powolnego, ale stałego tempa, które pozwala na pokonywanie wielu mil; trzymanie bagażu nisko, aby raczej opierał się na tyłku, zamiast wisieć na ramionach; pochylanie głowy podczas marszu, żeby padający popiół nie oblepiał gogli. Przy tak wielu osobach chętnych ci do pomocy utrata ręki nie jest właściwie poważnym utrudnieniem. Poza brakiem wyczucia równowagi i bólem oraz swędzeniem od nieistniejących palców po nieistniejący łokieć, najbardziej uciążliwe jest poranne ubieranie się. Zadziwiające, jak szybko na nowo opanowujesz umiejętność kucania, żeby się wysikać albo wypróżnić, ale może po prostu po wielu dniach w pielusze masz do tego odpowiednią motywację.

Jesteś więc samodzielna, a z każdym kolejnym dniem poruszasz się coraz szybciej. Problem polega jednak na tym, że idziecie w niewłaściwym kierunku.

Któregoś wieczoru siada przy tobie Tonkee.

– Nie możesz odejść, dopóki nie znajdziemy się jeszcze dalej na zachód – oświadcza bez żadnego wstępu. – Myślę, że dopiero w okolicach Merz. A jeśli zamierzasz dojechać aż tam, to musisz wyjaśnić sobie wszystko z Ykką.

Rzucasz jej groźne spojrzenie, choć w swoim rozumieniu zachowała się dyskretnie. Poczekala, aż Hjarka będzie chrapać w jej śpiworze, a Lerna uda się do obozowej latryny. Hoa nadal jest w pobliżu: pilnuje waszej grupy wewnątrz obozu, a w czarnym marmurze jego pleców odbija się światło ogniska. Tonkee wie, że jest wobec ciebie lojalny – o ile lojalność cokolwiek dla niego znaczy.

– Ykka mnie nienawidzi – stwierdzasz w końcu, doszedłszy do wniosku, że gniewne spojrzenie nie wzbudziło w Tonkee smutku ani żalu.

Wywraca oczami.

– Wierz mi, znam się na nienawiści. To, co odczuwa Ykka, to... strach, a także odrobina wściekłości, ale trochę na to zasługujesz. Naraziłaś jej ludzi na niebezpieczeństwo.

– Ja ocaliłam jej ludzi od niebezpieczeństwa.

Po drugiej stronie obozu, jakby dla potwierdzenia twoich słów, jakaś postać porusza się z brzdękiem. To jedna z kilku wojowniczek Rennanis, które pojmano podczas bitwy. Wsadzili ją w dyby – drewniany kołnierz na zawiasach, z dziurami na dłonie i łańcuchami biegnącymi do jej stóp. Prymitywne, ale skuteczne. Lerna leczy odparzenia więźniów, domyślasz się też, że na noc zdejmują im się dyby. To lepsze traktowanie niż to, na które mieszkańcy Castrimy mogliby liczyć ze strony Rennisów, gdyby to oni zwyciężyli, a jednak cała ta sytuacja sprawia, że wszyscy czują się niezręcznie. Przecież Rennisi nie mogą stąd odejść. Nawet gdyby któryś z nich próbował uciec, bez żywności i ochrony, jaką zapewnia większa grupa, po kilku dniach sam stałby się pożywieniem. Dyby są tylko uwłaczającym dodatkiem do poniesionych ran oraz niepokojącym przypomnieniem dla wszystkich, że mogłoby być gorzej. Odwracasz wzrok.

Tonkee to widzi.

– Tak, ocaliłaś Castrimę przed jednym niebezpieczeństwem, a potem wpędziłaś ją w inne, równie paskudne. Ykka chciała od ciebie tylko tego pierwszego.

– Ale tego drugiego nie mogłam uniknąć. Powinam pozwolić, żeby zjadacze kamieni zabili wszystkich roggów? Żeby zabili ją? Gdyby im się udało, mechanizmy geody i tak by nie działały!

– Ona o tym wie. Dlatego powiedziałam, że to nie nienawiść. Ale... – Tonkee wzdycha, jakbyś była wyjątkowo niedomyślna. – Posłuchaj. Castrima była... jest... eksperymentem. Nie geoda, ale ludzie. Ykka zawsze wiedziała, że ryzykowne jest budowanie wspólnoty złożonej z normalnych i roggów, ale to się sprawdzało. Dzięki niej starzy mieszkańcy zrozumieli, że potrzebujemy nowych. Dzięki niej wszyscy zaczęli traktować roggów jak ludzi. Dzięki niej zgodzili się mieszkać pod ziemią, w ruinach wymarłej cywilizacji, które w każdej chwili mogły nas zabić. Udało jej się nawet powstrzymać ich przed zabijaniem się nawzajem, kiedy szary zjadacz kamieni dał im po temu powód...

– To ja ich powstrzymałam – szepczesz. Słuchasz jednak dalej.

– Pomogłaś – przyznaje Tonkee – ale czy w pojedynkę cokolwiek byś zdziałała? Dobrze wiesz, że nie. Castrima funkcjonuje dzięki Ykce. Dzięki temu, że wszyscy wiedzą, że oddałyby życie, byle tylko ocalić tę wspólnotę. Pomóż Castrimie, a Ykka znowu będzie po twojej stronie.

Miną tygodnie, może nawet miesiące, zanim dotrzecie do opustoszałego równinowego miasta Rennanis.

– Wiem, gdzie Nassun znajduje się teraz – mówisz, kipiąc ze złości. – Kiedy dojdziemy do Rennanis, może być już gdzieś indziej!

Tonkee wzdycha.

– I tak minęło już kilka tygodni, Essun.

A Nassun prawdopodobnie była już gdzieś indziej, kiedy się obudziłaś. Dygoczesz. Wiesz, że to nieracjonalne, mimo to wypalasz:

– Ale jeśli wyruszę teraz, to może... może zdołam ją dogonić, a Hoa może zdoła znowu ją namierzyć, może będę mogła... – milkniesz nagle, bo słyszysz swój piskliwy, drżący głos, a instynkt macierzyński, przyrdzewiały, lecz wciąż czujny, odzywa się w tobie, krytykując: „Przestań jęczeć”. Bo jęczysz. Dusisz w sobie kolejne słowa, ale nadal lekko drżysz.

Tonkee kręci głową, a jej twarz wyraża współczucie, choć równie dobrze może to być tylko smutna reakcja na twoje żalosne odgłosy.

– No dobrze, przynajmniej wiesz, że to zły pomysł. Ale jeśli jesteś tak bardzo zdeterminowana, to lepiej, żebyś zaczęła działać już teraz.

Odwraca się. Nie możesz jej za to winić, prawda? Może ruszyć na niemal pewną śmierć z kobietą, która zniszczyła kilka społeczności, albo zostać we wspólnocie, która teoretycznie ma szansę znowu kiedyś stać się jej domem. Wybór jest oczywisty.

Powinnaś już jednak zdawać sobie sprawę, że nie sposób przewidzieć jej zachowania. Tonkee wzdycha i siada na kamieniu, którego używasz jako krzesła.

– Mogłabym pewnie wydusić trochę więcej zapasów od kwatermistrza, gdybym powiedziała, że z polecenia Innowatorów muszę się udać na wyprawę zwiadowczą. Są przyzwyczajeni, że to robię. Tyle że nie jestem pewna, czy uda mi się wydębić zapasy dla dwóch osób.

Zaskakujące, jak bardzo jesteś wdzięczna za jej... hmm, lojalność nie jest właściwym słowem. Przywiązanie? Niewykluczone. A może po prostu chodzi o to, że przez cały ten czas byłaś dla niej przedmiotem badań, dlatego nie pozwoli ci się wymknąć, skoro podążała za tobą przez dwie dekady i połowę Bezruchu.

Zaraz marszczysz brwi, bo coś sobie uświadamiasz.

– Dla dwóch? A nie trzech?

Sądziłaś, że jej i Hjarce dobrze się układa.

Tonkee wzrusza ramionami, a potem się pochyla, żeby pogrzebać w misce ryżu i fasoli, którą dostała z przydziału. Przetyka i mówi:

– Wolę się trzymać ostrożnych założeń. Lepiej, żebyś też tak robiła.

Ma na myśli Lerne, który wydaje się do ciebie przywiązywać. Nie wiesz, dlaczego to robi. Uwalana popiołem i bez jednej ręki nie jesteś szczególnie atrakcyjna, a poza tym przez połowę czasu Lerna sprawia wrażenie, jakby był na ciebie wściekły. Dziwi cię, że

tylko przez połowę czasu. Ale on zawsze był dziwny.

– W każdym razie chciałabym, żebyś zastanowiła się nad jedną rzeczą – ciągnie Tonkee. – Co robiła Nassun, kiedy ją znalazłaś?

Krzywisz się. Ponieważ, cholera, Tonkee znowu powiedziała na głos coś, co wolałabyś zostawić niewypowiedziane.

A także ponieważ pamiętasz ten moment, kiedy zalewana mocą Wrót, sięgnęłaś, dotknęłaś i poczułaś znajomy rezonans. Odbity i wzmocniony przez coś niebieskiego, głębokiego oraz dziwnie opierającego się sprzężeniu Wrót. Wrota jakimś sposobem powiedziały ci, że to szafir.

Jak to możliwe, że twoja dziesięcioletnia córka bawi się obeliskiem?

Jak to możliwe, że twoja dziesięcioletnia córka żyje po zabawie z obeliskiem?

Wspominasz tamten chwilowy kontakt. Znajomy smak górotwórstwa, który tłumiałaś w niej od chwili jej narodzin i który uczyłaś ją opanowywać, od kiedy skończyła dwa lata – ale znacznie wyraźniejszy i bardziej intensywny. Nie próbowałaś odebrać Nassun szafiru, ale Wrota próbowały, zgodnie z instrukcją, którą nieżyjący od dawna konstruktorzy wpisali w strukturę onyksu. Nassun utrzymała jednak szafir. Pokonała Wrota Obelisków.

Co takiego twoja mała dziewczynka robiła przez ten rok, że zdobyła takie umiejętności?

– Nie wiesz, w jakiej sytuacji się znajduje – ciągnie Tonkee, wrywając cię z tej okropnej zadumy. – Nie wiesz, wśród jakich ludzi mieszka. Wspominałaś, że przebywa na Antarktydzie, gdzieś w pobliżu Wschodniego Wybrzeża. W tamtej części świata skutki Piątej Pory Roku nie powinny być jeszcze szczególnie odczuwalne. Co więc zamierzasz zrobić? Wyciągnąć ją ze wspólnoty, w której jest bezpieczna, najedzona i wciąż widzi niebo, a potem zabrać na północ, do wspólnoty niedaleko Pęknięcia, gdzie ziemia ciągle drży, a kolejny wyciek gazu może w każdej chwili wszystkich pozabijać? – Patrzy na ciebie hardo. – Chcesz jej pomóc czy po prostu z nią być? Bo to dwie różne rzeczy.

– Jija zabił Uchego – rzucasz. Słowa nie boją, jeśli nie wyobrażasz sobie ich znaczenia. Jeśli nie przypominasz sobie zapachu swojego syna, jego radosnego śmiechu czy widoku jego ciała pod kocem. Jeśli nie myślisz o Korundzie... Wykorzystujesz złość, aby stłumić to bliźniacze ukłucie bólu i poczucia winy. – Muszę zabrać ją od niego. On zabił mojego syna!

– Ale córki jeszcze nie zabił. A miał na to ile, dwadzieścia miesięcy? Dwadzieścia jeden? To o czymś świadczy. – Tonkee dostrzega wracającego do ciebie Lerne i wzdycha. – Chcę tylko powiedzieć, że są rzeczy, o których powinnaś pomyśleć. Sama nie wierzę, że to mówię. Ta dziewczyna używa obelisków, a ja nie mogę nawet jej zbadać. – Wydaje z siebie gniewny, przepelniony frustracją dźwięk. – Nienawidzę tego cholernego Sezonu. Muszę być tak zardzewiale rozsądna.

Zaskoczona, wybuchasz śmiechem, ale zaraz poważniejesz. Pytania, które stawia Tonkee, są oczywiście ważne, ale na niektóre z nich nie potrafisz odpowiedzieć. Tego wieczoru – i podczas kolejnych dni – dużo o nich myślisz.

Rennanis znajduje się bardzo blisko Zachodniego Wybrzeża, tuż za pustynią Merz. Aby tam dotrzeć, Castrima będzie musiała pokonać tę pustynię, ponieważ okrążanie jej

drastycznie wydłużyłoby podróż: z kilku miesięcy zrobiłoby się kilka lat. Droga przez środkowe Somidlaty jest natomiast całkiem przyzwoita, a wy nie spotykacie wielu wędrowców ani dzikich zwierząt. Myśliwi zdobyli sporo pożywienia, między innymi więcej dziczyzny niż wcześniej. Co nie powinno dziwić, skoro nie muszą już rywalizować z chmarami owadów. Mimo wszystko jedzenia jest za mało – myszy polne i niewielkie ptaki nie zapewnią przetrwania ponadtyśięcnej wspólnoty na długo. Choć lepsze to niż nic.

Kiedy zaczynasz dostrzegać zmiany na obszarach niedaleko pustyni – rzednięcie szkieletowego lasu, spłaszczenie terenu, stopniowe zanikanie warstwy wody w ziemi – postanawiasz, że nadeszła pora na rozmowę z Ykką.

Weszliście już do kamiennego lasu: miejsca pełnego wysokich, ostro zakończonych czarnych głazów, które sięgają w niebo ponad waszymi głowami. Na całym świecie nie ma wielu takich skał. Większość zostaje roztrzaskana podczas wstrząsów, a za czasów Fulcrum na wniosek lokalnych wspólnot niszczyły je również czarne mundury. Żadna wspólnota nie żyje w kamiennym lesie, żadna też – jeśli zarządzana jest rozsądnie – nie chce czegoś takiego w pobliżu. Poza tendencją do rozpadania się i niszczenia wszystkiego, co znajduje się w środku, kamienne lasy usiane są jaskiniami i innymi wyrzeźbionymi przez wodę miejscami, które doskonale nadają się na domy dla niebezpiecznych roślin i zwierząt. Albo ludzi.

Droga biegnie prosto przez ten kamienny las, co mocno podejrzane. Przecież nikt o zdrowych zmysłach nie zbudowałby drogi w takim miejscu. Gdyby naczelnik kwardonu zaproponował wykorzystanie pieniędzy podatników na stworzenie tak niebezpiecznej przynęty na bandytów, zostałby odwołany w kolejnych wyborach... albo zadźgany następnej nocy. To pierwsza wskazówka, że z tym miejscem jest coś nie tak. Drugą jest fakt, że w lesie nie widać śladów roślinności. Wprawdzie na tym etapie Piątej Pory Roku nigdzie ich nie widać, ale tutaj najwyraźniej w ogóle roślinności nie było. Oznacza to, że kamienny las znajduje się tu od tak niedawna, że wiatr i deszcz nie zdążyły jeszcze doprowadzić do erozji skały, a co za tym idzie, do pojawienia się roślin. Innymi słowy – że pojawił się tu już podczas trwania Piątej Pory Roku.

Wskazówką numer trzy jest to, co podpowiadają ci sejsody. Większość kamiennych lasów tworzą wapniowce, wyłobione przez wodę w ciągu setek milionów lat. Ten jest obsydianowy, czyli zbudowany z wulkanicznego szkła. Jego poszarpane ostrza nie są pionowe, ale zakrzywiają się do środka; kilka łuków pochyla się nawet nad drogą. Nie sposób obejrzeć ich z bliska, ale sejszysz ich skład: cały ten las to zastygła w wybuchu lawa. Ani jeden kamyk z drogi nie został poruszony podczas tektonicznej eksplozji, do której tu doszło. Piękna robota.

Kiedy odnajdujesz Ykkę, ta klóci się akurat z jakimś członkiem wspólnoty. Około trzydziestu metrów od lasu zarządziła postój i ludzie rozglądają się wokół siebie, niepewni, czy to tylko przerwa na odpoczynek czy może powinni rozbijać już obóz, skoro jest dość późno. Rozpoznajesz osobę, z którą Ykka się spiera – to Esni Mocarna Castrima, rzeczniczka swojej kasty. Podchodzisz do nich, a ona spogląda na ciebie z niepokojem, kiedy jednak zdejmujesz gogle i maskę, nagle się rozluźnia. Nie rozpoznała cię, bo w pusty rękaw powtykałaś sobie jakieś szmaty, żeby było ci cieplej. Jej reakcja to miłe

przypomnienie, że nie wszyscy w Castrimie są na ciebie źli. Esni żyje, ponieważ najgorsza fala napaści – żołnierze Rennisów próbujący wykroić sobie krwawą ścieżkę wśród Mocarnych pilnujących Tarasu Widokowego – opadła, kiedy zamknęłaś wrogich zjadaczy kamieni w kryształach.

Ykka się nie odwraca, mimo że na pewno wysejszyła twoją obecność. Mówi do Esni, choć słowa te skierowane mogą być równie dobrze do ciebie:

– Naprawdę nie mam zamiaru wchodzić teraz w kolejne spory.

– To dobrze – mówisz. – Bo rozumiem, dlaczego się tu zatrzymaliśmy, i uważam, że to dobry pomysł.

Wychodzi trochę głośniejsze, niżbyś chciała. Patrzysz na Esni, dając jej do zrozumienia, że zamierzasz porozmawiać z Ykką i że być może ona nie chciałaby w tym uczestniczyć. Przywódczyni ludzi strzegących wspólnoty nie daje się jednak tak łatwo zbyć, dlatego nie jesteś przesadnie zdziwiona, kiedy zakłada ręce na piersi i rozbawiona czeka na rozwój sytuacji.

Ykka odwraca się do ciebie powoli, z wyrazem rozdrażnienia na twarzy.

– Dobrze wiedzieć, że to popierasz – mówi tonem całkowicie pozbawionym uprzejmości. – Nie, żeby mnie to obchodziło.

Zaciskasz zęby.

– Sejszysz to, prawda? Powiedziałabym, że to robota cztero- albo pięciopięściennika, ale wiem, że dzicy też potrafią być nieprzeciętnie uzdolnieni.

Masz na myśli ją. To gałązka oliwna. A może tylko pochlebstwo.

Ykka nie daje się nabrać.

– Przejdziemy jeszcze przed zmierzchem, ile zdołamy, a potem rozbijemy tam obóz. – Wskazuje kamienny las. – Jest zbyt duży, żeby pokonać go w ciągu jednego dnia. Może powinniśmy go obejść, ale jest coś...

Przez chwilę wygląda na zamyśloną, szybko jednak marszczy brwi i odwraca głowę, zła na siebie, że ujawniła przy tobie swoją słabość. Jest wystarczająco wrażliwa, aby coś wysejszyć, ale nie wie dokładnie, co to jest.

Całymi latami uczyłaś się odczytywać podziemne skały za pomocą górotwórstwa, więc wyjaśniasz:

– W tamtym miejscu znajduje się przykryta liśćmi pułapka. – Wskazujesz połąć wyschniętej trawy po jednej stronie kamiennego lasu. – Dalej ciągną się liczne sidła; nie wiem ile, ale sejszę dużo kinetycznego napięcia pochodzącego od drutów albo lin. Jeśli pójdziemy dookoła drugą stroną, natkniemy się na częściowo przecięte kamienne kolumny i głązy przy krawędzi lasu. Bardzo łatwo wywołać tam lawinę skalną. Sejszę też otwory w strategicznych miejscach w zewnętrznych kolumnach. Za pomocą kusz, a nawet zwykłych łuków, można stamtąd skutecznie nas przetrzebić.

Ykka wzdycha.

– No tak. Czyli przejście przez środek naprawdę jest najlepszym rozwiązaniem. – Zerka na Esni, która prawdopodobnie sugerowała obejście przeszkody. Esni również wzdycha, a potem wzrusza ramionami.

Stajesz naprzeciw Ykki.

– Ktokolwiek zbudował ten las, jeśli wciąż żyje, ma zdolność zamrożenia połowy

naszej wspólnoty w ciągu kilku sekund. Jeśli jesteś zdecydowana przejść przez środek, będziemy musieli postawić zmieniające się warty. Mówiąc „my”, mam na myśli górotwory z lepszą kontrolą. Dzisiejszej nocy nikomu z nas nie wolno zasnąć.

Ykka mruży oczy.

– Dlaczego?

– Ponieważ jeśli jakiś górotwór będzie spał w momencie ataku – a jesteś przekonana, że atak nastąpi – zareaguje instynktownie.

Ykka się krzywi. Nie jest przeciętną dzikuską, ale jest nią na tyle, by wiedzieć, co się stanie, jeśli coś wywoła w niej górotwórczą reakcję podczas snu. Tych, których nie zabije napastnik, prawdopodobnie zniszczy ona, i to zupełnie przypadkowo.

– Kurwa. – Na chwilę odwraca wzrok, a ty się zastanawiasz, czy ci wierzy. Prawdopodobnie tak, tylko się zastanawia. – Dobra. Będziemy trzymać wartę. Tych roggów, którzy nie będą pełnić warty, przydzielimy do pracy. O, mogą na przykład łuskać tę dziką fasolę, którą znaleźliśmy kilka dni temu. Albo naprawiać uprząże, których Mocarni używają do ciągnięcia bagaży. Przydadzą się jutro, bo będziemy zbyt zmęczeni, żeby iść o własnych siłach.

– Jasne. Tylko że... – wahasz się. Nie, jeszcze nie teraz. Nie możesz przyznać się do swojej słabości przed tymi kobietami, jeszcze nie teraz. Ale... – Beze mnie.

Ykka mruży oczy. Esni posyła ci sceptyczne spojrzenie, jakby chciała powiedzieć: „A tak dobrze ci szło”. Szybko więc dodajesz:

– Nie wiem, do czego jestem teraz zdolna. Po tym, co zrobiłam w podziemnej Castrimie... jestem inna.

To nawet nie kłamstwo. W zamyśleniu sięgasz do swojego nieistniejącego ramienia i bawisz się rękawem kurtki. Nikt nie widzi twojego kikuta, ale nagle jesteś go bardzo świadoma. Okazuje się, że Hoa nie miał chyba zbyt dobrego zdania o śladach zębów, pozostawianych przez Antymonę na ciele Alabastra. Twój kikut jest gładki, zaokrąglony, niemal wypolerowany. Zardzewiały perfekcjonista.

Ykka podąża wzrokiem za twoim na w pół świadomym spojrzeniem i krzywi się.

– Hmm. No tak, pewnie jesteś. – Widać, jak zaciska szczęki. – Wygląda jednak na to, że sejszysz całkiem dobrze.

– Tak. Mogę pomóc trzymać wartę. Nie powinnam tylko... nic robić.

Ykka kręci głową, ale mówi:

– W porządku. W takim razie obejmiesz w nocy pierwszą wartę.

To najgorsza z wart, bo teraz, kiedy temperatura zaczęła już spadać poniżej zera, właśnie o tej porze jest najzimniej. Każdy wolałby wtedy leżeć w swoim ciepłym śpiworze. To również najniebezpieczniejsza część nocy, bo właśnie wtedy każdy myślący napastnik atakuje, żeby zaskoczyć ofiary, gdy są zaspane i najbardziej zmęczone. Nie wiesz zatem, czy to kara czy oznaka zaufania. W ramach eksperymentu pytasz:

– Czy dostanę przynajmniej jakąś broń?

Nie miałaś przy sobie żadnej broni od czasu, kiedy kilka miesięcy po opuszczeniu Tirimo przehandlowałaś swój nóż za suszone płatki róż, żeby się pozbyć skorbutu.

– Nie.

A niech to rdza. Chcesz założyć ramiona na piersi, ale pusty rękaw zwisa

bezwładnie i przypominasz sobie, że nie możesz tego zrobić, więc przyjmujesz tylko wściekły grymas na twarzy. (Ykka i Esni mają podobne miny).

– To co mam robić w razie niebezpieczeństwa? Krzyczeć? Naprawdę zamierzasz narażać wspólnotę tylko dlatego, że żywisz do mnie urazę?

Ykka wywraca oczami.

– A niech to rdza – jest to tak dokładne echo twoich myśli, że unosisz brwi. – Niewiarygodne. Myślisz, że jestem wkurzona o geodę, tak?

Nie możesz się powstrzymać i zerkasz na Esni. Ona z kolei patrzy na Ykkę, jakby chciała powiedzieć: „A co, nie jesteś?”. To bardzo wymowne.

Ykka rzuca ci wściekle spojrzenie, a potem pociera twarz i wzdycha przeciągle.

– Esni, idź... cholera, zrób coś, co robią Mocarni. Essie, tutaj. Chodź tutaj. Przejdziemy się, do zardzewiałej cholery.

Sfrustrowana, przyzywa cię gwałtownym ruchem ręki. Jesteś zbyt oszołomiona, żeby się obrażać, dlatego kiedy Ykka się odwraca, idziesz za nią. Esni wzrusza ramionami i odchodzi.

Ty i Ykka przemierzacie obóz w milczeniu. Wszyscy wydają się świadomi zagrożenia płynącego ze strony kamiennego lasu, dlatego jest to najbardziej ruchliwy postój, jaki widziałaś. Niektórzy Mocarni przenoszą bagaże z jednych wozów na inne, żeby te najważniejsze znajdowały się na mniej obciążonych pojazdach o najmocniejszych kołach. W razie niebezpieczeństwa łatwiej będzie zabrać je ze sobą. Myśliwi przygotowują zaostrome pale z martwych drzewek i gałęzi znalezionych w pobliżu. Zostaną one ustawione wzdłuż granicy obozu, żeby wpędzać napastników w strefy ostrzału. Pozostali Mocarni drzemią, wiedząc, że po zapadnięciu zmroku będą musieli patrolować obóz albo spać na jego obrzeżach. „Mocarni, by chronić ich wszystkich”, mówi skałowiedza. Ci z Mocarnych, którym nie podoba się perspektywa bycia żywymi tarczami, mogą odejść i przyłączyć się do innej kasty albo znaleźć sobie jakąś inną wspólnotę.

Marszczysz nos, mijając wykopany pośpiesznie rów, zajmowany akurat przez sześć czy siedem osób. Tuż obok stoi kilku młodych Obrońców, do których należy niezbyt przyjemne zadanie przysypywania ziemią rezultatów tych wizyt. Kilka osób czeka w kolejce, aby też móc przykucnąć nad rowem. Nic dziwnego, że tutaj, w złowieszczym cieniu kamiennego lasu, tak wielu ludzi musi równocześnie opróżnić jelita. Nikt nie chce zostać zaskoczony po zmroku z opuszczonymi spodniami.

Przychodzi ci do głowy, że sama mogłabyś kucnąć nad rowem, kiedy nagle Ykka wyrzywa cię z tego zamyślenia:

– A więc lubisz nas już?

– Co?

Wskazuje obóz. Mieszkańców wspólnoty.

– Jesteś w Castrimie już ponad pół roku. Masz jakichś przyjaciół?

„Ciebie”, myślisz odruchowo.

– Nie – odpowiadasz na głos.

Przygląda ci się przez chwilę, a ty z poczuciem winy zastanawiasz się, czy oczekiwała, że wymienisz jej imię. Zaraz potem wzdycha.

– Zaczęłaś już dymać się z Lerna? Gustu raczej nie pochwalam, ale Piastuni mówią, że wyraźnie coś się święci. Kiedy ja mam ochotę na mężczyznę, wybieram takiego, który za dużo nie gada. Na kobietach można bardziej polegać. Wiedzą, jak nie psuć nastroju.

Zaczyna się rozciągać, a kiedy rozmasowuje sobie przykurcz na plecach, na jej twarzy pojawia się grymas bólu. Czujesz się potwornie zażenowana. Zardzewiali Piastuni najwyraźniej nie mają zbyt wiele do roboty.

– Nie – odpowiadasz.

– Jeszcze nie?

Wzdychasz.

– Jeszcze... nie.

– To na co, u rdzy, czekasz? Drogi nie robią się coraz bezpieczniejsze.

Spoglądasz na nią spode łba.

– Myślałam, że mój los cię nie obchodzi?

– Bo tak jest. Ale opieprzanie cię pozwala mi się lepiej wyrazić.

Ykka prowadzi cię w stronę wozów, a przynajmniej tak ci się z początku wydaje. Kiedy je mijacie, sztywniejesz zaskoczona.

To tutaj siedzi i posila się siedmiu pojmanych Rennisów. Nawet w tej pozycji wyróżniają się wśród mieszkańców Castrimy – większość Rennisów to czystej krwi Sanzeńczycy, nieprzeciętnie wysocy, z bujnymi popiołowymi grzywami, warkoczami na wygolonej głowie albo krótkimi jeżami, mającymi na celu dodatkowe podkreślenie wzrostu. Na chwilę wyciągnięto ich z dybów – choć łączące ich łańcuchy pozostają na miejscu – a kilku Mocarnych stoi w pobliżu na straży.

Jesteś zdziwiona, że już jedzą, choć obóz nie został jeszcze na dobre rozbity. Strażnicy też się posilają, ale to akurat zrozumiałe – czeka ich długa noc. Rennisi podnoszą głowy na wasz widok, a ty zatrzymujesz się nagle, bo rozpoznajesz jednego z nich. To Danel, nazywana generałem armii. Poza otarciami od dybów na szyi i nadgarstkach jest cała i zdrowa. Kiedy ostatnio ją widziałaś, przywoływała Stróża, żeby cię zabił.

Ona też cię poznaje, a jej usta zaciskają się w cienką kreskę. Kiwa do ciebie głową i z powrotem pochyla się nad miską.

Ku twojemu zaskoczeniu Ykka kuca obok niej.

– Smakuje wam?

Danel wzrusza ramionami, nie przerywając jedzenia.

– Lepsze to od głodówki.

– Dobrze jest – stwierdza inny więzień, siedzący naprzeciwko. Widząc groźny wzrok sąsiada, wzrusza ramionami. – No co, przecież jest.

– Zależy im tylko, żebyśmy mogli ciągnąć ich wozy – odzywa się mężczyzna o groźnym spojrzeniu.

– Tak – przerywa im Ykka. – Dokładnie tak. Za swoje usługi Mocarni w Castrimie dostają przydział jedzenia i łóżko, jeśli tylko jest jakieś wolne. A co wy dostawaliście od Rennanis?

– Może jakieś zardzewiałe poczucie, dumę – mówi ten groźny, patrząc jeszcze groźniej.

– Zamknij się, Phauld – rozkazuje Danel.

– Te kundle myślą, że...

Danel odkłada swoją miskę. Mężczyzna o wściekłym spojrzeniu natychmiast milknie, a oczy lekko mu się rozszerzają. Po chwili Danel podnosi miskę i wraca do jedzenia. Przez cały ten czas wyraz jej twarzy nie zmienił się ani odrobinę. Domyślasz się, że musi mieć dzieci.

Ykka opiera łokieć na kolanie i z brodą na pięści przez chwilę obserwuje Phaulda.

– To co mam z nim zrobić? – zwraca się do Danel.

Phauld marszczy czoło.

– Co?

Danel wzrusza ramionami. Jej miska jest już pusta, ale kobieta przesuwając palcem po jej brzegu, próbując zgarnąć resztki sosu.

– Nie ja już o tym decyduję.

– Nie wygląda na szczególnie rozgarniętego. – Ykka zaciska wargi, przyglądając się mężczyźnie. – Niebrzydki, ale u potomstwa ważniejszy jest mózg niż wygląd.

Danel milczy, a Phauld z coraz większym niedowierzaniem spogląda to na nią, to na Ykkę. Następnie Danel z ciężkim westchnieniem podnosi na niego wzrok.

– Co mam ci powiedzieć? Nie jestem już jego dowódczynią. Zresztą nigdy nie chciałam nią być, wybrano mnie. Mam to w dupie.

– Nie wierzę – mówi Phauld. W jego podniesionym głosie słychać panikę. – Walczyłem dla ciebie.

– I przegrałeś. – Danel kręci głową. – Teraz chodzi o przetrwanie i dostosowanie się. Zapomnij o całym tym gównie, którego nasłuchałeś się w Rennanis na temat Sanzeńczyków i kundli, to była tylko propaganda mająca na celu zjednoczenie wspólnoty. Teraz wszystko się zmienia. „Jedynym prawem jest konieczność”.

– Nie cytuj mi tu zardzewiałej skałowiedzy!

– Ona cytuje ci skałowiedzę, bo nic nie rozumiesz – warczy starszy mężczyzna, któremu smakowało jedzenie. – Karmią nas. Pozwalają, żebyśmy byli przydatni. To test, ty głupi ćwoku. Sprawdzają, czy chcemy zapracować na miejsce w tej wspólnotcie!

– W tej wspólnotcie? – Phauld wskazuje rozciągający się wokół obóz. Jego śmiech odbija się echem od skał. Ludzie rozglądają się, próbując zrozumieć, czy te wrzaski oznaczają jakiś problem. – Czy wy siebie słyszycie? Ci ludzie nie mają żadnych szans. Powinni poszukać sobie jakiegoś schronienia albo odbudować jedną ze wspólnot, które rozwaliliśmy po drodze. Zamiast tego...

Ykka porusza się ze swobodą, która ciebie jednak nie zwodzi. Wszyscy powinni byli to widzieć, Phauld również, ale jest zbyt uparty, żeby zwracać uwagę na rzeczywistość. Ykka wstaje, strzepuje popiół z ramion, wchodzi w krąg więźniów i kładzie Phauldowi rękę na głowie. Mężczyzna próbuje się odsunąć, machając rękami.

– Nie dotykaj mnie, u rdzy...

Nagle milknie. Jego oczy pokrywają się mgiełką. Ykka zrobiła mu to samo, co w podziemnej Castrimie zrobiła Rębaczowi, kiedy ludzie zaczęli się zmieniać w żądną zemsty tłuszczę. Ponieważ tym razem wiedziałaś, co się święci, mogłaś lepiej przyjrzeć się temu, w jaki sposób wytwarza ten dziwny puls. To z całą pewnością magia, jakiś

rodzaj manipulacji cienkimi srebrzystymi włóknami, które poruszają się pomiędzy komórkami ludzkiego ciała. Puls Ykki przecina węzeł nici u podstawy czaszki Phaulda, tuż ponad sejsodami. Fizycznie wszystko pozostaje nietknięte, ale jeśli patrzeć na to pod kątem magii, to właściwie odrąbała mu głowę.

Phauld wiotczeje, a Ykka odchodzi, pozwalając mu osunąć się na ziemię.

Jedna z Rennisek odsuwa się gwałtownie, dzwoniąc łańcuchami. Strażnicy spoglądają po sobie niezręcznym wzrokiem, ale nie są zaskoczeni – wieść o tym, co Ykka zrobiła Rębaczowi, rozniosła się po całej wspólnotce. Rennis, który odzywał się wcześniej, wypowiada szeptem przysięgę w jednym z języków Wybrzeża – to nie eturpicki, więc nie rozumiesz jego słów, ale wyraźnie słyhać w nich strach. Danel tylko wzdycha.

Ykka też wzdycha, patrząc na martwego mężczyznę. Następnie zerka na Danel.

– Przepraszam.

Danel uśmiecha się cierpko.

– Próbowaliśmy. A poza tym sama powiedziałaś: nie był zbyt rozgarnięty.

Ykka kiwa głową. Z jakiegoś powodu przez chwilę spogląda na ciebie. Nie masz pojęcia, jaką lekcję powinnaś wyciągnąć z tego wszystkiego.

– Zdejmij im kajdany – rozkazuje.

Patrzysz na nią zdziwiona, ale uświadamiasz sobie, że kierowała te słowa do strażnika. Mocarny mówi coś swojemu koledze i wspólnie przebierają w pęku kluczy. Ykka, która wygląda, jakby pogardzała samą sobą, odzywa się wtedy:

– Kto pełni dzisiaj służbę kwatermistrza? Memsid? Powiedźcie jemu i pozostałym Obrońcom, żeby przyszli się tym zająć – mówiąc to, wskazuje Phaulda.

Wszyscy milkną, nikt jednak nie protestuje. Myśliwi znajdują od pewnego czasu więcej dziczyzny i innego pożywienia, ale i tak wielu członków Castrimy dostaje niewystarczająco dużo białka, a po drodze czeka przecież pustynia. Wiadomo było, że do tego dojdzie.

Wahasz się chwilę i podchodzisz do Ykki.

– Jesteś pewna? – pytasz ostrożnie.

Jeden ze strażników zbliża się do Danel, żeby zdjąć jej z nóg kajdany. Jej, która próbowała zabić wszystkich mieszkańców Castrimy. Jej, która próbowała zabić ciebie.

– A dlaczego nie miałabym być? – Ykka wzrusza ramionami. Mówi na tyle głośno, by słyszeli ją więźniowie. – Od czasu ataku Rennisów brakuje nam Mocarnych, a tutaj mamy sześciu nowych kandydatów.

– Kandydatów, którzy zadźgają nas wszystkich, a ciebie to już na pewno, przy pierwszej możliwej okazji!

– Tak, chyba że się zorientuję i zabiję ich pierwsza. Ale byłoby to z ich strony bardzo głupie, a nie bez powodu zabiłam najgłupszego z nich. – Rozumiesz, że Ykka wcale nie próbuje przestraszyć Rennisów. Po prostu stwierdza fakt. – Bo widzisz, to właśnie próbuję ci powiedzieć, Essie: świat nie składa się z przyjaciół i wrogów. Tworzą go ci, którzy mogą ci pomóc, i ci, którzy wchodzą ci w drogę. Co zyskasz, zabijając tych drugich?

– Bezpieczeństwo.

– Otóż to. I owszem, istnieje spora szansa, że zostanę zadżgana we śnie. Ale w takim razie zyskamy większe bezpieczeństwo wspólnoty. A im silniejsza jest wspólnota, tym większą mamy szansę dotrzeć do Rennanis cali i zdrowi. – Wzrusza ramionami, a potem spogląda na kamienny las. – Ktokolwiek to zbudował, jest jednym z nas, i to bardzo uzdolnionym. Będziemy go potrzebować.

– Chcesz mi powiedzieć, że masz zamiar skorzystać z pomocy... – kręcisz głową z niedowierzaniem – brutalnych bandytów i dzikusów?

Nagle jednak urywasz. Ponieważ kiedyś, dawno temu, kochałaś brutalnego i dzikiego pirata.

Ykka patrzy na ciebie, podczas gdy ty przypominasz sobie Innona i znowu go oplakujesz. Gdy znów się odzywa, w jej głosie słychać zaskakujące ciepło:

– Moim celem jest coś więcej niż tylko dotrwanie do kolejnego dnia, Essie. Może dla odmiany też powinnaś spróbować pomyśleć w ten sposób.

Odwracasz wzrok, czując się przyparta do muru. Luksus wykraczania myślami poza kolejny dzień to coś, czego nie miałaś okazji często próbować.

– Nie jestem naczelniczką. Jestem tylko roggą.

Ykka przechyla głowę, jakby z rozbawieniem. Nie używasz tego słowa nawet w połowie tak często jak ona. Kiedy ona je wypowiada, robi to z dumą. W twoich ustach „rogga” brzmi jak wyzwisko.

– No cóż, ja jestem jednym i drugim – odpowiada. – Naczelniczką i roggą. Postanowiłam być jednym, drugim i nie tylko.

Mija cię, a kolejne słowa rzuca przez ramię, jakby nie miały większego znaczenia:

– Nie myślałaś o tym wszystkim, kiedy używałaś obelisków, prawda? Myślałaś tylko o zniszczeniu swoich wrogów. Myślałaś o przetrwaniu, ale nie potrafiłaś dostrzec szerszej perspektywy. To dlatego byłam na ciebie taka wkurzona, Essie. Spędziłaś w mojej wspólnocie całe miesiące i nadal wszystko, czym jesteś, to „tylko roggą”.

Oddała się, krzycząc do wszystkich, że przerwa na odpoczynek dobiegła końca. Obserwujesz ją, aż znika wśród przeciągających się i marudzących ludzi, a potem zerkasz na Danel, która już wstała i pociera otarte nadgarstki. Spoglądając na ciebie, zachowuje neutralny wyraz twarzy.

– Jeśli ona umrze, umrzesz i ty – mówisz. Jeśli Ykka nie zatroszczy się o siebie, zrobisz, co w twojej mocy, żeby ją ochronić.

Danel wzdycha z rozbawieniem.

– To prawda niezależnie od tego, czy będziesz mi grozić czy nie. Zresztą i tak nie miałabym po temu okazji. – Rzuca ci sceptyczne spojrzenie i widzisz, że nowe okoliczności w najmniejszym stopniu nie naruszyły jej sanzeńskiej dumy. – Ty naprawdę nie jesteś w tym zbyt dobra, co?

Niech to wiadra rdzy i podziemny ogień. Odchodzisz, bo jeśli Ykka ma do ciebie pretensje po tym, jak zlikwidowałaś wszystkie grożące wspólnocie niebezpieczeństwa, to na pewno nie spodobałoby jej się, gdybyś tak po prostu zaczęła zabijać ludzi, którzy cię wkurzają.

2562: wstrząs, dziewiątka, na Zachodnim Wybrzeżu, epicentrum gdzieś w kwardonie Baga. Z doniesień mędrców z tamtych czasów wynika, że wstrząs „roztopił ziemię”. (Metafora?) Jedna osada rybacka pozostała nienaruszona. Z pisemnej relacji jednego z mieszkańców: „Bękart roga ukatrupił wczas, potem myśmy go ukatrupili”. Raport złożony w Fulcrum (udostępniony za zgodą) przez Cesarskiego Górotwora, który odwiedził później okolicę, również zawiera informację o tym, że podczas wstrząsu mogło dojść do uszkodzenia znajdującego się niedaleko wybrzeża podziemnego złoża ropy, ale niezarejestrowany roggga z wioski temu zapobiegł. Gdyby doszło do uwolnienia ropy, woda i plaże na odcinku wielu kilometrów zostałyby zatrute.

Notatki Yaetr Innowatorki Dibars

Schaffa jest na tyle miły, że opuszczając razem z Nassun Odnaleziony Księżyc i Jekity, wyprowadza stamtąd również pozostałą ósemkę dzieci. Naczelniczce tłumaczy, że wybierają się na trening daleko od wspólnoty, żeby nie niepokoić mieszkańców ruchami sejsmicznymi. Ponieważ Nassun właśnie odesłała szafir w niebo – z głośnym hukiem przemieszczającego się powietrza wywołanym nagłym pojawieniem się olbrzymiego błękitnego obelisku nad głowami – naczelniczka prawie potyka się o własne nogi, biegnąc po ratujworki z jedzeniem i zapasami dla dzieci; teraz, mając je pod ręką, mogą iść szybciej. Nie jest to porządne wyposażenie, jakie mogłoby przydać się podczas długiej podróży. Żadnych kompasów, jedynie względnie dobre buty i żywność, która wystarczy najwyżej na kilka tygodni. Mimo wszystko lepsze to, niż wyruszać z pustymi rękoma.

Żaden z mieszkańców wspólnoty nie wie, że Umber i Nida nie żyją. Schaffa zaniósł ich ciała do budynku Stróżów i ułożył je na łózkach w pozach jak do pochówku. Zdziałało to lepiej w przypadku Nidy, której ciało, poza dziurą w potylicy, było nienaruszone; Umber miał zmasakrowaną głowę. Następnie Schaffa przysypał ziemią ślady krwi. Mieszkańcy Jekity w końcu zorientują się, co się stało, ale do tego momentu dzieci z Odnalezionego Księżyca będą już daleko, a może nawet będą już całkiem bezpieczne.

Jiję Schaffa zostawił tam, gdzie Nassun powaliła go na ziemię. Jego ciało to tylko kupa ładnych kamieni – aby dostrzec w nich człowieka, ktoś musiałby się im uważnie przyjrzeć.

Opuszczając wspólnotę, która była ich schronieniem – w przypadku niektórych przez wiele lat – dzieci milczą. Schodzą po stopniach roggów, jak nieformalnie (i obraźliwie) nazywa się ciąg bazaltowych kolumn po północnej stronie wspólnoty, pokonać je mogą tylko górotwory. Nassun nigdy nie sejszyła, aby górotwórstwo Wudeha było tak stabilne jak w chwili, kiedy przetransportował ich wszystkich na dół, spychając jedną z kolumn do wnętrza dawnego wulkanu. Widzi jednak rozpacz na jego twarzy i sprawia jej to ból.

Idą całą gromadą na zachód, a po przejściu ledwie kilometra dwójka dzieci zaczyna cicho płakać. Nassun, której oczy pozostały suche nawet w obliczu błakających się jej po głowie myśli w rodzaju „zabiłam swojego ojca” i „tęsknię za tobą, tatusiu”, współczuje im. To okrutne, że z powodu tego, co zrobiła, reszta dzieci musi brnąć teraz w popiołach Piątej Pory Roku. (A właściwie z powodu tego, co próbował zrobić Jija, usiłuje sobie wmówić, choć sama w to nie wierzy). Pozostawienie ich w Jekity byłoby jednak większym okrucieństwem, bo mieszkańcy wspólnoty w końcu zrozumieliby, co się stało, i zwróciliby się przeciwko nim.

Bliźniaki Oegin i Ynegen jako jedyne patrzą na Nassun z czymś w rodzaju zrozumienia. To one jako pierwsze pojawiły się przed budynkiem, kiedy ściągnęła z nieba szafir. Pozostali widzieli głównie walkę Schaffy z Umberem i zabicie Nidy przez Stalą,

lecz tych dwoje widziało również, co Jija próbował zrobić Nassun. Rozumieją, że Nassun się broniła i że każdy na jej miejscu zrobiłby to samo. Wszyscy pamiętają jednak, że zabiła Eitza. Niektórzy jej wybaczyli, jak przewidywał Schaffa – szczególnie wstydliva, okaleczona Zerka, która zwierzyła się Nassun z tego, co dawno temu zrobiła swojej babci, kiedy ta dźgnęła ją w twarz. Młode górotwory szybko się uczą, czym są wyrzuty sumienia.

Co nie znaczy, że nadal nie obawiają się Nassun – strach przynosi natomiast trzeźwość myśli przenikającą dziecięce rozumowanie. Przecież w głębi serca nie są zabójcami... a Nassun jest.

(Choć wcale tego nie chce, tak samo jak ty).

Teraz stoją całą grupą na skrzyżowaniu, gdzie lokalna droga łącząca południowy wschód z północnym wschodem przecina się z Cesarskim Szlakiem biegnącym z Jekity do Tevamis. Schaffa twierdzi, że Cesarski Trakt prowadzi do drogi nadziemnej, czyli czegoś, o czym Nassun tylko słyszała. Skrzyżowanie jest miejscem, w którym postanowił poinformować pozostałe dzieci, że nie mogą dalej z nim iść.

Jako jedyna protestuje Unik.

– Przecież nie będziemy dużo jedli – mówi zdesperowana. – Nie... nie będziesz musiał nas karmić. Pozwól tylko, żebyśmy za tobą poszli. Sami będziemy znajdować sobie jedzenie. Wiem, jak to się robi!

– Nassun i ja prawdopodobnie będziemy ścigani – odpowiada Schaffa. Jest bardzo uprzejmy. Nassun wie, że w ten sposób tylko to wszystko pogarsza: jego uprzejmość świadczy o tym, że mu na nich zależy. Okrutne pożegnania są łatwiejsze. – Nasza podróż będzie też długa i groźna. Bez nas będziecie bezpieczniejsi.

– Bezpieczniejsi i bezwspółnotowi – mówi Wudeh i się śmieje. To najbardziej gorzki dźwięk, jaki Nassun kiedykolwiek słyszała z jego ust.

Unik zaczęła płakać. Łzy zostawiają zadziwiająco czyste ślady na jej twarzy, którą zaczął już pokrywać popiół.

– Nie rozumiem. Opiekowałeś się nami. Lubisz nas, Schaffa, i to bardziej, niż lubili nas Nida i UMBER! Dlaczego... jeśli zamierzaliście tylko... tylko...

– Przestań – przerywa jej Lashar. W ciągu ostatniego roku urosła, jak na sanzeńską dziewczynę przystało. Z czasem oduczyła się aroganckich odzywek w stylu „moja babcia była Równikejką”, ale kiedy jest czymś zdenerwowana, nadal zachowuje się wyniośle. Założyła ręce na piersi i spogląda na nagie podnóża gór w oddali. – Miej trochę godności. Popiół pada nam na głowy, ale żyjemy i tylko to się liczy. Dzisiaj w nocy możemy znaleźć schronienie w tych górach.

Unik posyła jej wściekłe spojrzenie.

– Tam nie ma żadnego schronienia! Umrzemy z głodu albo...

– Nie umrzemy. – Deshati, która przez cały ten czas patrzyła w ziemię, ugniatając stopą wciąż cienką jeszcze warstwę popiołu, nagle podnosi wzrok. Mówiąc do Unik i pozostałych, patrzy na Schaffę. – Są miejsca, w których możemy się zatrzymać. Musimy tylko zmusić mieszkańców, żeby otworzyli nam bramę.

Na jej twarzy pojawiają się napięcie i determinacja. Schaffa spogląda na nią ostro, ale dziewczyna nie odwraca wzroku.

– Bo tego od nas oczekujesz, prawda? Nie odsyłałbyś nas gdzieś daleko, gdybyś

nie był pogodzony z tym... co musimy zrobić. – Próbuje wzruszyć ramionami. Jest zbyt spięta, żeby wykonać tak swobodny gest, dlatego przez chwilę wygląda, jakby miała drgawki. – Gdybyś nie był z tym pogodzony, nie pozostawiłbyś nas przy życiu.

Nassun patrzy w ziemię. To jej wina, że możliwe wybory pozostałych dzieci zawęziły się do czegoś takiego. W Odnalezionym Księżycu bywało pięknie; Nassun poznała tam rozkosz okazywania tego, czym jest i co potrafi wśród ludzi rozumiejących i dzielących z nią to uczucie. A teraz to, co było dobre, zniknęło.

„W końcu zabijesz wszystko, co kochasz”, powiedział jej Stal. Nassun nienawidzi go za to, że miał rację.

Schaffa długo patrzy na dzieci, jest zamyślony. Drżą mu palce – być może przypomina sobie swoje poprzednie życie i innego siebie, który prawdopodobnie nie potrafiłby wypuścić w świat ośmiu młodych Misalemów. Ale tamta wersja Schaffy nie żyje. Drżenie to tylko odruch.

– Tak – odpowiada. – Tego właśnie od was oczekuję, jeśli koniecznie chcecie to usłyszeć. Większe szanse będziecie mieli w dużej, tętniącej życiem wspólnotie niż zdani tylko na siebie. Pozwólcie więc, że coś wam doradzę. – Podchodzi do Deshati, kuca przed nią i patrzy jej w oczy, wyciągając rękę, żeby chwycić Unik za jej szczupłe ramię. Mówi do nich wszystkich tym samym ciepłym tonem, którego używał wcześniej. – Zabijcie najpierw tylko jednego. Wybierzcie kogoś, kto będzie próbował was skrzywdzić, ale tylko jednego, nawet jeśli próbować będzie więcej osób. Obezwładnijcie pozostałych, ale tego jednego zabijajcie powoli. Niech to będzie bolesne. Upewnijcie się, że wasza ofiara krzyczy. To ważne. Jeśli ten pierwszy nie będzie krzyczał... zabijcie jeszcze jednego.

Dzieci patrzą na niego. Nawet Lashar wydaje się zakłopotana. Nassun widziała jednak, jak Schaffa zabija. Porzucił część tego, czym był, ale wciąż pozostaje artystą okrucieństwa. Mają szczęście, że postanowił podzielić się z nimi tajemnicami swojej sztuki. Nassun ma nadzieję, że to docenią.

Schaffa ciągnie:

– Po zabójstwie dajcie wszystkim do zrozumienia, że działaliście w samoobronie. Następnie zaproponujcie, że będziecie wykonywać pracę zmarłego albo chronić pozostałych przed niebezpieczeństwem. Oni jednak rozumieją, że to ultimatum. Będą musieli przyjąć was do wspólnoty – przerywa na chwilę i skupia wzrok na lodowobiałych oczach Deshati. – Co zrobicie, jeśli wam odmówią?

– Za... zabijemy wszystkich.

Schaffa uśmiecha się po raz pierwszy od czasu opuszczenia Jekity i głaszcze ją po głowie.

Unik gapi się na niego, zszokowana. Oegin i Ynegen przytulają się, a na ich twarzach widać jedynie rozpacz. Lashar zaciska zęby, pobudzona. Zamierza wziąć sobie słowa Schaffy do serca. Deshati również – Nassun wyraźnie to widzi, ale czuje też, że... tym sposobem coś w Deshati umrze.

Schaffa to wie. Kiedy wstaje, żeby pocałować Deshati w czoło, w jego ruchach jest taki smutek, że Nassun na nowo odczuwa cały swój ból.

– Podczas Sezonu wszystko się zmienia – mówi Schaffa. – Żyćcie. Chcę, żebyście żyli.

Z oka Deshati wypływa łza, zanim dziewczyna zdąży powstrzymać ją mrugnięciem. Przelyka głośno. Zaraz jednak kiwa głową i odsuwa się od Schaffy, żeby stanąć razem z innymi. Tworzy się między nimi przepaść: po jednej stronie znajdują się Schaffa i Nassun, po drugiej dzieci z Odnalezionego Księżyca. Ich drogi się rozdzieliły. Nie widać, aby Schaffie sprawiało to ból. A powinno; Nassun widzi, że srebro w nim jest żywe i pulsuje, protestując przeciwko jego decyzji o puszczeniu dzieci wolno. On jednak nie daje po sobie poznać, że czuje ból. Kiedy robi to, co uważa za słuszne, ból tylko go umacnia.

Wstaje.

– A jeśli pojawią się pierwsze oznaki, że Piąta Pora Roku słabnie... uciekajcie. Rozproście się i możliwie jak najlepiej wtopcie się w tłum gdzie indziej. Stróże nie umarli, moi kochani. Powrócą. A kiedy rozejdzie się wieść o tym, co zrobiliście, wyruszą po was.

Nassun wie, że chodzi o normalnych Stróżów – o tych „nieskażonych”, do których sam kiedyś należał. Tych Stróżów nie widać nigdzie od chwili rozpoczęcia Piątej Pory Roku, a przynajmniej Nassun nie słyszała, by któryś z nich odwiedził jakąś wspólnotę albo pojawił się gdzieś na drodze. Słowo „powrócą” oznacza, że wszyscy udali się w jakieś konkretne miejsce. Dokąd? Gdzieś, gdzie Schaffa i inni zanieczyszczeni nie chcieliby albo nie mogliby pójść.

Ważne jest jednak, że ten Stróż, choć zanieczyszczony, pomaga im. Nassun czuje nagle irracjonalny przyptyk nadziei. Z pewnością porady Schaffy pomogą im odegnąć niebezpieczeństwa. Nassun przelyka więc ślinę i dodaje:

– Wszyscy jesteście bardzo dobrzy w górotwórstwie. Może we wspólnocie, którą wybieriecie... może oni...

Urywa, nie wiedząc, co właściwie chce powiedzieć. Miała na myśli: „Może oni was polubią”, ale wydaje się to głupie. Mogłaby też powiedzieć: „Może uznają was za przydatnych”, ale wie, że to tak nie działa. Wspólnoty zatrudniały górotwory z Fulcrum tylko na krótkie okresy, do określonych zadań – tak przynajmniej powiedział jej Schaffa. Nawet te położone w pobliżu punktów zapalnych i linii uskoku nie chciały u siebie górotworów na stałe, niezależnie od tego, jak bardzo ich potrzebowały.

Zanim Nassun zdąży znaleźć właściwe słowa, Wudeh posyła jej wściekle spojrzenie.

– Zamknij się.

Nassun mruga.

– Co?

Zerka syczy na Wudeha, próbując go uciszyć, ale ten ją ignoruje.

– Zamknij się. Nienawidzę cię. Nida mi śpiewała... – A potem nagle zalewa się łzami. Zerka wygląda na zmieszaną, ale inne dzieci otaczają go, poklepują po plecach i pocieszają.

Lashar obserwuje to, a potem spogląda karcąco na Nassun i zwraca się do Schaffy:

– W takim razie będziemy ruszać. Dziękujemy, Stróże, za... za to.

Odwraca się i zaczyna popędzać pozostałych. Deshati idzie ze spuszczoną głową, nie oglądając się. Ynegen ociąga się przez chwilę, spogląda na Nassun i szepcze:

– Przykro mi.

Również odchodzi, doganiając innych.

Kiedy tylko dzieci znikają im z oczu, Schaffa kładzie Nassun rękę na ramieniu i odwraca ją w kierunku Cesarskiego Traktu na zachodzie.

Po kilku kilometrach w ciszy Nassun pyta:

– Czy nadal uważasz, że lepiej byłoby ich zabić?

– Tak – patrzy na nią. – I ty też dobrze o tym wiesz.

Nassun zaciska zęby.

– Wiem. – To kolejny powód, aby to zakończyć. Aby zakończyć to wszystko.

– Myślałaś o konkretnym miejscu – mówi Schaffa. To nie jest pytanie.

– Tak. Ja... Schaffa, ja muszę się udać na drugą stronę świata.

Brzmi to jak „muszę się udać do gwiazd”, ale ponieważ wcale nie jest to bardzo dalekie od tego, co naprawdę musi zrobić, postanawia nie poprawiać tego lekko absurdalnego stwierdzenia.

Ku jej zaskoczeniu Schaffa nie śmieje się, tylko przekrzywia głowę i mówi:

– Do Rdzenia?

– Słucham?

– Miasto po drugiej stronie świata. Tak?

Nassun przełyka ślinę i przygryza wargę.

– Nie wiem. Wiem tylko, że muszę... – Nie ma na to słów, dlatego wykonuje gest, zakrzywiając lekko palce i poruszając nimi, jakby chciała wysłać w powietrzu fale, które się ze sobą spotkają. – Obeliski... one ciągną do tego miejsca. Do tego zostały stworzone. Jeśli się tam udam, myślę, że będę mogła, ekhm, zrównoważyć tę siłę? Nie mogę zrobić tego nigdzie indziej, bo... – Nie potrafi tego wytłumaczyć. Linie mocy, linie wzroku, konfiguracje matematyczne; ma w głowie całą wiedzę, jakiej potrzebuje, ale nie potrafi jej przełożyć na słowa. Część tej wiedzy podarował jej szafir, część wpoila jej matka, a część to po prostu wynik jej własnych eksperymentów, których rezultaty instynktownie interpretowała. – Nie wiem, które miasto jest tym właściwym. Jeśli dotrę na miejsce i trochę pokręcę się po okolicy, może będę mogła...

– Rdzeń to jedyna rzecz po tamtej stronie świata, maleńka.

– Słu... słucham?

Schaffa zatrzymuje się nagle, ściągając plecak. Nassun robi to samo, odczytując to jako sygnał, że przyszedł czas na postój. Znajdują się po zawietrznej stronie wzgórza, które tak naprawdę jest zastygłą lawą wielkiego i starego wulkanu leżącego pod Jekity. Wszędzie dookoła znajdują się tutaj naturalne tarasy, wyłobione w obsydianowych skałach przez deszcz, ale warstwa gleby jest tu zbyt cienka, by można ją uprawiać lub choćby zalesić. Kilka upartych drzew o korzeniach rosnących niemal równoległe do podłoża kołysze się nad pustymi, pokrytymi śniegiem tarasami, ale większość z nich zabiła już Piąta Pora Roku. Nassun i Schaffa będą mogli dostrzec potencjalne zagrożenie z dużym wyprzedzeniem.

Podczas gdy dziewczyna wyjmuje jedzenie, jej opiekun rysuje coś palcem na gładkiej tafli nawianego popiołu. Dziewczyna przekrzywia głowę i widzi dwa okręgi. Wewnątrz jednego z nich Schaffa szkicuje prowizoryczny zarys Bezruchu, który Nassun

zna ze szkoły – tym razem kontynent podzielony jest jednak na dwie części linią w pobliżu równika. Tak, to Pęknięcie, które stało się granicą bardziej nieprzebytą niż tysiące kilometrów oceanu.

Drugi z okręgów, przedstawiających najwyraźniej mapę świata, jest pusty z wyjątkiem pojedynczego punktu tuż ponad równikiem i nieco na wschód od środka. Schaffa nie rysuje żadnego kontynentu ani wyspy. Tylko ten jeden punkt.

– Kiedyś po pustej stronie świata było więcej miast – wyjaśnia. – W ciągu tysiącleci kilka cywilizacji zbudowało swoje siedziby pod wodą. Żadna z nich jednak nie przetrwała. Pozostał tylko Rdzeń.

Znajduje się on dosłownie na drugim końcu świata.

– Jak możemy się tam dostać?

– Jeśli... – Schaffa urywa. Widząc pusty wyraz na jego twarzy, Nassun czuje, że zaciska jej się żołądek. Tym razem on też krzywi się i zamyka oczy, jakby sama próba dotarcia do dawnego siebie nasiliła jego ból.

– Nie pamiętasz?

Schaffa wzdycha.

– Pamiętam, że kiedyś pamiętałem.

Nassun uświadamia sobie, że powinna się tego spodziewać. Zagryza wargę.

– Być może Stal wie.

Na twarzy Schaffy widać szybkie drgnięcie mięśnia.

– Być może.

Stal, który zniknął, kiedy Schaffa ukrywał ciała Stróżów, może słuchać ich z jakiejś pobliskiej skały. Czy to, że jeszcze się nie pojawił, żeby powiedzieć im, co mają robić, może coś znaczyć? Możliwe, że wcale go nie potrzebują.

– A co z Antarktycznym Fulcrum? Nie mają tam zapisków i tak dalej?

Nassun pamięta bibliotekę Fulcrum, którą widziała, zanim Schaffa i Umber usiedli z jego przywódcami, wypili z nimi bezpiecznik, a potem wszystkich ich zabili. Bibliotekę stanowiło dziwnie wysokie pomieszczenie, od podłogi po sufit wypełnione półkami z książkami. Nassun lubi książki – jej mama raz na kilka miesięcy potrafiła zaszaleć i kupić jakąś, a ona dostawała ją później, jeśli Jija uznał tytuł za odpowiedni dla dzieci – dlatego pamięta, jak gapiała się na tę bibliotekę pełna podziwu, bo w całym życiu nie widziała tylu książek. Na pewno niektóre z nich zawierały informacje na temat... bardzo starych miast, o których nikt nie słyszał i do których potrafiliby dotrzeć tylko Stróże. Hm. Hmmm.

– Raczej nie – odpowiada Schaffa, potwierdzając obawy Nassun. – Poza tym do tej pory Fulcrum zostało już pewnie przyłączone do innej wspólnoty, a może nawet przejęte przez bezwspólnotową hołotę. Mieli przecież pola jadalnych roślin, a ich domy nadawały się do zamieszkania. Wracanie tam byłoby błędem.

Nassun przygryza dolną wargę.

– A może... łodzią?

Nie wie nic o łodziach.

– Nie, maleńka. Łódź nie nadaje się na tak długą podróż.

Przerywa w znamienny sposób, a Nassun, dostrzegając w tym ostrzeżenie, próbuje

się na coś przygotować. Z bolesną pewnością czuje nagle, że to tutaj Schaffa ją opuści. To tutaj będzie chciał wiedzieć, co zamierza – a potem uzna, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Bo dlaczego miałby chcieć? Nawet ona wie, że jej zamiar jest czymś strasznym.

– Rozumiem przez to, że zamierzasz objąć kontrolę nad Wrotami Obelisków – mówi Schaffa.

Nassun zamiera. Schaffa wie, czym są Wrota Obelisków, podczas gdy ona dopiero tego ranka po raz pierwszy usłyszała tę nazwę od Stali? Ale przecież skałowiedza mówiąca o świecie, jego funkcjach i wszystkich jego dziwnych mechanizmach pozostała w nim nienaruszona. Utracił tylko rzeczy związane z dawnym sobą... co oznacza, że droga do Rdzenia jest czymś, co Stary Schaffa powinien wiedzieć.

– Ekhm, tak. Dlatego właśnie chcę się udać do Rdzenia.

Widząc jej zdziwienie, Schaffa nieznacznie się uśmiecha.

– Głównym celem stworzenia Odnalezionej Księżyca było odszukanie górotwora, który mógłby uruchomić Wrota.

– Co? Ale dlaczego?

Schaffa spogląda w niebo. Słońce zaczyna już zachodzić. Mogliby iść jeszcze przez jakąś godzinę, zanim zapadnie ciemność uniemożliwiająca dalszą wędrówkę. Schaffa patrzy na szafir, który nie zmienił swojej pozycji nad Jekity. Nieświadomie pocierając potylicę, obserwuje jego niewyraźny zarys za rzadkimi chmurami i kiwa głową, chyba sam do siebie.

– Ja, Nida i Umber – mówi. – Około dziesięciu lat temu... poinstruowano nas... żebyśmy wyruszyli na południe i znaleźli się nawzajem. Zabroniono nam szukania i trenowania górotworów mających potencjał do łączenia się z obeliskami. Musisz zrozumieć, że Stróże zazwyczaj tego nie robią, ponieważ istnieje tylko jeden powód, który może zachęcić górotwora do wejścia na drogę obelisku. Ale tego właśnie chciał Ziemia. Dlaczego? Nie wiem. W tamtym okresie... rzadko cokolwiek kwestionowałem. – Uśmiecha się, przelotnie i smutno. – Teraz pewnych rzeczy już się domyślam.

Nassun marszczy brwi.

– Jakich rzeczy?

– Tego, że Ziemia ma własne plany w stosunku do ludzko...

Nagle Schaffa napina się i chwieje, wsparty na kiju. Nassun podtrzymuje go, żeby się nie przewrócił, i odruchowo zarzuca sobie jego ramię na szyję. Jest spięty, ale nie opiera się. To oczywiste, że potrzebuje pomocy. To, że Ziemia jest na niego bardziej wściekły niż kiedykolwiek – być może dlatego, że Schaffa zdradza jego sekrety – jest równie wyczuwalne jak surowe, wściekłe pulsowanie srebra wzdłuż wszystkich nerwów i pomiędzy wszystkimi komórkami jego ciała.

– Nic nie mów – prosi Nassun z zaciśniętym gardłem. – Nic więcej, u rdzy, nie mów. Jeśli będzie cię tak bolało...

– To nade mną nie panuje – Schaffa wypowiada słowa w krótkich seriach między oddechami. – Nie zajęło mojego rdzenia. Może... nnh... wpędzić mnie do swojej budy, ale nie założy mi kagańca.

– Wiem. – Nassun gryzie się w wargę. Schaffa opiera się na niej ciężko, przez co

jej kolano, którym dotyka ziemi, odzywa się silnym bólem. Ona jednak nie zwraca na to uwagi. – Ale nie musisz teraz mówić tego wszystkiego. Domyślam się sama.

Wydaje jej się, że wszystko już wie. Nawiązując do jej umiejętności łączenia się z obeliskami, Nida powiedziała kiedyś: „Właśnie za to usuwano nas z Fulcrum”. Nassun wtedy tego nie rozumiała, ale teraz, znając w pewnym stopniu ogrom Wrót Obelisków, może się domyślać, dlaczego Ojciec Ziemia chce jej śmierci, skoro nie znajduje się już pod kontrolą Schaffy – a tym samym, pośrednio, pod jego kontrolą.

Nassun przygryza wargę. Czy Schaffa zrozumie? Nie jest pewna, czy zniosłaby, gdyby postanowił odejść – albo gdyby zwrócił się przeciwko niej. Bierze więc głęboki oddech.

– Stal twierdzi, że Księżyc wraca.

Przez chwilę Schaffa się nie odzywa. W jego milczeniu da się wyczuć zaskoczenie.

– Księżyc.

– On jest prawdziwy – wypala Nassun.

Choć tak naprawdę nie ma pojęcia, czy to prawda. Polega tylko na słowach Stali. Nie jest nawet pewna, czym jest księżyc – wie tylko, że to dawno zaginione dziecko Ojca Ziemi, jak mawiają legendy. A jednak w jakiś sposób czuje, że to, co mówi Stal, jest prawdą. Nie sejszy tego, a na niebie nie ma tłumaczących to nitek srebra, lecz w to wierzy, tak samo jak wierzy, że istnieje druga strona świata – choć nigdy jej nie widziała – że góry powstają tak, a nie inaczej, i że Ojciec Ziemia jest prawdziwym, żywym wrogiem. Niektóre prawdy są po prostu zbyt wielkie, by im zaprzeczać.

Ku jej zaskoczeniu Schaffa mówi jednak:

– Och, ja wiem, że Księżyc jest prawdziwy. – Być może ból nieznacznie osłabł; Schaffa tężeje na twarzy, spoglądając na rozmyty dysk słońca, który częściowo przebija przez chmury ponad horyzontem. – To akurat pamiętam.

– Ty... naprawdę? A więc wierzysz Stali?

– Wierzę tobie, maleńka, ponieważ górotwory wyczuwają przyciąganie Księżyca, kiedy ten pojawia się w pobliżu. Świadomość jego obecności jest tak samo naturalna jak sejszenie wstrząsów. Ale ja go widziałem – mówiąc to, skupia wzrok na Nassun. – Dlaczego zjadacz kamieni opowiadał ci o Księżycu?

Nassun bierze głęboki wdech i głośno wypuszcza powietrze.

– Ja naprawdę chciałam tylko mieszkać w jakimś ładnym miejscu. Mieszkać gdzieś z... z tobą. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby pracować i być porządnym członkiem wspólnoty. Może mogłabym być mędrzynią. – Czuje, jak zaciskają jej się szczęki. – Ale nie mogę tego zrobić, nie wszędzie. Musiałabym ukrywać to, czym jestem. A ja lubię górotwórstwo, kiedy nie muszę go ukrywać. Nie uważam, że posiadając je, i będąc... roggą... – przerywa, rumieni się i powstrzymuje chęć zanurzenia się we wstydzie z powodu wypowiedzenia tego złego słowa, ale złe słowo jest teraz odpowiednim słowem. – Nie uważam, że jestem przez to zła, dziwna czy okrutna...

Znowu przerywa i spycha myśli z tych torów, ponieważ prowadzą one prosto do stwierdzenia: „Ale zrobiłaś przecież bardzo złe rzeczy”. Nieświadomie obnaża zęby i zaciska pięści.

– To niesprawiedliwe, Schaffa. To niesprawiedliwe, że ludzie chcą, żebym była

dziwna albo zła, że sami czynią mnie złą... – Kręci głową, szukając właściwych słów. – Ja chcę być zwyczajna! Ale nie jestem i... i wszyscy, wielu ludzi... oni nienawidzą mnie, bo nie jestem zwyczajna. Jesteś jedyną osobą, która nie nienawidzi mnie za to... czym jestem. A to niesprawiedliwe.

– Masz rację. – Schaffa opiera się plecami o swój plecak. Wygląda na zmęczonego. – Ale mówisz tak, jakbyśmy mogli wymagać od ludzi, aby przewyciężali swoje lęki.

Choć nie mówi tego na głos, Nassun słyszy w głowie: „Jija nie potrafił”.

Zawartość żołądka podchodzi jej do gardła tak gwałtownie, że musi zasłonić usta dłonią i myśleć o popiele i o swoich zimnych uszach. W żołądku ma tylko parę zjedzonych przed chwilą daktyli, ale uczucie i tak jest okropne.

Schaffa o dziwo nie próbuje jej pocieszać. Obserwuje ją tylko, a na jego nieprzeniknionej twarzy odbija się wyłącznie zmęczenie.

– Wiem, że to niemożliwe. – Tak, mówienie pomaga. Żołądek wciąż szaleje, ale Nassun nie czuje już przynajmniej zbliżających się torsji. – Wiem, że oni, nieruchomi, nigdy nie przestaną się bać. Skoro mój ojciec nie mógł... – Mdłości. Nassun odsuwa od siebie drugą połowę tego zdania. – Oni zawsze będą się bać, a my zawsze będziemy tak żyć, i to jest niesprawiedliwe. Powinno być jakieś... rozwiązanie. To niesprawiedliwe, że nie można tego zakończyć.

– Ale czy chciałabyś to naprawić, maleńka? – pyta miękko Schaffa. Nassun uświadamia sobie, że już to odgadł. Zna ją znacznie lepiej, niż ona sama zna siebie, dlatego właśnie go kocha. – Czy zakończyć?

Nassun wstaje i zaczyna chodzić tam i z powrotem, zataczając niewielkie okręgi pomiędzy bagażami. Pomaga to na mdłości i na narastające, rozedrgane napięcie pod skórą, którego nie potrafi nazwać.

– Nie wiem, jak to naprawić.

Ale to nie jest cała prawda, a Schaffa wyczuwa kłamstwo, tak jak drapieżniki wyczuwają krew. Mruży oczy.

– A gdybyś wiedziała?

W tym momencie w głowie Nassun wybucha wspomnienie, którego nie dopuszczała do siebie przez ponad rok: wspomnienie ostatniego dnia w Tirimo.

Powrót do domu. Widok zdyszanego ojca stojącego pośrodku ich ziemianki. Zastanawianie się, co mu jest. Zastanawianie się, dlaczego nie do końca wygląda jak jej ojciec – zbyt szeroko otwarte oczy, usta zbyt obwisłe, ramiona przygarbione w jakiś bolesny sposób. Nassun pamięta, że spojrzała w dół.

Spojrzała i patrzyła, patrzyła, myślała: „Co to jest?”, i patrzyła, i myślała: „Czy to piłka?”. Dzieci w szkole grały w piłkę na przerwach, ale ich piłki były zrobione ze skóry, a to coś u stóp ojca ma dziwny odcień brązu, brązu z różowymi plamkami na całej powierzchni, jest miękkie, skórzaste i zwiotczałe. „Nie, to nie piłka. Zaraz, czy to jest oko?” Być może, ale zasłonięte jest tak dużą opuchlizną, że wygląda jak wielkie ziarno kawy. Nie, to nie piłka, bo znajdują się na tym ubrania jej brata, również spodnie, które założyła mu rano, kiedy Jija był zajęty przygotowaniem dla nich pojemników z obiadem do szkoły. Uche nie chciał nosić tych spodni, ponieważ był jeszcze dzieckiem

i lubił tylko wygłupy, więc Nassun wykonała dla niego taniec, kręcąc tyłkiem, i śmiał się tak głośno, tak głośno! Jego śmiech był ulubionym dźwiękiem Nassun, a kiedy skończyła tańczyć, w ramach podziękowania pozwolił jej założyć sobie spodnie, co znaczy, że ta zwiotczała piłka na podłodze to Uche. To jest Uche, to Uche...

– Nie – Nassun ciężko oddycha. – Nie naprawiłabym tego. Nawet gdybym wiedziała jak.

Przestała krążyć. Jedną dłoń opiera na brzuchu, drugą zaciska w pięść i przyciska do ust. Wypluwa w nią słowa, które tryskają jej z gardła, i dławi się nimi, trzymając się za brzuch, który jest pełen tak strasznych rzeczy, że musi pozwolić im się wydostać, inaczej ją rozerwą. Te rzeczy zniekształciły jej głos i zmieniły go w drżący warkot, który naprzemiennie staje się piskiem i rykiem, bo tylko tyle może zrobić, żeby po prostu nie zacząć wrzeszczeć.

– Nie naprawiłabym tego, Schaffa, nie naprawiłabym, przykro mi, nie chcę tego naprawiać, chcę zabić wszystkich, którzy mnie nienawidzą...

Ma tak ciężki brzuch, że nie może stać. Kuca, a potem osuwa się na kolana. Chce wymiotować, ale na ziemię, pomiędzy rozczapierzone dłonie, wypluwa tylko słowa.

– K-k-koniec! Chcę, żeby to wszystko się SKOŃCZYŁO, Schaffa! Chcę, żeby wszystko SPŁONEŁO, żeby umarło i żeby się skończyło, skończyło, żeby NIC nie zostało, koniec nienawiści, koniec zabijania, po prostu nic, z-zardzewiałe nic, nic NA ZAWSZE...

Twarde i mocne ręce Schaffy podnoszą ją z ziemi. Nassun okłada go pięściami. To nie jest złość ani strach – nigdy by go nie skrzywdziła. Musi po prostu w jakiś sposób upuścić część z tego, co ma w środku, bo w przeciwnym razie oszaleje. Po raz pierwszy rozumie swojego ojca, krzycząc, kopiąc, bijąc, gryząc i szarpiąc się za włosy i ubranie, i próbując uderzyć Schaffę czołem. Schaffa szybko obraca ją i obejmuje jednym ze swoich potężnych ramion, przyciskając jej ręce do ciała w taki sposób, żeby podczas tego uwalniania wściekłości nie skrzywdziła ani jego, ani siebie.

„Tak właśnie czuł się Jija – zauważyła odległa, oderwana, obeliskowa część jej samej. – Właśnie to się w nim obudziło, kiedy uświadomił sobie, że mama kłamała, że ja kłamałam i że Uche kłamał. Właśnie to kazało mu zrzucić mnie z wozu. Właśnie dlatego dziś rano pojawił się w Odnalezionym Księżycu ze szklanym nożem w dłoni”.

Tak. To Jija w środku niej sprawia, że bije na oślep, krzyczy i płacze. W tej chwili wściekłości Nassun czuje się bliższa ojcu niż kiedykolwiek wcześniej.

Schaffa trzyma ją tak długo, aż opada ją zmęczenie. W końcu wiotczeje, dygocze, dyszy i jęczy cicho, a jej twarz pokrywają łzy i smarki.

Kiedy staje się jasne, że Nassun już nie pęknie, Schaffa siada po turecku i bierze ją na kolana. Nassun przytula się do niego tak, jak kiedyś przytulało się do niego inne dziecko – wiele lat wcześniej i wiele kilometrów stąd powiedział tamtej dziewczynie, że aby żyć, musi zdać pewien sprawdzian. Sprawdzian Nassun już się odbył, nawet dawny Schaffa by się z tym zgodził. W całej swojej złości Nassun nie użyła górotwórstwa, nie sięgnęła też po srebro.

– Ciii – uspokaja ją Schaffa. Robi to już od pewnego czasu, gładząc ją po plecach i ocierając kciukiem łzy. – Ciii. Biedactwo. Byłem niesprawiedliwy. Przecież jeszcze dziś

rano... – wzdycha. – Ciii, maleńka. Odpoczywaj.

Nassun jest wykończona, wypełniają ją smutek i wściekłość, która przetacza się przez nią niczym lawa, roztopiając wszystko inne we wrzącą masę. Smutek, wściekłość i jeszcze jedno uczucie.

– Jesteś jedynym człowiekiem, którego kocham, Schaffa – jej głos jest surowy i zmęczony. – Jesteś jedynym powodem, dla którego nie zrobiłabym. Ale... ale ja...

Schaffa całuje ją w czoło.

– Zakończ to tak, jak musisz, Nassun.

– Nie chcę. – Przetyka ślinę. – Chcę, żebyś... żebyś żył!

Schaffa cicho się śmieje.

– Pomimo tego wszystkiego, przez co przeszedłeś, nadal jesteś dzieckiem.

Te słowa sprawiają Nassun ból, ale oczywiste jest, co chciał w ten sposób powiedzieć. Nie może jednocześnie zniszczyć całej nienawiści świata i pozwolić Schaffie żyć. Musi wybrać tylko jedno zakończenie.

Chwilę później Schaffa powtarza jednak pewnym głosem:

– Zakończ to tak, jak musisz.

Nassun odsuwa się, żeby na niego spojrzeć. On znowu się uśmiecha, a spojrzenie ma trzeźwe.

– Co?

Ściska ją, bardzo delikatnie.

– Jesteś moim odkupieniem, Nassun. Jesteś wszystkimi dziećmi, które powinienem kochać i chronić, nawet przed samym sobą. A jeśli przyniesie ci to spokój... – Całuje ją w czoło. – To będę twoim Stróżem, dopóki nie spłonie świat, maleńka.

To błogosławieństwo i ukojenie. Mdłości w końcu przestają nękać. W ramionach Schaffy, bezpieczna i akceptowana, Nassun wreszcie zasypia, aby śnić o żarzącym się, roztopionym świecie, który na swój sposób też zaznaje spokoju.

– Stal – woła następnego ranka.

Stal pojawia się przed nimi na środku drogi, z rękami założonymi na piersi i wyrazem lekkiego rozbawienia na twarzy.

– Najlepsza droga do Rdzenia relatywnie wcale nie jest długa – odpowiada na pytanie Nassun o to, czego nie wiedział Schaffa. – Zajmuje około miesiąca. Oczywiście... – urywa. Zaproponował, że sam zabierze Nassun i Schaffę na drugą stronę świata, co najwyraźniej zjadacze kamieni potrafią robić. Oszczędziłoby im to wiele trudów i niebezpieczeństw, ale musieliby powierzyć swoje życia Stali, który w jakiś dziwny, przerażający sposób przeniósłby ich pod ziemią.

– Nie, dziękujemy – powtarza Nassun. Nie pyta Schaffy o zdanie, mimo że ten stoi niedaleko, oparty o kamień. Nie musi go pytać. Oczywiście jest, że Stal interesuje się wyłącznie Nassun. Nie byłoby niczym dziwnym, gdyby w drodze do Rdzenia zapomniał o Schaffie albo gdzieś go zgubił. – Ale czy mógłbyś powiedzieć nam coś o miejscu, do którego chcemy się udać? Schaffa nic nie pamięta.

Stal przenosi swój szary wzrok na Stróża. Ten uśmiecha się do niego z pozornym

spokojem. Nawet srebro w jego ciele uspokaja się na ten moment. Być może Ojciec Ziemia też nie lubi Stali.

– To miejsce nazywa się stacją – wyjaśnia po chwili Stal. – Jest stare. Moglibyście je nazwać pozostałościami po wymarłej cywilizacji, ale jest nienaruszone i mieści się wewnątrz innego zbioru pozostałości, które też są nienaruszone. Dawno temu ludzie używali stacji, a raczej trzymany tam pojazdów, aby podróżować na duże odległości o wiele skuteczniej niż na nogach. Dziś jednak tylko my i Stróże pamiętamy, że stacje istnieją – jego uśmiech, który nie zmienił się od początku, jest krzywy i nieruchomy. Wydaje się przeznaczony dla Schaffy.

– Wszyscy płacimy za moc – mówi Schaffa. Jego głos jest chłodny i gładki, tak jak zawsze, kiedy myśli o zrobieniu czegoś złego.

– Tak – odpowiada Stal i robi odrobinę zbyt długą przerwę. – Używając tej metody transportu, również należy zapłacić pewną cenę.

– Nie mamy pieniędzy ani niczego wartościowego – stwierdza Nassun ze smutkiem.

– Na szczęście są inne metody. – Stal przyjmuje nagle inną pozę. Twarz skierowaną ma ku górze. Nassun podąża za jego wzrokiem i widzi... och! Przez noc szafir odrobinę się zbliżył. Teraz znajduje się w połowie odległości pomiędzy nimi a Jekity.

– Stacja pochodzi z czasów sprzed Piątych Pór Roku – ciągnie Stal. – Nie było jeszcze wtedy obelisków. Wszystkie pozostałości tamtej cywilizacji wykorzystują to samo źródło energii.

– Masz na myśli – Nassun robi głęboki wdech – srebro.

– Tak to właśnie nazywacie? Jakże poetycko.

Nassun, lekko skrepowana, wzrusza ramionami.

– Nie wiem, jak inaczej miałabym to nazywać.

– Och, ależ ten świat się zmienił. – Nassun marszczy brwi, ale Stal nie wyjaśnia tego tajemniczego stwierdzenia. – Idźcie tą drogą, aż dotrzecie do Fałdy Starca. Wiecie, gdzie to jest?

Nassun pamięta, że dawno temu widziała to miejsce na mapach Antarktyki. Chichotała wtedy, odczytując jego nazwę. Zerka na Schaffę, który kiwa głową i odpowiada:

– Znajdziemy.

– W takim razie spotkamy się na miejscu. Ruiny znajdują się dokładnie pośrodku lasu traw, w wewnętrznym pierścieniu. Wejdźcie do Fałdy tuż po świcie. Nie ociągajcie się po drodze, nie chcielibyście zostać w lesie po zmierzchu. – Po tych słowach Stal przerywa i przyjmuje nową, pełną zamyślenia pozycję. Spogląda w bok, dotykając brody palcami. – Myślałem, że to będzie twoja matka.

Schaffa nieruchomieje. Nassun jest zaskoczona nagłym przypiływem gorąca, a potem zimna. Powoli, przedzierając się przez to dziwne kłębowisko emocji, pyta:

– Co masz na myśli?

– Spodziewałem się, że to ona to wszystko zrobi. – Stal nie wzrusza ramionami, ale w jego głosie słychać pewną obojętność. – Naraziłem na niebezpieczeństwo jej wspólnotę. Jej przyjaciół i ludzi, na których jej dziś zależy. Sądziłem, że kiedy obróca się

przeciwko niej, ta decyzja wyda jej się słuszna.

Ludzi, na których jej dziś zależy.

– Już jej nie ma w Tirimo?

– Nie. Dołączyła do innej wspólnoty.

– A oni... nie obrócili się przeciwko niej?

– Nie. O dziwo. – Stal przenosi na nią wzrok. – Ona wie, że tu jesteś. Wrota jej powiedziały. Ale nie idzie tutaj, przynajmniej jeszcze nie teraz. Chce, żeby najpierw jej przyjaciele znaleźli się w bezpiecznym miejscu.

Nassun zaciska zęby.

– Już i tak nie ma mnie w Jekity. A niedługo ona nie będzie miała Wrót, więc nie zdoła mnie znaleźć.

Stal zwraca się całkowicie w jej stronę, jego ruch jest zbyt powolny i gładki, by można pomylić go z ludzkim, natomiast jego zdumienie wydaje się autentyczne. Nassun nie cierpi tej jego powolności. Przyprawia ją o gęsią skórkę.

– W rzeczy samej, nic nie trwa wiecznie – stwierdza Stal.

– Co to znaczy?

– Tylko tyle, że cię nie doceniałem, mała Nassun. – Dziewczynka natychmiast czuje niechęć do tego zwrotu. Zjadacz kamieni wraca do swojej zamyślonej pozy, tym razem szybko, co sprawia jej ulgę. – Chyba lepiej, abym więcej tego nie robił.

Z tymi słowami znika. Marszcząc brwi, Nassun patrzy na Schaffę, który kręci głową. Każde z nich zarzuca torbę na ramię i ruszają na zachód.

2400: Wschodnia Równikiada (sprawdzić, czy sieć węzłów w tym regionie była słaba, ponieważ...), wspólnota nieznana. Stara lokalna pieśń o pielęgniarce, która powstrzymała nagłą erupcję i lawinę piroklastyczną, zamieniając ją w lód. Jeden z jej pacjentów obronił ją przed tłumem, przyjmując na siebie wystrzelony bełt z kuszy. Tłum ją puścił, kobieta zniknęła.

Notatki Yaetr Innowatorki Dibars

Syl Anagist: cztery

Wszystkie rodzaje energii są tym samym i choć kryją się pod różnymi nazwami, reprezentują tak naprawdę różne stany tego samego. Ruch tworzy ciepło, które jest również światłem, które przepływa falami niczym dźwięk. Ten z kolei zacieśnia lub rozluźnia międzycząsteczkowe powiązania kryształu, szumiące raz słabiej, raz mocniej. Lustrzanym odbiciem tego wszystkiego jest magia, pulsująca mieszanina życia i śmierci.

Oto nasza rola: splatanie tych osobnych energii. Manewrowanie nimi, osłabianie ich i wykorzystywanie pryzmatu naszej świadomości do tworzenia niezwyklej siły, której nie da się powstrzymać. Zmienianie kakofonii w symfonię. Wielka machina nazywana silnikiem plutonicznym to instrument. My jesteśmy jego stroicielami.

A oto cel: geoaranżacja. Geoaranżacja ma służyć wytworzeniu cyklu energetycznego o nieskończonej wydajności. Jeśli nam się uda, świat nigdy nie zazna już wojny ani głodu... a przynajmniej takie otrzymujemy informacje. Konduktorzy nie mówią nam wiele więcej ponad to, co musimy wiedzieć, aby wypełniać nasze zadania. Wystarczy, że wiemy, że pomożemy – mali, nieistotni „my” – wejść ludzkości na nową ścieżkę prowadzącą do niewyobrażalnie świetlanej przyszłości. Wprawdzie jesteśmy tylko narzędziami, ale doskonałymi i wykorzystywanymi do realizacji wielkiego celu. Łatwo odczuć z tego powodu dumę.

Jesteśmy tak silnie zestrojeni ze sobą nawzajem, że utrata Tettlewchy przez pewien czas sprawia nam kłopot. Kiedy gromadzimy się, aby stworzyć naszą inicjującą sieć, okazuje się ona nieźrównoważona. Tettlewcha był naszym kontratenorem i odpowiadał za średnie długości fal spektrum; bez niego to ja jestem najbliższy tym wartościom, ale mój naturalny rezonans jest odrobinę zbyt wysoki. Powstała sieć jest słabsza, niż powinna. Nasze nici zasilające próbują sięgać do pustych rejestrów Tettlewchy.

Ostatecznie to Gaewha jakoś wypełnia brakujące miejsce. Sięga głębiej i rezonuje mocniej, wypełniając lukę. Poświęcamy kilka dni na odnowienie wszystkich połączeń sieci, aby stworzyć w ten sposób nową harmonię – nie jest to trudne, a jedynie czasochłonne. Robimy to nie po raz pierwszy.

Kelenli przyłącza się do nas tylko czasami. To frustrujące, ponieważ jej głos – głęboki, mocny, aż cierpki w swojej ostrości – jest wręcz idealny. Lepszy niż głos Tettlewchy, o większej skali niż nasze wszystkie razem wzięte. Konduktorzy powiedzieli nam jednak, że mamy się do niej nie przyzwyczajać.

– Pomoże przy uruchamianiu silnika, ale tylko pod warunkiem że nie zdoła nauczyć was tego, co sama potrafi – oświadczył jeden z nich, kiedy o to zapytałem. – W Dniu Wdrożenia konduktor Gallat chce mieć ją w gotowości.

Pozornie wydaje się to sensowne.

Kiedy Kelenli jest razem z nami, przejmuje dowodzenie. To naturalne, ponieważ jej obecność jest znacznie potężniejsza od naszych. Dlaczego? Czy to wynik tego, jak została skonstruowana? Nie, chodzi o coś innego. O ten... wstrzymany ton. O nieustający żar w środkowych rejestrach jej zrównoważonych nici, w ich centrum – żar, którego nikt z nas nie rozumie. Podobny żar znajduje się w każdym z nas, ale te nasze są słabe, tylko

czasami rozpalają się bardziej, lecz szybko powracają do stanu uśpienia. Jej żar płonie stabilnie, najwyraźniej zasilany niekończącym się paliwem.

Konduktorzy odkryli, że niezależnie od tego, czym jest ten żar wstrzymanego tonu, pięknie zazębia się z żarłocznym chaosem onyksu. To onyks sprawuje kontrolę nad kaboszonem całego silnika plutonicznego, a choć istnieją inne metody uruchomienia silnika – bardziej brutalne i wymagające użycia podsieci albo kamienia księżycowego – w Dniu Wdrożenia z całą pewnością będziemy potrzebować precyzji i kontroli onyksu. Bez tego szanse skutecznego uruchomienia geoaranżacji znacznie maleją... Dotychczas nikt z nas nie miał jednak siły utrzymać onyksu dłużej niż przez kilka minut. Dlatego z podziwem obserwujemy, jak Kelenli ujarzmia go przez dobrą godzinę, a potem, odłączywszy się, wydaje się niewzruszona. Kiedy my łączymy się z onyksem, on nas karze, odziera nas ze wszystkiego, co nie jest nam niezbędne, przez co zapadamy później w sen na wiele godzin lub dni. W jej przypadku jest jednak inaczej. Onyks ją lubi. To wyjaśnienie jest irracjonalne, ale przychodzi do głowy nam wszystkim, dlatego tak właśnie zaczynamy o tym myśleć. Teraz Kelenli musi nauczyć nas bardziej dać się lubić onyksowi na wypadek jej nieobecności.

Kiedy kończymy dostrajanie i uwalniają nas z drucianych krzeseł podtrzymujących nasze ciała podczas pracy mózgow, kiedy chwiejemy się i opieramy o konduktorów, aby wrócić jakoś do swoich kwater... kiedy wszystko to dobiega końca, odwiedza nas ona. Przychodzi do każdego z osobna, aby konduktorzy niczego nie podejrzewali. Podczas spotkań w cztery oczy mówi na głos bzdury, a równocześnie z sensem przemawia w ziemi.

Wyjaśnia, że czuje się dokładniejsza od większości z nas, ponieważ jest bardziej doświadczona. Wcześniej mieszkała poza kompleksem budynków, które otaczają lokalny komponent i które od momentu odsiania stanowią cały nasz świat. Odwiedziła więcej węzłów Syl Anagist niż tylko ten, w którym my żyjemy; widziała i dotykała innych komponentów oprócz naszego ametystu. Była nawet w Strefie Zero, gdzie znajduje się kamień księżycowy. Wszyscy nie możemy się temu nadziwić.

– Znam kontekst – mówi do nas, a raczej do mnie. Siedzi obok mnie na kanapie. Ja leżę twarzą w dół, przy oknie, zwrócony do niej tyłem. – Kiedy go poznasz, też będziesz tak wyostrozony.

(Porozumiewamy się, używając ziemi do nadania znaczenia temu, co mówimy na głos. Jej słowa brzmią: „Jestem starsza”, a jednostajne osiadanie echa w ziemi wzbogaca tę wypowiedź o szczegóły. Kelenli jest metamorficzna – przeszła przemianę, aby móc znieść niewyobrażalne ciśnienie. Aby uprościć tę opowieść, w miarę możliwości będę tłumaczył naszą rozmowę na język mówiony).

– Byłoby dobrze, gdybyśmy już teraz byli tak wyostrozeni jak ty – odpowiadam zmęczonym głosem. Nie narzekam. Dni dostrajania zawsze są trudne. – Pokaż nam kontekst, żeby onyks zaczął mnie słuchać, a głowa przestała boleć.

Kelenli wzdycha.

– Wśród tych ścian nie ma nic, czym mógłbyś się naostrzyć. – (Okruchy złości, zmielone i szybko rozrzucone. „Trzymali was tu bezpiecznych, z dala od zagrożenia”). – Myślę jednak, że gdybym zdołała wyprowadzić was na zewnątrz, mogłabym wam pomóc.

– Pomóc... się naostrzyć?

(Uspokaja mnie dotykiem. „Okazywanie ci, że jesteś tępy, to żadna uprzejmość”).

– Musicie więcej się o sobie dowiedzieć. Musicie się dowiedzieć, czym jesteście.

Nie wiem, dlaczego myśli, że nie wiem.

– Jestem narzędziem.

– Jeśli tak, to czy nie powinieneś zostać wykonany w jak najlepszy sposób?

Jej głos jest spokojny. Jednocześnie krótki, wściekły zgrzyt ziemi – cząsteczki powietrza drżą, a gleba pod nami kompresuje się, wywołując chrzęst na granicy wyczuwalności – mówi mi, że Kelenli żałuje, że to powiedziała. Odwracam głowę w jej stronę i nie mogę się nadziwić, że na jej twarzy w ogóle tego nie widać. To kolejna rzecz, która łączy ją z nami wszystkimi. Dawno temu nauczyliśmy się nie okazywać nad powierzchnią ziemi bólu, strachu czy smutku. Konduktorzy mówią, że stworzono nas, abyśmy byli jak posągi – zimni, nieruchomi, milczący. Nie wiemy, dlaczego uważają, że rzeczywiście tacy jesteśmy; przecież w dotyku jesteśmy tacy jak oni. Odczuwamy emocje tak samo, jak oni wydają się je odczuwać, choć w mniejszym stopniu uwidaczniają się one w naszej mimice i gestach. Być może to z powodu mowy w ziemi? (Której konduktorzy najwyraźniej nie wychwytyją. To dobrze. W ziemi możemy być sobą). Nigdy nie było dla nas jasne, czy stworzono nas niewłaściwie, czy może to oni sami niewłaściwie nas postrzegają. I czy w ogóle ma to jakieś znaczenie.

Na zewnątrz Kelenli jest opanowana, za to w środku płonie. Obserwuję ją tak długo, że w końcu, gdy dochodzi do siebie, przyłapuje mnie na tym, że się na nią gapię. Uśmiecha się.

– Myślę, że mnie lubisz.

Zastanawiam się nad znaczeniem tych słów.

– Nie w tym sensie – odpowiadam z nawyku.

Kiedyś musiałem się z tego tłumaczyć młodszym konduktorom i innym osobom. Przypominamy posągi również pod tym względem – po wdrożeniu projektu okazaliśmy się zdolni do kopulacji, ale zupełnie nią niezainteresowani, a na wszelki wypadek również bezpłodni. Czy w przypadku Kelenli wygląda to podobnie? Nie, konduktorzy powiedzieli, że różni się od zwykłych ludzi tylko pod jednym względem: ma podobne do naszych potężne, skomplikowane i elastyczne sejsody.

– W takim razie mamy szczęście, że nie mówiłam o seksie. – Bije od niej nierówny szum rozbawienia; niepokoi mnie to, a jednocześnie cieszy. Nie wiem dlaczego.

Nieświadoma mojego nagłego skołowania Kelenli wstaje.

– Wróć – mówi, po czym wychodzi.

Nie wraca przez kilka dni. Pozostaje jednak luźną częścią sieci, dlatego jest obecna podczas naszych przebudzeń, posiłków, wypróżnień i naszych nieforemnych snów; jest obecna w naszej dumie z samych siebie i z innych. Nie mamy wtedy wrażenia, że nas obserwuje – nawet jeśli tak jest. Nie mogę mówić za innych, ale ja lubię, kiedy jest w pobliżu.

Nie wszyscy lubią Kelenli. Szczególnie Gaewha jest jej przeciwna, co okazuje podczas naszej prywatnej rozmowy.

– Pojawia się dokładnie wtedy, kiedy tracimy Tettlewhę? Kiedy nasz projekt zbliża

się do realizacji? Ciężko pracowaliśmy, żeby stać się tym, czym jesteśmy. A po wszystkim to ją będą chwalić za naszą pracę, tak?

– Ona jest z nami tylko na wszelki wypadek – tłumaczę – i chce tego samego co my. Musimy z nią współpracować.

– Tylko tak twierdzi – wtrąca Remwha, który uważa się za mądrzejszego od nas wszystkich. (Zostaliśmy obdarzeni dokładnie taką samą inteligencją. Remwha to po prostu dupek). – Konduktorzy nie bez powodu trzymali dotąd jej stronę. Może nam narobić problemów.

Uważam, że to głupie, ale nie mówię tego nawet w języku ziemi. Wszyscy jesteśmy częścią wielkiej maszyny. To, co pozwala maszynie lepiej funkcjonować, ma dla nas znaczenie – to, co nie ma z tym związku, jest znaczenia pozbawione. Gdyby Kelenli mogła narobić nam problemów, Gallat wysłałby ją na wrzosową grzędę razem z Tettlewhą. Wszyscy to rozumiemy. Gaewha i Remwha są po prostu marudni.

– Jeśli Kelenli może sprawiać kłopoty, w końcu się o tym przekonamy – stwierdzam dobitnie. Nie kończy to sporu, ale przynajmniej odsuwa go na później.

Kelenli wraca następnego dnia. Konduktorzy zwołują nas wszystkich, aby to wyjaśnić.

– Kelenli zaproponowała, że zabierze was na misję, podczas której będziecie mogli się dostroić – tłumaczy mężczyzna, który przyszedł przekazać nam instrukcje. Jest szczupły i dużo wyższy od nas, nawet od Kelenli. Nosi ubrania idealnie zestawione pod względem kolorystycznym, z ozdobnymi guzikami. Ma długie czarne włosy, a jego skóra jest biała, choć nie aż tak biała jak nasza. Za to jego oczy są bardzo podobne do naszych – biel pośród bieli. Są białe niczym lód. Nigdy wcześniej nie spotkaliśmy człowieka o oczach takich jak nasze. To konduktor Gallat, kierownik całego projektu. Myślę o nim jako o plutonicznym odłamku – czystym i diamentowobiałym. Jest precyzyjnie ukształtowany, wymuskany i piękny. Jest również śmiertelnie niebezpieczny dla tych, którzy obchodzą się z nim nieostrożnie. Staramy się nie myśleć o tym, że to on zabił Tettlewhę.

(Nie jest tym, kim myślisz. Chcę, żeby Gallat przypominał go tak samo, jak ty chcesz być podobna do niej. To efekt działania wadliwej pamięci).

– Będziemy mogli się... dostroić – powtarza powoli Gaewha, aby pokazać, że nie rozumie.

Kelenli otwiera usta, ostatecznie jednak odwraca się do Gallata. Ten uśmiecha się dobrotliwie.

– Mieliśmy nadzieję, że wszyscy osiągniecie poziom Kelenli, ale wciąż pozostajecie daleko w tyle. – Cali się napinamy pod wpływem tej krytyki, ale on tylko wzrusza ramionami. – Konsultowałem się z główną biomag, która zapewnia, że nie ma istotnych różnic w waszych umiejętnościach. Macie te same możliwości co ona, ale nie przekuwacie ich na te same zdolności. Istnieje wiele potencjalnych modyfikacji, które moglibyśmy wprowadzić, aby spróbować wyeliminować tę rozbieżność, na przykład tak zwane szlifowanie, ale nie chcielibyśmy podejmować podobnego ryzyka tuż przed wdrożeniem.

W tej samej chwili wszyscy rezonujemy dokładnie tak samo: jesteśmy zadowoleni.

– Powiedziała, że jest tu, aby uczyć nas kontekstu – odzywam się bardzo ostrożnie. Gallat kiwa głową, patrząc na mnie.

– Kelenli uważa, że rozwiązaniem jest praktyka na zewnątrz. Zwiększona ekspozycja na stymulanty, sprawdzenie zdolności rozwiązywania problemów, tego typu rzeczy. Pomysł wydaje się sensowny i mało inwazyjny, jednak dla dobra projektu nie możemy wysłać was wszystkich równocześnie. Bo gdyby coś się wydarzyło... Podzielimy was zatem na dwie grupy. Ponieważ jest tylko jedna Kelenli, oznacza to, że połowa z was wyjdzie z nią teraz, a druga połowa za tydzień.

Praktyka na zewnątrz. Wychodzimy na zewnątrz. Desperacko pragnę znaleźć się w pierwszej grupie, ale dobrze wiemy, że nie wolno nam okazywać pragnień przed konduktorami. Narzędzia nie powinny w tak oczywisty sposób dawać do zrozumienia, że chcą uciec ze skrzynki.

Zamiast tego mówię więc:

– Jesteśmy ze sobą wystarczająco zestrojeni nawet bez takiej misji. – Mój głos jest beznamiętny. To głos posągu. – Symulacje wykazują, że zgodnie z przewidywaniami jesteśmy w stanie kontrolować silnik.

– A poza tym równie dobrze moglibyśmy podzielić się na sześć grup, a nie tylko na dwie – dodaje Remwha. Słyszając tę idiotyczną sugestię, wyczuwam jego podekscytowanie. – Czy doświadczenia każdej z grup nie będą się różnić? Jak rozumiem... na zewnątrz... nie ma możliwości kontrolowania spójności ekspozycji. Skoro mamy poświęcić na to czas, który przeznaczylibyśmy na przygotowania, to z pewnością należałoby zrobić to przy zachowaniu minimalnego ryzyka, prawda?

– Moim zdaniem podział na sześć grup nie byłby ani wydajny, ani efektywny ze względu na koszty – stwierdza Kelenli, po cichu chwając nas za tę grę aktorską i okazując rozbawienie. Spogląda na Gallata i wzrusza ramionami, nie próbując nawet udawać braku emocji; wygląda na zwyczajnie znudzoną. – Równie dobrze zamiast dwóch czy sześciu grup możemy utworzyć jedną. Możemy zaplanować trasę i umieścić po drodze dodatkowe straże, a do nadzoru i wsparcia zaangażować policję węzłową. Szczerze mówią. Organizowanie więcej niż jednej wyprawy spowoduje ryzyko, że negatywnie nastawieni mieszkańcy przewidzą trasę kolejnej i zaplanują jakieś... nieprzyjemności.

Wszyscy jesteśmy zaintrygowani tymi potencjalnymi nieprzyjemnościami. Kelenli tłumi nasze pełne ekscytacji drżenie.

Konduktor Gallat krzywi się na jej słowa. Trafiła w dziesiątkę.

– Pójdziecie ze względu na możliwość zdobycia nowych umiejętności – mówi do nas. Nadal się uśmiecha, ale za tym grymasem kryje się teraz coś jeszcze. Czy to możliwe, by wydać rozkaz z tak nieznacznym naciskiem? Wibracje słyszalnej mowy są ledwie wyczuwalne. Wnioskuje po tym, że nie tylko pozwoli nam iść, ale również, że zmienił zdanie odnośnie do wysyłania kilku grup. Po części dlatego, że sugestia Kelenli była najbardziej sensowna, a po części ponieważ zdenerwował go nasz pozorny opór.

Ach, Remwha jak zawsze pozwala dojść do głosu swoim irytującym cechom, jakby wymachiwał charakterem niczym diamentowym dłutem. „Świetna robota”, pulsuję. Odpowiada mi falą uprzejmego podziękowania.

Mamy wyruszyć jeszcze tego samego dnia. Młodszy konduktor przynosi do

mojej kwatery ubranie odpowiednie na wyprawę: grubszą odzież i buty. Ostrożnie wciągam je na siebie, zafascynowany różnorodnością tekstur, następnie siadam w milczeniu, a młodszy konduktor zaczyna splatać mi włosy w pojedynczy biały warkocz.

– Czy to konieczne do wyjścia na zewnątrz? – pytam. Jestem naprawdę ciekaw, ponieważ konduktorzy noszą różne fryzury. Niektórych z nich nie mogę naśladować, ponieważ moje włosy są grube i sztywne i nie dają się prostować ani układać w loki. Tylko my takie mamy. Ich są bardzo różnorodne.

– Może pomóc – odpowiada konduktor. – Będziecie się wyróżniać tak czy inaczej, ale im bardziej zwyczajny wygląd wam nadamy, tym lepiej.

– Ludzie będą wiedzieli, że jesteśmy częścią silnika – oświadczam dumnie i nieznacznie się prostuję.

Jego palce na chwilę zwalniają. Nie sędzę, by to zauważył.

– To nie do końca... Bardziej prawdopodobne, że wezmą was za coś innego. Ale nie martw się, postawimy po drodze strażę, żeby mieć pewność, że nie wystąpią żadne problemy. Strażnicy będą dyskretni. Kelenli twierdzi zresztą, że nie można wzbudzić w was poczucia bezpieczeństwa, nawet jeśli jesteście bezpieczni.

– Bardziej prawdopodobne, że wezmą nas za coś innego – powtarzam powoli, w zamyśleniu.

Jego palce poruszają się gwałtownie, pociągając kilka kosmyków mocniej, niż to konieczne. Nie krzywię się ani nie odsuwam. Lepiej się czują, uważając nas za posągi, a posągi nie powinny odczuwać bólu.

– No cóż, jest wprawdzie taka możliwość, ale musieliby wiedzieć, że nie jesteście... to znaczy... – wzdycha. – Och, na Złą Śmierć. To skomplikowane. Nie przejmuj się tym.

Konduktorzy mówią to za każdym razem, kiedy popełniają jakiś błąd. Nie przekazuję tego od razu pozostałym, ponieważ ograniczamy komunikację poza wyznaczonymi spotkaniami. Ludzie, którzy nie są stroicielami, potrafią postrzegać magię wyłącznie prymitywnymi sposobami; wykorzystują maszyny i przyrządy, aby robić to, co dla nas jest naturalne. A jednak do pewnego stopnia nadzorują nas, dlatego nie możemy pozwolić, by się dowiedzieli, że ich podsłuchujemy i potajemnie porozumiewamy się między sobą.

Niedługo później jestem już gotowy. Po rozmowie przy winie z innymi konduktorami mój postanawia natrzeć mi twarz farbą oraz pudrem. Dzięki temu mam wyglądać jak oni. Tak naprawdę wyglądam po tym zabiegu jak ktoś, komu białą skórę pomalowano na brązowo. Kiedy pokazuje mi lusterko, moja mina chyba wyraża powątpiewanie, bo konduktor wzdycha i tłumaczy, że nie jest malarzem.

Następnie prowadzi mnie do miejsca, które widziałem wcześniej zaledwie kilka razy: to hol na parterze budynku, w którym mieszkam. Ściany nie są tutaj białe; pozwolono, aby ozdobiły je naturalna zieleń oraz brąz samoodbudowującej się celulozy. Ktoś zasiał pnące truskawki, które odznaczają się bielą kwiatów i czerwienią dojrzałych owoców; wygląda to ślicznie. Nasza szóstka stoi w pobliżu oczka wodnego, czekając na Kelenli i próbując nie zwracać uwagi na członków personelu, chodzących we wszystkich

kierunkach i rzucających nam ciekawskie spojrzenia. To musi być dla nich niecodzienny widok: sześć nietypowo niskich osób o nastroszonych białych włosach i pomalowanych twarzach, z ustami ułożonymi w defensywnie uprzejme uśmiechy. Jeśli są tu jacyś strażnicy, to nie potrafimy odróżnić ich od gapiów.

Kiedy jednak zbliża się do nas Kelenli, w końcu ich dostrzegam. Ci, którzy jej towarzyszą, wcale nie próbują być dyskretni – to wysoka brązowa kobieta i mężczyzna, który mógłby być jej bratem bliźniakiem. Uświadamiam sobie, że widziałem ich już wcześniej – odprowadzali Kelenli podczas jej poprzednich wizyt. Kiedy Kelenli zbliża się do nas, pozostają z tyłu.

– Jesteście gotowi. Dobrze – mówi. Następnie dotyka policzka Dushwhy i lekko się krzywi. Na jej kciuku pozostaje puder. – Serio?

Zakłopotany Dushwha odwraca wzrok. My, stroiciele, nie lubimy być zmuszani do naśladowania naszych stwórców – ani pod względem odzieży, ani płci, a już na pewno nie w taki sposób.

– To ma pomóc – stwierdza smutno, próbując chyba przekonać samego siebie.

– Ale sprawia, że wyglądacie jeszcze bardziej podejrzanie. Poza tym oni i tak wiedzą, czym jesteście. – Odwraca się i spogląda na strażniczkę. – Zabieram ich, żeby wyczyścić to świństwo. Chcecie mi pomóc?

Kobieta patrzy na nią w milczeniu. Kelenli śmieje się do siebie. Brzmi to naprawdę wesoło.

Prowadzi nas do pomieszczenia toaletowego. Strażnicy czekają na zewnątrz, a ona ochlapuje nam twarze wodą i ściera farbę chłonną ścierką. Coś przy tym nuci. Czy to oznacza, że jest szczęśliwa? Kiedy chwyta mnie za rękę, żeby zetrzeć mi brud z twarzy, przyglądam się jej, próbując to zrozumieć. Zauważa to, a jej wzrok staje się przenikliwy.

– Jesteś myślicielem – stwierdza. Nie wiem, co chce przez to powiedzieć.

– Jak my wszyscy – odpowiadam. Pozwalam sobie na drobny dygot uzupełnienia. „Bo musimy”.

– Dokładnie. Myślicie więcej, niż musicie – najwyraźniej farba tuż przy linii moich włosów okazuje się szczególnie oporna. Kelenli szoruje to miejsce, krzywi się, dalej szoruje, w końcu wzdycha, namacza ścierkę i wraca do szorowania.

Nadal wpatruję jej się w twarz.

– Dlaczego śmiejesz się z ich strachu?

To głupie pytanie. Powinienem zadać je w ziemi, a nie na głos. Kelenli przestaje wycierać mi twarz. Remwha spogląda na mnie karcąco i kieruje się do wyjścia. Słyszę, jak prosi stojącego tam strażnika, aby zapytał konduktora, czy bez warstwy farby na twarzy nie jesteśmy narażeni na oparzenia słoneczne. Strażnik wybucha śmiechem i woła swoją koleżankę, żeby powtórzyć jej pytanie, jakby to było coś zabawnego. Kelenli wraca do szorowania mi twarzy.

– A dlaczego miałabym się nie śmiać? – pyta.

– Gdybyś się nie śmiała, bardziej by cię lubili. – W ziemi uzupełniam: „Wyrównanie, harmonijne zazębienie, uległość, pojednanie, złagodzenie. Jeśli chce być lubiana”.

– Może ja nie chcę być lubiana – wzrusza ramionami, odwracając się, żeby

ponownie zmoczyć ścierkę.

– Ale mogłabyś. Jesteś taka jak oni.

– Niewystarczająco.

– Ale bardziej niż ja. – To oczywiste. Jest piękna jak oni, normalna jak oni. –

Gdybyś spróbowała...

Kelenli śmieje się ze mnie. Instyktownie wiem, że nie robi tego z okrucieństwa. To śmiech współczucia. A jednak pod spodem jej obecność staje się nagle nieruchoma i twarda niczym poddany olbrzymiemu naciskowi gład na chwilę przed tym, jak zmienia się w coś innego. Znowu złość. Nie na mnie, ale wywołana moimi słowami. Najwyraźniej ciągle ją czymś złości.

„Boją się, ponieważ istniejemy – mówi. – Oprócz samego istnienia nie zrobiliśmy nic, czym moglibyśmy wzbudzić ich strach. Ich akceptację możemy zdobyć tylko w jeden sposób: przestając istnieć. Dlatego możemy umrzeć zgodnie z ich wolą albo śmiać się z ich tchórzostwa i żyć dalej”.

Z początku wydaje mi się, że nie rozumiem wszystkiego, co właśnie mi powiedziała. Ale rozumiem, czyż nie? Kiedyś było nas szesnaścioro, teraz pozostała szóstka. Pozostali zadawali pytania i zostali wycofani. Byli posłuszni i zostali wycofani. Targowali się. Pomagali. Rozpaczali. Próbowaliśmy wszystkiego, robiliśmy wszystko, co nam kazali, i jeszcze więcej, ale i tak pozostała nas zaledwie szóstka.

Oznacza to, że jesteśmy lepsi niż tamci, powtarzam sobie nachmurzony. Sprytniejsi, lepiej dostosowani, bardziej uzdolnieni. To ma znaczenie, prawda? Jesteśmy komponentami wielkiej maszyny, szczytem możliwości sylanagistyjskiej biomagii. Jeśli ktoś z nas musi zostać usunięty z maszyny ze względu na swoje wady...

Remwha wybucha niczym wulkan: „Tetlewha nie miał wad”.

Mrugam i spoglądam na niego. Jest już z powrotem w pomieszczeniu toaletowym i czeka razem z Bimniwhą i Salewhą; wszyscy umyli się w fontannie, podczas gdy Kelenli szorowała mnie, Gaewhę i Dushwhę. Strażnicy, których rozpraszał Remwha, stoją tuż przy wejściu do altany i nadal śmieją się z tego, co do nich powiedział. Remwha posyła mi ostre spojrzenie. Marszczę się cały, a wtedy on powtarza: „Tetlewha nie miał wad”.

Zaciskam szczęki. „Jeśli Tetlewha nie miał wad, to znaczy, że został wycofany bez powodu”.

„Tak”. Remwha, który rzadko wygląda na zadowolonego nawet w dobry dzień, teraz wykrzywia usta z obrzydzenia. Mną. Jestem tym tak zszokowany, że zapominam udawać obojętność. „O to właśnie jej chodzi. Nieważne, co robimy. Problem tkwi w nich”.

Kiedy jestem już czysty, Kelenli ujmuje moją twarz w dłonie.

– Znasz słowo „dziedzictwo”?

Słyszałem je i odgadywałem jego znaczenie z kontekstu. Trudno jednak zebrać myśli po tamtej wścieklej odpowiedzi Remwhy. On i ja nigdy za bardzo się nie lubiliśmy, ale... Kręcę głową i skupiam się na pytaniu Kelenli.

– Dziedzictwo to coś przestarzałego, czego jednak nie można całkowicie się pozbyć. Coś, czego już się nie chce, ale nadal potrzebuje.

Kelenli uśmiecha się krzywo, najpierw do mnie, potem do Remwhy. Słyszała wszystko, co do mnie mówił.

– To wystarczy. Zapamiętajcie dzisiaj to słowo.

Następnie wstaje. Nasza trójka patrzy na nią uważnie. Jest nie tylko wyższa i bardziej brązowa niż my, ale też bardziej porusza się i oddycha. Cała jest bardziej. Czimy to, czym jest. Obawiamy się, czym uczyni nas.

– Chodźcie – mówi, a my ruszamy za nią w świat.

2613: Potężny podwodny wulkan wybuchł w Cieśninie Tasr pomiędzy Polarnym Pustkowiec Antarktycznym a Bezruchem. Selis Przywódczyni Zenas, o której nie wiadomo, że jest górotworem, najwyraźniej stłumiła wybuch, jednak nie zdołała uciec przed wywołanym erupcją tsunami. Niebo nad Antarktydą pociemniało na pięć miesięcy, ale oczyściło się, zanim można było oficjalnie ogłosić Piątą Porę Roku. W następstwie tsunami mąż Selis Przywódczyni – naczelnik wspólnoty, odwołany na mocy wyjątkowego zgromadzenia – zginął, usiłując bronić swojego rocznego dziecka przed gniewem ocalałych mieszkańców. Przyczyna śmierci pozostaje sporna: jedni twierdzą, że go ukamienowano, inni z kolei utrzymują, że udusił go Stróż. Sam Stróż zabrał osieroczone dziecko do Warrant.

Notatki Yaetr Innowatorki Dibars

Atak następuje tuż przed świtem.

Wszyscy są na to gotowi. Obóz znajduje się w mniej więcej jednej trzeciej szerokości lasu – członkowie wspólnoty zdołali dojść do tego miejsca, zanim mrok sprawił, że dalsza wędrówka stałaby się zbyt ryzykowna. Powinni dotrzeć do skraju lasu przed zmierzchem następnego dnia – przy założeniu, że przeżyją noc.

Niespokojnie chodzisz po obozie, zresztą nie ty jedna. Myśliwi powinni już spać, ponieważ w ciągu dnia pełnią funkcję zwiadowców i przeszukują okolicę, aby zdobyć żywność, między innymi dziczyznę. Widzisz jednak, że sporo z nich nie śpi. Mocarni powinni na zmianę pełnić wartę, ale wszyscy są na nogach, podobnie jak wielu przedstawicieli innych kast. Dostrzegasz Hjarkę, która siedzi na stercie bagaży z opuszczoną głową i zamkniętymi oczami, ale nogi gotowe ma do szybkiego kopniaka, a w każdej dłoni ściska szklany nóż. Jej palce nie rozluźniły się po tym, jak zasnęła.

Zważywszy na to wszystko, pora na atak wydaje się nierozsądna, ale lepszej nie ma, dlatego najwyraźniej napastnicy postanawiają wykorzystać okazję. Ty pierwsza ich sejszysz, okręcasz się na pięcie i krzyczysz ostrzegawczo, jednocześnie koncentrując się na tej części swojego umysłu, która pozwala ci rozkazywać wulkanom. Niedaleko stąd w ziemi znajduje się głęboki i mocny punkt podparcia. Niczym jastrząb wypatrujący ofiary podążasz za nim aż do środka jego potencjalnego torusa. Prawa strona drogi. Sześć metrów w głąb kamiennego lasu, poza linią wzroku, wśród pnączy i zwisającej zieleni.

– Ykka!

W jednej chwili wyłania się spomiędzy namiotów.

– Tak, poczułam to.

– Jeszcze nieaktywny.

Masz na myśli to, że torus nie zaczął jeszcze czerpać z ziemi ciepła ani ruchu. To miejsce sięga jednak tak głęboko jak palowy system korzeniowy. Ten region nie ma zbyt dużego potencjału sejsmicznego – i rzeczywiście, większość ciśnienia z niższych warstw ziemi została wykorzystana do stworzenia kamiennego lasu. Zawsze jednak można znaleźć ciepło, jeśli sięga się odpowiednio głęboko, a to naprawdę jest głębokie. I solidne. Przygotowane z dokładnością Fulcrum.

– Nie musimy walczyć! – wykrzykuje nagle Ykka. Jesteś w szoku, że mówi poważnie, choć przecież powinnaś już znać ją na tyle dobrze, by cię to nie dziwiło. Pochyla się do przodu na ugiętych kolanach, cała spięta, jakby zamierzała pobiec w stronę lasu. Wyciąga ręce przed siebie, poruszając palcami.

Teraz łatwiej jest sięgnąć po magię, ale z nawyku i tak najpierw koncentrujesz się na swoim kikucie. Używanie tego zamiast górotwórstwa nigdy nie będzie dla ciebie naturalne, ale przynajmniej twoja percepcja szybko się zmienia. Ykka znacznie cię już wyprzedza. Fale i łuki srebra tańczą wokół niej, głównie przed nią, rozpościerając się i migocząc, kiedy wyciąga je z ziemi i opanowuje. Rzadka roślinność w kamiennym lesie tylko to ułatwia; pełne nasion winorośle i wyschnięty mech działają jak przewody,

porządkując i układając srebro we wzory, które mają sens. Które są przewidywalne. Które szukają... ach! Napinasz się w tym samym momencie co Ykka. Tak. Tam.

Ponad tym głęboko ukrytym miejscem, w środku torusa, który nie zaczął się jeszcze obracać, kuca sylwetka pokryta srebrem. Zwracasz uwagę, że srebro górotwora jest jaśniejsze i mniej skomplikowane niż to, które towarzyszy roślinom i owadom. Ta sama... hmm, ilość, jeśli można to tak nazwać – choć może lepiej pasowałoby słowo „pojemność”, „potencjał” albo „życiowość” – ale inna budowa. Srebro tego górotwora skoncentrowane jest wokół kilku jasnych linii, które biegną w podobnym kierunku. Nie migoczą, podobnie jak jego torus. On – jego płęć tylko zgadujesz, ale czujesz, że masz rację – słucha.

Ykka, która jest kolejnym zarysem precyzyjnego, skupionego srebra, z satysfakcją kiwa głową. Wchodzi na jeden z wozów, żeby lepiej było ją słyszeć.

– Jestem Ykka Rogga Castrima – krzyczy. – Ona też jest roggą. – Domyślasz się, że wskazuje następnie na ciebie. – Tak samo jak on. – To o Temell. – Podobnie tamte dzieci. Nie zabijamy tutaj roggów – milknie na chwilę. – Jesteś głodny? Możemy podzielić się jedzeniem. Nie musisz próbować nam go odbierać.

Górotwór się nie porusza.

Porusza się za to coś innego – po przeciwnej stronie lasu cienkie, rzadkie skupiska srebra nagle rozmywają się i gwałtownie zbliżają w waszą stronę. Inni napastnicy. Na Złą Ziemię, wszyscy tak bardzo skupiliście się na tym jednym rogdze, że nie zauważyliście nawet tych z tyłu. Teraz ich już słyszycie: ich podniesione głosy i stopy uderzające o pokryty popiołem piach. Mocarni stojący w pobliżu bariery z pali po tamtej stronie krzyczą ostrzegawczo.

– Atakują! – wołasz.

– Co ty, kurwa, powiesz – warczy Ykka, dobywając szklanego noża.

Wycofujesz się w krąg namiotów z dziwną i bardzo nieprzyjemną świadomością swojej kruchości. Wszystko dodatkowo pogarsza fakt, że nadal możesz sejszyć, a twoje instynkty nakazują ci reagować tam, gdzie mogłabyś pomóc. Grupa napastników zbliża się do tej części ogrodzenia, gdzie zapory i stráže są najsłabsze, a ty otwierasz oczy, żeby zobaczyć, w jaki sposób spróbują się przedrzeć do środka. To typowi bezwspółnotowi rabusie – brudni, wynędzniali, ubrani w pokryte popiołem szmaty i nowsze, skradzione innym ubrania. Jednym precyzyjnym uderzeniem mogłabyś w mgnieniu oka pokonać całą szóstkę.

Czujesz też jednak, jak... jak co? Jak bardzo jesteś wyrównana. Srebro Ykki jest skoncentrowane, tak jak w przypadku tamtego roggi, którego obserwowaliście, z tą różnicą, że jej nadal jest warstwowe, poszarpane, lekko drżące. Przelewa się wewnątrz niej, kiedy Ykka zeskakuje z wozu i krzyczy do ludzi, żeby posłali Mocarnych w miejsce, gdzie pojawiła się grupa napastników, a potem sama biegnie na pomoc. Twoja magia płynie gładko i czysto, wszystkie nici mkną w jednym kierunku. Nie wiesz, jak mogłabyś zmienić to z powrotem, nawet gdyby było to możliwe. Instynktownie czujesz za to, że używanie srebra w takim stanie skupi cząsteczki twojego ciała tak ciasno, jak ciasno murarz układa kamienie, wznosząc mur. I tak samo jak mur staniesz się w całości kamienna.

Thumisz więc swoje instynkty i chowasz się, przepelniona goryczą. Lecz tu, w wewnętrznym kręgu, są też inni, którzy kucają wśród namiotów – młodsze dzieci, grupka łysych starców, jedna kobieta w tak zaawansowanej ciąży, że ma bardzo ograniczone ruchy, choć w rękach trzyma naładowaną kuszę, i dwaj uzbrojeni w noże Piastuni, którym najwyraźniej kazano bronić ciężarnej oraz dzieci.

Kiedy się wychylasz, żeby zobaczyć przebieg walki, dostrzegasz coś zadziwiającego. Danel, która wyrwała z ziemi jeden z zaostrzonych pali tworzących ogrodzenie, wycina sobie nim krwawą ścieżkę wśród napastników. Jest fenomenalna, kiedy tak obraca się, dźga, paruje ciosy i znów dźga, a pomiędzy kolejnymi uderzeniami swobodnie kręci kijem, jakby walczyła z bezwspółnotowymi już milion razy. To nie tylko kwestia doświadczenia Mocarnej, to coś więcej. Jest zbyt dobra. A jednak wszystko się zgadza, prawda? Przecież Rennisi nie mianowali jej generałem armii ze względu na jej urok.

Ostatecznie nie przypomina to nawet walki. Dwudziestu czy trzydziestu wychudzonych bezwspółnotowych przeciwko wytrenowanym, najedzonym i przygotowanym członkom wspólnoty? To dlatego wspólnoty potrafią przetrwać Piąte Pory Roku i dlatego bezwspółnotowość na dłuższą metę oznacza wyrok śmierci. Ci ludzie byli prawdopodobnie zdesperowani; w ciągu ostatnich miesięcy na drodze na pewno nie było zbyt dużego ruchu. Co oni sobie wyobrażali?

Przypominasz sobie o ich górotworze. To dlatego spodziewali się wygrać. On jednak nie porusza się, ani górotwórczo, ani fizycznie.

Wstajesz i mijasz coraz mniejsze grupy walczących. W zamyśleniu poprawiając maskę, schodzisz z drogi i prześlizgujesz się pomiędzy palami ogrodzenia, aby zanurzyć się w głębszy mrok kamiennego lasu. Blask ognisk sprawia, że musisz chwilę odczekać, aby twoje oczy przyzwyczyły się do ciemności. Trudno powiedzieć, jakie pułapki zostawili tu bezwspółnotowi; nie powinnaś robić tego sama. Po raz kolejny jesteś jednak zdziwiona, ponieważ pomiędzy jednym zmrużeniem oczu a drugim nagle dostrzegasz srebro. Owady, ściółka, pajęczyna, nawet skały – wszystko lśni szalonymi, użyłonymi wzorami, a pojedyncze cząsteczki uwydatnia łącząca je sieć.

I ludzie. Zatrzymujesz się, dostrzegając ich, dobrze zakamuflowanych w srebrnym rozkwicie lasu. Rogga nadal jest tam, gdzie był, emanując jaśniejszym blaskiem na tle delikatnych nici. W głębi lasu kucają jednak jeszcze dwie drobne sylwetki. Dwa ciała, skulone jakimś sposobem wysoko, ponad postrzępionymi i zakrzywionymi głazami. Może to zwiadowcy? Nie poruszają się. Nie potrafisz stwierdzić, czy cię zauważyli i czy w jakiś sposób obserwują bitwę. Stoisz unieruchomiona nagłą zmianą swojego postrzegania. Czy to efekt uboczny tego, że nauczyłaś się dostrzegać srebro we własnym ciele i w obeliskach? Być może nauczywszy się tego, widzisz je już wszędzie. A może to wszystko to tylko halucynacja, powidok – w końcu Alabaster nigdy nie wspominał o czymś takim. Z drugiej strony czy kiedykolwiek próbował być dobrym nauczycielem?

Idziesz po omacku, wyciągając przed siebie rękę na wypadek, gdyby to wszystko okazało się jakąś iluzją, ale jeśli tak, to jest to bardzo dokładna iluzja. Choć dziwnie jest stąpać po niciach srebra, po chwili się do tego przyzwyczajasz.

Szczególne srebro górotwora i jego wciąż nieruchomy torus nie są daleko, ale on

jakimś sposobem znajduje się ponad ziemią: jakieś trzy metry wyżej od ciebie. Częściowo wyjaśnia się to, kiedy dostrzegasz wzniesienie terenu i dotykasz dłonią skały. Twój normalny wzrok dostosował się już na tyle, że widzisz tam filar, zakrzywiony i prawdopodobnie umożliwiający wspinaczkę, przynajmniej komuś, kto ma więcej niż jedną rękę. Zatrzymujesz się u jego podstawy i mówisz:

– Hej.

Brak odpowiedzi. Słyszysz oddech: krótki i płytki. Jakby ktoś próbował oddychać jak najciszej.

– Hej!

Mrużąc oczy w ciemności, w końcu dostrzegasz jakąś konstrukcję z gałęzi, starych płyt oraz śmieci. Być może to kryjówka. Z góry na pewno widać drogę. Dla przeciętnego górotwora widok nie ma znaczenia – niewytrenowana osoba i tak nie potrafi ukierunkowywać swojej mocy. Górotwór wytrenowany w Fulcrum potrzebuje jednak wzroku, aby widzieć, czy zamraża potencjalnie przydatne zapasy czy tylko broniących się ludzi.

Coś przesuwają na platformie nad tobą. Czy usłyszałaś właśnie szybki wdech? Próbujesz wymyślić coś, co mogłabyś powiedzieć, ale w głowie masz tylko jedno pytanie: co wytrenowany w Fulcrum górotwór robi wśród bezwspólnotowych? W chwili powstania Pęknięcia musiał przebywać na jakiejś misji. Musiał też być bez Stróża – inaczej już by nie żył – co oznacza, że to co najmniej pięciopierścienik, a może tylko posiadacz trzech lub czterech pierścieni, który stracił partnera o wyższej randze. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby Pęknięcie powstało w czasie, kiedy ty znajdowałaś się w drodze do Allia. Wiedziałybyś, że może przyjść po ciebie twój Stróż, ale mogłabyś zaryzykować, że uzna cię za martwą... nie. W tym miejscu wizja się urywa. Schaffa przyszedłby po ciebie. Schaffa przyszedł po ciebie. Było to jednak w czasie pomiędzy Piątymi Porami Roku. W trakcie Sezonów Stróże podobno nie dołączają do wspólnot, co oznacza, że umierają – i rzeczywiście, jedynym Stróżem, którego widziałaś od czasu powstania Pęknięcia, była tamta kobieta, która towarzyszyła Danel i armii Rennisów. Zginęła w nawałnicy wrzątków, którą wywołałaś, i cieszy cię to, ponieważ należała do z gruntu wynaturzonych morderców, którzy zabijają dotykiem. W każdym razie jest tu jakiś inny czarny mundur – samotny, być może przerażony, być może o krok od tego, by zacząć mordować wszystkich w zasięgu sejsod. Znasz to uczucie, prawda? On jednak jeszcze nie zaatakował. Musisz jakoś do niego dotrzeć.

– Pamiętam – mówisz. To spokojny szept. Jakbyś sama nie chciała tego słyszeć. – Pamiętam donice. I instruktorów, którzy zabijali nas, aby nas ocalić. Czy ciebie też zmusili do posiadania dzieci? – Korund. Twoje myśli odpływają w stronę wspomnień. – Czy oni... kurwa. – Prawa dłoń, którą kiedyś złamał ci Schaffa, znajduje się w jakimś odpowiedniku żołądka Hoi. A jednak nadal ją czujesz. Fantomowy ból przenika fantomowe kości. – Wiem, że cię złamali. Że złamali ci rękę. Robili to każdemu z nas. Łamali nas, żeby mogli...

Słyszysz wyraźny, dobiegający z góry wdech.

Torus rozmywa się, wirując, i wybucha na wszystkie strony. Jesteś tak blisko, że prawie cię dosięga. To westchnienie było jednak wystarczającym ostrzeżeniem, dlatego

osłoniłaś się górotwórczo, mimo że nie mogłaś zrobić tego fizycznie. Fizycznie się krzywisz, i to tyle jeśli chodzi o twoją wątpliwą, jednoręką równowagę. Upadasz, lądujesz na tyłku – ale od dziecka uczyłaś się zachowywać kontrolę na jednym z poziomów, nawet jeśli tracisz ją na innym, dlatego w tej samej chwili napinasz sejsody i po prostu wyrywasz jego punkt podparcia z ziemi, obracając go. Jesteś znacznie silniejsza, więc to proste. Reagujesz też magicznie, chwytając rozszalałe nici srebra, które wzburzył torus, i po chwili uświadamiasz sobie, że górotwórstwo wpływa na magię, ale nie jest magią; tak naprawdę magia odsuwa się od niego, i to właśnie dlatego nie możesz wykorzystywać górotwórstwa na wysokim poziomie, nie wpływając negatywnie na magię. Jak dobrze w końcu to wiedzieć! Tak czy inaczej opanowujesz dzikie nici i tłumisz wszystko, a twoje ciało owiewa jedynie chmura szronu. Jest ci zimno, to zaraz minie. Nic ci nie będzie.

Następnie zwalniasz uchwyt, a całe twoje górotwórstwo i cała magia strzelają jak naprężona guma. W odpowiedzi wszystko w tobie wydaje się brzęczeć, rezonować i... ojej – czujesz wzrost amplitudy rezonansu, kiedy cząsteczki twojego ciała zaczynają się ustawiać w określonym porządku i... zamieniać w kamień.

Nie możesz tego zatrzymać. Możesz natomiast tym kierować. W tej krótkiej chwili, którą masz do dyspozycji, decydujesz, którą część ciała możesz stracić. Włosy! Nie, są zbyt długie, a więc w większości za bardzo oddalone od skóry głowy; mogłabyś to zrobić, ale zajęłoby to tyle czasu, że również część twojej głowy zamieniłaby się w kamień. Palce u stóp? Potrzebujesz ich, aby chodzić. Palce u rąk? Masz tylko jedną dłoń i musisz zachować ją sprawną tak długo, jak to możliwe.

Piersi. No cóż, i tak nie planujesz mieć więcej dzieci.

Wystarczy, jeśli przeniesiesz rezonans i utwardzanie w jedną z nich. Musisz przepchnąć to wszystko przez gruczoły pod pachą, ale udaje ci się utrzymać to z dala od mięśni; być może dzięki temu przemiana nie utrudni ci oddychania i poruszania się. Wybierasz lewą pierś, aby zrównoważyć w ten sposób brakujące prawe ramię. Poza tym i tak zawsze wolałaś prawą. Bardziej ci się podoba. Kiedy jest już po wszystkim, kładziesz się, dojmująco świadoma dodatkowego ciężaru na klatce piersiowej i zbyt zszokowana, by odczuwać żal. Na razie.

Wstajesz niezdarnie, krzywiąc się, a osoba na platformie chichocze nerwowo i mówi:

– Na rdzę. Na Ziemię. Damaya? To naprawdę ty. Przepraszam za torus, byłem tylko... nie wiesz, jak to jest. Nie mogę w to uwierzyć. Czy wiesz, co zrobili wtedy Wyrwie?

Arkete, podpowiada ci pamięć.

– Maxixe – wypowiadają twoje usta.

To Maxixe.

Maxixe jest ledwie połową człowieka, którym był. Przynajmniej fizycznie.

Jego nogi kończą się na udach. Ma jedno oko, to znaczy jedno sprawne. Drugie, pokryte bielmem, jest bezużyteczne. Po pięknych popiołowych włosach, które pamiętasz, została jedynie przycięta nożem strzecha, a cała lewa strona jego głowy to płatanina

różowych blizn, wśród których widać chyba całkiem zasklepione ucho. Blizny wchodzą mu na czoło i policzek, ściągając usta w nienaturalny grymas.

Mimo swojego stanu Maxixe zwinnie zsuwa się z konstrukcji i opiera na dłoniach. Unosi tułów oraz kikuty nóg. Dobrze radzi sobie jako kaleka; musiał się nim stać już jakiś czas temu. Dociera do ciebie, zanim zdążysz się wyprostować.

– To naprawdę ty. Myślałem... słyszałem, że miałaś tylko cztery pierścienie. Ty naprawdę przebiłaś się przez mój torus? Jestem sześciopierścienikiem. Sześć pierścieni! Wiesz, po czym się zorientowałem, że to naprawdę ty? Bo ciągle tak samo sejszysz, ciągle na zewnątrz jesteś spokojna, a w środku zardzewiałe wściekła.

Inni bezwspółnotowi zaczynają schodzić ze swoich iglic i platform. Napinasz się na ich widok, bo wyglądają jak strachy na wróble – chudzi, ubrani w łachmany, cuchnący, przyglądają ci się przez skradzione albo własnoręcznie wykonane gogle, sponad masek będących niegdyś fragmentami czyjejs odzieży. Nie atakują jednak. Obserwują ciebie i Maxixe'a.

Gapisz się na niego, kiedy szybko cię okrąża, unosząc się na rękach. Ma na sobie wiele warstw szmat o długich rękawach, ale mimo to widzisz, jak masywne są mięśnie jego barków i ramion. Cała reszta jest wychudzona. Trudno jest na to patrzeć, choć wyraźnie widać, co jego ciało uznawało za priorytet w ciągu długich miesięcy niedożywienia.

– Arkete – mówisz, bo pamiętasz, że zawsze wołał imię, które nadano mu po narodzinach.

Przestaje się poruszać i zerka na ciebie, przekrzywiając głowę. Może w ten sposób lepiej widzi swoim jedynym okiem. W jego spojrzeniu dostrzegasz jednak krytykę. Ten człowiek to już nie Arkete, tak samo jak ty nie jesteś już Damayą. Zbyt wiele się zmieniło. Niech więc pozostanie Maxixe'em.

– Pamiętasz – stwierdza. W tej chwili bezruchu, w tym oku cyklonu jego wcześniejszych słów, widzisz zamyślnego, uroczego chłopca, którego zapamiętałaś. Równocześnie trudno jest ci ogarnąć ten zbieg okoliczności. Jediną dziwniejszą rzeczą byłoby przypadkowe spotkanie... swojego brata, o którym prawie całkiem zapomniałaś. Jak miał na imię? Na podziemny ogień, tego też nie pamiętasz. Prawdopodobnie nie poznałabyś go, gdybyś go zobaczyła. To żwiry z Fulcrum były twoim rodzeństwem, łączyły was więzy nie krwi, lecz bólu.

Kręcisz głową, próbując się skupić, a potem przytakujesz. Stoisz już prosto, otrzepując tyłek z popiołu i liści, a z powodu dodatkowego ciężaru na piersi twoje ruchy są niezdarne.

– Też się dziwię, że cię zapamiętałam. Musiałeś zrobić na mnie spore wrażenie.

Uśmiecha się. Krzywo. Tylko połowa jego twarzy funkcjonuje jak powinna.

– Ja zapomniałem. A przynajmniej bardzo starałem się zapomnieć.

Zaciskasz zęby, zastygając w bezruchu.

– Ja... przepraszam.

To bez sensu. On prawdopodobnie nie pamięta nawet, za co go przepraszasz. Wzrusza ramionami.

– Nieważne.

– Właśnie, że ważne.

– Nie. – Na chwilę odwraca wzrok. – Po tym wszystkim powinienem z tobą porozmawiać. Nie powinienem cię tak nienawidzić. Nie powinienem pozwolić jej, im, mnie zmienić. Ale pozwoliłem i teraz... to wszystko jest nieważne.

Dobrze wiesz, o jakiej „niej” mówi. Po incydencie z Wyrwą w wyniku nękania ujawniła się cała sieć żwirów próbujących po prostu przetrwać i sieć dorosłych wykorzystujących ich desperację... Pamiętasz. Pamiętasz Maxixe’a, który pewnego dnia wrócił do sali sypialnej żwirów z obiema połamanymi dłońmi.

– To i tak lepsze niż to, co zrobili z Wyrwą – szepczesz, zanim udaje ci się pohamować.

On kiwa głową, nie okazując zdziwienia.

– Udałem się raz do stacji węzła. To nie była ona. Rdza wie, co ja sobie myślałem... Ale chciałem odszukać ich wszystkich. Przed nadejściem Piątej Pory Roku. – Wydaje z siebie gorzki, urywany śmiech. – Nawet jej nie lubiłem. Po prostu musiałem wiedzieć.

Kręcisz głową. Nie, żebyś nie rozumiała tego impulsu. Skłamałabyś, twierdząc, że w ciągu tych kilku lat po poznaniu prawdy też tego nie czułaś. Chciałaś odwiedzić wszystkie stacje. Wymyślić jakiś sposób na wyleczenie ich zniszczonych sejsod i uwolnienie ich stamtąd. Albo zabicie ich z litości. Ach, byłabyś taką dobrą instruktorką, gdyby tylko Fulcrum dało ci szansę. Ale oczywiście nic nie zrobiłaś. I oczywiście Maxixe również nie zrobił nic, aby ocalić opiekunów węzłów. Tylko Alabaster zdołał tego dokonać.

Bierzesz głęboki wdech.

– Jestem z nimi – mówisz, wskazując głową w stronę drogi. – Słyszeliście, co powiedziała naczelniczka. Górotwory są u nas mile widziane.

Maxixe kołysze się lekko na swoich kikutach i dłoniach. Trudno dostrzec w ciemnościach jego twarz.

– Sejszę ją. Ona jest naczelniczką?

– Tak. I wszyscy we wspólnocie o tym wiedzą. Oni... ta wspólnota... – bierzesz kolejny głęboki wdech – jesteśmy wspólnotą, która próbuje postępować inaczej. Górotwory i nieruchomi. Nie zabijają siebie nawzajem.

Maxixe wybucha śmiechem, który przechodzi w kaszel. Kilka innych osób również chichocze, ale kaszel Maxixe’a cię niepokoi. Jest suchy i dudniący; nie brzmi to dobrze. Musiał zbyt długo wdychać popiół bez maski. Kaszel wydaje się też zbyt głośny. Jeśli w pobliżu nie ma Myśliwych, którzy was obserwują, gotowi zastrzelić jego i jego ludzi, to gotowa jesteś sama zamienić sobie głowę w kamień.

Kiedy atak kaszlu wreszcie ustępuje, Maxixe znowu przekrzywia głowę w twoją stronę, a w jego oku widać błysk rozbawienia.

– Robię to samo – cedzi przez zęby. Wskazuje brodą zgromadzonych w pobliżu ludzi. – Ci zardzewialcy trzymają się przy mnie, bo nie zamierzam ich zjeść. Nie wkurwiają mnie, bo wiedzą, że ich za to zabiję. Proszę bardzo: pokojowy układ.

Spoglądasz na nich i marszczysz brwi. Trudno dostrzec wyrazy ich twarzy.

– Ale nie zaatakowali moich ludzi – w przeciwnym razie byliby już martwi.

– Nieee. To był Olemshyn. – Maxixe wzrusza ramionami, a całe jego ciało chwieje

się pod wpływem tego gestu. – Półsanżeński gnojek. Twierdzi, że wywalili go z dwóch wspólnot za „problemy z kontrolowaniem złości”. Sprowadziłby śmierć na nas wszystkich, dlatego powiedziałem, że każdy, kto chce żyć i kto wytrzyma moje towarzystwo, może iść ze mną. Odłączyliśmy się. Ta strona lasu należała do nas, a tamta do nich.

Nie jedno, ale dwa plemiona bezwspólnotowych. To pod wodzą Maxixe’a trudno jednak w ogóle nazywać plemieniem – oprócz niego jest tu zaledwie garstka ludzi. Ale to właśnie powiedział: ci, którzy mogli znieść życie z rogga, poszli za nim. Tyle że nie było ich zbyt wielu.

Maxixe odwraca się i wspina z powrotem na drewnianą konstrukcję. Siadając tak, żeby zrównać się z tobą wzrokiem. Pod wpływem wysiłku znowu zanoszą się dudniącym kaszlem.

– Pewnie się spodziewał, że was zaatakuję – podejmuje, kiedy kaszel przechodzi. – Tak właśnie zazwyczaj to robimy: zamrażamy ich, a jego ludzie biorą, co mogą, zanim się zjawimy, dzięki czemu wszyscy dostajemy wystarczająco dużo, aby przetrwać jeszcze trochę. Ale to, co powiedziała ta naczelniczka, zupełnie mnie rozjechało. – Spogląda w dal, kręcąc głową. – Olemshyn powinien się wycofać, widząc, że nie zamierzam was zamrozić, ale cóż. Wiedziałem, że w końcu sprowadzi śmierć na swoich ludzi.

– No tak.

– Baba z wozu, koniom lżej. Co ci się stało w rękę? – Patrzy teraz na ciebie. Nie widzi twojej lewej piersi, mimo że nieznacznie przechylasz się na bok. Dodatkowy ciężar na ciele sprawia ci ból.

– A co stało ci się w nogi?

Uśmiecha się krzywo i nie odpowiada. Ty też nie.

– A więc nie zabijacie się nawzajem. – Maxixe kręci głową. – I to naprawdę wychodzi?

– Na razie tak. W każdym razie próbujemy.

– To się nie sprawdzi. – Znowu zmienia pozycję i rzuca ci kolejne spojrzenie. – Ile cię kosztowało dołączenie do nich?

Nie mówisz, że „nic”, bo przecież nie o to pyta. Widzisz, jakiej wymiany dokonał, aby móc tu przetrwać: jego umiejętności w zamian za część jedzenia szabrowników i wątpliwe schronienie. Ten kamienny las, ta śmiertelna pułapka, to jego dzieło. Ilu ludzi zabił dla swoich kompanów?

A ilu ty zabiłaś dla Castrimy?

To nie to samo.

Ile osób tworzyło armię Rennisów? Ile z nich skazałaś na śmierć przez ugotowanie żywcem? Ile kopców z popiołu z wystającą ze środka ręką lub nogą znaczy teraz nadziejną Castrimę?

To nie to samo, do rdzy. Miałaś wtedy wybór: oni albo wy.

Zaciskasz zęby, kończąc ten wewnętrzny spór. Nie ma na to czasu.

– Nie możemy... – zaczynasz, ale zaraz się poprawiasz: – Są inne sposoby, oprócz zabijania. Inne... Nie musimy być... tym.

To słowa Ykki, które w twoich ustach zmieniają się w dziwną i oleistą hipokryzję.

Czy to w ogóle jeszcze prawda? Castrima nie ma już geody, która wymuszała współpracę pomiędzy górotworami i nieruchomymi. Być może to wszystko wkrótce się rozpadnie.

Być może. A jednak zmuszasz się, żeby dokończyć zdanie.

– Nie musimy być tym, czym oni nas uczynili, Maxixe.

On kręci głową, wpatrując się w ściółkę.

– Pamiętasz również to imię.

Oblizujesz usta.

– Tak. Jestem Essun.

Słyszając to, Maxixe lekko się marszczy, być może dlatego, że nie jest to imię ze skałowiedzy. Dlatego je wybrałaś. On jednak nie kwestionuje go. W końcu wzdycha.

– Do rdzy, spójrz na mnie, Essun. Posłuchaj kamieni w mojej piersi. Nawet jeśli wasza naczelniczka weźmie do siebie takiego półroggę, nie pociągnę już długo. Poza tym... – Ponieważ siedzi, może używać rąk, i wskazuje na wychudzone sylwetki stojące w pobliżu.

– Żadna wspólnota nas nie zechce – odzywa się jeden z niższych osobników. Wydaje ci się, że to kobieta, ale jej głos jest tak ochryply i zmęczony, że nie jesteś pewna. – Nawet nie próbuj takiego zagrania.

Zakłopotana przestępujesz z nogi na nogę. Kobieta ma rację – Ykka może zechcieć przyjąć bezwspólnotowego roggę, ale nie całą resztę. Z drugiej strony z Ykką nigdy nic nie wiadomo.

– Mogę zapytać.

Słyszysz dokoła krótkie, wymęczone wybuchy śmiechu. Kilka osób zanosi się kaszlem podobnie jak Maxixe. Ci ludzie są na skraju śmierci z wygłodzenia, a kilku z nich choruje. To bezcelowe. A jednak.

– Jeśli z nami nie pójdziecie, umrzecie tu – odzywasz się do Maxixe'a.

– Ludzie Olemshyna mieli większość zapasów. Pójdziemy po nie. – Po tych słowach następuje przerwa, oznaczająca otwarcie negocjacji. – Ale zaznaczam: wszyscy albo nikt.

– Decyzja należy do naczelniczki – odpowiadasz, nic nie obiecując. Wyczuwasz to targowanie się. Jego wytrenowane w Fulcrum górotwórstwo w zamian za członkostwo we wspólnocie dla niego i jego towarzyszy, a całą transakcję osłodzić mają zapasy napastników. Maxixe jest gotów się wycofać, jeśli Ykka nie zgodzi się na jego warunki. Martwi cię to. – Ale szepnę jej dobre słowo o tobie, a przynajmniej o tym kimś, kim byłeś trzydzieści lat temu.

Uśmiecha się nieznacznie. Trudno nie dostrzec w tym grymasie protekcjonalności. „Spójrz na siebie: próbujesz udawać, że to coś więcej”. Prawdopodobnie to jednak tylko twoje domysły.

– Znam też trochę okolicę. Mogę się przydać, skoro najwyraźniej dokądś wędrujecie. – Wskazuje brodą światło ognisk odbijające się od skał bliżej drogi. – Bo wędrujecie dokądś, prawda?

– Do Rennanis.

– Niech ich szlag trafi.

Co oznacza, że armia Rennisów musiała tędy przechodzić, kiedy zmierzała na

południe. Pozwalasz sobie na lekki uśmiech.

– Już ich trafił.

– Hmm. – Mruży swoje sprawne oko. – Rozwalali wspólnoty w całej okolicy. To dlatego było nam tak ciężko; po przejściu Rennisów z dróg zniknęły wszystkie wozy kupieckie, które można byłoby splądrować. Za to w miejscu, do którego zmierzali, wysejszyłem coś dziwnego.

Milknie, obserwując cię, bo oczywiście wie. Każdy upierścieniony rogga powinien wyczuć aktywność Wrót Obelisków, kiedy ostatecznie zakończyłaś wojnę pomiędzy Rennanis a Castrimą. Większość prawdopodobnie nawet nie wiedziała, co czuje, a nie znając magii, nikt nie zdołałby odebrać tej mocy w całości, natomiast wszyscy wyczuli przynajmniej konsekwencje.

– To... byłam ja – mówisz. Zdziwiająco trudno jest się do tego przyznać.

– Na zardzewiałą Ziemię, Dam... Essun! Jak?

Bierzesz głęboki wdech. Wyciągasz do niego rękę. Ciągłe nawiedzają cię kolejne echa przeszłości. Nie możesz zapomnieć, skąd jesteś, bo przeszłość ci na to nie pozwoli. Ale być może Ykka ma rację. Możesz odrzucić te odłamki dawnej siebie i udawać, że nic oraz nikt się nie liczy... albo to wszystko zaakceptować. Odzyskać to, co ma znaczenie, i stać się silniejsza.

– Chodźmy porozmawiać z Ykką. Jeśli cię przyjmie – tak wiem, ciebie i twoich ludzi – wszystko ci opowiem.

A jeśli nie będzie ostrożny, będziesz również musiała go tego nauczyć. To w końcu sześcioręciennik. Jeśli poniesiesz klęskę, ktoś inny będzie musiał przejąć po tobie pałeczkę.

Ku twojemu zaskoczeniu Maxixe zerka na twoją rękę z powątpiewaniem.

– Nie wiem, czy chcę wiedzieć wszystko.

Uśmiechasz się.

– Na pewno nie chcesz.

Odpowiada krzywym uśmiechem.

– Ty też nie chcesz wiedzieć o wszystkim, co mi się przydarzyło.

Przekrzywiasz głowę.

– A więc umowa stoi. Opowiadamy sobie tylko to, co pozytywne.

Maxixe szczerzy zęby. Jednego z nich brakuje.

– Byłoby tego za mało nawet jak na porządną opowiastkę mędrców. Nikt nie kupiłby takiej historii.

Unosi prawą dłoń. Skórę ma brudną, twardą jak skorupa. Po uściśnięciu mu ręki bez namysłu wycierasz dłoń o spodnie. Jego ludzie śmieją się na ten widok.

A potem prowadzisz ich do Castrimy, w stronę światła.

2470: Antarktyda. Pod miastem Bendine (które niedługo później przestało istnieć) zaczęło się otwierać olbrzymie zapadlisko. Przyczyną było przemieszczanie się gleb krasowych, a nie ruchy sejsmiczne, ale zapadające się pod ziemię miasto wywołało fale, które wyczuły górotwory z Fulcrum Antarktycznego. Jakimś sposobem ustabilizowały

miasto na odległość, ocalając większość mieszkańców. Z dokumentacji Fulcrum wynika, że zginęły przy tym trzy górotwory.

Notatki Yaetr Innowatorki Dibars

Miesięczna wędrówka do wskazanych przez Stalę ruin wymarłej cywilizacji przebiega, jak na podróż w trakcie Piątej Pory Roku, całkiem spokojnie. Nassun i Schaffa mają wystarczająco dużo jedzenia, by przetrwać, ale i tak zaczynają chudnąć. Nassun czuje, że jej ramię goi się prawidłowo, choć przez kilka dni jest osłabiona i trawi ją gorączka, a raz Schaffa zarządza postój chyba wcześniej niż zwykle. Trzeciego dnia gorączka ustępuje, a rana zaczyna się zasklepieć, więc ruszają dalej.

Na drodze nie spotykają prawie nikogo, choć po półtora roku od rozpoczęcia Piątej Pory Roku nie powinno to dziwić. Wszyscy, którzy do tego momentu pozostali bezwspółnotowi, przyłączyli się już do którejś z band złodziei, a i tych nie pozostało wiele – przetrwały tylko te najbardziej okrutne albo te, które cechowało coś więcej niż tylko barbarzyństwo i kanibalizm. Większość tych szajek udała się na północ, do Somidlatów, gdzie znajduje się więcej potencjalnych wspólnot do splądrowania. Nawet bandyci nie lubią Antarktydy.

Ta prawie-samotność pod wieloma względami podoba się Nassun. Żadnych innych Stróżów, wokół których trzeba chodzić na paluszkach. Żadnych ludzi, których nieracjonalne obawy zawsze trzeba brać pod uwagę. Nie ma tu również innych młodych górotworów; Nassun tęskni za nimi, za ich rozmowami i za towarzystwem, którym cieszyła się zbyt krótko, choć ostatecznie i tak denerwowało ją przecież, że Schaffa musi poświęcać im tyle uwagi. Jest wystarczająco dorosła, by wiedzieć, że to dziecinne. (Jej rodzice szaleli za Uchem, choć teraz jest potwornie oczywiste, że większe skupienie na kimś niekoniecznie wiąże się z faworyzowaniem). Co nie znaczy, że Nassun nie cieszy się, że ma teraz Schaffę tylko dla siebie.

W ciągu dnia zazwyczaj milczą. Nocami śpią, skuleni obok siebie, chroniąc się przed coraz silniejszym zimnem, ale i bezpieczni, bo Nassun udowodniła już, że budzi się na najdelikatniejsze poruszenie ziemi albo odgłos kroków. Czasami Schaffa nie śpi; próbuje, ale tylko leży, cały napięty, i lekko dygocze. Chwyta oddech za oddechem i próbuje nie budzić Nassun swoim cichym cierpieniem. Kiedy udaje mu się zasnąć, jego sen jest krótki i urywany. Czasami Nassun również nie śpi, cierpiąc w milczeniu razem z nim.

Postanawia więc coś z tym zrobić. Nauczyła się tego w Odnalezionym Księżycu, choć tam robiła to w mniejszym stopniu: czasami pozwala, aby śródkamień w jego sejsodach skosztował odrobiny jej srebra. Nie wie, dlaczego to działa, ale w Odnalezionym Księżycu widziała czasami, jak Stróże odrywają kawałki srebra swoim podopiecznym, a potem wzdychają, jakby ofiarowując te drobinki śródkamieniom w swoich głowach, doświadczali ulgi.

Jednak począwszy od tego dnia, kiedy Nassun zaproponowała Schaffie całe swoje srebro, on przestał je pobierać od niej i od innych – to właśnie wtedy zrozumiała prawdziwą naturę metalowego odłamka w jego mózgu. Wydaje jej się, że rozumie, dlaczego przestał to robić. Tamtego dnia coś się między nimi zmieniło i Schaffa nie

potrafi już zmusić się do tego, aby pożywiać się nią niczym jakiś pasożyt. Ale właśnie dlatego Nassun przemyca mu teraz trochę magii. Coś się między nimi zmieniło i Schaffa nie jest przecież pasożytem, skoro to ona go potrzebuje i skoro daje mu to, czego sam nie chce wziąć.

(Pewnego dnia, już wkrótce, pozna słowo: „symbioza” i skinie głową, zadowolona, że wreszcie ma na to właściwe określenie. Zanim to się stanie, uzna, że wystarczy jej słowo „rodzina”).

Kiedy Nassun daje Schaffie swoje srebro, jego ciało, mimo że pogrążone we śnie, połyka je tak gwałtownie, że dziewczynka musi szybko cofać rękę, aby nie stracić zbyt wiele. Może sobie pozwolić na przekazanie mu tylko odrobiny. Gdyby oddała więcej, następnego dnia to ona byłaby zbyt zmęczona, by wyruszyć w dalszą podróż. Nawet ta niewielka ilość wystarcza jednak, żeby zasnął – a wraz z upływem dni Nassun zauważa, że jakimś sposobem wytwarza coraz więcej srebra. To miła zmiana: teraz może łagodzić jego ból, nie męcząc się zbytnio. Za każdym razem, kiedy widzi, jak Schaffa pogrąża się w głębokim, spokojnym śnie, rozpiesza ją duma i czuje się dobra, choć wie, że wcale nie jest. To nieważne. Zależy jej, aby być dla Schaffy lepszą córką, niż była dla Jiji. Teraz wszystko będzie lepsze, aż do samego końca.

Wieczorami, przygotowując kolację, Schaffa opowiada jej czasem różne historie. W jego opowieściach dawne Yumenes jest miejscem wspaniałym i dziwnym, tak obcym jak dno morza. (To zawsze jest dawne Yumenes. Yumenes z ostatnich lat utraciło razem ze wspomnieniami Schaffy, którym niegdyś był). Już samo wyobrażenie Yumenes jest dla Nassun niepojęte: miliony ludzi, spośród których nikt nie zajmuje się rolnictwem, górnictwem ani niczym, co mogłaby kojarzyć, a wiele osób ma obsesję na punkcie dziwnych zachcianek, polityki i sojuszków dalece bardziej skomplikowanych niż te związane z kastami czy rasami. To Przywódcy, ale również członkowie elitarnych rodzin z Yumenes. Mocarni ze związku i ci spoza niego, różniący się między sobą znajomościami i pozycją finansową. Innowatorzy z wielopokoleniowych rodów, którzy rywalizowali o miejsce na Siódmym Uniwersytecie, oraz ci, którzy budowali i naprawiali rozmaite błyskotki w biednych częściach miasta. Niepojęte jest to, że ta dziwność Yumenes wynikała w dużym stopniu z wieku miasta. Żyły w nim wielopokoleniowe rodziny. W bibliotekach znajdowały się książki starsze niż Tirimo. Istniały tam organizacje, które pamiętały zadry sprzed trzech albo czterech Sezonów.

Schaffa opowiada jej też o Fulcrum, choć niezbyt wiele. To kolejna dziura w jego pamięci, głęboka i bezdenna niczym obelisk – mimo wszystko Nassun nie może się powstrzymać i próbuje wymacać jej brzegi. To przecież miejsce, które niegdyś zamieszkiwała jej matka, i wbrew wszystkiemu, co się wydarzyło, fascynuje ją to. Jednak Schaffa słabo przypomina sobie Essun, nawet kiedy Nassun zbiera się na odwagę i pyta o nią wprost. Próbuje jej odpowiadać, ale się zacina, a jego twarz wydaje się naraz przepełniona bólem i bledsza niż zazwyczaj. Dlatego Nassun zmusza się, aby zadawać te pytania powoli, rozdzielając je wieloma godzinami, a nawet dniami, aby w ten sposób dać mu czas na dojście do siebie. Dowiaduje się jednak niewiele więcej ponad to, czego już domyślała się na temat matki, Fulcrum i życia przed Piątą Porą Roku. Ale mimo wszystko dobrze jest to usłyszeć.

Kolejne kilometry mijają w takiej właśnie atmosferze, wśród wspomnień i tłumionego bólu.

Warunki na Antarktydzie pogarszają się z dnia na dzień. Opady popiołu stają się nieprzerwane, a otoczenie zaczęło się zmieniać w wyciosany w szarości i bieli pejzaż przedstawiający wzgórza, granie i więdnącą roślinność. Nassun zaczyna tęsknić za widokiem słońca. Którejś nocy słyszą jakiś pisk, najprawdopodobniej godowy odgłos dorosłego kirkhusa, na szczęście jednak dobiega on z daleka. Któregoś dnia mijają staw, którego powierzchnia jest szara od unoszącego się na niej popiołu; woda pod spodem wydaje się zadziwiająco spokojna, zważywszy na fakt, że staw zasila wartki strumień. Choć manierki mają już prawie opróżnione, Nassun spogląda znacząco na Schaffę, a ten kiwa głową w milczeniu. Teoretycznie wszystko jest w porządku, ale... no cóż. Przetrvanie podczas Piątej Pory Roku zależy nie tylko od odpowiednich narzędzi, ale też od właściwego instynktu. Unikają nieruchomej wody i żyją dalej.

Wieczorem dwudziestego dziewiątego dnia docierają do miejsca, gdzie Cesarski Trakt nagle staje się płaski i skręca na południe. Nassun sejszy, że droga biegnie wzdłuż czegoś, co przypomina brzeg krateru. Dotarli do krawędzi otaczającej okrągły, nietypowo płaski teren, a droga zakrzywia się wzdłuż strefy dawnych zniszczeń i biegnie z powrotem na zachód po drugiej stronie. Natomiast w środku Nassun dostrzega wreszcie coś niesamowitego.

Fałda Starca to somma wulkaniczna – kaldera wewnątrz kaldery. Jest o tyle nietypowa, że została idealnie uformowana; z tego, co czytała Nassun, zewnętrzna, starsza kaldera jest zazwyczaj mocno zniszczona przez wybuch tworzący tę młodszą, wewnętrzną. W tym wypadku zewnętrzna krawędź to niemal idealny okrąg, choć zarośnięty i nieznacznie zerodowany. Nassun nie widzi jej tak naprawdę pod warstwą zieleni, choć wyraźnie ją sejszy. Wewnętrzna kaldera jest owalna i lśni w oddali tak wyraźnie, że dziewczynka nawet bez sejszenia może powiedzieć, co tu się stało. Podczas wybuchu musiało być tak gorąco, że cała ta geologiczna formacja niemal zniszczyła samą siebie. To, co pozostało, zamieniło się w szkło, zahartowane naturalnym sposobem tak dobrze, że przetrwało całe wieki. Wulkan, który wytworzył tę somnę, już wygasł, a jego stara komora od dawna jest pusta; nie ma w niej ani śladu ciepła. Jednak kiedyś Fałda była niesamowitym – i przerażającym – obiektem, który przebijał w tym miejscu skorupę świata.

Zgodnie ze wskazówkami Stali rozbijają na noc obóz jakiś kilometr lub dwa od Fałdy. Niedługo przed świtem Nassun budzi się, słysząc odległy pisk, ale Schaffa ją uspokaja.

– Słysząc to co jakiś czas – mówi cicho ponad trzaskającym ogniem. Nalegał, żeby tym razem pełnili wartę, a Nassun objęła wcześniejszą zmianę. – Coś w lesie Fałdy. Nie zbliża się do nas.

Nassun mu wierzy. Żadne z nich nie zasypia już tej nocy.

Wstają przed świtem i ruszają w drogę. W porannym świetle Nassun obserwuje podwójny, zwodniczo nieruchomy krater, który rozciąga się przed nimi. Z bliska lepiej widać, że w ścianach wewnętrznej kaldery znajdują się szczeliny, rozmieszczone w regularnych odległościach; komuś zależało, żeby ludzie mogli wchodzić do środka.

Podłoże zewnętrznej kaldery jest natomiast całkowicie zarośnięte, faluje tu wysoka, żółtozielona trawa, która najwyraźniej wyparła stąd wszelkie inne formy życia. Nie da się wysejszyć w niej nawet śladów zwierzyny.

Prawdziwa niespodzianka kryje się jednak pod Fałdą.

– Ruiny, o których opowiadał Stal – mówi Nassun. – One są pod ziemią.

Schaffa spogląda na nią zaskoczony, ale nie spiera się.

– W komorze wulkanicznej?

– Być może.

Z początku Nassun też w to nie wierzy, ale srebro nie kłamie. Rozpościerając swoją sejsdyczną świadomość na cały obszar, wyczuwa jeszcze inną dziwną rzecz. Srebro odzwierciedla tutaj nierówności topografii – niby tak samo jak wszędzie indziej, lecz tu srebro jest jaśniejsze i wydaje się swobodniej przepływać od rośliny do rośliny i od skały do skały. Ruchy te łączą się w większe, oszłamiające nici, które płyną razem niczym strumieniem, sprawiając, że ruiny zanurzają się w basenie spienionego światła. Nassun nie potrafi rozróżnić szczegółów, bo jest ich zbyt wiele – dostrzega tylko pustą przestrzeń i coś w rodzaju budynków. Te ruiny są olbrzymie. To miasto, ale inne niż wszystkie, które Nassun sejszyła do tej pory.

Lecz spotkała już wcześniej podobny prąd światła. Nie może się powstrzymać i spogląda na szafir, słabo widoczny w oddali. Wyprzedzili go, ale nadal za nimi podąża.

– Tak – stwierdza Schaffa. Obserwował ją, kiedy łączyła to wszystko w myślach. – Nie pamiętam tego miasta, ale znam inne, podobne. To w takich miejscach tworzą obeliski.

Nassun kręci głową, próbując to wszystko przetrwać.

– Co się stało z tym miastem? Kiedyś musiało tu mieszkać mnóstwo ludzi.

– Sezon Zniszczenia.

Nassun wzdycha. Oczywiście słyszała o tym i uwierzyła w tę historię, tak jak dzieci wierzą w większość podobnych opowieści. Pamięta, jak w jednym z podręczników widziała przedstawiający to rysunek pewnego artysty: pioruny, skały spadające z nieba, buchający z ziemi ogień i biegnące we wszystkich kierunkach małe sylwetki ludzi skazanych na zagładę.

– A więc taka była przyczyna? Wybuch wulkanu?

– Sezon Zniszczenia wyglądał tak tutaj. – Schaffa spogląda ponad falującym lasem. – Na pozostałych obszarach było inaczej. Sezon Zniszczenia to było sto różnych Sezonów na całym świecie, Nassun, i wszystkie one zaatakowały równocześnie. To cud, że jakaś część ludzkości w ogóle przetrwała.

Sposób, w jaki mówi... Wydaje się to niemożliwe, ale Nassun przygryza wargę i pyta:

– Czy ty byłeś... czy to pamiętasz?

Spogląda na nią zaskoczony, a potem przywołuje na twarz zmęczony półuśmiech.

– Nie. Myślę jednak... podejrzewam, że urodziłem się jakiś czas później, choć nie mam na to dowodu. Ale nawet gdybym pamiętał Sezon Zniszczenia, podejrzewam, że wolałbym o nim zapomnieć – wzdycha i kręci głową. – Słońce już wstało. Zostawmy przeszłość za sobą i spróbujmy przynajmniej zmierzyć się z przyszłością.

Gdy Nassun przytakuje, schodzą z drogi zagłębiają się w las.

Drzewa są tu dziwne, mają długie i cienkie liście przypominające żdźbła trawy, a także wąskie, elastyczne pnie, które rosną bardzo blisko siebie. W niektórych miejscach Schaffa musi przystawać i rozsuwać dwa czy trzy, żeby mogli przecisnąć się między nimi. Bardzo utrudnia to wędrówkę i Nassun wkrótce dyszy ze zmęczenia. Zatrzymuje się, ociekając potem, ale jej opiekun idzie dalej.

– Schaffa – mówi do niego, zamierzając poprosić o przerwę.

– Nie – odpowiada i sapiąc, popycha kolejne drzewo. – Pamiętaj o ostrzeżeniu zjadacza kamieni, maleńka. Musimy dotrzeć do środka lasu przed zmierzchem. Widzisz przecież, że każda chwila jest cenna.

Ma rację. Nassun przełyka ślinę i zaczyna brać głębsze wdechy, żeby wykrzesać z siebie siłę, a potem wznawia marsz.

Wypracowują sobie rytm. Dobrze idzie jej wynajdowanie najkrótszych tras, które nie wymagają przeciskania się między drzewami, a gdy to robi, Schaffa podąża za nią. Kiedy wygodna ścieżka się kończy, Schaffa pcha, kopie i łamie drzewa, aż powstaje przejście, a wtedy to ona pozostaje z tyłu. Podczas tych postojów może złapać oddech, ale zawsze są one zbyt krótkie. Dostaje kolki. Widzi coraz gorzej, ponieważ liście rozplątują jej włosy upięte w dwa bliźniacze koki, a mokre od potu kosmyki przyklejają jej się do twarzy. Desperacko pragnie przynajmniej godzinnego odpoczynku. Chce napić się wody. Zjeść coś. Chmury nad jej głową ciemnieją jednak z każdą godziną i nie sposób stwierdzić, ile czasu pozostało jeszcze do zmroku.

– Mogę... – zaczyna w pewnym momencie, próbując wymyślić, jak mogłaby wykorzystać górotwórstwo, srebro albo cokolwiek innego, aby oczyścić drogę.

– Nie – odpowiada Schaffa, w jakiś sposób wyczuwszy, co zamierzała powiedzieć. Dobył skądś czarny szklany sztylet. Nie jest to idealne narzędzie w takiej sytuacji, ale o dziwo wykorzystuje je skutecznie: dźga każdy pień, a potem powala go kopniakiem. Dzięki temu szybciej się łamią. – Zamrożenie tych roślin tylko utrudniłoby przedostanie się pomiędzy nimi, a wstrząs mógłby doprowadzić do zawalenia komory wulkanicznej pod nami.

– W takim razie s-srebro...

– Nie. – Zatrzymuje się tylko na chwilę i rzuca jej ostre spojrzenie. Jego oddech wcale nie jest przyspieszony, zauważa Nassun z rozpaczą, choć na czole błyszczy mu pot. Metalowy odłamek karze go, ale wciąż, zapewne niechętnie, daje mu dużo sił. – W pobliżu mogą być inni Stróże, Nassun. To mało prawdopodobne, ale nadal możliwe.

Jedyne, co może zrobić Nassun, to uchwycić się kolejnego pytania, ponieważ ta chwilowa przerwa daje jej czas na złapanie oddechu.

– Inni Stróże? – Ach, przecież mówił, że podczas Piątej Pory Roku wszyscy oni udają się w jakieś miejsce, a umożliwia im to właśnie stacja, o której opowiadał Stal. – Pamiętasz coś?

– Niestety, nic więcej – uśmiecha się lekko, jakby wiedział, do czego Nassun zmierza. – Tylko to, że w ten sposób można tam dotrzeć.

– Dotrzeć dokąd?

Jego uśmiech zanika, a na twarzy przez ułamek chwili widać tę znajomą,

niepokojącą pustkę.

– Do Warrant.

Nassun dopiero teraz sobie przypomina, że jego pełne nazwisko brzmi Schaffa Stróż Warrant. Nigdy nie przyszło jej do głowy, żeby się zastanowić, gdzie leży wspólnota Warrant. Ale czy to oznacza, że droga do Warrant prowadzi przez podziemne miasto?

– Dla... dlaczego?

Schaffa kręci głową, a rysy twarzy mu się wyostają.

– Przestań się ociągać. Przy takim świetle niektóre nocne drapieżniki nie będą czekać do zmierzchu. – Spogląda w niebo tylko z nieznacznym niepokojem, jakby ich życiu nic nie zagrażało.

Nie ma sensu powtarzać, że za chwilę padnie na ziemię. Jest Piąta Pora Roku. Jeśli Nassun upadnie, umrze. Dlatego zmusza się do przejścia przez prześwit, który wyrąbał Schaffa, i po raz kolejny zaczyna wybierać najlepszą trasę.

Ostatecznie im się udaje – i dobrze, bo w przeciwnym razie byłaby to bardzo prosta opowieść o tym, jak dowiadujesz się o śmierci córki i w rozpaczony pozwalasz, aby świat usechł do reszty.

Las grubych trawodrzew nagle się przerzedza, odsłaniając równo wycięte w skale przejście przez pierścień wewnętrznej kaldery. Ściany korytarza wznoszą się wysoko ponad ich głowami, choć z daleka nie wyglądały na tak potężne, a samo przejście jest na tyle szerokie, by mogła minąć się w nim para wozów zaprzężonych w dwa konie. Ściany tych korytarzy pokryte są lepkiem mchem i czymś w rodzaju drewnianej winorośli, która na szczęście jest martwa, ponieważ w przeciwnym wypadku mogłaby ich oplatać, dodatkowo spowalniając wędrówkę. Nassun i Schaffa szybko podążają naprzód, łamiąc martwe gałęzie zagrażające im drogę, a potem wychodzą nagle na szeroką, okrągłą płytę z idealnie białego materiału, który nie jest ani metalem, ani skałą. Nassun widziała już kiedyś coś podobnego w pobliżu innych ruin wymarłej cywilizacji; czasami świeciło w nocy. Ta konkretna płyta wypełnia całą przestrzeń w środku wewnętrznej kaldery.

Stal powiedział im, że ruiny znajdują się właśnie tutaj, w środku, ale Nassun widzi jedynie niewielki, skierowany ku górze kawałek metalu, który najwyraźniej jest jakoś połączony z białym materiałem. Napina się cała, reagując na nieznaną strachem, jak każdy, kto przeżył nadejście Piątej Pory Roku. Schaffa natomiast bez wahania podchodzi do tego przedmiotu. Zatrzymuje się obok i przez chwilę na jego twarzy gości ten dziwny wyraz, który zdaniem Nassun wynika z konfliktu przyzwyczajenia ciała i dziurawej pamięci. W końcu kładzie dłoń na zakrzywionym metalu.

Na skale wokół niego pojawiają się nagle płaskie kształty i linie światła. Nassun zamiera, ale świetlne linie tylko drgają i tworzą kolejne, rozpościerając się tak długo, aż w końcu na skale u stóp Schaffy powstaje prostokątny kształt. Rozlega się cichy, ledwie słyszalny szum, który sprawia, że Nassun krzywi się i rozgląda dookoła, a chwilę później biały materiał przed Schaffą znika. Nie usuwa się na bok ani nie otwiera niczym drzwi – po prostu go nie ma. Mimo to Nassun uświadamia sobie, że to rzeczywiście są drzwi.

– No to jesteśmy – szepcze Schaffa. Brzmi, jakby sam był tym trochę zaskoczony.

Za tymi nietypowymi drzwiami znajduje się tunel, który prowadzi w dół i stopniowo znika im z oczu. Wąskie, prostokątne panele rozświetlają stopnie z obydwu

stron. Podchodząc do Schaffy, Nassun widzi, że zakrzywiony kawałek metalu to tak naprawdę fragment balustrady. Coś, czego można się przytrzymać, schodząc w dół.

W dalekiej części trawiastego lasu, który właśnie pokonali, rozlega się wysoki, nieprzyjemny odgłos jakiegoś zwierzęcia. Być może pokrytego chityną. Jest bliższy i głośniejszy od tych, które słyszeli poprzedniej nocy. Nassun krzywi się i spogląda na Schaffę.

– Podejrzewam, że to pasikonik – stwierdza Schaffa. Z poważną miną spogląda na przejście, które wyrąbali sobie w lesie, ale nie widać tam żadnego ruchu... na razie. – A może cykady. No, do środka. Widziałem już wcześniej taki mechanizm. Zamknie się, kiedy tędy przejdziemy.

Nakazuje gestem, żeby poszła jako pierwsza, bo sam chce osłaniać ją z tyłu. Nassun bierze głęboki oddech i przypomina sobie, że właśnie w ten sposób może sprawić, żeby świat nikogo więcej nie krzywdził. Następnie zbiega po schodach.

Panele świetlne uruchamiają się jakieś pięć albo sześć stopni przed nią i gasną mniej więcej trzy stopnie za jej plecami. Kiedy pokonują kilka kroków, zgodnie z przewidywaniami Schaffy biała substancja pokrywająca wejście do szybu znowu pojawia się na miejscu, odcinając ich od odgłosów dobiegających z lasu.

Potem są już tylko światła, schody i dawno zapomniane miasto gdzieś w dole.

2699: Dwa czarne mundury z Fulcrum wezwane do wspólnoty Deejna (kwardon Uher, Zachodnie Wybrzeże, okolica Wnyków Kiash) w momencie rozpoczęcia erupcji góry Imher. Czarne mundury poinformowały władze wspólnoty, że wybuch jest nieuchronny i że najprawdopodobniej obejmie całą grupę Kiash, w tym również Szaleństwo (lokalna nazwa superwulkanu, który wywołał Sezon Szaleństwa; Imher wznosi się na tym samym punkcie zapalnym). Uznawszy, że nie są w stanie stłumić wybuchu Imhera, czarne mundury – jeden z nich był trzy-, drugi rzekomo siedmiopięściennikiem, choć z jakichś powodów żaden nie nosił na palcach swoich odznaczeń – mimo wszystko spróbowały to zrobić, ponieważ i tak nie było już czasu na wezwanie wyższego rangą Cesarskiego Górotwora. Skutecznie tłumili wybuch do momentu, kiedy starszy Cesarski Górotwór przyjechał na miejsce i wepchnął wulkan z powrotem w stan uśpienia. (Trzy- i siedmiopięściennika znaleziono zwięglonych, zamarzniętych i trzymających się za ręce).

Notatki Yaetr Innowatorki Dibars

Syl Anagist: trzy

Fascynujące. Wszystko to łatwiej jest sobie przypominać, opowiadając... a może po prostu nadal jestem człowiekiem.

Z początku nasza wyprawa w teren polega po prostu na tym, że idziemy przez miasto. Od chwili naszego początkowego odcedzenia spędzaliśmy czas zanurzeni we własnych sesunach, w rozmaitych formach energii. Spacer na zewnątrz zmusza nas do poświęcania uwagi innym, mniej ważnym zmysłom, co na początku jest odrobinę przytłaczające. Krzywimy się z powodu sprężystości chodnika z tłoczonego włókna pod stopami, tak różnego od twardego, lakierowanego drewna w naszych kwaterach. Kichamy, próbując wdychać powietrze gęste od zapachów wynędzniałej roślinności, środków chemicznych i tysięcy oddechów. Na dźwięk pierwszego kichnięcia Dushwha jest tak wystraszony, że zaczyna płakać. Zatykamy uszy rękoma, próbując odciąć się od mnóstwa głosów, jęku ścian, szelestu liści i dalekiego szumu maszyn. Bimniwha stara się przekrzykiwać to wszystko, a Kelenli musi się zatrzymać i ją uspokoić – dopiero wtedy Bimniwha zaczyna znowu mówić normalnie. Odchylam się i piszczę, wystraszony przez siedzące na pobliskim krzewie ptaki, a jestem najspokojniejszy ze wszystkich.

Ostatecznie uspokaja nas możliwość ujrzenia ametystowego komponentu plutonicznego. To wspaniała rzecz, która pulsuje powolnym przepływem magii, górując ponad sercem miasta-węzła. Każdy węzeł Syl Anagist wypracował własny sposób na dostosowanie się do lokalnego klimatu. Słyszeliśmy o węzłach na pustyni, gdzie budynki wyrastały z utwardzonych roślin gruboszowatych; węzły na oceanie wzniesione były przez koralowce, zaprogramowane, aby rosły i umierały na zawołanie. (Życie w Syl Anagist jest święte, ale czasami śmierć jest konieczna). Nasz węzeł – węzeł ametystu – był kiedyś starym lasem, dlatego wyobrażam sobie, że w wielkim kryształ kryje się pewien majestat pradawnych drzew. Dzięki temu na pewno jest on potężniejszy i bardziej stabilny niż pozostałe komponenty maszyny. To całkowicie nieracjonalne, ale zerkam na twarze innych stroicieli spoglądających na ametyst i widzę w nich tę samą miłość.

(Opowiadano nam historie o tym, że dawno temu świat wyglądał inaczej. Miasta nie były martwymi skupiskami kamienia i metalu – były śmiertelnie niebezpieczne, zatrwały ziemię, zanieczyszczały wodę i samym swoim istnieniem zmieniały nawet klimat. Syl Anagist jest lepsze, ale myśląc o samym mieście-węzle, niczego nie czujemy. Dla nas jest ono niczym – budynkami pełnymi ludzi, których nie potrafimy tak naprawdę zrozumieć i którzy załatwiają swoje zupełnie nieważne dla nas sprawy. Za to komponenty? Słyszemy ich głosy. Śpiewamy ich magiczną pieśń. Ametyst jest częścią nas, a my jesteśmy częścią jego).

– Podczas tej wyprawy pokażę wam trzy rzeczy – stwierdza Kelenli, kiedy wpatrujemy się w ametyst wystarczająco długo, by się uspokoić. – Konduktorzy zabraniają ich wszystkim, jeśli was to interesuje.

Mówiąc to, spogląda znacząco na Remwhę, ponieważ to on najbardziej sprzeciwiał

się tej wycieczce. Remwha wydaje z siebie znudzone westchnienie. Oboje świetnie grają przed naszymi strażnikami.

Następnie Kelenli prowadzi nas dalej. Jej zachowanie tak bardzo różni się od naszego. Kelenli idzie z łatwością, unosząc głowę i ignorując wszystko, co nieistotne, emanuje spokojem i pewnością siebie. Podążając za nią, co chwilę zatrzymujemy się i podbiegamy do przodu, niezdarni, płochliwi i rozpraszani przez wszystko dookoła. Ludzie patrzą na nas, ale nie sędzę, by najbardziej dziwiła ich biel naszej skóry. Myślę, że po prostu wyglądamy jak głupcy.

Zawsze byłem dumny, a ich rozbawienie sprawia mi ból, prostuję się więc i próbuję iść tak jak Kelenli, choć oznacza to konieczność ignorowania licznych cudów i potencjalnych zagrożeń wokół mnie. Gaewha to zauważa i próbuje naśladować nas oboje. Remwha widzi, co robimy, i wygląda na rozzłoszczonego; wysyłając w ziemię drobną zmarszczkę: „Dla nich zawsze będziemy dziwni”.

Odpowiadam wściekłym, basowym pulsowaniem. „Nie chodzi o nich”.

Wzdycha, ale również zaczyna mnie naśladować. Inni robią to samo.

Dotarliśmy do południowego skraju miasta-węzła, gdzie w powietrzu czuć słabą woń siarki. Kelenli wyjaśnia, że przyczyną zapachu są rośliny odpadowe, które występują tutaj bardziej obficie ze względu na to, że na obrzeżach miasta kanały ściekowe doprowadzają szarą wodę bliżej powierzchni. Łodygi oczyszczają wodę i rozpościerają nad ulicami zdrowe listowie, chroniąc je przed chłodem. Mimo to nawet najlepsi genozynierowie nie potrafią zapobiec temu, by rośliny wyrastające na odpadach nie wydzielaly zapachu przypominającego to, czym się odżywiają.

– Czy zamierzasz pokazać nam infrastrukturę związaną z oczyszczaniem odpadów? – zwraca się Remwha do Kelenli. – Bo czuję się teraz bardziej na swoim miejscu.

Kelenli prycha.

– Niezupełnie.

Skreca za róg, a my podążamy za nią. Przed nami wyrasta martwy budynek. Zatrzymujemy się i patrzymy. Bluszcz wspina się po marmurowych filarach i ścianach, które wykonane są z jakiejś czerwonej gliny sprasowanej w cegły. Jediną żywą rzeczą w całym tym obiekcie jest właśnie bluszcz. Sam budynek jest niski i ma kształt prostokątnego pudła. Nie sejszemy żadnego ciśnienia hydrostatycznego podtrzymującego ściany; najwyraźniej użyto w tym celu jakiegoś chemicznego spoiwa. Okna to tylko metal i szkło, na którego powierzchni nie widzę żadnych nematocystów. Jak oni chronili cokolwiek, co znajdowało się w środku? Drzwi wykonane są z martwego drewna, wypolerowanego na czerwono-brązowo i zdobionego motywami bluszczu – są zadziwiająco ładne. Schody to bloki zbitego szarobiałego piasku. (Kilka wieków wcześniej ludzie nazywali to betonem). Całość jest zdumiewająco przestarzała – a jednak nienaruszona, funkcjonalna i ciekawa w swojej odmienności.

– To jest takie... symetryczne – mówi Bimniwha, lekko wydymając wargi.

– Tak – odpowiada Kelenli. Zatrzymała się przed tym budynkiem, abyśmy mogli się na niego napatrzeć. – Kiedyś ludzie uważali jednak takie rzeczy za piękne. Chodźmy. Rusza przed siebie.

Remwha patrzy na nią.

– Co? Do środka? Czy ten budynek jest stabilny?

– Tak. I tak, wchodzimy do środka. – Kelenli zatrzymuje się, żeby na niego spojrzeć, być może zaskoczona tym, że jego odzywka nie była wyreżyserowana. Czuję przez ziemię, jak dotyka go i uspokaja. Remwha jest najbardziej niezdolny, kiedy się boi albo złości, dlatego jej gest pomaga. Gwałtowne drganie jego nerwów zaczyna się wyciszać. Kelenli nadal jednak musi odgrywać swoją rolę przed naszymi licznymi obserwatorami. – Choć myślę, że jeśli chcesz, możesz zostać na zewnątrz.

Mówiąc to, spogląda na dwoje strażników, którzy stoją w pobliżu. W przeciwieństwie do pozostałych, których dostrzegamy niekiedy gdzieś daleko, tych dwoje nie oddaliło się od naszej grupy.

Kobieta rzuca jej groźne spojrzenie.

– Ty decydujesz.

– Tak tylko pomyślałam. – Kelenli wzrusza ramionami i wskazuje głową budynek, zwracając się tym razem do Remwhy. – Wygląda na to, że nie masz wyboru. Ale obiecuję, że sufit nie zawali ci się na głowę.

Ruszamy za nią. Remwha idzie odrobinę wolniej, ale w końcu nas dogania.

Kiedy przekraczamy próg, przed nami pojawia się holoznak. Nie nauczono nas czytać, a te litery tak czy inaczej wydają nam się dziwne, chwilę później jednak system nagłaśniający budynku odzywa się grzmiącym głosem: „Witajcie w historii czerpania!”. Nie mam pojęcia, co to znaczy. W środku budynku... śmierdzi. Jest tu sucho, wszędzie znajduje się mnóstwo kurzu, a powietrze wydaje się nieruchome, jakby nic nie korzystało tu z dwutlenku węgla. Zauważamy, że są tu inni ludzie: stoją w wielkim, otwartym holu albo chodzą po bliźniaczych, zakrzywiających się schodach, z fascynacją przyglądając się drewnianym dekoracjom zdobiącym każdy stopień. Nie patrzą na nas, ich uwagę przykuwa znacznie dziwniejsze otoczenie.

Remwha pyta:

– Co to?

Jego niepokój przenikający nagle naszą sieć sprawia, że wszyscy na niego spoglądamy. On stoi tylko, marszcząc brwi i przekrzywiając głowę z boku na bok.

– Co masz na... – zaczynam pytać, ale wtedy też to... słyszę? Sejszę?

– Pokażę wam – mówi Kelenli.

Prowadzi nas głębiej do wnętrza pudełkowatego budynku. Mijamy ozdobne kryształki, z których każdy zawiera w sobie jakiś niezrozumiały – ale ewidentnie stary – przedmiot. Dostrzegam książkę, zwój drutu i coś w kształcie ludzkiej głowy. Domyślam się, że umieszczone obok tabliczki wyjaśniają znaczenie kolejnych przedmiotów, nie znajdują jednak w tym wszystkim żadnego sensu.

Następnie Kelenli prowadzi nas na szeroki balkon ze starodawną, rzeźbioną z drewna balustradą. (Jest to wyjątkowo przerażające. Mamy polegać na poręczy wykonanej z martwego drzewa i niepołączonej z żadną miejską siecią bezpieczeństwa. Dlaczego ci ludzie nie mogli po prostu wyhodować pnączy, które złapałyby nas w razie upadku? Dawne czasy były okropne). Stajemy więc ponad olbrzymią komnatą, spoglądając w dół na coś, co pasuje do tego martwego miejsca mniej więcej tak samo jak

my. Czyli w ogóle.

W pierwszej chwili przychodzi mi na myśl, że to kolejny silnik – nie poszczególny komponent, ale całość. Tak, jest tu wysoki, imponujący kryształ oraz gniazdo, z którego wyrasta. Ten silnik został nawet aktywowany; duża część całej struktury unosi się nad ziemią, szumiąc cicho. Jest to jednak zaledwie część silnika. Wokół centralnego kryształu unoszą się podłużne, zakrzywione do wewnątrz elementy, a całość przypomina kwiat, być może chryzantemę. Centralny kryształ świeci bladożłoto, a kryształy wspierające u podstaw mają barwę zieleni, która na czubkach przechodzi w czystą biel. Piękne, choć jednocześnie dziwne.

Kiedy patrzę na ten silnik czymś więcej niż tylko oczyma i kiedy dotykam go nerwami dostrojonymi do poruszeń ziemi, zamieram. Na Złą Ziemię, sieć magii stworzona przez tę strukturę jest wprost niesamowita! Dziesiątki srebrzystych nitek wspierają się nawzajem; energie wszystkich możliwych rodzajów i form połączone są ze sobą i przekształcają się w pozornie chaotyczny, a jednak uporządkowany sposób. Centralny kryształ migocze raz po raz, przechodząc przez różne fazy potencjału. Jest taki niewielki! Nigdy nie widziałem tak świetnie skonstruowanego silnika. Nawet silnik plutoniczny nie jest tak potężny ani precyzyjny. Gdyby był tak wydajny jak to maleństwo, konduktorzy w ogóle nie musieliby nas stwarzać.

A jednak cała ta struktura wydaje się nie mieć sensu. Nie ma tu wystarczająco dużo magii, aby ten minisilnik produkował tyle energii, ile od niego wyczuwam. Kręcę głową, ale teraz słyszę już to, na co zwrócił uwagę Remwha: miękkie, uporczywe dzwonięcie. Wiele tonów, mieszających się ze sobą i sprawiających, że podnoszą mi się włoski na karku... Spoglądam na Remwhę, który kiwa do mnie, robiąc zaciętą minę.

Magia tego silnika nie ma żadnego widocznego celu poza tym, aby wyglądać, brzmieć i być piękną. I jakimś sposobem – drzę, instynktownie rozumiejąc, ale opierając się temu spostrzeżeniu, ponieważ przeczy wszystkiemu, czego nauczyłem się na temat praw fizyki i wiedzy tajemnej – ta struktura wytwarza więcej energii niż jej pobiera.

Marszczę czoło, spoglądając na Kelenli, która mnie obserwuje.

– To nie powinno istnieć – mówię. Tylko za pomocą słów. Nie wiem, jak inaczej wyartykułować to, co czuję. Szok. Niedowierzenie. Z jakiegoś powodu również strach. Silnik plutoniczny to najbardziej zaawansowany wytwór geomestrii. To właśnie powtarzali nam konduktorzy przez wszystkie te lata od czasu naszego odcedzenia... a jednak. Ten maleńki dziwaczny silnik w zapomnianym, pokrytym kurzem muzeum, jest bardziej zaawansowany. I wydaje się, że zbudowano go tylko po to, aby był piękny.

Dlaczego ten wniosek mnie przeraża?

– Ale istnieje – odpowiada Kelenli. Ze znudzoną, a jednocześnie rozbawioną miną opiera się plecami o balustradę. Mimo to, na przekór harmonii całej tej struktury, czuję, jak szczypie ziemię.

„Myśl”, mówi bez słów. Patrzy na mnie. Na swojego myśliciela.

Spoglądam na pozostałych. Dostrzegam strażników Kelenli. Zajęli miejsca po obydwu stronach balkonu, żeby móc obserwować zarówno korytarz, którym tu przyszedliśmy, jak i salę wystawową na dole. Oboje wyglądają na znudzonych. Kelenli przyprowadziła nas tutaj. Skłoniła konduktorów, aby pozwolili nas tu przyprowadzić.

Chce, abyśmy zobaczyli w tym starym silniku coś, czego jej straż nie widzą. Co?

Wykonuję krok do przodu, opieram dłonie o martwą balustradę i spoglądam na ten obiekt, jakby mogło to jakoś pomóc. Ale nad czym tu myśleć? To coś ma taką samą konstrukcję jak inne silniki plutoniczne. Jedynie jego cel jest inny... nie, to zbyt duże uproszczenie. Różnica jest... filozoficzna. Fundamentalna. Silnik plutoniczny to narzędzie. To tutaj to... sztuka.

I wtedy nagle rozumiem. Nie zbudował tego nikt z Syl Anagist.

Spoglądam na Kelenli. Muszę użyć słów, ale konduktorzy, słuchający raportów strażników, nie powinni niczego z nich wywnioskować.

– Kto?

Uśmiecha się, a całe moje ciało przebiega dreszcz, którego nie potrafię nazwać. Jestem jej myślicielem, a ona jest ze mnie zadowolona – nie mógłbym być bardziej szczęśliwy.

– Ty – odpowiada, wprawiając mnie w krańcowe zdumienie. Następnie odsuwa się od poręczy. – Mam ci do pokazania wiele więcej. Chodź.

Podczas Sezonu wszystko się zmienia.

Tablica Pierwsza, *O przetrwaniu*, werset drugi

Ykka reaguje na pomysł przyjęcia Maxixe'a i jego ludzi bardziej przychylnie, niż się spodziewałaś. Nie jest zadowolona z faktu, że Maxixe'owi dolega zaawansowane stadium popiołowych płuc, co Lerna potwierdza po tym, jak wszyscy przybysze myją się gąbkami, a on następnie bada ich stan zdrowia. Nie podoba jej się również to, że czworo jego ludzi cierpi na inne poważne dolegliwości, począwszy od stanów zapalnych dziąseł aż po zupełny brak zębów – a także to, że zgodnie z opinią Lery przy tak ograniczonej diecie wszyscy oni będą ledwie trzymać się na nogach. Mimo to podczas zaimprovizowanego zgromadzenia informuje was na tyle głośno, aby usłyszeli to wszyscy podsłuchujący, że może zaakceptować wielu dodatkowych ludzi, jeśli są w stanie dostarczyć dodatkowe zapasy, wiedzę na temat okolicy i dobre górotwórstwo, które pomoże ochronić wspólnotę przed kolejnymi atakami. Dodaje również, że Maxixe nie musi żyć wiecznie. Wystarczy, żeby zdążył pomóc wspólnocie.

Nie dodaje: „W przeciwieństwie do Alabastra”, co jest miłe – a przynajmniej nie okrutne. Zdziwiająco, jak bardzo szanuje twoją żalobę... a może to znak, że zaczyna ci wybaczać. Dobrze byłoby znowu mieć przyjaciółkę. Przyjaciół. Znowu.

To oczywiście nie wystarczy. Nassun żyje, a ty mniej więcej doszłaś już do siebie po wywołanej przez Wrota śpiączce, dlatego teraz każdego dnia wysilasz się, aby nie zapominać, dlaczego zostałaś w Castrimie. Wracanie do tych powodów czasami pomaga. Po pierwsze, chodzi o przyszłość Nassun, ponieważ chcesz mieć dla niej jakieś schronienie, kiedy już ją odnajdziesz. Po drugie, nie dasz rady zrobić tego sama – a nie możesz pozwolić Tonkee, żeby z tobą poszła, niezależnie od tego, jak bardzo jest na to gotowa. Przy takim osłabieniu twojego górotwórstwa długa podróż na południe byłaby dla was obu wyrokiem śmierci. Hoa nie będzie mógł pomóc ci w ubieraniu się, przygotowywaniu jedzenia ani robieniu innych rzeczy, do których potrzebuje się dwóch rąk. I jeszcze Powód Numer Trzy, najważniejszy: nie wiesz, dokąd powinnaś iść. Hoa potwierdził, że Nassun się przemieszcza i że zaczęła się oddalać od miejsca położenia szafiru mniej więcej wtedy, kiedy ty otworzyłaś Wrota Obelisków. Nawet kiedy jeszcze spałaś, było już za późno, by próbować ją odnaleźć.

Pojawia się jednak nadzieja. Któregoś ranka po tym, jak Hoa uwolnił cię od ciężaru lewej piersi, odzywa się cichym głosem:

– Chyba wiem, dokąd ona zmierza. Jeśli się nie mylę, wkrótce się zatrzyma.

Robi niepewną minę. Nie, nie niepewną. Zaniepokojoną.

Siedzisz na występie skalnym niedaleko od obozu, dochodząc do siebie po... amputacji. Nie było to tak nieprzyjemne, jak sądziłaś. Zsunęłaś wszystkie warstwy ubrania, odsłaniając kamienną pierś. Hoa położył na niej dłoń, a pierś bezboleśnie odłączyła się od twojego ciała. Zapytałaś, dlaczego nie zrobił tego z twoim ramieniem, na co odparł:

– Robię to, co dla ciebie najwygodniejsze.

Następnie uniósł kawałek twojego ciała do ust, a ty postanowiłaś

z zafascynowaniem przyjrzeć się płaskiej, kamiennej i lekko chropowatej bliźnie w miejscu, gdzie miałaś pierś. Boli cię trochę, ale nie jesteś pewna, czy to ból po amputacji czy raczej egzystencjalny.

(Trzema gryzami zjada ulubioną pierś Nassun. Nakarmienie nią jeszcze kogoś sprawia ci perwersyjną przyjemność).

Kiedy nieporadnie wsuwasz ramię z powrotem we wszystkie bluzki i koszule – i wypychasz jedną miseczkę stanika najcieńszą z nich – zastanawiasz się nad niepewnością, którą usłyszałaś wcześniej w głosie Hoi.

– Ty coś wiesz.

Hoa milczy. Przygotowujesz się, żeby mu wyjaśnić, że macie współpracować, że zobowiązałaś się schwytać Księżyc i zakończyć tę bezkresną Piątą Porę Roku, że zależy ci na nim, ale że nie może ukrywać przed tobą ważnych informacji, a wtedy on odpowiada:

– Myślę, że Nassun sama chce otworzyć Wrota Obelisków.

Reagujesz odruchowo, błyskawicznie: czystym strachem. Prawdopodobnie nie to powinnaś teraz czuć. Logika wskazywałaby na niedowierzanie, że dziesięcioletnia dziewczynka jest w stanie dokonać czegoś, czemu ty ledwie sprostałaś. Ale z jakiegoś względu, być może dlatego, że pamiętasz, jak ta mała dziewczynka pulsowała niebieskim gniewem, i już w tamtej chwili wiedziałaś, że rozumie obeliski lepiej, niż ty kiedykolwiek je zrozumiesz, nie wątpisz w prawdziwy sens wypowiedzi Hoi – że twoja mała dziewczynka jest większa, niż sądziłaś.

– To ją zabije – wykrztuszasz z siebie.

– To bardzo prawdopodobne, tak.

Och, na Ziemię.

– Ale potrafisz znów ją namierzyć? Straciłaś jej ślad po tym, jak opuściła Castrimę.

– Teraz, kiedy połączona jest z obeliskiem, znowu ją wyczuwam.

Teraz też w jego głosie słyhać to wahanie. Dlaczego? Dlaczego to miałyby go... och. Och, na zardzewiałą, płonąca Ziemię! Zaczynasz się trząść, kiedy to do ciebie dociera.

– Co oznacza, że każdy zjadacz kamieni może ją teraz namierzyć. Czy to właśnie chcesz powiedzieć?

Znowu to samo co w Castrimie. Rubinowa, Maślany Marmur i Brzydka Sukienka – obyś już nigdy nie musiała oglądać tych pasożytów. Na szczęście Hoa zabił większość z nich.

– Tak właściwie to wtedy zaczynacie się nami interesować, zgadza się? Kiedy używamy obelisków albo jesteśmy tego bardzo bliscy.

– Tak.

To jedno słowo wypowiedziane zostaje jakby... bezustnie, ale przecież już to znasz.

– Na podziemny ogień. Jeden z was ją ściga.

Nie sądziłaś, że zjadacze kamieni mogą wzdychać, ale z piersi Hoi dobiega taki właśnie odgłos.

– Ten, którego nazywasz Szarym.

Przenika cię chłód. Ale tak, zdążyłaś się już tego domyślić. Na świecie żyły ostatnio trzy górotwory potrafiące połączyć się z obeliskami: Alabaster, ty i teraz Nassun. Być może przez krótki okres również Uche – może nawet w Tirimo czaił się wtedy jakiś zjadacz kamieni. Zardzewiały gnojek musi być bardzo zawiedziony, że Uche stał się ofiarą synobójstwa, a nie przemiany w kamień.

Zaciskasz zęby, a w ustach czujesz smak żółci.

– On nią manipuluje. – Aby otworzyć Wrota i przekształcić ją w kamień, a potem zjeść. – To właśnie próbował zrobić w Castrimie: chciał zmusić Alabastra albo mnie, albo... och, na rdzę, albo Ykkę, chciał zmusić kogokolwiek z nas do zrobienia czegoś przekraczającego nasze możliwości, abyśmy w ten sposób zamienili się w...

Kładziesz dłoń na kamiennej bliznie po swojej piersi.

– Zawsze istnieli ci, którzy z rozpacz i desperacji czynią swoją broń.

Słowa te wypowiedziane zostają miękko, jakby ze wstydem.

Nagle jesteś wściekła na siebie i swoją niemoc. Wiesz, że obiektem tej złości jesteś ty sama, lecz nie powstrzymuje cię to przed wyżyciem się na nim.

– Wygląda na to, że dotyczy to was wszystkich!

Hoia stoi nieruchomo, wpatrując się w czerwony horyzont; wygląda jak posąg wzniesiony na cześć zadumy i nostalgii. Nie obraca się, ale słyszysz w jego głosie, że poczuł się urażony.

– Nie okłamałem cię.

– Nie, ale zataiłeś tak wiele prawdy, że to, kurwa, jedno i to samo! – Pocierasz oczy. Żeby z powrotem założyć koszulę, musiałaś na chwilę zdjąć gogle i teraz masz w nich pełno popiołu. – Wiesz, co? Nie chcę słyszeć nic więcej. Muszę odpocząć.

Wstajesz.

– Zabierz mnie z powrotem.

Jego ręka nagle wysuwa się w twoją stronę.

– Jest jeszcze jedna rzecz, Essun.

– Powiedziałam ci...

– Proszę. Musisz to wiedzieć. – Czeka, jakby chciał się upewnić, że mu nie przerwiesz. A potem mówi: – Jija nie żyje.

Zamierasz.

W tej chwili przypominam sobie, dlaczego opowiadam tę historię z twojej, a nie ze swojej perspektywy: ponieważ na zewnątrz za dobrze potrafisz się ukrywać. Twoja twarz staje się biała, a spojrzenie nieruchome. Ale znam cię. Znam cię. Oto, co masz w środku.

Zaskakuje cię twoje własne zaskoczenie. Bo jesteś zaskoczona, a nie zła, zadowolona czy smutna. Tylko... zaskoczona. Ale to dlatego, że twoja pierwsza myśl brzmi: Nassun żyje...

Bo żyje, prawda?

Następnie zaskakuje cię twój własny strach. Nie wiesz, czego się boisz, ale

w ustach masz surowy, kwaśny posmak tego uczucia.

– Jak? – pytasz.

– Nassun.

Strach się nasila.

– Nie mogła stracić kontroli nad swoim górotwórstwem, nie zdarzyło jej się to od piątego roku życia...

– To nie było górotwórstwo. A sam czyn był zamierzony.

Czujesz w swoim ciele wstrząs o sile Pęknięcia. Dopiero po chwili udaje ci się zapytać:

– Ona go zabiła? Celowo?

– Tak.

Milkniesz, oszołomiona i blada ze strachu. Ręka Hoi nadal pozostaje wysunięta w twoją stronę. Oferta udzielenia odpowiedzi. Nie jesteś pewna, czy chcesz je poznać, ale... mimo wszystko chwytasz tę rękę. Być może chcesz zyskać w ten sposób pocieszenie. Nie spodziewasz się, że jego dłoń owinie się wokół twojej i nieznacznie zaciśnie, sprawiając, że poczujesz się lepiej. A jednak on czeka. Jesteś mu za to bardzo, bardzo wdzięczna.

– Czy on... Gdzie jest... – zaczynasz, kiedy czujesz się gotowa. Nie jesteś gotowa. – Czy jest jakaś droga, którą mogę się tam dostać?

– Tam?

Jesteś przekonana, że wie, co masz na myśli. Upewnia się jednak, że ty wiesz, o co pytasz.

Przełykasz z trudem i próbujesz to wyjaśnić.

– Byli na Antarktydzie. Jija nie ciągnął jej po drogach bez końca. Miała jakieś bezpieczne miejsce, gdzie stała się silniejsza, dużo silniejsza. – Mogę wstrzymać oddech pod ziemią, jeśli ty... Zabierz mnie tam, gdzie ona, by... – Ale nie. To nie tam tak naprawdę chcesz się udać. Przestań owijać w bawełnę. – Zabierz mnie tam, gdzie jest Jija. Tam, gdzie... zmarł.

Nie porusza się przez jakieś pół minuty. Zauważyłaś już wcześniej, że tak właśnie robi. Podczas rozmowy na udzielenie odpowiedzi potrzebuje raz mniej, a raz więcej czasu. Zdarza się, że jego słowa prawie nakładają się na twoje, a niekiedy czeka tak długo, że wydaje ci się, że może cię nie usłyszał. Nie sądzisz, by w tym czasie myślał. To chyba po prostu nie ma dla niego znaczenia – jedna sekunda czy dziesięć, teraz albo później. Słyszał cię. W końcu zareaguje.

I rzeczywiście, wreszcie rozmywa się odrobinę i zamyka twoją dłoń pomiędzy własnymi. Nacisk zwiększa się stopniowo, aż uchwyt jest pewny. To nic przyjemnego.

– Zamknij oczy.

Nigdy wcześniej cię o to nie prosił.

– Dlaczego?

Zabiera cię w dół. Głębiej, niż kiedykolwiek wcześniej, i tym razem trwa to dłużej niż tylko chwilę. Odruchowo wciągasz powietrze do płuc i w ten sposób odkrywasz, że wcale nie musisz wstrzymać oddechu. Kiedy ciemność staje się jeszcze ciemniejsza, rozświetlają ją rozbłyśki czerwieni. Przez jakiś czas przenikasz przez te płynne czerwienie

i pomarańcze, dostrzegając ulotny obraz falującej otwartej przestrzeni. W oddali coś rozpada się w deszczu półpłynnych, lśniących odłamków. Potem znowu jest już tylko czerń, a chwilę później stajesz na ziemi, pod lekko zachmurzonym niebem.

– Dlatego – odpowiada Hoa.

– Kurwa zardzewiała mać! – Próbujesz wyrwać rękę z uścisku, bezskutecznie. – Hoa, ja pierdołę!

Wreszcie jego dłonie przestają tak mocno zaciskać się na twojej i możesz się uwolnić. Chwiejnym krokiem odchodzisz kawałek, a potem obmacujesz całe ciało, szukając ran. Nic ci nie jest – nie zostałeś spalona, zmiażdżona przez skały ani uduszona, nie jesteś nawet poobijana. Przynajmniej nie za bardzo.

Prostujesz się i pocierasz twarz.

– Okej. Zamierzam dobrze zapamiętać, że zjadacze kamieni nie mówią nic bez powodu. Tak naprawdę nigdy nie chciałam zobaczyć podziemnego ognia.

Ale jesteś tutaj, stoisz na wypłaszczonej szczycie wzgórza. Niebo jest twoim znakiem drogowym. Jest później niż tam, skąd przybyłaś – świt już minął. Słońce widać jeszcze na niebie, choć zakrywa je już cienka warstwa chmur. (Ze zdziwieniem stwierdzasz, że tęskniłaś za tym widokiem). To, że dostrzegasz słońce, musi jednak oznaczać, że znajdujesz się znacznie dalej od Pęknięcia niż przed chwilą. Spoglądasz na zachód, a niewyraźny ciemnoniebieski błysk w oddali potwierdza twoje domysły. To jest to miejsce, w którym, jak wyczułaś, otwierając Wrota Obelisków, miesiąc temu przebywała Nassun.

(W tamtą stronę. Udała się w tamtą stronę. Ale to przecież tysiące kilometrów kwadratowych Bezruchu).

Odwracasz się i widzisz, że stoisz obok niewielkiego skupiska drewnianych budynków, wśród których znajduje się magazyn na palach, kilka przybudówek i coś, co wygląda na pomieszczenia sypialne. Wszystko to otoczone jest jednak równym ogrodzeniem z bazaltowych kolumn. To, że zbudował je górotwór, opanowując powolny wybuch wulkanu położonego pod twoimi stopami, jest dla ciebie jasne jak słońce. Równie oczywiste jest jednak to, że całe to miejsce opustoszało. Nie widać żadnych odcisków stóp, a drżenie ziemi wskazuje na ludzi poruszających się gdzieś dalej, za ogrodzeniem.

Zaciekawiona, podchodzisz do przerwy w bazaltowym ogrodzeniu, do którego prowadzi ścieżka, w połowie żwirowa i w połowie wykładana kocimi łbami. U podnóża wzgórza znajduje się wioska. Wygląda jak pierwsza lepsza wspólnota. Dostrzegasz domy o różnych kształtach, większość z nadal zielonymi ogrodami, kilka magazynów, łaźnię, oraz szopę, prawdopodobnie pełniącą funkcję suszarni. Ludzie poruszający się między tymi budynkami nie podnoszą wzroku w twoim kierunku, bo i po co? Tu, gdzie słońce wciąż jeszcze świeci, jest piękny dzień. Mają pola, którymi muszą się zająć, i – czy te przedmioty przywiązane do jednej ze strażnic to łódki? – ryby do złowienia. To miejsce, czymkolwiek jest, nie ma dla nich znaczenia.

Odwracasz się od wioski i to wtedy dostrzegasz donicę.

Znajduje się blisko ogrodzenia, na niewielkim wzniesieniu – z miejsca, w którym stoisz, dobrze ją widać. Kiedy idziesz ścieżką, żeby zajrzeć do środka, w starym odruchu wpuszczasz zmysły w ziemię, aby znaleźć najbliższy oznaczony gład. Jest niedaleko,

może półtora albo dwa metry pod ziemią. Sprawdzasz jego powierzchnię i wyczuwasz płytkie nacięcia wykonane dłutem lub młotkiem. Cztery. To zbyt łatwe; za twoich czasów kamienie oznaczano farbą i cyframi, co utrudniało ich odczytanie. Z drugiej strony kamień jest tak mały, że każdy o poziomie niższym od czteropięściennika miałby problemy, żeby w ogóle go wykryć. Szczegóły programu treningowego są więc błędne, ale podstawom nie sposób niczego zarzucić.

– To nie może być Antarktyczne Fulcrum – mówisz, kucając, aby dotknąć jednego z tworzących okrąg kamieni. To tylko otoczaki zamiast pięknej mozaiki z płyt, którą pamiętasz, ale znowu: sam pomysł jest właściwy.

Hoa wciąż stoi tam, gdzie wyłoniłście się z ziemi, z rękoma ułożonymi tak, jakby dalej trzymał między nimi twoją dłoń. Być może z myślą o podróży powrotnej. Nie odpowiada, ale przecież tak naprawdę mówisz głównie do siebie.

– Zawsze słyszałam, że Antarktyczne Fulcrum jest małe – kontynuujesz – ale to jest właściwie nic. To jakiś obóz.

Nie ma tu Ogrodu Pierścienia. Nie ma Głównego. Słyszałaś też, że Fulcrum Arktyczne i Antarktyczne, mimo swoich rozmiarów i dalekich lokalizacji, były piękne. To sensowne: piękno Fulcrum było wszystkim, co takie oficjalne dziecko-górotwór miało w życiu. Ta żalсна zbieranina szop nie pasuje do całej idei. Poza tym:

– To znajduje się na wulkanie. I za blisko tych nieruchomych mieszkających u stóp wzgórza.

Ta wioska to nie Yumenes, otoczone ze wszystkich stron opiekunami wężła i chronione dodatkowo przez najpotężniejszych seniorów. Zwykły wybuch złości któregoś ze żwirów mógłby zamienić całą tę okolicę w jeden wielki krater.

– To nie jest Antarktyczne Fulcrum – stwierdza Hoa. Jego głos jest nienaturalnie miękki, ale to pewnie dlatego, że odwrócił się już w przeciwną stronę. – Jest ono położone dalej na zachód i zostało oczyszczone. Nie mieszka tam już żaden górotwór.

Oczywiście, że zostało oczyszczone. Zaciskasz zęby ze smutku.

– Czyli to jest dzieło kogoś, kto chciał je tu odbudować. Jakiegoś ocalałego?

Nieświadomie odnajdujesz pod ziemią kolejny znacznik – to mały, okrągły otoczek zakopany na głębokości jakichś piętnastu metrów. Atramentem napisano na nim: DZIEWIEĆ. Kręcąc głową, podnosisz się i odwracasz, żeby obejrzeć resztę tego miejsca.

Zatrzymujesz się zaledwie po paru krokach, kiedy z jednego z budynków sypialnych wyłania się jakiś kulejący mężczyzna. On też przystaje, patrząc na ciebie ze zdumieniem.

– Kim jesteś, u rdzy? – pyta z typowym antarktycznym akcentem.

Odruchowo sięgasz do ziemi, zaraz jednak się powstrzymujesz. To bardzo głupie, nie pamiętasz? Górotwórstwo cię zabije. Poza tym ten człowiek nie jest nawet uzbrojony. To młody mężczyzna, który mimo cofającej się już linii włosów prawdopodobnie nie ma jeszcze trzydziestki. Lekko kuleje, a jeden z butów ma wyższy od drugiego. No tak, wiejski pan złota rączka, który przyszedł tu pewnie, żeby dokonać niezbędnych napraw, na wypadek gdyby te budynki kiedyś znowu okazały się potrzebne.

– Ekhm, cześć – wykrztuszasz. Nie wiesz, co dalej powiedzieć.

– Cześć. – Mężczyzna dostrzega Hoę i się krzywi, a potem zaczyna się na niego

gapić, ze zdumieniem człowieka, który słyszał wprawdzie od mędrców historie o zjadaczach kamieni, ale w nie nigdy nie wierzył. Dopiero po chwili przypomina sobie o tobie i marszcząc brwi, przygląda się warstwie popiołu na twoich włosach i ubraniu. To jednak oczywiste, że obecność Hoi zrobiła na nim znacznie większe wrażenie.

– Powiedz mi, że to jest posąg – odzywa się do ciebie. A potem wydaje z siebie nerwowy śmiech. – Tylko że nie było go tutaj, kiedy wszedłem na wzgórze. No to... że tak powiem: cześć?

Ho nie odpowiada, ale widzisz, że jego oczy zmieniły pozycję i patrzą teraz na mężczyznę. Zbierasz się w sobie i podchodzisz do przodu.

– Przepraszam, jeśli cię wystraszyliśmy. Jesteś z tej wspólnoty?

Mężczyzna wreszcie koncentruje uwagę na tobie.

– Noo, tak. Ale ty nie. – Nie okazuje zakłopotania. – Jesteś kolejną Stróżką?

Przechodzą cię ciarki. Przez chwilę chcesz wrzasnąć „nie”, ale się opanowujesz. Przywołujesz na twarz uśmiech. Oni zawsze się uśmiechają.

– Kolejną?

Młody mężczyzna mierzy cię podejrzliwym wzrokiem. Nie przeszkadza ci to, byle tylko odpowiedział na pytanie i nie próbował cię atakować.

– Tak – odpowiada po chwili. – Po tym, jak dzieciaki wyszły na tę wyprawę szkoleniową, znaleźliśmy tu dwójkę zmarłych. – Gdy to mówi, kąciki jego ust lekko się unoszą. Nie jesteś pewna, czy nie wierzy w to, że dzieci udały się na szkolenie, czy jest po prostu zły na tę „dwójkę zmarłych”, czy może to standardowy uśmieszek, który pojawia się na twarzach ludzi mówiących o roggach, bo oczywiste jest, że skoro przebywali tutaj Stróże, tym właśnie były wspomniane dzieci. – Naczelniczka powiedziała, że kiedyś mogą przybyć tu inni. Każdy z tamtej trójki pojawił się przecież znikąd. Myślę, że ty po prostu się spóźniłaś.

– Ach. – Zdziwiająco łatwo jest udawać Stróżkę. Wystarczy uśmiechać się i nie mówić nic konkretnego. – A kiedy pozostali wyruszyli na tę ich... wyprawę szkoleniową?

– Jakiś miesiąc temu. – Mężczyzna przestępuje z nogi na nogę i obraca się, żeby spojrzeć na szafirowy obelisk w oddali. – Schaffa powiedział, że odchodzą daleko, żebyśmy nie czuli żadnych wstrząsów wtórnych tego, co dzieciaki miały tam robić. Podejrzewam, że to bardzo daleko.

Schaffa. Uśmiech przymarza ci do twarzy. Nie możesz się powstrzymać i syczysz:

– Schaffa.

Mężczyzna spogląda na ciebie, marszcząc czoło. Teraz już na pewno nabrał podejrzeń.

– Tak. Schaffa.

To niemożliwe. On nie żyje.

– Wysoki, czarne włosy, lodowobiałe oczy i dziwny akcent?

Mężczyzna trochę się rozluźnia.

– A, czyli się znacie?

– Tak, bardzo dobrze. – Uśmiechanie się jest takie łatwe. Trudniej powstrzymać potrzebę wrzasku, chwycenia Hoi i zażądania, aby zanurzył was oboje w ziemi, teraz, już teraz, bo musisz ruszyć córce na ratunek. Najtrudniej jest natomiast powstrzymać się

od rzucenia się na ziemię, zwinięcia w kłębek i przyciśnięcia do ciała ręki, której już nie masz, ale która wciąż boli. Na Złą Ziemię, boli, jakby łamana ciągle na nowo, a uczucie to jest tak realne, że łzawią ci oczy.

Cesarskie Górotwory nie tracą kontroli. Lecz ty nie jesteś czarnym mundurem już od dwudziestu lat i tracisz kontrolę zardzewiała często. Mimo wszystko dawna dyscyplina pomaga ci jakoś się opanować. Nassun, twoje dziecko, jest w rękach potwora. Musisz zrozumieć, jak to się stało.

– Bardzo dobrze – powtarzasz. Padające z ust Stróża powtórzenie z pewnością nikogo by nie zdziwiło. – Chcę cię zapytać o jedną z jego podopiecznych. To dziewczyna z Midlatów, brązowa i smukła, kręcone włosy, szare oczy...

– Nassun, tak. Córka Jiji. – Młody mężczyzna zupełnie się rozluźnia, nie dostrzegając, że ty nagle spinasz się jeszcze bardziej. – Na Złą Ziemię, mam nadzieję, że Schaffa zabije ją na tej szkoleniowej wyprawie.

Ta złość nie jest skierowana w twoją stronę, ale i tak odruchowo sięgasz w głąb ziemi. Ykka miała rację: naprawdę musisz się pozbyć odruchu zabijania wszystkiego wokół. Ale przynajmniej nie przestałaś się uśmiechać.

– Tak?

– Jasne. Myślę, że to ona to zrobiła... Na rdzę, właściwie mógł to być każdy z nich. Tylko że to ona przyprawiała mnie zawsze o najsilniejsze ciarki. – Zaciska zęby, dostrzegając w końcu to, co czai się pod twoim uśmiechem. Ale przecież fałsz również jest bardzo typowy dla Stróżów. Mężczyzna po prostu odwraca wzrok.

– Zrobiła co? – pytasz.

– Ach. Myślałem, że wiesz. Chodź, pokażę ci.

Odwraca się i kuśtyka w stronę północnej granicy zabudowań. Ruszasz za nim, najpierw wymieniwszy spojrzenie z Hoą. W tym miejscu znajduje się kolejne niewielkie wzniesienie terenu, wypłaszczone w taki sposób, że wcześniej z pewnością wykorzystywano je do obserwacji gwiazd albo przynajmniej horyzontu. Bardzo dobrze widać stąd okoliczne pola, wciąż zadziwiająco zielone pod cienką i stosunkowo świeżą warstwą bielejącego popiołu.

Jest tam jednak również coś dziwnego: sterta gruzu. Z początku wydaje ci się, że to miejsce na szklane odpady do ponownego użycia. Jija miał coś takiego za domem w Tirimo i sąsiedzi wyrzucali tam rozbite szklane przedmioty i odłamki, które wykorzystywał później do wyrobu rękojeści noży. Część zgromadzonych tu drobiazgów wygląda jednak na cenniejszy kruszec – być może ktoś wyrzucił kawałki nieobrobionego kamienia półszlachetnego. Widzisz wszystkie kolory, od szarości i brązów po błękity, ale zdecydowanie najwięcej tu czerwieni. Jest w tym jakiś porządek, coś, co sprawia, że przystajesz, przekrzywasz głowę i próbujesz zrozumieć, na co właściwie patrzysz. Spostrzegasz wtedy, że kolory i ułożenie kamieni bliżej brzegu sterty trochę przypominają mozaikę. Buty – tak, coś jak buty, złożone precyzyjnie z kamyków, a potem rozsypane. W takim razie to byłyby spodnie, tyle że wpleciona jest w nie kościana biel...

Nie.

Na. Podziemny. Ogień.

Nie, twoja Nassun nie zrobiła tego, nie zrobiłaby, ona...

Zrobiła to.

Młody mężczyzna wzdycha, odczytując emocje wypisane na twojej twarzy. Zapomniałaś o uśmiechu, ale nawet Stróż byłby tym zszokowany.

– Nam też trochę zajęło, zanim się zorientowaliśmy, co to jest. Być może ty rozumiesz z tego coś więcej. – Spogląda na ciebie z nadzieją.

Kręcisz głową, a on wzdycha.

– No cóż. To się stało tuż przed tym, jak wyruszyli. Któregoś ranka słyszymy coś jakby grzmot. Wychodzimy na zewnątrz, a obelisk, ten wielki i niebieski, co to wisiał tu od tygodni, wiesz, jak to one... zniknął. A później tego samego dnia znowu takie jakby „buch”. – Klaszcze w dłonie, naśladując ten dźwięk. Udaje ci się nie podskoczyć. – I jest tu z powrotem. A potem nagle Schaffa mówi naczelniczce, że musi zabrać dzieciaki. W ogóle nie wyjaśnia, co to z tym obeliskiem. Nie wspomina, że Nida i Umber, ci dwaj Stróże, co prowadzili to miejsce razem z nim, nie żyją. Czaszka Umbera była wgnieciona do środka. Nida... – Kręci głową. Na jego twarzy maluje się czyste obrzydzenie. – Tył jej głowy był... W każdym razie Schaffa nic nie mówi. Po prostu zabiera stąd dzieciaki. Wielu z nas zaczyna mieć nadzieję, że nigdy nie przyprowadzi ich z powrotem.

Schaffa. To na nim powinnaś się skoncentrować. Liczy się nie to, co było, ale to, co jest... a jednak nie możesz oderwać wzroku od Jiji. Na płonącej rdzę, Jija!

Chciałbym nadal być ciałem, dla ciebie. Chciałbym nadal być stroicielem, aby móc przemawiać do ciebie przez temperaturę, ciśnienie i pogłosy w ziemi. Słowa są zbyt dosadne i za mało subtelne jak na taką rozmowę. Czulaś coś do Jiji, w takim stopniu, w jakim pozwalały ci na to twoje sekrety. Uważałaś, że cię kocha – i kochał, w takim stopniu, w jakim pozwalały mu na to twoje sekrety. Miłość i nienawiść nie wykluczają się jednak, o czym przekonałem się bardzo dawno temu.

Przykro mi.

Zmuszasz się, by powiedzieć:

– Schaffa nie wróci.

Wiesz bowiem, że musisz go odnaleźć i zabić. Mimo wszystko rozsądek bierze górę nad niepewnością i przerażeniem. To dziwne miejsce, imitacja Fulcrum, choć to przecież tam powinien był przyprowadzić Nassun. Te dzieci, zgromadzone tu i niezamordowane. Nassun, która jawnie kontrolowała obelisk z taką wprawą, że była w stanie zrobić to... a jednak Schaffa jej nie zabił. Dzieje się tutaj coś, czego nie rozumiesz.

– Powiedz mi coś więcej o tym człowieku – prosisz, wskazując brodą stertę klejnotów. Swojego męża.

Młody mężczyzna wzrusza ramionami, a jego ubrania szeleszczą przy tym ruchu.

– A tak, dobra. No nazywał się Jija Obrońca Jekity. – Ponieważ spogląda na górę błyskotek, domyślasz się, że nie widzi, jak się krzywisz na dźwięk błędnego nazwiska wspólnotowego. – Był tu nowy, pracował jako ciosacz. Mamy za dużo mieszkańców, ale

kiedy się tu pojawił, bardzo potrzebowaliśmy ciosacza i wzięlibyśmy każdego, kto nie byłby stary, chory albo ewidentnie szalony. – Wzrusza ramionami. – Kiedy tu przyszli, dziewczyna wydawała się w porządku. Była taka miła i uprzejma, że nie poznałbym, że to jedna z nich. Ktoś dobrze ją wychował. – Znowu się uśmiechasz. To idealny, zimny uśmiech Stróżki. – Wiedzieliśmy, czym ona jest tylko dlatego, że Jija tu przyszedł, rozumiesz. Słyszał pogłoski o tym, że roggi mogą zostać... no, jakby, nie-roggami. Odwiedza nas wiele osób, które o to pytają.

Marszczysz brwi. Nie-roggi?

– Nie żeby kiedyś coś takiego się udało – mężczyzna wzdycha i opiera się na lasce. – I nie, żebyśmy przyjęli do siebie dzieciaka, który wcześniej był jednym z nich, no nie? Bo co, jeśli taki dzieciak by dorósł i miał dzieciaki, które też by się okazały felerne? Trzeba to jakoś wyplenić. No w każdym razie dziewczyna słuchała się ojca aż do jednego dnia jakieś parę tygodni temu. Sąsiedzi mówią, że słyszeli, jak krzyczał na nią któregoś wieczoru, a potem ona przeniosła się tu, na górę, żeby mieszkać z pozostałymi. Widać było, że ta zmiana tak jakby... przygniotła Jiję. Zaczął mówić do siebie, gadał coś o tym, że dziewczyna nie jest już jego córką. Co jakiś czas przeklinał na głos. Kiedy myślał, że nikt nie widzi, uderzał w różne rzeczy, w ściany i tak dalej. A dziewczyna odsunęła się od niego. Niedziwne, wszyscy chodziliśmy wtedy wokół niego na paluszkach. Wiesz, woleliśmy się nie odzywać. Zacząłem też wtedy częściej widywać ją z Schaffą. Chodziła za nim jak cień. Jak tylko gdzieś się zatrzymywał, chwytala go za rękę. A on... – Mężczyzna przygląda ci się ostrożnie. – Zazwyczaj nie okazujecie czułości. Tymczasem wydawał się nie widzieć świata poza nią. Słyszałem, że prawie zabił Jiję, kiedy ten ją zaatakował.

Ramię, którego nie masz, przeszywa ukłucie bólu, ale tym razem ból ten jest bardziej odległy i nie pulsuje tak mocno jak poprzednio. Ponieważ... nie musiał łamać dłoni Nassun, prawda? Nie, sama jej to zrobiłaś. Uche był kolejną złamaną dłonią, bólem wymierzonym przez Jiję. Schaffa chronił ją przed Jiją. Schaffa okazywał jej czułość, tak jak kiedyś próbowałaś robić to ty. A teraz wszystko w tobie drży na myśl, która pojawia ci się w głowie, a powstrzymanie tego drżenia wymaga od ciebie użycia siły, która zdolna była niszczyć miasta, ale...

Ale...

Jak wielkie znaczenie musiała mieć dla Nassun interesowna, przewidywalna miłość Stróża po tym, jak bezwarunkowa miłość jej rodziców tak wiele razy sprawiła jej zawód?

Na chwilę zamykasz oczy, ponieważ nie sądzisz, by Stróże płakali. Z wysiłkiem zadajesz pytanie:

– Co to za miejsce?

Spogląda na ciebie zaskoczony, a potem zerka na Hoę, który stoi za twoimi plecami.

– To jest wspólnota Jekity, Stróżko. Choć Schaffa i ci inni... – Wskazuje na otaczające was budynki. – Oni nazywali tę część wspólnoty „Odnalezionym Księżycem”.

Oczywiście, że tak. I oczywiście, że Schaffa znał sekrety świata, za których odkrycie ty zapłaciłaś ciałem i krwią.

Mężczyzna obserwuje cię, pogrążoną w zamyśleniu.

– Mogę przedstawić cię naczelnicze. Na pewno się ucieszy, że znowu będzie mogła mieć u siebie Stróża. Zawsze to spora pomoc w walce z łupieżcami.

Znowu spoglądasz na Jiję. Widzisz jeden klejnot do złudzenia przypominający mały palec. Wiesz, że to jest mały palec. Całowałaś ten palec...

To zbyt wiele, nie dasz rady, musisz się czegoś uchwycić, wydostać stąd, zanim zupełnie się załamiesz.

– Ja pot-potrzebuję... – Bierzesz głęboki oddech, próbując się uspokoić. – Potrzebuję trochę czasu, żeby zastanowić się nad tą sytuacją. Czy mógłbyś uprzedzić swoją naczelniczkę, że niebawem przyjdę się przywitać?

Mężczyzna przez chwilę mierzy cię wzrokiem, ale wiesz już, że to nic złego, jeśli będziesz zachowywać się trochę dziwnie. Ten człowiek jest przyzwyczajony do dziwaczności Stróżów. Być może właśnie dlatego kiwa głową i cofa się, zakłopotany.

– Mogę o coś zapytać?

Nie.

– Tak.

Przygryza wargę.

– Co się dzieje. To jakby... Ostatnio nic nie jest normalne. To znaczy jest Piąta Pora Roku, ale nawet to wydaje się dziwne. Stróże nie zabierają roggów do Fulcrum. Roggi robią rzeczy, o których nikt nigdy nie słyszał, żeby je robiły. – Wskazuje brodą szczątki Jiji. – Cokolwiek, u rdzy, wydarzyło się na północy... Nawet te rzeczy na niebie, obeliski... To wszystko... Ludzie gadają. Mówią, że może świat nie będzie już normalny. Nigdy.

Patrzysz na Jiję, ale myślisz o Alabastrze. Nie wiesz dlaczego.

– To, co dla jednego normalne, dla innego będzie Sezonem Zniszczenia. – Twarz boli cię od uśmiechania się. Wiarygodny uśmiech to sztuka, a ty jesteś w tym beznadziejna. – Oczywiście byłoby miło, gdybyśmy wszyscy mogli mieć normalne życie, ale za mało ludzi chciało się tą normalnością dzielić. Dlatego teraz wszyscy płoniemy.

Mężczyzna patrzy na ciebie przez długą, dziwnie niepokojącą chwilę. Następnie mruczy coś i ostatecznie odchodzi, omijając Hoę szerokim łukiem. W końcu.

Kucasz obok Jiji. W takiej formie, złożony z klejnotów i barw, jest piękny. Jest też potworny. Pod kolorami wyczuwasz chaos magicznych nici. Ten proces jest zupełnie inny niż to, co stało się z twoimi ręką i piersią. Jija został rozbity na kawałki, a jego cząsteczki złożono z powrotem w przypadkowy sposób.

– Kogo ja z niej zrobiłam? – pytasz.

W twoim polu widzenia pojawiają się palce stóp Hoi.

– Kogoś silnego.

Kręcisz głową. Nassun zawsze taka była.

– Kogoś żywego.

Znowu zamykasz oczy. To jedyne, co powinno mieć znaczenie: wydałaś na świat troje dzieci, a to jedno, to cenne, ostatnie dziecko, wciąż oddycha. Mimo wszystko...

„Stała się mną. Niech Ziemia pożre nas obie, zrobiłam z niej samą siebie”.

I być może dlatego Nassun wciąż żyje. Gdy patrzysz na to, co zrobiła z Jiją, i uświadamiasz sobie, że nie możesz nawet zemścić się na nim za Uchego, bo twoja córka

zrobiła to za ciebie – odkrywasz, że z tego samego powodu się jej boisz.

I oto jest – to, z czym nie zmierzyłaś się przez cały ten czas, kirkhus z popiołem i krwią na pysku. Z powodu waszego syna Jija miał wobec ciebie dług bólu, ale teraz przejęła go Nassun. Nie ochroniłaś jej przed Jiją. Nie było cię przy niej tutaj, dosłownie na końcu świata, kiedy cię potrzebowała. Jak śmiesz sobie wyobrażać, że teraz ją ochronisz? Szary i Schaffa – znalazła sobie lepszych obrońców. Znalazła też siłę, aby bronić się sama.

Jesteś z niej taka dumna. Nie waż się jednak kiedykolwiek do niej zbliżyć.

Ciężka, twarda dłoń Hoi spoczywa na twoim zdrowym barku.

– Niemądrze byłoby tu pozostawać.

Kręcisz głową. Niech przyjdą tu mieszkańcy wspólnoty. Niech zrozumieją, że nie jesteś Strózką. Niech któryś z nich w końcu zauważy, jak bardzo podobna jesteś do Nassun. Niech wyciągną kusze, proce i...

Dłoń Hoi z siłą imadła zaciska się na twoim ramieniu. Wiesz, co cię czeka, ale i tak nie czujesz się gotowa, kiedy Hoa wciąga cię w ziemię, zabierając cię z powrotem na północ. Tym razem celowo pozostawiasz oczy otwarte, ale widok nie robi na tobie wrażenia. Ogień wewnątrz ziemi to nic w porównaniu z tym, co teraz czujesz: mając świadomość, że zawiodłaś jako matka.

Wyłaniacie się w cichej części obozu, w pobliżu niewielkiego zagajnika, gdzie sądząc po smrodzie, wiele osób chodzi za potrzebą. Kiedy Hoa wypuszcza cię z uścisku, odchodzisz od niego, zaraz jednak się zatrzymujesz. W głowie masz pustkę.

– Nie wiem, co robić.

Cisza. Zjadacze kamieni nie wykonują zbędnych ruchów i nie wypowiadają zbędnych słów, a Hoa jasno wyraził już przecież swoje zamiary. Wyobrazasz sobie Nassun rozmawiającą z Szarym, i śmiejesz się cicho, bo ten zjadacz kamieni wydaje się bardziej ruchliwy i rozmowny niż inni. Dobrze. Jest dla niej dobry.

– Nie wiem, dokąd iść – mówisz. Ostatnio sypiałaś w namiocie Lery, ale nie to masz na myśli. Jesteś kompletnie zagubiona, w środku masz ziejącą dziurę. – Nic już nie mam.

– Masz wspólnotę i pozostałych mieszkańców – odpowiada Hoa. – Kiedy dotrzesz do Rennanis, będziesz też miała dom. Masz swoje życie.

Czy naprawdę masz to wszystko? „Martwi nie mają pragnień”, głosi skałowiedza. Myślisz o Tirimo, gdzie nie chciałaś czekać na śmierć, więc wybiłaś całą wspólnotę. Śmierć zawsze ci towarzyszyła. Śmierć jest tobą.

– Ja nie mogę umrzeć – mówi Hoa do twoich zgarbionych pleców.

Marszczysz czoło, wyrwana ze swojej melancholii tym pozornie pozbawionym kontekstu stwierdzeniem. Zaraz jednak pojmujesz: próbuje ci w ten sposób powiedzieć, że nigdy go nie stracisz. Nie odejdzie od ciebie jak Alabaster. Ból po utracie Hoi nie zaskoczy cię nigdy tak, jak miało to miejsce w przypadku Korunda, Innona, Alabastra, Uchego czy teraz Jiji. Nie możesz skrzywdzić Hoi w żaden istotny sposób.

– Miłość do ciebie jest bezpieczna – szepcesz, zdziwiona tym wnioskiem.

– Tak.

Zaskakujące, ale uczucie pustki w piersiach zanika. Nie całkiem, ale... ale to

pomaga.

– Jak ty to robisz? – pytasz. Trudno to sobie wyobrazić. Niemożność zakończenia życia nawet wtedy, kiedy by się tego chciało, nawet wtedy, kiedy wszystko, co znasz i na czym ci zależy, więdnie i odchodzi. Konieczność trwania niezależnie od okoliczności. Niezależnie od tego, jak bardzo masz już dość.

– Idź naprzód – mówi Hoa.

– Co?

– Idź. Naprzód.

A potem znika w ziemi. Będzie gdzieś niedaleko, na wypadek gdybyś go potrzebowała. Ma jednak rację: teraz go nie potrzebujesz.

Nie potrafisz myśleć. Jesteś spragniona, głodna i zmęczona. Wokół śmierdzi. Boli cię kikut. Serce jeszcze bardziej.

Wykonujesz jednak krok w stronę obozu. A potem kolejny. I jeszcze jeden.

Naprzód.

2490: Antarktyda, w pobliżu Wschodniego Wybrzeża; wspólnota rolnicza bez nazwy, około trzydziestu kilometrów od miasta Jekity. Z niewiadomych początkowo przyczyn wszyscy mieszkańcy zamienili się w szkło. (?? Na pewno tak? Szkło, a nie lód? Znaleźć dodatkowe źródła). Jakiś czas później w Jekity pojawił się drugi mąż naczelniczki; odkryto, że jest roggą. Po intensywnym przesłuchaniu przez wspólnotową milicję przyznał, że to on w jakiś sposób odpowiada za tamto zdarzenie. Twierdził, że był to jedyny sposób, aby powstrzymać wybuch wulkanu Jekity, choć nie zaobserwowano żadnych oznak erupcji. Z raportów wynika również, że dłonie mężczyzny zamienione były w kamień. Przesłuchanie zostało przerwane przez zjadacza kamieni, który zabił siedemnastu milicjantów i zabrał roggę do ziemi; obaj zniknęli.

Notatki Yaetr Innowatorki Dibars

Białe schody ciągną się w dół. Ściany tunelu znajdują się blisko siebie, tworząc klaustrofobiczne wrażenie, ale powietrze jakimś sposobem wcale nie jest nieruchome. Już sam brak popiołu to pewna nowość, ale Nassun zauważa również, że nie ma tu zbyt wiele kurzu. To dziwne, prawda? To wszystko jest dziwne.

– Dlaczego tu nie ma kurzu? – pyta po drodze. Na początku tylko szepcze, ale stopniowo zaczyna się rozluźniać. Powoli. W końcu to nadal ruiny wymarłej cywilizacji, a słyszała przecież wiele historii o tym, jak bardzo takie miejsca bywają niebezpieczne. – Dlaczego światła nadal działają? I te drzwi, przez które tu weszliśmy? Jak to możliwe, że wciąż są sprawne?

– Nie mam pojęcia, maleńka.

Schaffa idzie przodem, aby ewentualne niebezpieczeństwo spotkało najpierw jego. Nassun nie widzi jego twarzy i musi odczytywać jego nastrój, spoglądając na jego szerokie barki. (Niepokoi ją, że nieustannie musi go obserwować, aby w porę dostrzegać zmiany nastroju czy zbliżające się napięcie. To kolejna rzecz, której nauczyła się od Jiji. Najwyraźniej nie potrafi pozbyć się tego ani przy Schaffie, ani przy nikim innym). Widzi, że Schaffa jest zmęczony, ale poza tym nic mu nie dolega. Być może jest zadowolony, że udało im się tu dotrzeć. Niepokoi go pewnie to, co mogą tu znaleźć. W takim razie jest ich dwoje.

– W przypadku ruin wymarłych cywilizacji czasami odpowiedź brzmi po prostu: „Bo tak”.

– Schaffa, czy ty... pamiętasz cokolwiek?

Wzruszenie ramion, nie do końca jednak obojętne.

– Trochę. Tylko przebłyski. Raczej pytania niż odpowiedzi.

– Co do pytań... Dlaczego Stróże przybywają tu podczas Piątej Pory Roku? Dlaczego nie mogą zostać tam, gdzie są, i pomagać wspólnotom tak samo, jak ty pomagałeś Jekity?

Stopnie są dla Nassun zbyt szerokie, nawet kiedy idzie bliżej środka, w miejscu, gdzie się zwężają. Co jakiś czas musi się zatrzymywać i stawać obiema nogami na którymś z nich, żeby odpocząć, a potem truchta, żeby dogonić Schaffę. On z kolei idzie miarowym krokiem, ale nagle, właśnie w chwili, kiedy Nassun zadaje te pytania, docierają do podestu. Dziewcznka z wielką ulgą dostrzega, że Schaffa w końcu zatrzymuje się, dając jej sygnał, że mogą usiąść i odpocząć. Nadal mokra jest od potu po morderczym przedzieraniu się przez las trawy, choć teraz, poruszając się wolniej, zaczyna powoli schnąć. Pierwszy łyk wody z manierki jest słodki, a podłoga, choć twarda, wydaje się wygodna. Nassun ogarnia nagła senność. No cóż, jest już noc, a na powierzchni zapewne dowodzą pasikoniki lub cykady.

Schaffa grzebie w swoim worku i podaje jej plaster suszonego mięsa. Nassun wzdycha i zaczyna pracowicie żuć. Schaffa uśmiecha się, widząc jej ponurą minę, a potem, być może chcąc sprawić jej przyjemność, odpowiada na pytanie.

– Odchodzimy podczas Piątej Pory Roku, bo nie mamy nic, co moglibyśmy zaoferować wspólnocie, maleńka. Nie mogę mieć dzieci i już samo to sprawia, że nie jestem wymarzoną mieszkańcem. Niezależnie od tego, jak duży wkład miałbym w starania wspólnoty o przetrwanie, jej inwestycja we mnie mogłaby przynieść tylko krótkoterminowe zyski. – Wzrusza ramionami. – A bez górotworów, którymi moglibyśmy się zajmować, my, Stróże, z czasem stajemy się... trudni we współzyciu.

Nassun uświadamia sobie, że to dlatego, że te rzeczy w ich głowach wyzwalały w nich nieustanny głód magii. I podczas gdy górotwory wytwarzają dość srebra, aby móc się nim podzielić, nieruchomości to nie dotyczy. Co się dzieje, kiedy Stróż czerpie srebro od nieruchomego? Być może to właśnie dlatego Stróże odchodzą – żeby nikt się tego nie dowiedział.

– Skąd wiesz, że nie możesz mieć dzieci? – naciska. Być może to zbyt osobisty temat, ale Schaffa nigdy nie miał nic przeciwko takim pytaniom. – Próbowałeś kiedyś?

Bierze łyk wody ze swojej manierki. Opuszczając ją, wydaje się zmieszany.

– Tak naprawdę chodzi o to, że nie powinienem mieć dzieci – odpowiada. – Stróże mogą przekazywać potomstwu cechy górotwórcze.

– Och... – Któreś z rodziców Schaffy musiało być górotworem! A może jego dziadkowie? W każdym razie górotwórstwo nie emanuje z niego tak samo jak z Nassun. Jego matka, bo Nassun uznaje po prostu, że była to właśnie matka, nigdy nie musiała go trenować, uczyć kłamać ani łamać mu rąk. – Szczęściarz.

Schaffa podnosi manierkę z powrotem do ust, ale nagle zamiera. Na jego twarzy pojawia się charakterystyczny wyraz. Nassun bardzo dobrze nauczyła się odczytywać tę właśnie minę, choć widuje ją bardzo rzadko. Czasami Schaffa zapomina o rzeczach, które wolałby pamiętać, ale teraz przypomina sobie coś, o czym chciałby zapomnieć.

– Nie do końca. – Dotyka sobie karku. Jasna, połączona z nerwami sieć płonącego w nim światła wciąż jest aktywna: rani go i próbuje złamać. W środku tej sieci znajduje się odłamek śródkamienia, który ktoś tam umieścił. Po raz pierwszy Nassun zastanawia się, w jaki sposób go tam wprowadzono. Myśli o długiej, brzydkiej bliźnie na karku Schaffy, którą ten próbuje zasłaniać długimi włosami. Drży na samą myśl o tym, co ta blizna może oznaczać.

– Ja nie... – Próbuje przestać wyobrażać sobie, jak Schaffa krzyczy, podczas gdy ktoś go rozcina. – Nie rozumiem Stróżów. To znaczy tych innych. Ja nie... Oni są okropni.

Nassun nie potrafi sobie nawet wyobrazić, że on mógłby być taki sam.

Schaffa milczy i oboje po prostu przeżuwają swoje porcje mięsa. Wreszcie odzywa się cicho:

– Uciekły mi z pamięci szczegóły, imiona i większość twarzy. Ale uczucia pozostają, Nassun. Pamiętam, że kochałem górotwórcy, które miałem pod swoją opieką – a przynajmniej wierzyłem, że je kocham. Chciałem, żeby były bezpieczne, nawet jeśli wymagało to, abym dopuszczał się wobec nich drobnych okrucieństw. Uważałem, że wszystko jest lepsze od eksterminacji.

Nassun marszczy czoło.

– Co to jest eksterminacja?

Schaffa znowu się uśmiecha, tym razem smutno.

– Kiedy wszystkie górotwory są wyłapywane i mordowane, kiedy skręca się kark każdemu górotwórczemu niemowlęciu, kiedy każdy, kto tak jak ja nosi w sobie cechy górotwórcze, zostaje zabity albo wysterylizowany i kiedy zaprzecza się, jakoby górotwory w ogóle były ludźmi... to jest to eksterminacja. Zabijanie jakiejś grupy ludzi posunięte tak daleko, że zabija się również ich prawo do człowieczeństwa.

– Och. – Nassun znowu czuje mdłości. – Ale to...

Schaffa przekrzywia głowę, potwierdzając niedokończony przez nią zdanie: „Ale to przecież się dzieje”.

– To właśnie zadanie Stróżów, maleńka. Zapobiegamy zniknięciu górotwórstwa, ponieważ tak naprawdę ludzie na całym świecie nie byliby w stanie bez niego przetrwać. Górotwory są niezbędne. A jednak, właśnie dlatego, że jesteście niezbędni, nie wolno pozwolić wam o niczym decydować. Musicie być narzędziami, a narzędziom nie wolno mieć ludzkich cech. Dlatego właśnie Stróże zatrzymują narzędzie... a jednocześnie, w takim stopniu, w jakim to możliwe, zabijają w nim człowieka.

Nassun patrzy na niego, a zrozumienie wybucha w niej niczym nagły wstrząs – dziewiątka. Tak właśnie funkcjonuje świat... choć przecież nie do końca. To, co przytrafia się górotworom, właściwie wcale się nie przytrafia. To Stróże, dzięki całym latom pracy, sprawili, że to wszystko zaczęło się dziać. Być może w czasach przedsanneńskich szeptali swoje pomysły wszystkim władcom i przywódcom. Być może robili to nawet przed Sezonem Zniszczenia – odnajdowali obszarpanych, biednych ocalałych i mówili im, kogo powinni obwiniać za swoje nieszczęście, jak ich znaleźć i co najlepiej im zrobić.

Wszyscy myślą, że górotwory są takie silne i przerażające – bo to prawda. Nassun jest przekonana, że gdyby tego chciała, mogłaby wymazać z powierzchni Bezruchu całą Antarktydę, choć jeśli sama miałaby to przeżyć, prawdopodobnie potrzebowałaby pomocy szafiru. A jednak mimo całej swojej mocy jest tylko małą dziewczynką. Musi jeść i spać jak każda inna dziewczynka, musi też przebywać wśród ludzi, jeśli chce dalej móc jeść i spać. Ludzie potrzebują innych ludzi, aby żyć. Ale co, jeśli musi walczyć o życie z wszystkimi innymi mieszkańcami wspólnoty? Walczyć z każdą pieśnią, z każdą opowieścią, z historią, ze Stróżami, z milicją, z prawem cesarskim i samymi mądrościami kamienia? Z ojcem, który nie potrafił pogodzić słów „córka” i „rogga”? Z własną rozpaczą, kiedy zastanawia się nad gargantuicznym zadaniem, jakim jest osiągnięcie szczęścia?

Co w obliczu tylu przeciwności może zdziałać górotwórstwo? Może umożliwić jej oddychanie. Ale oddychanie nie zawsze oznacza życie, a poza tym być może... być może po ludobójstwie nie zawsze zostają ciała.

Teraz Nassun bardziej niż kiedykolwiek jest przekonana, że Schaffa miał rację.

Spogląda na niego.

– Dopóki nie spłonie świat.

To właśnie powiedział jej, kiedy wyjawiała, co zamierza zrobić z Wrotami Obelisków.

Schaffa mruga i uśmiecha się tym swoim czułym, okropnym uśmiechem człowieka, który od zawsze wie, że miłość i okrucieństwo to dwie strony tego samego

medalu. Przyciąga ją bliżej i całuje w czoło, a ona przytula go mocno, szczęśliwa, że ma w końcu rodzica, który kocha ją tak, jak powinien.

– Dopóki nie spłonie świat – szepcze w jej włosy. – Oczywiście.

Rankiem wznawiają wędrówkę po kręconych schodach.

Pierwszą oznaką zmian jest druga balustrada po przeciwnej stronie. Wykonana jest z dziwnego materiału: to jasny, lśniący metal, który w ogóle nie zmatowiał tutaj ani nie zaśniedział. Balustrady są więc dwie, a schody rozszerzają się na tyle, by dwie osoby mogły iść nimi obok siebie. Następnie zejście zaczyna się prostować – wciąż prowadzi w dół pod tym samym kątem, ale zakręca coraz delikatniej, aż w końcu mają przed sobą prostą drogę niknącą w ciemności.

Po jakiejś godzinie marszu tunel nagle się otwiera, a ściany i sufit znikają. Schodzą teraz po podświetlonych schodach, które zdają się unosić w powietrzu. To niemożliwe, aby podtrzymywała je jedynie balustrada, ale kiedy Nassun i Schaffa idą w dół, nie słychać żadnego skrzypienia ani trzasków. Z jakiegokolwiek materiału je wykonano, z pewnością jest on bardziej wytrzymały niż zwykły kamień.

Schodzą teraz do olbrzymiej groty. Nie sposób określić jej wielkości, mimo że z białych okręgów rozmieszczonych nieregularnie w sklepieniu bije zimne światło. Nie pada na nic konkretnego. Dno groty to wielka, pusta płaszczyzna z widocznymi gdzieniegdzie hałdami piasku. Jednak teraz, kiedy znajdują się wewnątrz tego, co uważała za pustą komorę wulkaniczną, Nassun sejszy pewne rzeczy dużo wyraźniej, i nagle uświadamia sobie, jak bardzo się myliła.

– To nie jest komora wulkaniczna – mówi do Schaffy z przejęciem. – Kiedy budowano to miasto, nie było tu żadnej groty.

– Co?

Nassun kręci głową.

– To nie było zamknięte. Tu musiało być... nie wiem. To, co zostaje, kiedy wulkan całkowicie wybucha.

– Krater?

Podeksycytowana, szybko kiwa głową.

– Wtedy było otwarte ku niebu. Ludzie zbudowali miasto w kraterze. Ale potem wydarzył się kolejny wybuch, w samym środku miasta. – Wskazuje przed siebie, w mrok; schody prowadzą prosto do miejsca, które sejszy jako epicentrum tej dawnej katastrofy.

Ale to niemożliwe. Kolejny wybuch, niezależnie od rodzaju lawy, powinien był zniszczyć miasto i wypełnić cały stary krater. A jednak zamiast tego lava znalazła się ponad miastem – rozpostarła się nad nim niczym baldachim i zastygła w postaci sklepienia tej groty. Miasto w kraterze pozostało właściwie nienaruszone.

– To niemożliwe – mówi Schaffa, marszcząc brwi. – Żadna lava nie zachowałaby się w taki sposób. Ale... – Nagle jego twarz wykrzywia pochmurny grymas. Po raz kolejny próbuje wygrzebać jakieś wspomnienie, choć te okrojone, przetrzebione i zatarte upływem lat. Pod wpływem impulsu Nassun chwyta go za rękę, próbując w ten sposób dodać mu otuchy. Schaffa spogląda na nią, i posyła jej nieobecny uśmiech. – Ale myślę,

że... górotwór mógłby coś takiego zrobić. Musiałby dysponować wielką mocą, konieczna byłaby też prawdopodobnie pomoc obelisku. Mam na myśli dziesięciopięściennika. Co najmniej.

Nassun jest zdezorientowana. Sens tych słów pozostaje jednak jasny: ktoś to zrobił. Dziewczynka spogląda na sklepienie groty i dopiero teraz sobie uświadamia, że to, co wzięła za dziwne stalaktyty, to tak naprawdę – zastyga w bezruchu – ślady po budynkach! Tak, widać zwężające się miejsce, które musiało być wieżowcem; tu łukowate zakrzywienie, tam zbieraninę szczebli i łuków, która wydaje się dziwnie organiczna, niczym blaszki pod kapeluszem grzyba. Jednak choć te odciski pokrywają całe sklepienie groty, sama lava zastygła kilkadziesiąt metrów nad ziemią. Dopiero teraz Nassun spostrzega, że „tunel”, z którego wyszli, to również pozostałość po jakimś budynku. Spoglądając za siebie, widzi, że jego wylot wygląda jak muszla mątwy, jedna z tych, których jej tata używał kiedyś do pracy. Ta tutaj jest oczywiście bardzo solidna, a wykonano ją z tego samego białego materiału co płytę na powierzchni. Musiał to być wierzchołek budynku. Kilka metrów niżej, tam, gdzie kończy się kopuła, budynek też się jednak urywa, zastąpiony tymi dziwnymi białymi schodami. Musiano to zrobić jakiś czas po katastrofie – ale jak? I kto jego dokonał? I po co?

Nassun uważnie przygląda się dnu groty. Piasek jest w większości jasny, choć miejscami widać też szarości i brązy. W kilku miejscach powyginane skrawki metalu albo olbrzymie fragmenty czegoś większego – być może innych budynków – wystają ponad jego powierzchnię niczym kości z na wpół zasypanego grobu.

Nassun uświadamia sobie jednak, że z tym też jest coś nie w porządku. Jest tu za mało materiałów, aby miejsce to mogło być ruinami miasta. Nie widziała zbyt wielu ruin wymarłych cywilizacji, a nawet zwykłych miast, ale o nich czytała i słuchała. Jest przekonana, że w miastach powinno być mnóstwo kamiennych budynków, drewnianych magazynów, metalowych bram i brukowanych ulic. W tym mieście właściwie nie ma nic. Tylko metal i piach.

Nassun opuszcza ręce, które nieświadomie podniosła, a jej zmysły stają się bardzo wrażliwe. Odruchowo spogląda w dół, co sprawia, że odległość pomiędzy schodami, na których stoi, a piaszczystym dnem groty wydaje się powiększać. Cofa się o krok, podchodząc bliżej Schaffy, który uspokajająco kładzie jej dłoń na ramieniu.

– To miasto... – mówi Schaffa. Nassun spogląda na niego zaskoczona. Wydaje się zamyślony. – Mam w głowie słowo, ale nie mogę go sobie przypomnieć. Nazwa? Coś, co ma znaczenie w innym języku? – Kręci głową. – Ale jeśli to jest to miasto, o którym myślę, to znam historie o jego wielkości. Podobno kiedyś mieszkały tu miliardy ludzi.

Wydaje się to niemożliwe.

– W jednym mieście? A ilu mieszkańców miało Yumenes?

– Kilka milionów. – Uśmiecha się do niej szeroko. – A teraz w całym Bezruchu żyje pewnie łącznie tyle ludzi. Wraz z Równikadą przepadła większa część ludzkości. A kiedyś świat był jeszcze większy.

Niemożliwe. Krater po wulkanie ma ograniczone rozmiary. A jednak... Nassun ostrożnie sejszy przez piasek i szczątki, szukając dowodów niemożliwego. Piasek sięga znacznie głębiej, niż sądziła. Pod jego powierzchnią znajduje ściśnięte, proste linie.

Drogi? Są też fundamenty, owalne, okrągłe i o innych dziwnych kształtach: widzi klepsydry, pętle, zawijasy i wgłębienia. Dziwi się kształtowi tych fundamentów, a wtedy nagle uświadamia sobie, że wszystko to wyczuwa jako coś zmineralizowanego, zasadowego. Ach, to są skamieliny! Co oznacza, że początkowo... Nassun zamiera.

– To drewno – mówi na głos. Fundamenty budynków wykonane z drewna? Nie, to jest tylko podobne do drewna, ale przypomina też polimery, które robił jej ojciec, i trochę również ten dziwny niekamień, na którym stoją. Wszystkie drogi, które sejszy, są podobne. – Pył. To wszystko, Schaffa, to nie kurz, ale pył! To są rośliny, mnóstwo roślin, ale zwiędły tak dawno temu, że wyschły i się rozpadły. A poza tym...

Znów spogląda na baldachim ponad ich głowami. Jak to musiało wyglądać? Cała grotka rozświetlona na czerwono. Powietrze zbyt gorące, by móc oddychać. Budynki przetrwały dłużej – na tyle długo, że lava zaczęła schładzać się wokół nich, ale każdy mieszkaniec tego miasta upiekł się w ciągu kilku pierwszych godzin od momentu pogrzebienia pod bąblem ognia.

To również jest więc w piasku: niezliczeni ludzie, spopieleni i rozsypani.

– Intrygujące – stwierdza Schaffa. Opiera się na poręczu i patrzy w dół, nie zwracając uwagi na wysokość. Nassun czuje, jak ze strachu o niego ścisną ją w żołądku. – Miasto zbudowane z roślin – jego spojrzenie nagle się wyostrza. – Ale teraz nic tu nie rośnie.

Tak. To kolejna rzecz, którą zauważyła Nassun. Podróżowała już na tyle długo i widziała na tyle dużo jaskiń, aby wiedzieć, że takie miejsce powinno tętnić życiem: powinno tu być mnóstwo porostów, nietoperzy i ślepych białych owadów. Sięga świadomością w sferę srebra, szukając delikatnych nici, których wśród tylu szczątków żyjących organizmów powinno być pełno. Znajduje je i rzeczywiście jest ich wiele, ale... coś tu się nie zgadza. Nici płyną wspólnie, łącząc się w grubsze kanały, które trochę przypominają magię wewnątrz górotwora. Nassun nigdy wcześniej nie widziała, by coś podobnego działo się w roślinach, zwierzętach czy w ziemi. Te skupione wiązki płyną wspólnie dalej, w kierunku, w którym prowadzą schody. Nassun podąża za nimi wzrokiem, obserwując, jak stają się coraz grubsze i jaśniejsze... aż w pewnym momencie nagle się urywają.

– Tam jest coś złego – mówi, czując dreszcz. Przestaje sejszyć. Z jakiegoś powodu nie chce wiedzieć, co znajduje się przed nimi.

– Nassun?

– Coś zjada to miejsce. – Dopiero gdy wykrztusza te słowa, zaczyna się zastanawiać, dlaczego powiedziała coś takiego. Jednak teraz, kiedy już to zrobiła, uświadamia sobie, że to prawda. – To dlatego nic tu nie rośnie. Coś zabiera stąd całą magię. Bez niej wszystko jest martwe.

Schaffa długo się jej przygląda. Widząc, że jedną dłoń położył na rękojęści szklanego sztyletu u pasa, Nassun ma ochotę wybuchnąć śmiechem. Tego, co znajduje się przed nimi, nie można dźgnąć. Nie śmieje się jednak, ponieważ byłoby to okrutne i ponieważ nagle ogarnia ją takie przerażenie, że gdyby zaczęła się śmiać, mogłaby już nie przestać.

– Nie musimy tam iść – sugeruje Schaffa. To uprzejme i tak upragnione przez nią

zapewnienie, że nie straci do niej szacunku, jeśli ze strachu postanowiłaby zrezygnować ze swojej misji.

Męczy ją to jednak. Ma swoją dumę.

– N-nie. Chodźmy. – Z trudem przełyka ślinę. – Proszę.

– Dobrze.

Idą dalej. Ktoś lub coś wykopało w pyle rów rozciągający się pod tymi niemożliwymi schodami. Schodząc coraz niżej, mijają góry prochu. Nassun dostrzega przed sobą kolejny tunel. Jego wylot znajduje się przy dnie groty i jest olbrzymi. Wysoko ponad miejscem, gdzie schody zmieniają się w płaskie, skaliste podłoże, wznoszą się koncentryczne łuki wykonane z marmuru o różnych odcieniach. Tunel się zwęża, prowadząc w ciemność. Podłoga przy wejściu przypomina polakierowane kafle w różnych odcieniach niebieskiego, czerni i ciemnej czerwieni. Te piękne, głębokie kolory przynoszą prawdziwą ulgę oczom skazanym na nieustanne oglądanie szarości i bieli, a jednak one również są nieprawdopodobnie dziwne. Jakimś cudem ani odrobina pyłu tego miasta nie dotarła do wylotu tunelu.

Pod łukiem przechodzić mogły dziesiątki ludzi. W minutę do tunelu weszłoby kilkaset osób. Teraz jednak stoi tu tylko jedna. Obserwuje ich spod pasa różowego marmuru, który wyraźnie kontrastuje z jej bledszymi, pozbawionymi koloru rysami.

Stal.

Nie porusza się, kiedy Nassun podchodzi. (Schaffa robi to samo, ale idzie wolniej, jest bardziej spięty). Szary wzrok Stali utkwiony jest w znajdującym się obok niego obiekcie, który dla Nassun jest zupełnie obcy, ale który jej matka z pewnością by rozpoznała: to sześciokątny cokół – przydymiony, kwarcowy blok ucięty w połowie. Jego górna ściana opada pod kątem. Ręka Stali wskazuje w tamtą stronę. Jakby mówił: „Dla ciebie”.

Nassun skupia się więc na cokole. Wyciąga dłoń i natychmiast ją cofa, bo zanim zdąży dotknąć pochyłej powierzchni, jej brzegi nagle się rozświetlają. W powietrzu nad kryształem unoszą się jasnoczerwone znaki. Nassun nie potrafi odgadnąć ich znaczenia, ale ten kolor ją niepokoi. Spogląda na Stalę, który nie poruszył się i wygląda, jakby pozostawał w tej pozycji od czasów, kiedy zbudowano to miejsce.

– Co to znaczy?

– Że pojazd transportowy, o którym ci mówiłem, jest obecnie nieaktywny – odpowiada głos w piersi Schaffy. – Żeby użyć tej stacji, będziesz musiała zasilić i zrestartować system.

– Zre... startować? – Nassun próbuje zrozumieć, co to może znaczyć, ale ostatecznie postanawia skupić się na tej części wypowiedzi, która jest dla niej jasna. – Jak miałabym to zasilić?

Stal znajduje się nagle w innej pozycji: stoi przodem do bramy prowadzącej w głąb stacji.

– Wejdz do środka i przekaż moc do korzenia. Ja zostanę tutaj i wprowadzę sekwencję startową, kiedy będzie już wystarczająco dużo mocy.

– Co? Ja nie...

Jego całkowicie szare oczy zwracają się w jej stronę.

– W środku zobaczysz, co masz zrobić.

Nassun spogląda na bramę i przygryza policzek. Wewnątrz jest naprawdę ciemno. Dłoń Schaffy spoczywa jej na ramieniu.

– Oczywiście pójdę z tobą.

Oczywiście. Nassun przełyka ślinę i z wdzięcznością kiwa głową. Następnie ona i Schaffa idą w ciemność.

Ciemność nie utrzymuje się długo. Podobnie jak na białych schodach, tutaj również po bokach rozświetlają się niewielkie panele. Światła są przytłumione i żółtawe, być może ze względu na wiek, zwietrzenie albo... zmęczenie. Z jakiegoś powodu właśnie to słowo pojawia się w głowie Nassun. Światło jest wystarczająco silne, aby oświetlać krawędzie płyt pod ich stopami. Na ścianach tunelu pojawiają się drzwi i wnęki, a w pewnym momencie Nassun dostrzega dziwne urządzenie sterujące na kilka metrów w górę. Wygląda jak... wóz? Tylko że bez kół i jarzma, a wykonane jest chyba z tego samego gładkiego materiału co schody. Na dodatek wszystko wskazuje, że poruszało się po torach przytwierdzonych do ściany. Widać, że zostało wykonane z myślą o transporcie ludzi; być może poruszali się w ten sposób ci, którzy nie mogli chodzić? Teraz pojazd jest ciemny, nieruchomy i stoi przy ścianie, w miejscu, gdzie pozostawił go jego ostatni użytkownik.

Dostrzegają dziwny, niebieskawy blask rozświetlający tunel gdzieś z przodu, ale w żaden sposób nie przygotowuje ich to na widok, który rozpościera się przed nimi, kiedy ścieżka skręca nagle w lewo i trafiają do zupełnie innej groty. Jest dużo mniejsza od poprzedniej i nie ma w niej pyłu, a przynajmniej nie aż tyle. Pełno go natomiast na olbrzymiej kolumnie z niebieskoczarnego szkła wulkanicznego.

Kolumna jest ogromna, nieregularna i nieprawdopodobna. Nassun po prostu gapi się z otwartymi ustami na to coś, co wypełnia niemal całą grootę od dna po sklepienie i pewnie sięga jeszcze dalej. Natychmiast staje się dla niej jasne, że to zastygły, gwałtownie schłodzony owoc potężnej eksplozji. Równie oczywiste jest to, że właśnie stąd wyrósł baldachim z lawy, który pokrywa sąsiednią grootę.

– Tak... – mówi Schaffa. Nawet on sprawia wrażenie oszołomionego. – Spójrz. – Wskazuje w dół. Dopiero teraz Nassun nabiera odpowiedniej perspektywy i może właściwie ocenić rozmiary oraz odległości. Obiekt musi być ogromny, ponieważ Nassun widzi pomosty opadające ku jego podstawie i otaczające go koncentrycznymi ośmiokątami. Trzema. Na zewnętrznym znajdują się najprawdopodobniej budynki. Są bardzo zniszczone, połowa z nich zapadła się i zmieniła w ruiny, ale Nassun od razu sejszy, dlaczego wciąż tu są, podczas gdy w poprzedniej grocie wszystko zdążyło się rozpaść. Temperatura, która musiała tu panować, w jakiś sposób zmieniła konstrukcję budynków, wzmacniając je i zabezpieczając. Doszło tu również do wstrząsu: od strony szklanej kolumny we wszystkich budowlach zieje wyrwa. Przenosząc wzrok z trzypiętrowego budynku na kolumnę, Nassun domyśla się, że nie znajduje się ona tak daleko, jak mogłoby się wydawać – jest po prostu znacznie większa, niż sądziła. Rozmarami przypomina...

– Obelisk – szepcze. Już wie, co się tu wydarzyło, tak jakby tu wtedy była.

Dawno temu na dnie tej groty znajdował się obelisk, wyrastający z ziemi niczym jakaś dziwaczna roślina. Pewnego razu wysunął się ze swojego zagłębienia i uniósł

w powietrze, aby lśnić nad tym olbrzymim miastem, tak samo jak inne mu podobne. Lecz coś poszło bardzo, bardzo nie tak. Obelisk... spadł. Nassun wyobraża sobie, że słyszy echo wstrząsu w miejscu, w którym uderzył w ziemię; on jednak nie tylko upadł, ale i poruszał się dalej w dół, wbijając się coraz niżej i niżej, napędzany siłą srebra skoncentrowanego w jego rdzeniu. Nassun potrafi prześledzić jego drogę w głąb ziemi na odcinku jakichś dwóch kilometrów, nie ma jednak powodów, aby przypuszczać, że obelisk się zatrzymał. Nie wie natomiast, dlaczego się poruszał.

Po jego zniknięciu z ziemi wytrysnęła fontanna ognia, niszcząc całe miasto.

Wciąż nie widać tu nic, co wyglądałoby jak narzędzie umożliwiające dostarczenie mocy do stacji. Nassun zauważa jednak, że w grocie jest jasno dzięki wielkim słupom światła w pobliżu podstawy kolumny. To one tworzą jej środkową i wewnętrzną kondygnację. Coś wytwarza to światło.

Schaffa doszedł do tego samego wniosku.

– Ten tunel kończy się tutaj – mówi, wskazując w stronę niebieskich słupów i podstawy kolumny. – Możemy iść tylko do podnóża tego okropieństwa. Ale czy jesteś pewna, że chcesz podążać śladami tych, którzy odpowiadają za to wszystko?

Nassun przygryza dolną wargę. Nie chce. To tutaj znajduje się to złe coś, co wysejszyła ze schodów, choć nadal nie potrafi tego zlokalizować. A jednak...

– Stal chce, żebym zobaczyła to, co tu jest.

– A jesteś pewna, że chcesz robić to, czego on sobie życzy, Nassun?

Nie jest. Stali nie można ufać. Wkroczyła jednak na ścieżkę prowadzącą do zniszczenia świata, a nic, czego pragnie Stal, nie może być gorsze. Dlatego kiedy Nassun przytakuje, Schaffa po prostu przekrzywia głowę, przyjmując to do wiadomości, i podaje jej rękę, żeby mogli wspólnie pójść w stronę słupów.

Droga wzdłuż pomostów przypomina spacer po cmentarzu i Nassun czuje się w obowiązku zachować powagę i skupienie. Pomiędzy budynkami dostrzega zwężone chodniki, wypełnione szkłem donice, w których musiało kiedyś coś rosnąć, dziwne słupy i konstrukcje, których przeznaczenia prawdopodobnie nie potrafiłaby odgadnąć, nawet gdyby nie były w połowie roztopione. Uznaje, że słupy służyły do przywiązywania koni, a na tej ramie grabarze wieszali schnące skóry. Nakładanie tego, co znajome, na to, co obce, nie sprawdza się jednak zbyt dobrze, ponieważ w tym mieście nic nie jest normalne. Jeśli żyjący tutaj ludzie jeździli na jakichś zwierzętach, to na pewno nie na koniach. Jeśli wytwarzali ceramikę albo narzędzia, to nie z gliny ani obsydianu, a rzemieślnicy nie mogli być tylko ciosaczami. Ci ludzie najpierw zbudowali obelisk, a potem stracili nad nim kontrolę. Trudno powiedzieć, jakie cuda i koszmary można było spotkać na tych ulicach.

Nassun ostrożnie sięga do szafiru, głównie po to, aby się upewnić, że może się z nim połączyć przez tony zastygłej lawy i warstwy tego przerażającego, martwego miasta. Jest to równie łatwe jak na powierzchni, co przynosi jej ulgę. Obelisk porusza ją delikatnie – tak delikatnie, jak robią to obeliski – i Nassun pozwala wciągnąć się na chwilę w jego płynne światło. Nie przeraża jej to; ufa szafirowi – w takim stopniu, w jakim można ufać nieożywionemu przedmiotowi. To przecież właśnie on powiedział jej o Rdzeniu, a teraz wyczuwa kolejną płynącą od niego wiadomość, przekazywaną

poprzez drzenie jego ciasno zbitych nici...

– Na wprost – mówi, zdumiewając samą siebie.

Schaffa przystaje i spogląda na nią.

– Co?

Nassun musi potrząsnąć głową, by otrząsnąć się z całego tego błękitu i wrócić na ziemię.

– To... to miejsce z zasilaniem mocy. Jest na wprost, tak jak powiedział Stal. Za szlakiem.

– Szlakiem? – Schaffa odwraca się, spoglądając na pochyły chodnik. Przed nimi znajduje się drugi pomost: gładka, pozbawiona ozdóbek połącz tego dziwnego białego niekamienia. Ludzie, którzy stworzyli obeliski, najwyraźniej używali tego materiału do budowy konstrukcji, uznając go za najwytrzymalszy.

– Szafir... zna to miejsce – próbuje mu wytłumaczyć. Wyjaśnienie jest niejasne, ale to jakby próbować opisać górotwórstwo nieruchomemu. – To znaczy, nie dokładnie to, ale jakieś podobne...

Nassun sięga do niego ponownie, pytając bez słów o więcej, i zostaje zalana błękitną falą obrazów, wrażeń, przekonań. Zmienia jej się perspektywa. Stoi teraz pośrodku trzech pomostów, ale nie w grocie – ma nad sobą niebieskie niebo, po którym płyną chmury. To przyjemny widok. Pomosty wokół niej tętnią życiem – wszystko to jednak się rozmywa, a rzeczy, które dostrzega podczas tych kilku chwil, wydają się bezsensowne. Dziwne pojazdy przypominające wóz, który widziała w tunelu, jeżdżą wzdłuż krawędzi budynków po szlakach wyznaczonych różnymi kolorami światła. Budynki pokryte są zielenią i winoroślami, na dachach rośnie trawa, a po nadprożach widać się rozmaite kwiaty. Setki ludzi wchodzi do tych budowli i wychodzą na zewnątrz, przemierzają też chodniki, rozmazując się w ruchu. Nassun nie widzi ich twarzy, ale dostrzega gdzieś czarne włosy, kolczyki w kształcie pnączy, sukienkę falującą wokół kostek, dłonie o kolorowych paznokciach...

Poza tym wszędzie, wszędzie widać srebro znajdujące się pod ciepłem i ruchem, jak we wnętrzu obelisku. Zakrzywia się i płynie, łącząc się nie tylko w strumienie, ale i w całe rzeki, a kiedy Nassun spogląda w dół, widzi, że po kostki stoi w basenie płynnego srebra...

Chwieje się i Schaffa kładzie jej dłoń na ramieniu, aby ją podtrzymać.

– Nassun.

– Nic mi nie jest – odpowiada. Nie jest tego pewna, ale i tak to mówi, bo nie chce, żeby się martwił. I dlatego, że łatwiej jest powiedzieć coś takiego niż: „Wydaje mi się, że przez chwilę byłam obeliskiem”.

Schaffa kuca przed nią i chwyta ją za ramiona. Troska na jego twarzy niemal wyparła z niej zmęczenie, niepewność i inne narastające w nim uczucia. Tu, pod ziemią, jego ból się wzmacnia. Nie powiedział jej o tym, a Nassun nie ma pojęcia, dlaczego tak jest, wie jednak, że to prawda.

– Nie ufaj obeliskom, maleńka – mówi. Nie brzmi to w jego ustach tak dziwnie ani niewłaściwie, jak powinno. Pod wpływem impulsu Nassun go przytula, a on ścisną ją mocno, głaszcząc ją po plecach. – Kilku z nich pozwoliliśmy się rozwinąć – szepcze jej

do ucha. Nassun mruga, przypominając sobie biedną, szaloną, morderczą Nidę, która powiedziała kiedyś to samo. – Jeszcze w Fulcrum. Pozwolono mi to zapamiętać, bo to ważne. Kilkoro z nas, którzy osiągnęli status dziewięcio- albo dziesięciopierścieników... oni zawsze potrafili wyczuwać obeliski, a obeliski potrafiły wyczuwać ich. Potrafiły w taki lub inny sposób wzywać ich do siebie. Brakuje im czegoś, są niekompletne i dlatego potrzebują górotwórstwa. Ale one ich zabijały, Nassun. – Przciska twarz do jej włosów. Jest brudna, właściwie nie myła się od opuszczenia Jekity, ale jego słowa tłumią w niej te przyziemne myśli. – Obeliski... pamiętam. Jeśli tylko zdołają, zmienią cię, przekształcą w coś innego. Tego właśnie chce ten zardzewiały zjadacz kamieni.

Jego ramiona napinają się na moment, niczym wspomnienie dawnej siły, i jest to najpiękniejsze uczucie na świecie. Nassun wie w tej chwili, że Schaffa nigdy nie zawiedzie, nigdy nie opuści jej w potrzebie, nigdy nie zmieni się w człowieka popełniającego błędy. I kocha go za tę siłę ponad życie.

– Tak, Schaffa – obiecuje. – Będę ostrożna. Nie pozwolę im wygrać.

„Jemu”, myśli, i wie, że on myśli to samo. Nie pozwoli Stali wygrać. A już na pewno nie przed zdobyciem tego, czego chce.

Wszystko więc postanowione. Nassun się odsuwa, a Schaffa kiwa głową i wstaje. Ruszają dalej przed siebie.

Wewnętrzny pomost znajduje się w cieniu szklanej kolumny. Słupy są większe, niż się wydawało – dwukrotnie przewyższają Schaffę, są od niego trzy lub cztery razy szersze i szumią cicho, co wyraźnie teraz słyhać. Tworzą krąg wokół miejsca, gdzie kiedyś musiał się znajdować obelisk, niczym zaporą chroniąca dwa zewnętrzne pomosty. Niczym ogrodzenie oddzielające tętniące życie miasta od... tego.

To: z początku Nassun wydaje się, że to jakieś cierniowe zarośla. Łodygi wiją się i płaczą na ziemi i po wewnętrznej stronie słupów, wypełniając całą przestrzeń pomiędzy nimi a szklaną kolumną. Następnie sejszy, że to wcale nie cierniowe łodygi ani liście. To pozwijane, sękate coś, co wygląda jak drewno, ale pachnie bardziej jak grzyby.

– Dziwne – mówi Schaffa. – W końcu coś żywego?

– M-może to nie jest żywe? – Łodygi wyglądają na martwe, choć wyróżniają się na tle otoczenia, bo rzeczywiście przypominają raczej rośliny niż fragmenty niszczonej przedmiotów. Nassun nie podoba się tu, wśród tych brzydkich zarośli i w cieniu szklanej kolumny. Czy temu właśnie służą słupy? Odgrózeniu miasta od tego groteskowego widoku? – A może wyrosło tutaj po... tym wszystkim.

Mówiąc to, mruga, bo dostrzega coś nowego w łodydze znajdującej się najbliżej. Różni się od innych wokół niej. Tamte są ewidentnie martwe, powykręcane, poczerńiałe i w wielu miejscach połamane. Ta jednak wygląda, jakby wciąż mogła być żywa. Jest długa i splątana, a jej powierzchnia przypomina stare drewno, ale nie została zniszczona. Pod spodem widać różne szczątki: szarawe grudki i pył, strzępy nadpleśniałych tkanin, a nawet kawał przegniłej liny.

Jest coś, przed czym Nassun powstrzymywała się od momentu wejścia do groty ze szklaną kolumną – pewnych rzeczy po prostu nie chce wiedzieć. Teraz jednak zamyka oczy i sięga zmysłem srebra do wnętrza łodygi.

Z początku jest to trudne. Komórki tego czegoś – bo przecież to żyje, bardziej jak grzyb niż jak roślina, chociaż w sposobie jego funkcjonowania jest też coś sztucznego i mechanicznego – są tak ciasno ściśnięte, że nie spodziewa się między nimi żadnego srebra. Są bardziej zbite niż komórki ludzkiego ciała. Układ wnętrza łądygi jest niemal krystaliczny, a cząsteczki ułożone są w niewielkie matryce, których nigdy wcześniej nie widziała w żadnej roślinie ani żywej istocie.

Zaglądać do wnętrza łądygi, Nassun widzi też, że nie ma tam żadnego srebra. Zamiast niego są tam... Nie wie, jak to opisać. Negatywne obszary? Obszary, które mogą być wypełnione srebrem. A kiedy zafascynowana ostrożnie je bada, zaczyna spostrzegać, że coraz silniej przyciągają jej świadomość. W końcu, biorąc głęboki wdech, wyrwa się z tego uścisku.

„W środku zobaczysz, co masz zrobić”, powiedział Stal. Powinno to być oczywiste.

Schaffa, który kucnął obok niej, żeby przyjrzeć się kawałkowi liny, spogląda na nią, marszcząc brwi.

– O co chodzi?

Nassun patrzy na niego, ale nie potrafi znaleźć słów na to, co trzeba zrobić. Takie słowa nie istnieją. Wie jednak, czego musi się podjąć. Podchodzi o krok bliżej do żyjącego pnącza.

– Nassun. – W głosie Schaffy słyhać ostrzeżenie i nagły niepokój.

– Muszę, Schaffa – odpowiada. Unosi już ręce. Uświadamia sobie, że to właśnie tutaj płynie srebro z zewnętrznej groty; pozerają je te pnącza. Dlaczego? Gdzieś bardzo głęboko zna odpowiedź. – Muszę... zasilić system.

Następnie, zanim Schaffa zdąży ją powstrzymać, zaciska dłonie na pnączu.

Nie boli. W tym cały fortel. Uczucie, które rozprzestrzenia się po jej ciele, jest właściwie przyjemne. Odprężające. Gdyby nie czuła, jak pęd natychmiast zaczyna wyciągać każdą drobinę srebra spomiędzy komórek jej ciała, pomyślałaby, że dzieje się z nią coś dobrego. A tak naprawdę za chwilę to coś ją zabije.

Ma teraz jednak dostęp do znacznie większej ilości srebra niż tylko to w jej wnętrzu. Powoli, pokonując ospałość, Nassun sięga do szafiru – a szafir odpowiada natychmiast.

Alabaster nazywał je „wzmacniaczami” na długo przed tym, jak Nassun przyszła na świat. Ty myślisz o nich jak o „bateriach”, tak zresztą opisywałaś je Ykce.

Dla Nassun obeliski są po prostu silnikami. Widziała pracujące silniki – proste urządzenia złożone z pomp i turbin, które regulowały w Tirimo sfery geo i hydro, a czasem również bardziej skomplikowane mechanizmy, jak na przykład windy do ziarna. Jej wiedza na temat silników jest bardzo mizerna, ale nawet dla dziesięcioletki jasne jest, że do pracy silnik potrzebuje paliwa.

Płynie więc z błękitem, a moc szafiru wypełnia ją całą. Pnącze w jej dłoniach wydaje się oszołomione tym nagłym przyływem, choć Nassun sądzi, że to tylko jej wyobraźnia. Następnie rozlega się szum, a ona widzi, jak puste przestrzenie matryc wypełniają się lśniącym srebrem i jak coś w jednej chwili zabiera to światło gdzieś indziej...

W grocie rozlega się głośny trzask. Zaraz potem słyhać kolejne, mniej donośne

odgłosy – tworzą swoisty rytm, by ostatecznie zamienić się w narastający, niski szum. W grotcie robi się jaśniej, kiedy niebieskie słupy stają się nagle białe, podobnie jak blade światła, które mijali w mozaikowym tunelu. Nassun, choć jest w głębi szafiru, wzdryga się, a wtedy Schaffa w mgnieniu oka odciąga ją od pnączy. Kiedy przyciska ją do siebie, trzęsą mu się ręce, ale nie odzywa się, a na jego twarzy wyraźnie widać ulgę. Nassun jest tak wykończona, że trzyma się na nogach tylko dzięki jego pomocy.

Coś ruszyło w ich stronę po szynach.

To widmowy obiekt w kolorze opalizującej zieleni, elegancki i niemal bezgłośny, kiedy wyłania się zza szklanej kolumny. Wszystko to wydaje się Nassun kompletnie niezrozumiałe. Kadłub pojazdu ma kształt łzy, nieco spłaszczonej i o asymetrycznym zwężeniu. Jego czubek zakrzywia się wysoko nad ziemią w taki sposób, że przypomina dziób kruka. Cały pojazd jest olbrzymi, rozmiarami spokojnie dorównuje typowemu domowi mieszkalnemu, a mimo to unosi się kilka centymetrów ponad szynami. Trudno odgadnąć rodzaj materiału, z którego został wykonany, ale wydaje się, jakby pokryty był... skórą? Tak, z bliska Nassun widzi, że powierzchnia pojazdu ma taką samą pomarszczoną fakturę jak dobrze wyprawiona skóra. Tu i ówdzie dostrzega na niej dziwne, nieregularnie rozmieszczone wypustki rozmiarów pięści, które wydają się nie spełniać żadnej funkcji.

Obiekt rozmywa się i migocze. Jest na zmianę rzeczywisty i przezroczysty, zupełnie jak obelisk.

– Bardzo dobrze – mówi Stal, który nagle stoi przed nimi, obok pojazdu.

Nassun jest zbyt wykończona, by się skrzywić, ale powoli dochodzi do siebie. Ręce Schaffy zaciskają się odruchowo na jej ramionach, a potem powoli rozluźniają. Stal ignoruje ich oboje. Jedna z rąk zjadacza kamieni wskazuje dziwny, unoszący się obiekt. Stal wygląda teraz jak dumny artysta prezentujący swoje najnowsze dzieło.

– Zapewniłaś systemowi więcej mocy, niż było to konieczne – mówi. – Napływ, jak widzisz, uruchomił światła oraz inne funkcje, takie jak kontrola środowiska. To bezcelowe, ale nie sądzę, by mogło zaszkodzić. Bez dodatkowego źródła energia wyczerpie się za kilka miesięcy.

Głos Schaffy jest bardzo miękki i zimny:

– To mogło ją zabić.

Stal nadal się uśmiecha. Nassun w końcu zaczyna podejrzewać, że w ten sposób próbuje on naśladować uśmiechy Stróżów.

– Tak, gdyby nie użyła obelisku. – W tonie jego głosu nie ma nic przepraszającego. – Najczęstszą konsekwencją zasilania systemu jest śmierć. Górotwory zdolne do tunelowania magii potrafią to jednak przetrwać, tak samo jak Stróże, którzy zazwyczaj mają możliwość czerpania z zewnętrznych źródeł.

„Magia?”, myśli oszołomiona Nassun.

Schaffa jednak cały się napina. Z początku Nassun dziwi się jego wściekłości, w końcu jednak rozumie: zwykli Stróże, ci nieskażeni, wyciągają srebro z ziemi i przekazują je do pnączy. Stróże tacy jak Umber i Nida prawdopodobnie mogą robić to samo, ale podjęliby się tego tylko wtedy, kiedy służyłoby to interesom Ojca Ziemi. Natomiast Schaffa, pomimo śródkamienia, nie może polegać na srebrze Ziemi i nie może

z niego swobodnie czerpać. Jeśli Nassun groziło niebezpieczeństwo ze strony pnączy, to właśnie z powodu tej jego ułomności.

Albo po prostu Stal chciałby, żeby tak sądziła. Nassun patrzy na niego z niedowierzaniem, a potem odwraca się z powrotem do Schaffy. Częściowo odzyskała już siły.

– Wiedziałam, że dam radę – mówi. Schaffa nadal mierzy Stalę wściekłym spojrzeniem. Nassun zaciska palce na jego koszuli i pociąga, próbując zwrócić jego uwagę. Schaffa mruga i spogląda na nią zaskoczony. – Wiedziałam! Poza tym nie pozwoliłabym, żebyś to ty dotknął pnączy. To przeze mnie...

Nagle milknie, a gardło zaciska jej się pod wpływem napływających łez. Po części to wynik nerwów i zmęczenia. W dużej mierze chodzi jednak o poczucie winy, które czaiło się w niej i narastało od miesięcy, a teraz wydostało się, bo nie miała już siły dusić go w sobie. To jej wina, że Schaffa wszystko stracił: Odnaleziony Księżyc, dzieci, na których mu zależało, towarzystwo innych Stróżów, moc pochodzącą ze śródkamienia i spokojny sen. To przez nią znajduje się teraz w pyłe wymarłego miasta i musi razem z nią zawierzyć maszynie starszej niż Sanze, a być może cały Bezruch, aby udać się do niemożliwego miejsca i dokonać niemożliwej rzeczy.

Dzięki swojemu doświadczeniu w pracy z dziećmi Schaffa natychmiast wszystko to rozumie. Kiedy kuca przed nią i kręci głową.

– Nie – odpowiada. – To nie jest twoja wina, maleńka. Niezależnie od tego, ile mnie to kosztowało, i niezależnie od tego, ile jeszcze może kosztować, zawsze pamiętaj, że ja... że ja...

Po twarzy przebiega mu cień. Przez moment widać na niej ten potworny, niewyraźny grymas, który grozi katastrofą, choć przecież właśnie zamierzał zadeklarować jej swoje wsparcie. Nassun łapie oddech, skupia się na srebrze, obnaża zęby i widzi, że śródkamień w ciele Schaffy znowu jest żywy, atakuje wściekle jego nerwy, sięga do mózgu, próbuje go zmusić, by się ugiął.

„Nie”, myśli w nagłej furii. Chwyta go za ramiona i potrząsa. Wkłada w to wszystkie siły, bo jej opiekun to potężny mężczyzna, ale udaje jej się: Schaffa mruga i dochodzi do siebie.

– Jesteś Schaffa – mówi do niego. – To ty! I... i to ty decydujesz. – To ważne. To właśnie na podejmowanie decyzji świat nie chce pozwalać ludziom takim jak oni. – Nie jesteś już moim Stróżem... – W końcu ośmiela się powiedzieć to na głos. – Jesteś moim nowym ojcem. Okej? I t-to oznacza, że jesteśmy rodziną i... i musimy trzymać się razem. Tak właśnie postępują rodziny, prawda? Pozwól, żebym czasami to ja chroniła ciebie.

Schaffa wpatruje się w nią, a potem wzdycha, pochyla się i całuje ją w czoło. Zostaje tak, z nosem przyciśniętym do jej włosów; Nassun ogromnym wysiłkiem woli powstrzymuje się od płaczu. Kiedy Schaffa w końcu się odzywa, z jego twarzy znika ten potworny grymas, a wywołane bólem zmarszczki wokół oczu wygładzają się.

– Dobrze, Nassun. Czasami możesz mnie chronić.

Kiedy mają to już ustalone, Nassun pociąga nosem i wyciera go w rękaw, a potem odwraca się do Stali. Nie zmienił pozycji, dlatego Nassun podchodzi bliżej i staje tuż przed nim. Jego oczy leniwie śledzą jej ruch.

– Nie rób tego nigdy więcej.

Spodziewa się, że zapyta ją tym swoim nieprzeniknionym głosem: „Czego?”, on mówi jednak:

– Zabieranie go tam to błąd.

Nassun oblewa nagle fala zimna, a potem gorąca. To groźba czy ostrzeżenie? Tak czy inaczej, wcale jej się to nie podoba. Zaciska szczęki tak mocno, że kiedy wreszcie się odzywa, omal nie przygryza sobie języka.

– Nie obchodzi mnie to.

Cisza. Czy to oznacza ustępstwo? Zgodę? Brak chęci prowadzenia sporu? Nassun nie wie. Chce wrzasnąć: „Powiedz, że już nigdy go nie skrzywdzisz!”, choć podnoszenie głosu na dorosłego wydaje jej się czymś złym. Z drugiej strony przez ostatnie półtora roku nauczyła się, że dorośli to też ludzie, że czasami się myślą i czasami trzeba na nich nawrzeszczyć.

Jest jednak zbyt zmęczona. Wycofuje się w stronę Schaffy, chwytając go za rękę i spogląda na Stalę, jakby chciała go sprowokować, by powiedział coś więcej. Stal nie robi tego. Dobrze.

Nagle wielki zielony obiekt zaczyna się marszczyć i wszyscy zwracają się w jego kierunku. Coś – Nassun drży, czując jednocześnie odrazę i fascynację – coś wyrasta z dziwnych wypukłości na jego powierzchni. Każda narośl ma ponad metr, jest wąska i przypomina rozgałęzione na czubku pióro. W jednej chwili pojawiają się ich dziesiątki, każda zawija się i faluje, choć przecież nie ma wiatru. „Rzęska”, myśli nagle Nassun, przypominając sobie obrazek ze starej książki do biometrii. Oczywiście! Dlaczego ludzie, którzy tworzyli budynki z roślin, nie mieliby też wytwarzać wozów wyglądających jak bakterie?

Niektóre z piór poruszają się szybciej niż inne, skupiając się na chwilę w jedną wiązkę. Następnie wszystkie kładą się, przylegając do przypominającej masę perłową powierzchni, odsłaniając coś w rodzaju prostokątnych drzwi. Za nimi Nassun dostrzega delikatne światło i rzędy foteli, które sprawiają wrażenie wygodnych. Na drugi koniec świata pojedą w komfortowych warunkach.

Nassun spogląda na Schaffę, który kiwa jej głową, zaciskając zęby. Nie patrzy na Stalę, który nie poruszył się ani nie zrobił nic, aby do nich dołączyć.

Następnie wchodzi na pokład, a pióra zamykają za nimi drzwi. Kiedy siadają, wielki pojazd wydaje z siebie niski, rezonujący dźwięk i rusza.

Gdy pada popiół, bogactwo nie przedstawia żadnej wartości.

Tablica trzecia, *Struktury*, werset dziesiąty

Syl Anagist: dwa

To wspaniały dom: niewielki, ale gustownie zaprojektowany i pełen pięknych mebli. Gapimy się na łuki, regały z książkami i drewniane poręcze. Z celulozowych ścian wyrasta zaledwie kilka roślin, dlatego powietrze jest tu suche i trochę nieruchome. To miejsce przypomina muzeum. Zbieramy się w dużej sali z przodu domu, zbyt wystraszeni, by się poruszać albo dotykać czegokolwiek.

– Mieszkasz tutaj? – pyta Kelenli jeden z nas.

– Czasami – odpowiada. Jej twarz nie wyraża niczego, ale w jej głosie jest coś, co mnie niepokoi. – Chodźcie za mną.

Prowadzi nas przez dom. Przepych oszałamia: każda powierzchnia jest tak miękka, że można by na niej sypiać – nawet podłoga. Tym, co uderza mnie najbardziej, jest fakt, że nic tu nie jest białe. Ściany mają kolor zieleni, a w niektórych miejscach pomalowano je na głęboki burgund. W kolejnym pokoju łóżka przykryte są niebieskimi i złotymi narzutami o zróżnicowanych wzorach. Nic nie jest tu twarde i odsłonięte. Nigdy nie uważałem mojej izby za więzienną celę, ale tym razem ta myśl przychodzi mi do głowy.

Tego dnia towarzyszyło mi wiele nowych myśli, zwłaszcza podczas wędrówki przez ten dom. Całą drogę pokonaliśmy pieszo, odczuwając ból nieprzyzwyczajonych do długiego marszu stóp i znosząc ciekawskie spojrzenia mijanych ludzi. Niektórzy z nich szeptali coś do siebie. Jeden wyciągnął rękę i dotknął mojego warkocza, a potem zachichotał, widząc, jak odskakuję. W pewnym momencie zaczął iść za nami jakiś mężczyzna. Był starszy, miał siwe włosy, podobne do naszych, i mówił nieprzyjemne rzeczy. Niektórych wypowiedzianych przez niego słów nie znałem (na przykład „niesski pomiot” czy „widłożab”). Inne znałem, ale nie rozumiałem ich („Wynaturzeni” albo „Powinniśmy byli was wytluc”, co nie ma sensu, bo przecież zostaliśmy celowo i w przemyślany sposób stworzeni). Oskarżył nas o kłamstwo, choć nikt z nas się do niego nie odzywał, i o to, że tylko udajemy, że odeszliśmy (gdzieś). Stwierdził, że jego rodzice i rodzice jego rodziców nauczyli go, co to prawdziwy koszmar i prawdziwy wróg – to potwory takie jak my były wrogami dobrych ludzi, a on zamierzał się upewnić, że nikogo już nie skrzywdzimy.

Następnie podszedł bliżej, zaciskając wielkie pięści. Kiedy szliśmy, gapiąc się na wszystko dookoła, tak oszołomieni, że nawet nie zdawaliśmy sobie sprawy, że jesteśmy w niebezpieczeństwie, nasi dyskretni strażnicy stali się mniej dyskretni i wepchnęli mężczyznę do wnętrza w budynku, gdzie przytrzymywali go, podczas gdy on krzyczał i wierzgał, próbując się na nas rzucić. Kelenli przez cały czas szła przed siebie z wysoko uniesioną głową. Ani razu nie spojrzała na mężczyznę. Podążaliśmy za nią, nie wiedząc, co innego moglibyśmy zrobić, i po pewnym czasie ten człowiek został w tyle, a jego słowa rozplynęły się w gwarze miasta.

Roztrzęsiona Gaewha zapytała później Kelenli, o co chodziło wściekłemu mężczyźnie. Kelenli zaśmiała się i odparła:

– To Sylanagistycznyk.

Gaewha zamilkła, zakłopotana. Wszyscy wysłaliśmy jej szybkie zapewnienia, że

czujemy się równie zagubieni. Nie była wyjątkiem.

Idąc przez Syl Anagist, rozumiemy, że to normalne życie tego miasta. Na ulicach są normalni ludzie. To, na co reagujemy, krzywiąc się albo odskakując, to normalny dotyk. Mijamy normalne domy z normalnymi meblami w środku. Normalne spojrzenia: odwracanie wzroku, marszczenie brwi, ciekawskie zerkanie. Każdym kolejnym przejawem normalności miasto uświadamia nam, jak bardzo to my jesteśmy nienormalni. Nigdy wcześniej nie przeszkadzało mi, że jesteśmy jedynie tworam, genoinżynieryjnymi efektami pracy najlepszych biometrów, wyhodowanymi w kapsydach odżywczej papki i odcedzeni w pełni już dojrza, abyśmy nie musieli dorastać. Dotychczas byłem... dumny z tego, czym jestem. Byłem zadowolony. Teraz jednak widzę, jak spoglądają na nas ci normalni ludzie, i boli mnie serce. Nie rozumiem dlaczego.

Być może to chodzenie po mieście mnie niszczy.

Teraz Kelenli oprowadza nas po eleganckim domu. Przez kolejne drzwi wychodzimy na olbrzymi ogród. Schody prowadzą do ścieżki, wzdłuż której rozciągają się rabatki; kwiaty uwodzą nas zapachem. Są inne niż te w naszych idealnie zadbanych i genoinżynieryjnie zaprojektowanych ogródkach. Tam rośliny zachwycają pieczołowicie skomponowanymi barwami, natomiast to, co rośnie tutaj, wydaje się dzikie, a może i podrzędnego gatunku – łodygi kwiatów są za krótkie lub za długie, a płatki często niedoskonałe. A jednak... to mi się podoba. Dywan porostów pokrywający ścieżkę zachęca do bliższych oględzin, dlatego dyskutujemy między sobą gwałtownym pulsowaniem, kucając i próbując zrozumieć, dlaczego porosty wydają się pod naszymi stopami tak sprężyste. Naszą ciekawość wzbudzają nożyce zwisające z tyczki. Opieram się pokusie zerwania kilku pięknych fioletowych kwiatów, w przeciwieństwie do Gaewhy – sięgnęła po nożyce i teraz mocno ściska w dłoni barwną zdobycz. Nigdy wcześniej nie mieliśmy niczego na własność.

Potajemnie obserwuję Kelenli, która obserwuje nas. Moje zainteresowanie nią peszy mnie trochę i niepokoi, ale chyba nie mogę się oprzeć. Zawsze wiedzieliśmy, że konduktorom nie udało się stworzyć nas tak, abyśmy byli pozbawieni emocji. Sam uważałem, że jesteśmy ponad coś takiego jak uczucia, ale... no cóż. Oto cena mojej arogancji. Oto jesteśmy tutaj, wystawieni na bodźce i zagubieni we własnych reakcjach. Gaewha cofa się w róg z nożycami, gotowa bronić swoich kwiatów do ostatniej kropli krwi. Dushwha wiruje w miejscu, śmiejąc się histerycznie; nie do końca wiem z czego. Bimniwha dopadła jednego ze strażników i zasypuje go pytaniami dotyczącymi rzeczy, które widzieliśmy po drodze. Strażnik rozgląda się, jakby szukał pomocy. Salewha i Remwha kucają obok niewielkiej sadzawki i prowadzą gorącą dyskusję, próbując odgadnąć, czy poruszające się pod wodą stworzenia to żaby czy ryby. Rozmawiają ze sobą wyłącznie na głos, w ogóle nie mówiąc w ziemi.

A ja, głupiec, obserwuję Kelenli. Chcę zrozumieć, czego starała się nas nauczyć, pokazując nam tamtą artystyczną rzecz w muzeum i ten rajski ogród. Z jej twarzy i sejsod nie sposób niczego odgadnąć, ale nie szkodzi. Chcę po prostu patrzeć na jej twarz i grać się w jej głębokiej, potężnej górotwórczej obecności. To nonsens. Prawdopodobnie wprawiam ją tym w zakłopotanie, choć tego nie okazuje. Chcę, żeby na mnie spojrzała. Chcę z nią porozmawiać. Chcę być nią.

Uznaję, że to, co czuję, to miłość. Nawet jeśli się mylę, ta myśl jest dla mnie czymś zupełnie nowym i fascynującym, postanawiam więc podążać za tym impulsem.

Po jakimś czasie Kelenli podnosi się i oddala od nas. W środku ogrodu znajduje się niewielki obiekt przypominający dom, ale wzniesiony z kamiennych cegieł, a nie z zielonej celulozowej tkanki, jak większość budynków. Po najbliższej ścianie wspina się uparta, pojedyncza nić bluszczu. Kiedy Kelenli otwiera drzwi tego domu, jestem jedyną osobą, która to widzi. Kiedy jednak wchodzi do środka, obserwują ją już wszyscy. Kelenli zatrzymuje się, rozbawiona – tak sędzę – naszym nagłym milczeniem i niepokojem. Następnie wzdycha i kiwa głową, jakby chciała powiedzieć: „Chodźcie”. Ruszamy za nią.

W środku niewielkiego domu znajdują się drewniane podłogi i trochę mebli. Jest tu prawie tak surowo jak w naszych celach, ale widać kilka ważnych różnic. Kelenli siada na jednym z krzesła, a wtedy uświadamiamy sobie: to należy do niej. Do niej. To jej... cęła? Nie. Wszędzie wokół znajdują się przedmioty, które w intrygujący sposób mówią coś o charakterze i przeszłości Kelenli. Książki na półce w rogu świadczą o tym, że ktoś nauczył ją czytać. Szczotka na brzegu umywalki sugeruje, że Kelenli sama czesze sobie włosy, i to niecierpliwie, sądząc po kołtunach. Być może to w tamtym wielkim pałacu powinna zazwyczaj przebywać i może rzeczywiście czasami tam sypia. Ale to ten niewielki budynek w ogrodzie jest jej... domem.

– Wychowywałam się z konduktorem Gallatem – mówi spokojnie Kelenli. (Spragnieni jej wiedzy usiedliśmy wokół niej na podłodze, na krzesłach i na łóżku). – Dorastałam przy nim, a on kontrolował mnie tak, jak teraz ja kontroluję was. To zwyczajny mężczyzna, z wyjątkiem odrobiny niepożądanych korzeni.

Mrugam lodowobiałymi oczami, myślę o Gallacie i nagle pojmuję wiele nowych rzeczy. Kelenli uśmiecha się, widząc moje szeroko otwarte usta. Zaraz jednak poważnieje.

– Rodzice Gallata, o których myślałam, że są moimi rodzicami, na początku nie mówili mi, czym jestem. Chodziłam do szkoły, bawiłam się i robiłam wszystkie te rzeczy, które robi zwyczajna sylanagistyjska dziewczynka. Nie traktowali mnie jednak tak samo. Długo myślałam, że chodzi o coś, co zrobiłam. – Jej wzrok ucieka, przepelniony nagle dawnym smutkiem. – Zastanawiałam się, dlaczego jestem tak okropna, że nawet moi rodzice najwyraźniej nie potrafią mnie pokochać.

Remwha kuca, aby przesunąć dłonią po drewnianych klepkach podłogi. Nie wiem, dlaczego to robi. Salewha nadal jest na zewnątrz, ponieważ w domu jest zbyt duży tłok; poszła obserwować drobnego, ruchliwego ptaka, który śmiga wśród kwiatów. Słucha nas jednak przez otwarte drzwi. Wszyscy musimy wysłuchać tego, co Kelenli mówi swoim głosem, wibracjami i ciężkim, nieruchomym spojrzeniem.

– Dlaczego cię zwodzili? – pyta Gaewha.

– Eksperyment polegał na sprawdzeniu, czy mogę być człowiekiem. – Kelenli uśmiecha się do siebie. Siedzi na swoim krześle, z łokciami na kolanach, i patrzy na swoje dłonie. – Chcieli się przekonać, czy wychowana wśród porządných, normalnych ludzi będę porządna, a może nawet naturalna. Dlatego też każde moje osiągnięcie uznawano za sukces Syl Anagist, podczas gdy każda moja porażka i każdy zły wybryk składane były na karb mojego genetycznego zwyrodnienia.

Zerkam na Gaewhę, a ona na mnie.

– Ale dlaczego nie miałybyś być porządna? – pyta, szczerze zdziwiona.

Kelenli się otrząsa i przygląda nam się przez chwilę, a my pojmujemy, że między nami ziele przepaść. Ona uważa się za jedną z nas, i rzeczywiście tak jest. Ale uważa się też za osobę. Te dwie koncepcje do siebie nie pasują.

– Na Złą Ziemię – mówi cicho, powtarzając moje myśli. – Wy naprawdę nic nie wiecie, prawda?

Nasi strażnicy zajęli pozycję u szczytu schodów prowadzących do ogrodu, skąd nie mogą nas słyszeć. To pomieszczenie zapewnia nam tyle samo prywatności, co inne miejsca, które dziś odwiedziliśmy. Prawie na pewno jest na podsłuchu, ale Kelenli wydaje się tym nie przejmować, dlatego robimy to samo. Unosi stopy i otacza kolana rękoma, dziwnie bezbronna jak na kogoś, kogo obecność w ziemi jest potężna i zbita niczym góra. Zdobywam się na śmiałość i wyciągam rękę, aby dotknąć jej kostki, a Kelenli uśmiecha się, przykrywając moją dłoń własną. Nie zrozumie swoich uczuć przez kolejne kilka stuleci.

Kontakt wydaje się wzmacniać Kelenli. Kiedy się odzywa, uśmiech znika z jej twarzy:

– W takim razie powiem wam.

Remwha nadal przygląda się drewnianej podłodze. Pociera jedną z klepek palcami i przesyła przez nią: „Czy powinnaś?”. Martwię się, bo przecież to coś, nad czym sam powinienem był się zastanowić.

Kelenli kręci głową z uśmiechem. Nie, nie powinna.

Ale i tak to robi, przez ziemię, żebyśmy wiedzieli, że to prawda.

Pamiętasz, o czym ci mówiłem: dziś Bezruch to trzy kontynenty, nie jeden. Ich nazwy, jeśli ma to jakieś znaczenie, brzmią: Maecar, Kakhjarar oraz Cilir. Początkowo Syl Anagist stanowiło część Kakhjararu, następnie zajęło całą jego powierzchnię, a potem wchłonęło również Maecar.

Położone na południu Cilir było kiedyś niewielkim jałowym lądem zamieszkanym przez niewielu jałowych ludzi. Jedno z żyjących tam plemion nazywało się Thniess. Trudno było odpowiednio wymówić ich nazwę, dlatego Sylanagistyjczycy mówili na nich Niess. Te dwa słowa znaczyły coś innego, ale ostatecznie przyjęło się to drugie.

Sylanagistyjczycy zajęli ich ziemię. Niessowie walczyli, ale ostatecznie zachowali się tak, jak każde inne żywe stworzenie pod wpływem zagrożenia – rozproszyli się, próbując znaleźć sobie inne miejsce i przeżyć. Potomkowie tamtych Niessów zamieszkali na wszystkich kontynentach i we wszystkich wspólnotach, wtapiając się w lokalne społeczności i dostosowując do lokalnych zwyczajów. Zdołali zachować przy tym własną tożsamość i choć coraz lepiej posługiwali się innymi językami, dalej mówili we własnym. Nie rezygnowali również ze swoich dawnych praktyk, takich jak rozdwanie języków za pomocą kwasu solnego, co robili z sobie tylko znanych powodów. I choć stracili znaczną część swojego charakterystycznego wyglądu, który zawdzięczali życiu w odosobnieniu na niewielkiej wyspie, wielu z nich do dziś zachowało pewne rozpoznawalne cechy, jak lodowobiałe oczy i popiołowe włosy.

Tak, teraz rozumiesz.

Jednak tym, co naprawdę odróżniało Niessów od innych, była ich magia. Magia jest wszędzie na świecie. Każdy ją widzi i czuje, płynie razem z nią. W Syl Anagist magię się hoduje, jest obecna w każdym ogrodzie, szpalerze drzew i w każdej pokrytej winoroślą ścianie. Każde gospodarstwo domowe i przedsiębiorstwo musi wytworzyć określoną ilość magii, która następnie odprowadzana jest za pomocą geoinżynierskich pnczy oraz pomp i staje się źródłem zasilania dla globalnej cywilizacji. W Syl Anagist zabijanie jest zakazane, ponieważ życie to cenny zasób.

Niessowie nigdy w to nie wierzyli. Powtarzali, że magii nie można posiadać, tak samo jak życia – dlatego trwonili jedno i drugie, budując (między innymi) silniki plutoniczne, które do niczego nie służyły. Były po prostu... ładne – stworzone dla samej radości tworzenia. Jednocześnie ta „sztuka” była bardziej wydajna i potężna niż wszystko, co kiedykolwiek zdołali wytworzyć Sylanagistycy.

Jak się to wszystko zaczęło? Musisz zrozumieć, że u źródeł każdego działania leży strach. Niessowie wyglądali inaczej, zachowywali się inaczej i byli inni – ale przecież każda społeczność różni się od innych. Same różnice nigdy nie stanowiły jedynej przyczyny problemów. Ekspansja Syl Anagist na świat miała miejsce ponad sto lat przed tym, jak mnie stworzono. Wszystkie miasta były już wtedy Syl Anagist, wszystkie języki ustąpiły sylanagistycznemu. Nikt jednak nie odczuwa tak dziwnego strachu jak pogromcy. Nieustannie wywołują oni duchy przeszłości, przerażeni, że któregoś dnia ich ofiary zrobią im to samo, czego od nich doświadczyły – nawet jeśli same ofiary w ogóle o tym nie myślą i dawno już przeszły nad tym do porządku dziennego. Zdobywcy żyją w strachu przed dniem, w którym się okaże, że nie byli lepsi, ale po prostu mieli szczęście.

Dlatego kiedy magia Niessów okazała się bardziej wydajna od sylanagistycznej, mimo że Niessowie nie używali jej jako broni...

To właśnie opowiedziała nam Kelenli. Być może zaczęło się od plotek, że białe tęczęwki Niessów psują im wzrok i rodzą perwersyjne pragnienia oraz że mając rozdwojony język, nie można mówić prawdy. Tego rodzaju kulturowe nękanie to nic nowego, ale sprawy zaczęły przybierać coraz gorszy obrót. Naukowcy z łatwością robili kariery w oparciu o teorię, że sejsody Niessów diametralnie różnią się od sejsod pozostałych ludzi – są wrażliwsze, bardziej aktywne, mniej przewidywalne, mniej cywilizowane – i że to właśnie one odpowiadają za ich magiczną odmienną. Że to z powodu swoich sejsod Niessowie stanowią inny rodzaj człowieka. Później: że nie są ludźmi w takim stopniu jak inni. Ostatecznie: że w ogóle nie są ludźmi.

Kiedy Niessowie zniknęli z powierzchni Bezruchu, okazało się oczywiście, że w ich legendarnych sejsodach nie było nic nadzwyczajnego. Sylagistycy naukowcy i biogeometryści mieli do dyspozycji mnóstwo więźniów, na których mogli prowadzić badania, ale choć bardzo się starali, nie znaleźli żadnych znaczących różnic pomiędzy sejsodami Niessów a sejsodami innych ludzi. Było to niedopuszczalne, nawet więcej niż niedopuszczalne. Przecież gdyby Niessowie byli zwykłymi ludźmi, to co z nowym podejściem do sztuki militarnej, nowymi szkołami pedagogicznymi i całymi działami nauki? Nawet wielkie marzenie o geoaranżacji wyrosło z założenia, że sylanagistyczna teoria magii – łącznie z jej pogardliwym uznaniem wydajności Niessów za fizjologiczny

lut szczęścia – była doskonała i nie do obalenia.

Gdyby Niessowie okazali się tylko ludźmi, cały świat zbudowany w oparciu o ich rzekomą nieludzkość nagle by się rozpadł.

Dlatego... zrobili nas.

My, starannie zaprojektowane i wynaturzone pozostałości po Niessach, mamy znacznie bardziej rozwinięte sejsody niż inni. Kelenli została stworzona jako pierwsza, ale różniła się niewystarczająco. Pamiętaj, musimy być nie tylko narzędziami, ale również bohaterami mitów. Dlatego też my, stworzeni później, otrzymaliśmy wzmocnione cechy wyglądu zewnętrznego Niessów – szerokie twarze, drobne usta, skórę niemal pozbawioną barwy, sztywne i twarde włosy oraz niski wzrost. Wyczyścili nasze układy limbiczne z neurozwiązków, a naszą świadomość z doświadczenia, języka i wiedzy. Dopiero kiedy stworzyli nas na obraz własnego strachu, poczuli się usatysfakcjonowani. Wmawiają sobie, że uchwycili w nas kwintesencję mocy Niessów, i gratulują sobie, że w końcu uczynili swoich starych wrogów przydatnymi.

My jednak nie jesteśmy Niessami. Nie jesteśmy nawet chwalebnyymi symbolami wielkiego intelektualnego osiągnięcia, jak niegdyś sądziłem. Syl Anagist wzniesione zostało na fundamencie urojeń, a my jesteśmy po prostu owocem kłamstw. Nie mają pojęcia, czym naprawdę jesteśmy.

Tylko od nas zależą więc nasz los i nasza przyszłość.

Kiedy lekcja Kelenli dobiega końca, uświadamiam sobie, że minęło kilka godzin. Siedzimy u jej stóp, oszołomieni, przemienieni mocą jej słów. Nadal się przemieniamy.

Robi się późno. Kelenli wstaje.

– Przyniosę nam koce i coś do jedzenia – mówi. – Zostaniecie tu na noc. Jutro poznacie trzeci i ostatni element waszej stroicielskiej misji.

Nigdy wcześniej nie spaliśmy poza naszymi celami. To ekscytujące. Gaewha komunikuje się z nami krótkimi drganiem zachwytu, natomiast Remwaha wysyła w ziemię jednostajny szum odczuwanej przyjemności. Dushwaha i Bimniwaha raz po raz uderzają niepewnością – czy możemy zrobić to, co wszyscy robią od początku istnienia ludzkości, czyli spać w innym miejscu niż zwykle? Zwijają się obok siebie, by poczuć się bezpieczniej, choć tak naprawdę tylko nasila to ich niepokój. Nieczęsto otrzymujemy pozwolenie, żeby dotykać się nawzajem. Oni jednak gładzą się po włosach i stopniowo zaczyna ich to wyciszać.

Kelenli jest ich strachem rozbawiona.

– Nic wam nie będzie, choć podejrzewam, że sami musicie się o tym przekonać – mówi.

Kieruje się w stronę drzwi. Ja spoglądam przez okno na Księżyc, który właśnie wzeszedł. Kelenli mnie dotyka, ponieważ stoję jej na drodze. Nie poruszam się jednak od razu. Z powodu umiejscowienia okna w mojej celi nie widuję Księżycy zbyt często. Chcę chłonąć tę chwilę całym sobą.

– Dlaczego nas tu przyprowadziłaś? – pytam, nadal patrząc przez okno. – Dlaczego mówisz nam to wszystko?

Kelenli milczy przez chwilę. Podejrzewam, że też patrzy na Księżyc. Następnie, pełnym zamyślenia poruszeniem ziemi stwierdza: „Przestudiowałam wszystko, co mogłam, na temat Niessów i ich kultury. Nie zostało wiele materiałów i musiałam nieustannie odsiewać prawdę od wszystkich tych kłamstw. Ale dowiedziałam się stamtąd o istnieniu pewnej... praktyki. Pewnej profesji. Otóż praca niektórych ludzi polegała na pilnowaniu, aby prawda ujrzała światło dzienne”.

Marszczę brwi.

– I... co? Postanowiłaś kontynuować tradycję zmarłych?

Słowa. Jestem uparty.

Kelenli wzrusza ramionami.

– Dlaczego nie?

Kręcę głową. Czuję się zmęczony i przytłoczony, może nawet trochę zły. Ten dzień wyrócił moje poczucie własnej wartości do góry nogami. Przez całe życie wiedziałem, że jestem narzędziem – tak, nie osobą, ale przynajmniej symbolem świętości i dumy. Teraz wiem, że jestem tylko symbolem paranoi, chciwości i nienawiści. Z czymś takim niełatwo jest sobie poradzić.

– Daj sobie spokój z Niessami – warczę. – Oni nie żyją. Po co ich wspominać?

Chcę ją rozzłościć, ale ona tylko wzrusza ramionami.

– To twój wybór. Dokonasz go, kiedy będziesz już wystarczająco poinformowany, żeby móc to zrobić.

– A może ja nie chcę być wystarczająco poinformowany. – Opieram się o szybę w drzwiach, która jest chłodna i nie kłuje mnie w palce.

– Chciałeś być tak silny, aby chwycić onyks.

Reaguję czymś w rodzaju śmiechu – jestem zbyt zmęczony, by pamiętać, że powinienem udawać pozbawionego uczuć. Mam nadzieję, że nasi obserwatorzy tego nie zauważą. Przechodzę na mowę ziemi i odzywam się kwaśnym, bardzo ściśniętym wrzeniem rozgoryczenia, pogardy, upokorzenia i złamanego serca: „Jakie to ma znaczenie? Geoaranżacja to kłamstwo”.

Kelenli rozbija to moje uzalenie się nad sobą delikatnym, ale bezlitosnym uderzeniem śmiechu.

– Ach, mój myślicielu. Nie spodziewałam się po tobie takiego melodramatyzowania.

– Co to jest melo... – Kręcę głową i milknę, zmęczony tym, że wciąż czegoś nie wiem. Tak, dąsam się.

Kelenli wzdycha i dotyka mojego ramienia. Krzywię się, nieprzyzwyczajony do ciepła dłoni innej osoby, ale ona nie cofa jej, co w końcu mnie uspokaja.

– Pomyśl – powtarza. – Czy silnik plutoniczny działa? Czy działają twoje sejsody? Nie jesteście tym, czym chcieli was uczynić, ale czy to oznacza, że nie jesteście już tymi samymi osobami?

– Ja... to pytanie nie ma sensu.

Teraz jestem już po prostu uparty. Rozumiem, o co jej chodzi. Nie jestem tym, czym mnie uczynili – jestem inny. Stałem się potężny w znaczeniu, którego nie przewidywali. Stworzyli mnie, ale mnie nie kontrolują, przynajmniej nie do końca. To

dlatego odczuwam emocje, mimo że próbowali mi je odebrać. To dlatego rozmawiamy ze sobą w ziemi... i być może mamy jeszcze inne umiejętności, o których nasi konduktorzy nie wiedzą.

Kelenli poklepuje mnie po ramieniu, zadowolona, że najwyraźniej analizuję jej słowa. Miejsce na podłodze wręcz do mnie woła – dziś będę spał twardo. Zwalczam jednak zmęczenie i dalej koncentruję się na niej, ponieważ w tej chwili potrzebuję jej bardziej niż snu.

– Uważasz się za jednego z tych... opowiadaczy prawdy? – pytam.

– Mędrców. Uważam się za ostatnią mędrzynię spośród Niessów, jeśli w ogóle mam prawo używać tej nazwy. – Nagle poważnieje i po raz pierwszy widzę, jaka jest zmęczona i ile ma w sobie smutku. – Mędrcy byli wojownikami, szlachetnymi opowiadaczami. Przekazywali swoją prawdę w księgach, pieśniach i za pomocą swoich artystycznych silników. Ja tylko... mówię. Czuję jednak, że zasłużyłam na prawo nazywania się jedną z nich. – I w ziemi dodaje: „W końcu nie wszyscy wojownicy używają noży”.

W ziemi może być tylko prawda – czasami więcej prawdy, niż chciałoby się wyjawić. Wyczuwam coś w jej smutku. Przebłysk strachu, niczym maźnięcie kwasem solnym. Determinacja, aby coś... chronić. Wibracja ta zanika, zanim zdążę bliżej się jej przyjrzeć.

Kelenli bierze głęboki oddech i znowu się uśmiecha. Tak niewiele spośród jej uśmiechów jest szczerych.

– Aby opanować onyks, musisz zrozumieć Niessów – kontynuuje. – Konduktorzy nie wiedzą, że najlepiej reaguje on na pewien rezonans emocjonalny. Wszystko to, co ci mówię, powinno ci w tym pomóc.

Odsuwa mnie delikatnie, żeby móc przejść. Pytanie musi zostać zadane teraz.

– Co w takim razie stało się z Niessami?

Kelenli zatrzymuje się i chichocze – przynajmniej teraz robi to szczerze.

– Przekonasz się jutro – odpowiada. – Pójdziemy ich zobaczyć.

Jestem skołowany.

– Ich groby?

– Życie w Syl Anagist jest święte – rzuca przez ramię. Wyszła już z pomieszczenia i idzie dalej, nie zatrzymując się ani nie odwracając. – Nie wiesz o tym?

I już jej nie ma.

Czuję, że to odpowiedź, którą powinienem zrozumieć – ale na swój sposób nadal jestem nieświadomy. Kelenli jest miła. Pozwala mi pozostać w tej nieświadomości przez resztę nocy.

Do: Almy Innowatorki Dibars

Od: Yaetr Innowatorki Dibars

Alma, komitet nie może wstrzymać mi finansowania. Zobacz, to same daty incydentów, które zgromadziłam. Spójrz choćby na ostatnie dziesięć!

2729

2714–2719: Sezon Dławienia

2699

2613

2583

2562

2530

2501

2490

2470

2400

2322–2329: Sezon Kwasu

Czy Siódmy jest w ogóle zainteresowany faktem, że nasza popularna koncepcja wydarzeń sezonowych okazuje się całkowicie błędna? Te rzeczy nie zdarzają się co dwieście czy trzysta lat – raczej co trzydzieści albo czterdzieści! Gdyby nie roggi, wyginęlibyśmy już tysiąc razy. Dzięki tym danym, a także innym zebranych informacjom, próbuję stworzyć model prognostyczny dotyczący tych bardziej intensywnych Sezonów. Jest w tym jakiś cykl, jakiś rytm. Nie chcemy wiedzieć, czy kolejna Piąta Pora Roku nie będzie dłuższa albo bardziej niebezpieczna? Jak mielibyśmy przygotować się na przyszłość, skoro nie zamierzamy wyciągnąć nauki z przeszłości?

Pustynia,
przez chwilę, i ty

Podczas Piątych Pór Roku najgorzej jest na pustyni. Tonkee informuje Ykkę, że z wodą nie będzie problemu – Innowatorzy z Castrimy zmontowali wystarczająco dużo urządzeń służących do jej magazynowania; nazywają je chwytaczami rosy. Upału również nie musicie się obawiać, a to za sprawą popiołowych chmur; nigdy nie sądziłaś, że kiedykolwiek je docenisz. Tak naprawdę na pustyni będzie raczej chłodno, choć w ciągu dnia temperatura powinna być wyższa. Może traficie nawet na odrobinę śniegu.

Niebezpieczeństwo związane z przebywaniem na pustyni podczas Piątej Pory Roku polega na tym, że prawie wszystkie żyjące tam stworzenia hibernują głęboko w piasku, gdzie nadal jest ciepło. Są tacy, którzy twierdzą, że opracowali sposób na wygrzebywanie z ziemi jaszczurek i innych zwierząt, ale to przeważnie bzdury – tych kilka wspólnot leżących nieopodal pustyni zazdrośnie strzeże swoich sekretów. Rośliny na pewno już zwiędły albo zostały zjedzone przez stworzenia przygotowujące się do hibernacji, a na powierzchni pozostał tylko piasek i popiół. Skałowiedza dotycząca wchodzenia na pustynię podczas Sezonu brzmi: nie rób tego. Chyba że chcesz umrzeć z głodu.

Wspólnota rozbija obóz na skraju Merz i przygotowuje się do tego, co ją czeka, choć tak naprawdę – co Ykka wyjawiała ci, kiedy wypalałyście wspólnie twój ostatni łagodnik – nie da się do tego zbyt dobrze przygotować. Ludzie będą umierać. Ty nie – to osobliwe uczucie: wiedzieć, że w razie prawdziwego niebezpieczeństwa Hoa może cię przenieść do Rdzenia. Być może to nieuczciwe. Ale chyba nie. Bo zamierzasz pomagać tyle, ile będziesz mogła, a poza tym, jeśli przeżyjesz, będziesz musiała obserwować cierpienie innych. Przyłączając się do wspólnych wysiłków Castrimy, możesz zrobić przynajmniej to: być świadkiem i walczyć jak podziemny ogień, by nie pozwolić śmierci zabrać więcej, niż jej się należy.

Osoby zajmujące się przygotowywaniem jedzenia pracują na dwie zmiany. Pieką owady, suszą bulwy, peklują mięso i wypiekają ciasta z resztek mąki. Po zjedzeniu paru posiłków i nabraniu sił ludzie Maxixe'a okazali się wyjątkowo przydatni w zdobywaniu pożywienia, ponieważ kilku z nich to tubylcy, znający położenie opuszczonych gospodarstw i ruin, które nie zostały jeszcze doszczętnie splądrowane. Kluczowa będzie teraz szybkość: to, czy przetrwacie, zależy od tego, czy obecna ilość zapasów pozwoli wam przemierzyć pustynię. Z tego właśnie powodu Tonkee – która ku własnemu niezadowoleniu coraz częściej pełni funkcję rzeczniczki Innowatorów – nadzoruje szybki demontaż wozów i konstrukcję lżejszych, bardziej odpornych na wstrząsy pojazdów, które będą mogły lepiej poruszać się po piasku. Obrońcy i Piastuni rozdzielają pozostałe pożywienie w taki sposób, aby ewentualna utrata któregoś z wozów nie oznaczała drastycznego zmniejszenia zapasów.

Kiedy w nocy przed wyruszeniem na pustynię kulisz się obok jednego z ognisk, niezręcznie skubiąc jedzenie swoją jedyną ręką, ktoś siada obok ciebie. Zdziwiona poruszasz się i strącasz z talerza kawałek chleba kukurydzianego. Dłoń, która go podnosi,

jest szeroka, ciemna i pokryta bliznami, nadgarstek oplata natomiast żółty, brudny i postrzępiony kawałek jedwabiu. Danel.

– Dzięki – mówisz, licząc na to, że nie wykorzystasz tej okazji do rozmowy.

– Podobno należałaś kiedyś do Fulcrum – stwierdza Danel, podając ci chleb.

A więc próżne twoje nadzieje.

Naprawdę nie powinno cię dziwić, że mieszkańcy Castrimy plotkują. Postanawiasz się tym nie przejmować i nabierasz kawałkiem chleba kolejną porcję gulaszu. Jest dziś wyjątkowo dobry: zagęszczony mąką kukurydzianą i bogaty w delikatne, słone mięso, którego od czasu przejścia przez kamienny las macie pod dostatkiem. Wszyscy potrzebujecie maksymalnie dużo tkanki tłuszczowej, aby przygotować się na przeprawę przez pustynię. Przestajesz jednak myśleć o mięsie.

– Tak, należałam – odpowiadasz tonem, w którym, jak masz nadzieję, pobrzmiwa ostrzeżenie.

– Ile pierścieni?

Krzywisz się z niesmakiem i myślisz o „nieoficjalnych” pierścieniach otrzymanych od Alabastra, o tym, jak dalece wykroczyłaś poza tamte umiejętności, i o tym, że może powinnaś być skromna... ostatecznie jednak stawiasz na prawdę.

– Dziesięć.

W Fulcrum nazywano by cię teraz Essun Dziesięciopierścieniczką – gdyby seniorzy uznali twoje obecne imię i gdyby Fulcrum wciąż istniało.

Danel gwizdże z uznaniem. To bardzo dziwne spotkać kogoś, kto zna i docenia takie rzeczy.

– Podobno umiesz robić różne rzeczy z obeliskami – kontynuuje. – Dzięki temu pokonałicie nas w Castrimie. Nie miałam pojęcia, że potrafisz zmobilizować w ten sposób wrzątki na odległość. Albo uwięzić tak wielu zjadaczy kamieni.

Udajesz, że nie zwracasz uwagi na jej słowa, i skupiasz się na chlebie. Jest słodkawy. Ekipa przygotowująca posiłki próbuje wykorzystać cukier, żeby zrobić miejsce na bardziej odżywcze produkty. Chleb smakuje przepysznie.

– Podobno to jakiś dziesięciopierścienny rogga rozerwał świat tam, w Równikadzie – ciągnie Danel, obserwując cię z boku.

Okej, dość.

– Górotwór.

– Co?

– Górotwór – powtarzasz. Być może to małostkowe. Z powodu nalegań Ykki, aby uczynić słowo „rogga” nazwiskiem użytkowym, nieruchomi rzucają nim teraz na prawo i lewo, jakby nic nie znaczyło. Nie jesteś małostkowa. To słowo coś znaczy. – Nie „rogga”. Nie zasłużyłaś, żeby móc używać tego określenia.

Cisza na kilka oddechów.

– W porządku – odpowiada Danel, a w jej głosie nie ma śladu przeprosin ani chęci udobruchania cię. Po prostu akceptuje nową zasadę. Nie sugeruje też więcej, że to ty wywołałaś Pęknięcie. – Chodziło mi o to, że potrafisz robić rzeczy, których większość górotworów nie umie. Prawda?

– Prawda. – Zdmuchujesz z pieczonego ziemniaka zabłąkany płatek popiołu.

– Podobno wiesz, jak zakończyć tę Piątą Porę Roku – stwierdza Danel, opierając dłonie na kolanach i pochylając się bliżej. – Że zamierzasz wkrótce opuścić wspólnotę i naprawdę spróbujesz to zrobić. I że będziesz wtedy potrzebowała ludzi do pomocy.

Co? Marszczysz się, patrząc na swojego ziemniaka.

– Zgłaszasz się na ochotnika?

– Może.

Spoglądasz na nią.

– Dopiero cię przyjęli do Mocarnych.

Danel obserwuje cię z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Nie wiesz, że się waha, próbując zdecydować, czy powinna wyjawić ci coś na swój temat czy nie, aż w końcu wzdycha i rzeczywiście to robi.

– Tak naprawdę należę do kasty Mędrców. Byłam kiedyś Danel Mędrzyni Rennanis. Danel Mocarna Castrima nigdy nie będzie brzmiało właściwie.

Musisz wyglądać na nieprzekonaną, kiedy próbujesz ją sobie wyobrazić z czarnymi ustami. Danel wywraca oczami i odwraca wzrok.

– Naczelnik stwierdził, że Rennanis nie potrzebuje mędrców. Potrzebowało żołnierzy. A ponieważ, jak wiadomo, mędrzy potrafią walczyć, to...

– Co takiego?

Danel wzdycha.

– To znaczy: mędrzy z Równikiady. Ci z nas, którzy dorastali w rodzinach mędrców, szkolili się w walce wręcz, w sztuce prowadzenia wojny i tak dalej. Dzięki temu byliśmy bardziej przydatni podczas Piątych Pór Roku i mogliśmy lepiej bronić wiedzy.

Nie miałaś o tym pojęcia.

– „Bronić wiedzy”?

Danel zaciska zęby.

– Żołnierze mogą pomóc wspólnocie utrzymać się podczas Piątej Pory Roku, ale to gawędziarze pozwolili Sanze przetrwać ich aż siedem.

– Ach. Racja.

Kobieta wyraźnie się powstrzymuje, aby nie pokręcić głową na tę midlatorską zaściankowość.

– W każdym razie lepiej być generałem niż mięsem armatnim, a tylko taki miałam wybór. Próbowалам jednak nie zapomnieć, kim naprawdę jestem... – Nagle wydaje się przygnębiona. – Wiesz, że nie pamiętam już dokładnie słów Trzeciej Tablicy? Ani *Opowieści o Cesarzowej Mutshatee*? Wystarczyły dwa lata bez tych historii, a już zaczynam je tracić. Nigdy nie sądziłam, że wydarzy się to tak szybko.

Nie wiesz, co na to odpowiedzieć. Danel ma tak ponurą minę, że prawie chcesz ją pocieszyć, rzucić: „Och, nie martw się, teraz, kiedy nie musisz już zaprzętać sobie głowy wyrzynaniem całych Somidlatów, wszystko będzie dobrze” – albo coś w tym stylu. Nie wydaje ci się jednak, że mogłabyś powiedzieć coś takiego bez obłudy.

Patrzy na ciebie ostrym wzrokiem, a jej szczęki znowu się zaciskają.

– Potrafię natomiast poznać, kiedy pisane są nowe historie.

– Ja... nie wiem, o czym mówisz.

Danel wzrusza ramionami.

– Bohater historii nigdy tego nie wie.

Bohater? Wybuchasz krótkim śmiechem, w którym pobrzmiwa coś jeszcze. Przypominają ci się Allia, Tirimo, Meov, Rennanis i Castrima. Bohaterowie nie wzywają rojów koszmarnych robaków, aby te pożarły ich wrogów. Bohaterowie nie są potworami dla swych córek.

– Nie zapomnę, kim jestem – kontynuuje Danel. Oparła rękę na kolanie i wymownie pochyła się do przodu. W ciągu ostatnich kilku dni zdobyła gdzieś nóż i ogoliła sobie skronie. Nowa fryzura sprawia, że kobieta wygląda na szczuplejszą i drapieżną. – Jeśli jestem jedyną ocalałą mędrzynią z Równikiady, moim obowiązkiem jest udać się z tobą. Aby opisać to, co się wydarzy, a jeśli przeżyję, upewnić się, że świat o tym usłyszy.

To jakiś absurd. Przyglądasz się jej.

– Przecież ty nawet nie wiesz, dokąd się wybieramy.

– Uznałam, że najpierw powinnyśmy ustalić, czy w ogóle z wami wyruszę, ale jeśli chcesz, możemy od razu przejść do szczegółów.

– Nie ufam ci – mówisz. Jesteś rozdrażniona.

– Ja tobie też nie. Ale żeby współpracować, nie musimy darzyć się zaufaniem. – Jej talerz jest pusty. Danel podnosi go i macha nim do jednego z członków ekipy sprzątajacej, żeby przyszedł go zabrać. – Poza tym nie mam powodu, żeby cię zabijać. Tym razem.

Tym gorzej, że to powiedziała – że pamięta, jak nasłała na ciebie półnagięgo Stróża. Nie zamierza za to przeproszać. Tak, to była wojna, i tak, wyrznęłaś jej armię, ale...

– Ludzie tacy jak ty nie potrzebują powodów!

– Nie masz pojęcia, kim albo czym są „ludzie tacy jak ja”. – Nie jest wściekła, to po prostu stwierdzenie faktu. – Ale jeśli potrzebujesz więcej argumentów, oto kolejny: Rennanis to gówno. Jasne, jest tam żywność, woda i schronienie, wasza naczelniczka ma rację, że was tam prowadzi, jeśli rzeczywiście miasto jest teraz puste. To lepsze niż życie bezwspółnotowych albo osiedlanie się gdzieś od nowa, bez magazynów. Ale tak czy inaczej, to jest gówno. Wolałabym pozostać w ruchu.

– Pieprzenie. – Krzywisz się. – Żadna wspólnota nie jest taka zła.

Danel wydaje z siebie krótkie, gorzkie prychnięcie. Słyszając to, czujesz się nieswojo.

– Po prostu się zastanów – oświadcza i wstaje.

– Uważam, że Danel powinna z nami pójść – mówi Lerna tego samego wieczoru, kiedy relacjonujesz mu całą rozmowę. – Jest dobrą wojowniczką. Zna drogę. I rzeczywiście: nie ma powodu, aby nas zdradzać.

Przez seks jesteś ledwo żywa. Teraz, kiedy to w końcu się stało, wasza relacja przestała być tak ekscytująca. To, co czujesz do Lery, nigdy nie będzie intensywne ani pozbawione poczucia winy. Zawsze czułaś się dla niego za stara. Ale cóż. Poprosił cię, żebyś pokazała mu swoją okaleczoną pierś, a ty spełniłaś jego życzenie, sądząc, że to ostatecznie zgasi w nim zainteresowanie twoją osobą. Piaskowa blizna jest szorstka

w porównaniu z gładką skórą dookoła – jak strup, ale w innym kolorze i o innej fakturze. Kiedy Lerna badał to miejsce, wyrażając na głos opinię, że nie trzeba go już bandażować, jego ręce wydawały się bardzo delikatne. Powiedziałaś mu, że cię to nie boli. Nie powiedziałaś, że się boisz, że nigdy już nic nie poczujesz. Że się zmieniasz, twardniejesz – nie tylko w tym miejscu – stajesz się już wyłącznie bronią, którą wszyscy próbują z ciebie zrobić. Nie dodajesz też: „Może lepiej byłoby ci bez nieodwzajemnionej miłości”.

Ale choć nie powiedziałaś nic takiego, po zbadaniu cię Lerna spojrzał ci w oczy i oświadczył:

– Nadal jesteś piękna.

Najwyraźniej potrzebowałaś usłyszeć coś takiego znacznie bardziej, niż sądziłaś. No i masz.

Przetwarzałaś więc powoli jego słowa, ponieważ sprawił, że poczułaś się swobodnie i miękko, poczułaś się znowu człowiekiem, i dopiero po jakichś dziesięciu sekundach wypaliłaś:

– Czy my...?

On patrzył tylko na ciebie.

– Cholera – powiedziałaś i nakryłaś oczy przedramieniem.

Następnego dnia Castrima wchodzi na pustynię.

Nadchodzą dla ciebie trudne czasy.

Wszystkie Sezony przynoszą znoj – „Śmierć jest piąta, wszystko spina” – ale tym razem wygląda to inaczej. Tym razem to sprawa osobista. To tysiąc ludzi próbujących pokonać pustynię, która jest śmiertelnie niebezpieczna nawet bez tych cholernych kwaśnych deszczy. To zbiorowy marsz wysoką drogą, tak podziurawioną, że przez powstałe otwory mógłby przelecieć dom. Wysokie drogi zostały zbudowane w taki sposób, aby mogły przetrwać wstrząsy, ale jest jakaś granica i Pęknięcie z całą pewnością ją przekroczyło. Ykka postanowiła podjąć ryzyko, ponieważ nawet zniszczoną drogą podróżować jest łatwiej niż w piasku pustyni, ale ta decyzja ma swoją cenę. Wszystkie górotwory ze wspólnoty muszą bez przerwy być czujne, bo teraz, kiedy jesteście w górze, każde poruszenie silniejsze od mikrowstrząsu może doprowadzić do katastrofy. Któregoś dnia Penty, zbyt wyczerpana, by zwracać uwagę na własne instynkty, wchodzi na fragment popękanego asfaltu, który jest całkowicie niestabilny. Jeden z dzieciaków odciąga ją w chwili, kiedy wielki płat drogi zwyczajnie się odrywa i spada. Inni mają mniej szczęścia.

Kwaśny deszcz spadł nieoczekiwanie. Skałowiedza nie mówi nic o tym, w jaki sposób Sezony wpływają na pogodę, ponieważ nie da się tego przewidzieć. To, co się dzieje, nie jest jednak całkowicie zaskakujące. Na północy, przy równiku, Pęknięcie pompuje w powietrze mnóstwo żaru i cząsteczek materii. Wilgotne tropikalne wiatry znad morza uderzają w tę gęstą, kipiącą energią ścianę, tworząc burze. Pamiętasz, jak martwiłaś się śniegiem. Tymczasem tym, z czym przyszło wam walczyć, jest nieustający, uporczywy deszcz.

(Nie jest tak kwaśny, jak mógłby być. Podczas Sezonu Wywróconej Ziemi – na

długo przed Sanze, na pewno o nim nie słyszałaś – padał deszcz, który przepalał futra zwierząt i trawił skórę pomarańczy. W porównaniu z tamtymi opadami te obecne są niczym. Woda smakuje jak ocet winny. Przeżyjecie).

Ykka nadaje brutalne tempo. Pierwszego dnia rozbijacie obóz długo po zapadnięciu zmroku, a Lerna nie przychodzi do twojego namiotu. Zajmuje się kilkoma osobami, które poślizgnęły się i zwicznęły sobie kostki, a także ciężarną kobietą i dwoma starcami, którzy mają trudności z oddychaniem. Ta ostatnia trójka czuje się dobrze, opowiada ci, kiedy w końcu przed świtem wpełza do twojego śpiwora. Ontrag czerpie siłę ze swojej złości, a ciężarną opiekują się krewni oraz połowa Piastunów. Martwią go natomiast kontuzje.

– Muszę powiedzieć Ykce – stwierdza, kiedy wsuwasz mu do ust kromkę konserwowego chleba i kwaśną kiełbasę, a potem przykrywasz go i każesz się nie ruszać. Lerna automatycznie przeżuwa i przełyka jedzenie. – Nie możemy poruszać się w tym tempie. Zaczniemy tracić ludzi, jeśli nie...

– Ona wie – odpowiadasz. Powiedziałaś to tak łagodnie, jak to tylko możliwe, ale Lerna i tak zamiera. Patrzy na ciebie, aż w końcu kładziesz się obok niego: niezręcznie, wsparta na jednej ręce. Ostatecznie zmęczenie wygrywa z niepokojem i Lerna zasypia.

Któregoś dnia idziesz z Ykką. Wyznacza tempo, jak na dobrą naczelniczkę przystało, wymagając od siebie tyle samo, ile od innych. Podczas jedyne go postoju w ciągu dnia zdejmujesz but i widzisz, że jej stopy pokryte są krwawiącymi odciskami. Spoglądasz na nią, marszcząc brwi, i to najwyraźniej wystarcza za komentarz, bo Ykka wzdycha.

– Nigdy jakoś nie było okazji, żeby zamówić sobie nowe buty – stwierdza. – Te są za duże. Zawsze sądziłam, że będę jeszcze miała na to czas.

– Jeśli zgniją ci stopy... – zaczynasz, ale ona tylko wywraca oczami i wskazuje na stertę zapasów zgromadzonych pośrodku obozu.

Spoglądasz w tym kierunku, nie wiedząc, o co jej chodzi, i chcesz dokończyć rozpoczęte zdanie, ale nagle milkniesz. Pomyśl. Spójrz na zapasy raz jeszcze. Jeśli na każdym wozie znajduje się jedna skrzynia solonego chleba konserwowego i jedna skrzynia kiełbasy, jeśli w tych beczkach są marynowane warzywa, a w tamtych fasola i zboże...

Za mało. Za mało dla tysiąca osób, które potrzebują jeszcze całych tygodni, żeby przejść przez Merz.

Zapominasz o butach. Ykce zdobywa gdzieś dodatkową parę skarpet. To pomaga.

Jesteś naprawdę zdziwiona, że radzisz sobie tak dobrze. Nie jesteś zdrowa, niezupełnie. Twoje miesiączki ustały, choć prawdopodobnie nie masz jeszcze menopauzy. Kiedy się rozbierasz, żeby umyć się w balii – co przy nieustannych opadach jest właściwie bez sensu, ale cóż, nawyk to nawyk – dostrzegasz, że wyraźnie wystają ci zębra. Tylko częściowo jest to wynik marszu – zapominasz też o jedzeniu. Pod koniec dnia zawsze czujesz się wykończona, ale jest to uczucie odległe, jakby oderwane od ciebie. Kiedy dotykasz LERNY – nie dla seksu, jesteś na to zbyt zmęczona, po prostu przytulanie zapewnia ciepło i oszczędza kalorie – odczuwasz coś miłego, ale równie dalekiego. Masz wrażenie, jakbyś unosiła się nad sobą, słuchając ziewnięć kogoś innego.

Jakby to wszystko przydarzało się nie tobie.

Pamiętasz, że to samo stało się z Alabastrem. Oddzielenie się od ciała, które przestaje być ciałem. Postanawiasz, że odtąd nie będziesz zapominać o jedzeniu.

Trzy tygodnie po wejściu na pustynię droga zgodnie z przewidywaniami zakręca na zachód. W tym miejscu Castrima musi zejść na ziemię i zmierzyć się z pustynnymi warunkami. W pewnym sensie poruszanie się jest tutaj łatwiejsze, bo wiadomo przynajmniej, że grunt nie usunie ci się spod stóp. Z drugiej strony po piasku idzie się trudniej niż po asfalcie. Wszyscy zwalniają. Maxixe zarabia na swoją dolę, wyciągając wilgoć z górnej warstwy piasku i popiołu i zamrażając ją pod stopami idących. Wykańcza go to, oszczędza więc siły na najtrudniejsze obszary. Próbuje nauczyć Temella tej samej sztuczki, ale Temell jest zwyczajnym dzikusiem, nie dysponuje wystarczającą precyzją. (Kiedyś mogłabyś to zrobić. Nie pozwalasz sobie myśleć w ten sposób).

Zwiadowcy wysyłani naprzód w celu znalezienia lepszej trasy wracają i mówią to samo: wszędzie jednakowe zardzewiałe błocko z piachu i popiołu. Nie ma lepszej trasy.

Trzy osoby zostały na wysokiej drodze, niezdolne do dalszego marszu z powodu zwichnięć lub złamań. Nie znasz ich. Teoretycznie mają szansę was dogonić, kiedy ich stan się poprawi, nie wyobrażasz sobie jednak, jak mieliby dojść do siebie bez żywności i schronienia. Tutaj, na ziemi, jest jeszcze gorzej: tylko pierwszego dnia wśród ciągnących wozy Mocarnych odnotowano sześć zwichnięć, jedno złamanie i jedno nadwerężenie pleców. Po jakimś czasie Lerna przestaje chodzić do chorych, chyba że sami proszą go o pomoc. Większość nie prosi. Lerna nic nie może poradzić i wszyscy o tym wiedzą.

Pewnego chłodnego dnia garncarka Ontrag po prostu siada na ziemi i oświadcza, że dalej nie idzie. Ykka kłóci się z nią, czego się po niej nie spodziewałaś. Ontrag przekazała już swoją wiedzę na temat rzemiosła dwóm młodszym członkom wspólnoty. Jest niepotrzebna, od dawna nie nadaje się też do rodzenia dzieci; zgodnie z zasadami Starego Sanze i doktrynami skałowiedzy decyzja naczelniczki powinna być prosta. Ostatecznie jednak to sama Ontrag musi powiedzieć Ykce, żeby się zamknęła i sobie poszła.

To ostrzeżenie.

– Dłużej nie dam już rady – mówi Ykka dużo później, kiedy straciliście już Ontrag z oczu. Prze naprzód, jak zawsze utrzymując równomierne tempo, ale głowę ma spuszczoną, a twarz przysłaniają jej strąki wilgotnych, oblepionych popiołem włosów. – Nie mogę. To nie w porządku. Nie powinno to tak wyglądać. Nie, to nie tak... na litość Ziemi, o byciu członkiem Castrimy decyduje przecież coś więcej niż tylko zardzewiała przydatność, ona uczyła mnie w szkole, ona zna opowieści, na rdzę, nie mogę.

Hjarka Przywódczyni Castrima, którą od dziecka uczono zabijać niewielu, aby liczni mogli przeżyć, dotyka jej ramienia i mówi:

– Zrobisz, co będziesz musiała.

Ykka nie odzywa się przez następne kilka kilometrów, ale może to dlatego, że nie ma tu już nic do powiedzenia.

Najpierw kończą się warzywa. Potem mięso. Chleb konserwowy Ykka próbuje rozdzielać tak długo, jak to możliwe, ale nie da się oszukać faktu, że ludzie nie mogą wędrować w tym tempie bez pożywienia. Musi dać każdemu przynajmniej po cienkim

opłatku dziennie. To za mało, ale lepsze niż nic – a potem jest już nic. Wy jednak idziecie dalej.

Nie mając nic innego, ludzie karmią się nadzieją. Któregoś wieczoru przy ognisku Danel opowiada, że po drugiej stronie pustyni znajduje się kolejny Cesarski Trakt, z którego będziecie mogli skorzystać. Stamtąd do Rennanis prowadzi już łatwa droga. To okolice dorzecza, gdzie ziemia jest bardzo żyzna – niegdyś było to główne źródło żywności dla Równikiady. Wokół każdej wspólnoty znajduje się mnóstwo opuszczonych teraz gospodarstw. Armia Danel nieźle się tam obłowiła, zmierzając na południe. Jeśli zdołacie przejść przez pustynię, będziecie mieli jedzenie.

Jeśli zdołacie przejść przez pustynię.

Wiesz, jak to się skończy, prawda? Jak mogłabyś być tutaj i słuchać tego wszystkiego, gdybyś nie wiedziała? Ale czasami najbardziej liczy się nie sam koniec, a to, co go poprzedza.

A koniec wygląda tak: spośród blisko tysiąca stu osób, które rozpoczęły wędrówkę przez pustynię, do Cesarskiego Traktu dociera niewiele ponad osiemset pięćdziesiąt.

W ciągu kolejnych kilku dni wspólnota się rozprasza. Zdesperowani ludzie, nie chcąc czekać na efekt polowań Myśliwych, odłączają się, aby kopać w kwaśnej ziemi w poszukiwaniu na wpół zgniłych bulw, gorzkich larw i ledwie zdatnych do pogryzienia korzeni. Otaczające was tereny są wybiedzone, bezdrzewne, w połowie pustynne i od dawna już wyludnione. By nie stracić zbyt wielu ludzi, Ykka zarządza rozbić obozu w starym gospodarstwie, w którym stoi kilka ocalałych stodół. Ściany nie przetrwały w całości, mimo to się trzymają. Ykce najbardziej zależy jednak na dachach, bo tu, na skraju pustyni, nadal pada deszcz – choć jest już lżejszy i czasami ustaje. Miło jest w końcu się wyspać, będąc suchą.

Ykka pozwala wam spędzić tam trzy dni. W tym czasie ludzie zaczynają wracać, pojedynczo lub dwójkami, a niektórzy przynoszą ze sobą jedzenie, żeby podzielić się z tymi, którzy nie mają siły sami go poszukać. Myśliwi, którzy postanowili wrócić, mają ze sobą ryby złowione w pobliskiej odnodze rzeki. Jeden z nich znajduje coś, co was ocala, coś, co w końcu przypomina wam życie po całej tej śmierci, którą macie za sobą: to należący do właściciela gospodarstwa zapas mąki kukurydzianej, zabezpieczonej w glinianych pojemnikach i ukrytej pod podłogą zniszczonego domu. Nie macie z czym jej wymieszać – nie dysponujecie mlekiem, jajami ani suszonym mięsem, jedynie kwaśną wodą – ale jak głosi skałowiedza, jedzeniem jest to, co cię odżywia. Tego wieczoru wspólnota ucztuje, jedząc pieczoną kukurydzianą papkę. Jeden z pojemników pękł i sporo w nim robaków, ale nikt się tym nie przejmuje. To dodatkowe białko.

Wiele osób nie wraca. Trwa Piąta Pora Roku. Wszystko się zmienia.

Pod koniec trzeciego dnia Ykka ogłasza, że wszyscy znajdujący się w obozie należą do Castrimy – ci, którzy nie wrócili, zostają bezwspólnotowymi. To łatwiejsze od spekulowania na temat tego, jak zginęli albo co ich zabiło. Ocalali członkowie wspólnoty zwijają obóz. Udajecie się na północ.

Czy to zbyt szybko? Być może tragedii nie powinno się streszczać w tak

bezpośredni sposób. Chciałem być litościwy, nie okrutny. Okrucieństwem jest to, że musiałaś wszystko to przeżyć... ale oddalenie i oderwanie leczą. Czasami.

Mogłem cię zabrać z pustyni. Nie musiałaś cierpieć tak jak inni. A jednak... członkowie wspólnoty stali się częścią twojego świata. To twoi przyjaciele. Twoi znajomi. Potrzebowałaś przeżyć to, co oni. Cierpienie jest twoim lekarstwem, przynajmniej na razie.

Choć uważasz, że nie jestem człowiekiem, a jedynie kamieniem, zrobiłem, co w mojej mocy, aby wam pomóc. Niektóre zahibernowane pod piaskiem pustyni zwierzęta potrafią polować na ludzi – wiedziałaś o tym? Kilka z nich się obudziło, kiedy przechodziliście, ale je powstrzymałem. Drewniana oś jednego z wozów zaczęła się rozpadać pod wpływem deszczu, ale nikt z was tego nie zauważył. Przemieniłem drewno – ukamieniłem je, jeśli wolisz myśleć w taki sposób – aby wytrzymało. To ja przesunąłem zjedzony przez mole dywan w opuszczonym domu, żeby wasz Myśliwy mógł znaleźć jedzenie. Ontrag, która nie powiedziała Ykce o narastającym bólu w jej piersi i w boku ani o swoim coraz płytszym oddechu, nie żyła długo po tym, jak wspólnota zostawiła ją na pustyni. Wróciłem do niej tej nocy, kiedy umarła, i uśmierzyłem jej ból. (Słyszałaś tę pieśń. Antymona śpiewała ją kiedyś Alabastrowi. Zaśpiewam ją tobie, jeśli...) Pod koniec nie była więc sama.

Czy cokolwiek z tego stanowi dla ciebie pocieszenie? Mam nadzieję, że tak. Powiedziałem ci: nadal jestem człowiekiem. Liczę się z twoim zdaniem.

Castrima przetrwała – to również ma znaczenie. Ty przetrwałaś. Przynajmniej na razie.

W końcu, jakiś czas później, docieracie do południowego krańca terytorium Rennanis.

Honor w czasach spokoju, przetrwanie w obliczu zagrożenia. Jedynym prawem jest konieczność.

Tablica trzecia, *Struktury*, werset czwarty

Wszystko to dzieje się w ziemi. To ja o tym wiem i dzielę się tym z tobą. To ona będzie cierpieć. Przykro mi.

Ściany perłowego pojazdu od wewnątrz pokryte są eleganckimi ornamentami wykonanymi najprawdopodobniej ze złota. Nassun nie wie, czy są wyłącznie ozdobą, czy pełnią może jeszcze jakąś inną funkcję. Twarde, gładkie krzesła o pastelowych kolorach i w kształcie muszli małżów, które Nassun jadła czasami w Odnalezionym Księżycu, mają niesamowicie miękkie obicia. Dziewczynka odkrywa, że są przytwierdzone do podłogi i nie można obracać się na nich ani odchyłać do tyłu. Nie potrafi stwierdzić, z jakiego materiału je wykonano.

W jeszcze większe zdumienie wprawia ją głos, który rozbrzmiewa chwilę po tym, jak zajmują miejsca – kobiecy, uprzejmy i chłodny, a w pewnym sensie również uspokajający. Słowa z kolei są... nie pochodzą z żadnego znanego Nassun języka. A jednak sposób akcentowania nie różni się od sanzeńskiego i coś w intonacji wydaje się Nassun znajome. Domyśla się, że część pierwszego zdania to powitanie. Wydaje jej się, że jedno słowo, powtarzane kilka razy we fragmencie brzmiącym jak rozkaz, może być zwrotem grzecznościowym w rodzaju „proszę”. Cała reszta pozostaje jednak zupełnie niezrozumiała.

Głos rozbrzmiewa krótko, a potem zapada cisza. Nassun spogląda na Schaffę i zaskoczona dostrzega, że opiekun marszczy czoło i mruży oczy w skupieniu, ma też zaciśnięte zęby i jest bledszy niż zwykle. Srebro krzywdzi go jeszcze bardziej i tym razem musi mu być naprawdę ciężko. Mimo to podnosi głowę i spogląda na nią z czymś w rodzaju zamyślenia.

– Znam ten język – mówi.

– Te dziwne słowa... Co one znaczą?

– Że to... – krzywi się. – To coś. Nazywa się wehimal. W ogłoszeniu poinformowano, że za dwie minuty odjedzie z tego miasta i dotrze do Rdzenia w ciągu sześciu godzin. Było też coś o innych pojazdach, innych trasach i podróżach powrotnych do różnych... węzłów? Nie pamiętam, co to znaczy. No i życzyła nam miłej podróży.

Uśmiecha się blado.

– Ach! – Zadowolona Nassun poprawia się na krześle. Sześć godzin na pokonanie drogi na drugą stronę planety? Może jednak nie powinno jej to dziwić, skoro ci ludzie zbudowali również obeliski.

Nie mają nic do roboty. Nassun ostrożnie zdejmuje swój ratujworek i wieszka go na oparciu. Spostrzega, że całą podłogę pokrywa coś w rodzaju porostów. Nie mogły pojawić się tutaj przypadkowo, układają się bowiem w ładne, regularne wzory. Wyciąga nogę i okazuje się, że są miękkie jak dywan.

Schaffa wydaje się bardziej niespokojny: krąży po wygodnym wnętrzu wehimala i co jakiś czas dotyka złotych ornamentów. Porusza się powoli i w skupieniu, ale w jego przypadku i tak jest to nietypowe zachowanie, dlatego Nassun również się niepokoi.

– Byłem tu – szepcze Schaffa.

– Co? – Słyszała go. Jest po prostu oszołomiona.

– W tym wehimalu. Może nawet na tym samym krześle. Byłem tutaj, czuję to. A ten język... nie pamiętam, bym kiedykolwiek go słyszał, a jednak. – Nagle odsłania zęby i zanurza palce we włosach. – Znajomość, ale nie, nie... kontekst! Brak znaczenia! Coś z tą wyprawą jest nie tak. Coś jest nie tak, ale nie pamiętam co!

Schaffa jest pokiereszowany, od kiedy Nassun go zna, ale tym razem po raz pierwszy wygląda na zniszczonego. Mówi szybciej, połyka głoski. Jest coś dziwnego w tym, jak przesuwa wzrokiem po wnętrzu wehimala, jakby widział w nim rzeczy, których tam nie ma.

Próbując ukryć swoje zaniepokojenie, Nassun poklepuje sąsiednie krzesło.

– Są tak wygodne, że można na nich spać.

To oczywista sugestia, a on odwraca się do niej i po chwili jego pochmurna twarz się wygładza.

– Ciągle tak się o mnie martwisz, maleńka.

Schaffa wreszcie siada, jest nieco spokojniejszy. Kiedy jednak to robi, Nassun sztywnieje nagle, bo znowu odzywa się kobiecy głos. Zadaje pytanie. Schaffa marszczy się i powoli tłumaczy:

– Ona... Myślę, że to głos wehimala. Zwraca się teraz konkretnie do nas. To nie jest zwyczajny komunikat.

Nassun poprawia się na krześle, czując się nagle mniej komfortowo niż do tej pory.

– To mówi. Czyli żyje?

– Nie jestem pewien, czy budowniczoie tego miejsca rozróżniali żyjące istoty od materii nieożywionej. Chociaż... – waha się przez chwilę, a potem, podniesionym głosem, wypowiada dziwne słowa. Pojazd reaguje, powtarzając coś, czego Nassun wcześniej nie słyszała. Nie jest pewna, gdzie poszczególne wyrazy zaczynają się i gdzie kończą, ale sylaby pozostają te same.

– Mówi, że zbliżamy się do... punktu tranzytowego. I pyta, czy chcielibyśmy tego... doświadczyć? – Kręci głową, zirytowany. – Zobaczyć coś. Znalezienie odpowiedników tych słów w naszym języku jest trudniejsze niż zrozumienie tego, co mówi.

Nassun dygocze z nerwów. Podciąga stopy na krzesło, odczuwając irracjonalny strach przed skaleczeniem wnętrzości tego czegoś. Nie jest pewna, o co chciałaby zapytać.

– Czy to będzie boleć?

Ma na myśli to, czy będzie boleć wehimal, ale nie może powstrzymać się też przed myślą: „Czy będzie boleć nas?”.

Głos odzywa się znowu, zanim Schaffa zdąży przetłumaczyć jej pytanie:

– Nie.

Nassun podskakuje zszokowana, a jej górotwórstwo reaguje w sposób, za który Essun by ją złażała.

– Czy powiedziałaś: nie? – pyta, rozglądając się po wnętrzu wehimala. Może to był przypadek.

– Nadwyżka zapasów biomagestrycznych umożliwia... – Głos przechodzi z powrotem na stary język, ale Nassun jest przekonana, że nie wyobraziła sobie tych dziwnie wymawianych sanzeńskich słów. – ...przetwarzam. – Głos brzmi uspokajająco, ale wydaje się dochodzić ze ścian, co niepokoi Nassun, bo nie wie, na co patrzeć. Nie ma tu żadnej twarzy, na której mogłaby się skupić, słuchając tego wszystkiego. W jaki sposób to coś mówi, skoro nie ma ust ani krtani? Nassun wyobraża sobie, jak rżęski na zewnątrz pojazdu pocierają się o siebie nawzajem niczym odnóża owadów, i dostaje gęsiej skórki.

Głos kontynuuje:

– Translacja – coś tam – prąd językowy.

Brzmi to jak sanzeński, ale Nassun i tak nie wie, co to znaczy. Reszta wypowiedzi również jest niezrozumiała.

Dziewczynka spogląda na Schaffę, który też wygląda na zaniepokojonego.

– Jak mam odpowiedzieć na to, o co pytała wcześniej? – szepcze do niego. – Jak mam powiedzieć, że chcę zobaczyć to, o czym wspomniała?

W odpowiedzi – choć Nassun nie zamierzała kierować tego pytania bezpośrednio do wehimala – na gładkiej ścianie przed nimi ciemniejszą okrągłą czarną punkty, jakby na powierzchni pojawił się nagle jakiś paskudny grzyb. Plamy rozrastają się szybko i łączą ze sobą, aż w końcu cała ściana pokryta jest czernią. Wygląda to tak, jakby Nassun i Schaffa patrzyli teraz przez okno na trzewia miasta, choć na zewnątrz wehimala widać tylko ciemność.

Następnie przy dolnej krawędzi okna pojawia się światło, a Nassun uzmysławia sobie, że to wcale nie okno – cały przód wehimala jakimś sposobem stał się po prostu przezroczysty. Prostokątne panele świetlne, podobne do tych, które ciągnęły się przy schodach prowadzących w głąb ziemi, rozciągają się przed nimi w ciemności, a Nassun dostrzega dzięki temu zakrzywiające się wokół nich ściany. To kolejny tunel, tym razem na tyle duży, żeby pomieścić wehimal, i wijący się wśród ciemnych, skalistych ścian, zadziwiająco nierównych, biorąc pod uwagę upodobanie twórców obelisków do idealnie gładkich powierzchni. Wehimal porusza się przez tunel ze stałą, choć nie zawrotną prędkością. Czy w ruch wprawiają go zewnętrzne rżęsy? A może coś innego, o czym Nassun nie ma pojęcia? Jest jednocześnie zafascynowana i trochę znudzona, jeśli to w ogóle możliwe. Wydaje się nieprawdopodobne, by coś, co porusza się tak wolno, mogło zawieźć ich na drugi koniec świata w zaledwie sześć godzin. Jeśli wszystkie te godziny będą wyglądać właśnie w ten sposób – jednostajna jazda przez ciemny, skalisty tunel w towarzystwie niespokojnego Schaffy i głosu pozbawionego ciała – podróż na pewno wyda się znacznie dłuższa.

A potem tunel staje się prosty, a Nassun widzi przed sobą otwór.

Choć nie jest duży sprawia wrażenie niesamowicie potężnego. Znajduje się w środku sklepionej groty, otoczony przez kolejne panele świetlne umieszczone w ziemi. Kiedy wehimal zbliża się do tego miejsca, światła zmieniają się z białych na jasnoczerwone, co Nassun odczytuje jako jeszcze jeden sygnał alarmowy. W dziurze widać ziejącą czerń. Nassun instynktownie próbuje wysejszyć jej rozmiary, ale nie potrafi. Przekątną dziury owszem – to zaledwie jakieś sześć metrów. Idealny okrąg. Za to głębokość... marszczy brwi i prostuje się na krześle, usiłując się skupić. Szafir łaskocze

ją w głowie, zachęcając, by wykorzystała jego moc, ale Nassun mu się opiera – w tym miejscu zbyt wiele rzeczy reaguje na srebro, na magię, w sposób, którego ona nie rozumie. A poza tym jest górotworem i wysejszenie głębokości dziury powinno być proste... tyle że rozciąga się ona daleko poza zasięg jej zmysłów.

Szyny wehimala biegną prosto w stronę otworu, ponad jego krawędź.

Czyli tak, jak powinny, prawda? Dzięki temu dotrą do Rdzenia. Mimo to Nassun nie potrafi opanować niepokoju, który narasta i przeradza się w panikę.

– Schaffa!

On natychmiast bierze ją za rękę. Nassun ściska jego dłoń bez strachu, że wyrządzi mu krzywdę. Jego siła, której używał tylko po to, aby ją chronić, i nigdy przeciwko niej, teraz desperacko potrzebuje wsparcia.

– Robiłem to już kiedyś – mówi Schaffa, a w jego głosie słychać niepewność. – I przeżyłem.

„Ale nie pamiętasz jak”, myśli Nassun, czując dziwny strach, którego nie potrafi nawet nazwać.

(Nazwa tego wrażenia to „przecucie”).

Docierają do krawędzi, a wehimal pędzi naprzód. Nassun zamiera i ściska podłokietnik, ale co dziwne, nie czuje zawrotów głowy. Wehimal nie przyspiesza – tak naprawdę na moment jakby się zatrzymuje, a na skraju swojego pola widzenia Nassun dostrzega kilka rzęs, które w jakiś sposób zmieniają kierunek jazdy z naprzód na w dół. Zmianie tej towarzyszy jeszcze inna, dzięki której Nassun i Schaffa nie spadają ze swoich krzeseł do przodu; dziewczynka uświadamia sobie, że jej plecy i tyłek przyciśnięte są do oparcia tak samo jak wcześniej, choć to przecież niemożliwe.

Cichy szum wehimala, który do tej pory można było wychwytywać tylko podświadomie, nagle zaczyna narastać. Niewidoczne mechanizmy pracują coraz szybciej. Kiedy wehimal wykonuje zwrot, za przezroczystą ścianą znowu pojawia się ciemność, ale tym razem Nassun wie, że to po prostu mroczne wnętrza jamy. Przed nimi nie ma już nic. Tylko pustka.

– Uruchamiam – oświadcza głos.

Kiedy nagle plecy Nassun wbijają się w oparcie, dziewczynka nabiera powietrza w płuca i jeszcze mocniej ściska dłoń Schaffy. Uczucie nie jest jednak tak silne, jak jej się wydaje, że być powinno, bowiem wszystkie zmysły podpowiadają jej, że wystrzelili właśnie do przodu z niewyobrażalną prędkością i poruszają się teraz znacznie szybciej od cwałującego konia.

W ciemność.

Na początku jest to ciemność zupełna, choć co jakiś czas miga w niej pierścien światła. Pędzą coraz szybciej i pierścienie mijają ich już tak szybko, że stają się tylko błyskami. Dopiero po trzecim Nassun udaje się stwierdzić, co właściwie widzi i sejszy: okna. W ścianach tunelu są podświetlone okna. Tu, na dole, znajdują się tereny mieszkalne – przynajmniej na pierwszych kilku kilometrach. Później pierścienie przestają się pojawiać i przez jakiś czas jest już tylko ciemność.

Nassun sejszy nadciągającą zmianę tuż przed tym, jak tunel nagle się rozjaśnia. Widzą nowe, czerwone światło, które prześwieca przez kamienne ściany tunelu. Ach,

a więc dotarli już tak nisko – do miejsca, gdzie część skał ulega roztopieniu. Nowe światło nadaje wnętrzu wehimala krwawą barwę i sprawia, że złote zdobienia na ścianach wydają się płonąć. Widok jest niewyraźny, to tylko czerwień pośród szarości, brązów i czerni, ale Nassun instynktownie rozumie, gdzie się znajdują – oto dotarli do płaszcza ziemi. Jej strach w końcu zaczyna ustępować miejsca fascynacji.

– Astenosfera – szepcze.

Schaffa spogląda na nią, marszcząc czoło, ale nazwanie tego, co widzi, zdołało stłumić jej obawy. Nazwy mają moc. Nassun przygryza wargę, a potem w końcu puszcza dłoń Schaffy, aby wstać i podejść do przedniej ściany. Z bliska łatwiej jest stwierdzić, że to, na co patrzy, to pewnego rodzaju iluzja – na skórze wehimala unoszą się maleńkie kolorowe diamenty, tworząc mozaikę poruszających się obrazów. Jak to działa? Nassun nie potrafi sobie tego wyobrazić.

Zafascynowana wyciąga rękę. Skóra wehimala nie wydziela ciepła, choć Nassun wie, że są już na takiej głębokości, że ludzkie ciało powinno w jednej chwili spłonąć. Kiedy dotyka obrazu na przedniej ścianie, ten marszczy się wokół jej palca niczym kręgi na wodzie. Dziewczynka kładzie całą dłoń na czerwono-brązowej plamie i nie może powstrzymać uśmiechu. Zaledwie kilkadziesiąt centymetrów dalej, po drugiej stronie skóry wehimala, znajduje się płonąca ziemia. Właściwie niemal dotyka płonącej ziemi. Podnosi drugą rękę i przyciska policzek do gładkiej powierzchni. Tutaj, w tej dziwnej maszynie wymarłej cywilizacji, jest częścią ziemi, być może bardziej niż jakikolwiek inny górotwór w historii. To jest jej, to jest w niej, ona jest w tym.

Kiedy spogląda przez ramię na Schaffę, ten się uśmiecha pomimo bólu widocznego na jego twarzy. To nie jest jego typowy uśmiech.

– Co? – pyta Nassun.

– Rodziny Przywódców Yumenes wierzyły, że kiedyś światem rządziły górotwory – stwierdza. – Uważały, że ich obowiązkiem jest dbanie o to, abyście nie odzyskali dawnej potęgi. Twierdziły, że bylibyście potwornymi władcami świata, odpłacającymi normalnym ludziom tym samym, czego doświadczyliście z ich strony. Nie sądzę, żeby mieli w tym choć trochę racji... a jednak. – Wskazuje na nią, rozświetloną blaskiem płonącej ziemi. – Spójrz na siebie, maleńka. Jeśli jesteś potworem, za jakiego cię mieli... to jesteś też wspianiała.

Nassun tak bardzo go kocha.

To dlatego porzuca iluzję potęgi i wraca na miejsce obok niego. Znajdując się bliżej, widzi jednak, jak bardzo Schaffa cierpi.

– Boli cię głowa.

Jego uśmiech przygasa.

– Da się wytrzymać.

Zaniepokojona kładzie mu dłonie na ramionach. Dziesiątki nocy, podczas których uśmierzała jego ból, ułatwiają jej wysłanie mu srebra – ale tym razem, kiedy to robi, biały żar pomiędzy jego komórkami nie słabnie. Tak naprawdę płonie jeszcze jaśniej i tak gwałtownie, że Schaffa napina się i odsuwa, a potem znowu zaczyna chodzić po wnętrzu wehimala. Wciąż się uśmiecha, choć uśmiech bardziej przypomina grymas.

Dlaczego te linie stały się jaśniejsze? Nassun próbuje to zrozumieć i skupia się na

sobie. W jej srebrze nic się nie zmieniło – płynie w taki sam sposób jak zawsze. Zwraca swój srebrny wzrok na Schaffę – i dopiero wtedy dostrzega coś zdumiewającego.

Wehimal jest zrobiony ze srebra, a nie tylko z jego nici. Jest otoczony srebrem i nim przeniknięty. Nassun postrzega falowanie tego wszystkiego, koliste zmarszczki wokół niej i Schaffy; biegną od przedniej części pojazdu i zamykają się zaraz za nimi. Uzmysławia sobie nagle, że ta osłona magii odpycha ciepło i ciśnienie, a jednocześnie przekształca siły w wehimalu w taki sposób, że grawitacja może przyciągać przedmioty do podłogi, a nie do wnętrza ziemi. Ściany to tylko obudowa – coś w ich strukturze ułatwia srebru przepływanie, łączenie się i tworzenie splotów. Złote zdobienia pomagają stabilizować kipiel energii z przodu pojazdu – przynajmniej tak się Nassun wydaje, ponieważ nie rozumie do końca zasad współdziałania mechanizmów magii. To po prostu zbyt skomplikowane – jak przemieszczanie się wewnątrz obelisku, jak bycie porwaną przez wiatr. Nassun nie miała pojęcia, że srebro może być tak niesamowite.

Za niezwyklejmi ścianami wehimala jest jednak coś jeszcze. To coś znajduje się na zewnątrz.

Z początku Nassun nie jest pewna, co dokładnie postrzega. Kolejne światła? Nie. Żle na to patrzy.

To srebro, takie samo jak to, które płynie pomiędzy jej własnymi komórkami. Ale to pojedyncza nić – a jednak olbrzymia, wijąca się między masą rozgrzanych skał i bąblem wrzącej wody. Pojedyncza nić srebra... dłuższa niż tunel, który dotychczas pokonali. Nassun nie potrafi wyczuć żadnego z jej końców. Jest grubsza niż przekrój wehimala. A z drugiej strony pozostaje tak samo klarowna i jednolita jak każda z linii, które Nassun ma w sobie. Taka sama, tylko... ogromna.

I Nassun rozumie, nagle rozumie! Szeroko otwiera oczy i odsuwa się do tyłu, wpada na krzesło i prawie ląduje na podłodze. Schaffa wydaje z siebie niski, przepelnięty frustracją odgłos, i odwraca się, próbując zareagować jakoś na jej przerażenie, ale srebro w jego ciele jest tak jasne, że kiedy nagle wybucha, mężczyzna zgina się wpół, jęcząc i ściskając głowę w dłoniach. Odczuwa ból tak ogromny, że nie jest w stanie wypełniać swoich obowiązków jako Stróż i opiekować się Nassun. Srebro w jego ciele stało się tak jaskrawe jak ta olbrzymia nić na zewnątrz.

Stal nazywał srebro magią. To coś, co istnieje pod górotwórstwem i co zostało stworzone przez rzeczy, które żyją lub kiedyś żyły. To srebro głęboko wewnątrz Ojca Ziemi, które wije się pomiędzy wielkimi jak góry kawałkami jego samego, jest dokładnie takie samo jak nici biegnące pomiędzy komórkami żyjących, oddychających istot; Nassun wie to teraz z całą pewnością. Wszystkie historie o tym, że Ojciec Ziemia żyje, są prawdą.

Ale skoro płaszcz jest ciałem Ojca Ziemi, to dlaczego jego srebro staje się jaśniejsze?

Nie. Och, na rdzę, nie!

– Schaffa – szepcze Nassun.

Stróż wydaje z siebie jęk. Przyklęknął na jedno kolano i płytko oddycha, trzymając się za głowę. Chciałaby ukoić jego ból, ale stoi w miejscu, gwałtownie chwytając powietrze, bo nagle wie już, co się stanie. Chce jednak temu zaprzeczyć.

– Schaffa, p-proszę, to coś w twojej głowie, ten kawałek żelaza, który nazywałeś

śródkamieniem, Schaffa... – Głos jej drży. Nie może zaczerpnąć tchu, strach niemal całkowicie zacisnął jej gardło. Nie rozumiała tego, ale teraz rozumie, i nie ma pojęcia, jak temu zapobiec. – Schaffa, ten śródkamień w twojej głowie... skąd on pochodzi?

Głos wehimala ponownie przemawia w nieznanym języku, a potem kontynuuje po sanzeńsku. W jego bezosobowości jest coś nieprzyzwoitego.

– ... atrakcje, dostępne tylko... – coś tam. – ...drogi. Ten wehimal... – coś tam – serca, rozświetlone... – coś tam – dla państwa przyjemności.

Schaffa nie odpowiada, Nassun potrafi jednak wysejszyć odpowiedź na swoje pytanie. Potrafi ją wyczuć, jakby to marne, cienkie srebro, które przez nią przepływa, rezonowało – ale jest to słaby rezonans, wytworzony przez jej własne ciało. Srebro w Schaffie i w innych Stróżach wytwarzane jest przez śródkamienie umieszczone w ich sejsodach. Badala czasami ten kamień, gdy Schaffa spał, i karmiła go własną magią. To żelazo, ale inne niż wszystkie rodzaje żelaza, które w życiu sejszyła. Dziwnie gęste. Dziwnie energetyczne, choć część jego energii pochodzi z magii dopływającej do niego z... skądś. Dziwnie żywe.

A kiedy cała prawa strona wehimala staje się przezroczysta, umożliwiając pasażerom spojrzenie na niezwykle, obnażone serce świata, Nassun musi mrużyć oczy, bowiem serce to jarzy się niczym podziemne słońce. Jest tak ciężkie, że bolą od tego sejsody, i tak magicznie potężne, że jej połączenie z szafirem wydaje się słabe i drżące. To rdzeń Ziemi, źródło wszystkich śródkamieni, które rośnie z każdą chwilą, kiedy się do niego zbliżają.

Mimo paniki Nassun dochodzi do wniosku, że wcale nie wygląda to jak skała. Może to tylko kłębowisko płynnego metalu i magii wokół wehimala? Nie jest pewna – bezkres wydaje się drzeć, kiedy próbuje skupić na nim wzrok. Są w tym wszystkim również drobinki ciał stałych; kiedy się do nich zbliżają, Nassun dostrzega na powierzchni jasnej kuli anomalie i uzmysławia sobie, że to obeliski. Kilkadziesiąt. Są wbite w serce świata jak igły w poduszczykę. Są jednak niczym. Niczym.

I Nassun jest niczym. Niczym w obliczu tego, co właśnie widzi.

„Zabieranie go tam to błąd”, powiedział Stal, mając na myśli Schaffę.

Panika puszcza. Schaffa upada na podłogę, a Nassun rzuca się ku niemu. Stróż nie krzyczy, ale ma otwarte usta i wytrzeszczone oczy, a jego kończyny są sztywne. Nassun obraca go na plecy, a wtedy on, Schaffa, uderza ją w mostek. Ogarnia ją potworny ból, ale ledwie zwraca na to uwagę i znowu pochyla się nad swoim opiekunem. Obiema dłońmi chwyta go za ramię, bo Schaffa sięga właśnie w stronę własnej potylicy. Zakrzywia palce i drapie się po głowie i twarzy...

– Schaffa, nie!

On jednak jej nie słyszy.

Wtedy w wehimalu zapada ciemność.

Nadal się poruszają, ale wolniej. Wjechali już w półstałą materię rdzenia, po której wehimal gładko się ślizga – ponieważ oczywiście ludzie, którzy stworzyli obeliski, zaszaleli ze swoimi umiejętnościami i przebijali planetę dla rozrywki. Nassun czuje moc tego srebrnego słońca płonącego wokół nich. Nagle ściana za jej plecami ciemnieje. Coś napiera od zewnątrz na magiczną osłonę wehimala.

Powoli, z Schaffą wijącym się w agonii na swoich kolanach, Nassun odwraca się, aby spojrzeć na rdzeń Ziemi.

A tam, w sanktuarium swego serca, Zła Ziemia spogląda na nią.

Przemawiając, nie używa właściwie słów. Ty już to wiesz, ale Nassun dowiaduje się tego dopiero teraz. Sejszy znaczenia, słyszy wibracje i wyrzuca je z siebie przez skórę, czując, jak lzy napływają jej do oczu. To jak tonięcie w energii, wrazeniu i emocjach. To boli. Pamiętaj: Zła Ziemia chce ją zabić.

Ale pamiętaj też: Nassun tak samo mocno pragnie jego śmierci.

Za pomocą mikrowstrząsów, które kiedyś wywołają tsunami gdzieś na półkuli południowej, Ziemia mówi: „Witaj, mały wrogu”.

(W przybliżeniu, jak się zapewne domyślasz. To wszystko, co potrafi ogarnąć jej młody umysł).

A kiedy Schaffa dławi się i rzuca w konwulsjach, Nassun ściska jego wstrząsane bólem ciało i spogląda przez ścianę na rdzawą ciemność. Nie boi się już – wściekłość ją uspokoiła. Naprawdę jest córką swojej matki.

– Puść go – syczy. – Puść go natychmiast!

Rdzeń świata to metal, płynny, choć zbity w twardą masę. Widać w nim pewną plastyczność. Nassun patrzy na powierzchnię czerwonego mroku, a ta zaczyna się marszczyć i zmieniać. Pojawia się na niej coś, czego z początku nie potrafi pojąć. To jakiś zarys, znajomy... Twarz! Zaledwie sugestia twarzy – oczy, usta, cień nosa – ale przez chwilę te oczy stają się bardzo wyraźne, usta podobnie, a pod okiem pojawia się znamię. Pod okiem, które się otwiera.

To nikt znajomy – po prostu twarz... w miejscu, gdzie nie powinno jej być. Kiedy Nassun się w nią wpatruje, a przerażenie powoli wypiera jej złość, dostrzega inną twarz – a potem jeszcze jedną i kolejne, pojawiające się nagle w jej polu widzenia. Każda z nich się rozmywa, kiedy pod spodem pojawia się następna. Są ich dziesiątki. Setki. Ta tutaj, z obfitym podbródkiem, wygląda na zmęczoną, tamta jest opuchnięta od płaczu, jeszcze inna otwiera usta w niemym wrzasku, jak Schaffa. Niektóre spoglądają na nią błagalnie, wypowiadając słowa, których nie zrozumiałyby, nawet gdyby je usłyszała.

Wszystkie one blakną jednak w obliczu potężniejszej obecności. „On jest mój”. To nie głos. Kiedy Ziemia przemawia, nie robi tego za pomocą ust.

Nassun zaciska szczęki, sięga do srebra Schaffy i przecina tyle nici prowadzących do śródkamienia, ile tylko może. Nie działa to tak, jak zazwyczaj, kiedy używa srebra do przeprowadzenia jakiegoś zabiegu. Srebrne linie w ciele Schaffy przegrupowują się niemal natychmiast i pulsują przy tym jeszcze mocniej. Schaffa drży z każdym ich poruszeniem. Nassun go krzywdzi. Tylko pogarsza sytuację.

Nie ma innego wyjścia. Owija własne nici wokół jego śródkamienia, aby przeprowadzić operację, na którą jeszcze kilka miesięcy wcześniej by jej nie pozwolił. Jeśli w ten sposób Nassun skróci mu życie, to przynajmniej przez jego resztę nie będzie musiał cierpieć.

Kolejna fala energii sprawia jednak, że cały wehimal dygocze, a przez Schaffę przepływają płomienie srebra, odpychając wątle nici Nassun. Zabieg się nie udaje. Jak na prawdziwego pasożyta przystało, śródkamień w płatach sejsodów Schaffy jest silny

i zadomowiony.

Nassun potrząsa głową i rozgląda się za czymś, za czymkolwiek, co mogłoby pomóc. Jej uwagę natychmiast rozprasza wrzenie i zmiana twarzy na powierzchni rdzawego mroku. Kim są ci ludzie? Dlaczego tkwią tutaj, w rozpalonym sercu Ziemi?

„Zobowiązanie – odpowiada Ziemia falami gorąca i miazdzącego ciśnienia. Nassun odsłania zęby, walcząc z ciężarem odbieranej pogardy. – Co zostało skradzione lub pożyczone, musi zostać oddane”.

Tutaj, w objęciach Ziemi i ze znaczeniami pulsującymi jej w kościach, Nassun rozumie również to. Srebro – magia – bierze się z życia. Ci, którzy stworzyli obeliski, chcieli okiełznać magię i udało im się to zrobić. Och, jak doskonale im się to udało! Budowali rzeczy niewyobrażalne. Ale w końcu zapragnęli więcej magii niż ta, którą mogły dostarczyć im ich własne ciała oraz zgromadzone na powierzchni Ziemi eony życia i śmierci. A kiedy zobaczyli, ile magii kipi tuż pod jej powierzchnią...

Być może nigdy nie przyszło im do głowy, że taki ogrom magii, taki ogrom życia, oznacza prawdopodobnie... świadomość. Ziemia nie komunikuje się przecież słowami – Nassun dochodzi więc do wniosku, że zobaczywszy tak wiele świata i utraciwszy w związku z tym swoją dziecięcą niewinność, budowniczości wspaniałej sieci obelisków przestali szanować inne formy życia. Nie różnili się zbyt od zwykłych bandytów, ludzi prowadzących Fulcrum czy jej ojca. Tam, gdzie powinni widzieć żyjącą istotę, widzieli tylko kolejną rzecz, którą można wykorzystać. Zamiast pytać albo zostawiać w spokoju, gwałcili.

Za niektóre zbrodnie nie ma właściwej kary – jedynie pokuta. Dlatego w odwecie za każdą odrobinę życia wyrwaną spod jego skóry Ojciec Ziemia wciągał do swojego serca miliony ludzkich szczątków. Ciała gniją w glebie, a ta leży na płytach tektonicznych, które zanurzone są w ogniu pod skorupą ziemi, a ten z kolei dotyka samego płaszcza... i tam właśnie, wewnątrz siebie, Ziemia pożera wszystko, czym były owe ciała. To jedyne sprawiedliwe rozwiązanie. Rozumuje chłodno, ze złością, która wciąż go rozsadza, wywołując kolejne Piąte Pory Roku. To jedyne rozwiązanie. To nie Ojciec Ziemia zaczął ten cykl nienawiści, to nie on ukradł Księżyc, nie on rozorał czyjąś skórę, by wrywać kawałki żywego mięsa, chełpić się nimi jak trofeami i używać jako narzędzi, ani nie planował zniewolenia ludzi w niekończącym się koszmarze. Nie on zaczął tę wojnę, ale, na rdzę... odbierze, co mu się należy.

Ach, czy Nassun tego nie rozumie? Jej dłonie zaciskają się na koszuli Schaffy i drżą pod wpływem wściekłości. Czy nie potrafi współczuć Ojcu Ziemi?

Przecież świat odebrał jej tak wiele. Miała kiedyś brata. Miała ojca i matkę, którą teraz rozumie, choć wołałaby nie rozumieć. Miała dom, marzenia. Ludzie z Bezruchu dawno już ograbili ją z dzieciństwa i jakiegokolwiek nadziei na prawdziwą przyszłość i właśnie dlatego jest tak wściekła, że nie potrafi myśleć o niczym innym, jak tylko: **TO SIĘ MUSI ZAKOŃCZYĆ** oraz **JA TO ZAKOŃCZĘ** –

– a więc czy nie rozumie wściekłości Złej Ziemi?

Rozumie.

Niech ją Ziemia pożre – rozumie.

Schaffa znieruchomiał na jej kolanach. Pod jedną nogą Nassun czuje wilgoć; musiał

się zmoczyć. Ma otwarte oczy i płytki oddech. Jego napięte mięśnie wciąż drżą co jakiś czas. Prędzej czy później tortury złamią każdego. Umysł wytrzymuje to, czego nie da się wytrzymać, odchodząc gdzieś indziej. Nassun ma dziesięć lat, ale widziała już dość świata, by to wiedzieć. Jej Schaffa odszedł. I może nigdy, nigdy już nie wrócić.

Wehimal przyspiesza.

Kiedy wyłaniają się z jądra, widok znowu zaczyna się rozjaśniać. Wewnętrzne oświetlenie jarzy się przyjemnym blaskiem. Nassun powoli zagłębia palce w ubraniu Schaffy. Obserwuje wrzącą masę jądra Ziemi, aż boczna ściana wehimala z powrotem staje się nieprzejrzysta. Widok przez przednią ścianę pojazdu utrzymuje się chwilę dłużej, ale wkrótce i on zaczyna się zaciemniać. Wjechali w kolejny tunel, jeszcze szerszy od poprzedniego; solidne czarne ściany w jakiś sposób zatrzymują temperaturę zewnętrznego jądra i płaszcza. Nassun wyczuwa, że wehimal kieruje się teraz do góry. Zmierza w stronę powierzchni, ale po drugiej stronie planety.

Ponieważ Schaffy już nie ma, Nassun szepcze sama do siebie:

– To się musi zakończyć. Ja to zakończę. – Zaciska powieki, a mokre rzęsy skleją się ze sobą. – Obiecuję.

Nie wie, komu składa tę obietnicę. Ale tak naprawdę nie ma to znaczenia.

Niedługo później wehimal dociera do Rdzenia.

Syl Anagist: jeden

Zabierają Kelenli o świcie.

To zaskoczenie, przynajmniej dla nas. Dość szybko uświadamiamy sobie, że wcale nie chodzi tu o nas. Najpierw pojawia się Gallat, choć w oknach dużego domu dostrzegam też kilku innych wysoko postawionych konduktorów. Wzywając Kelenli na zewnątrz i przemawiając do niej po cichu, nie wygląda na niezadowolonego. Wszyscy wstajemy. Aż wibrujemy od pocucia winy, choć nie zrobiliśmy nic złego – po prostu spędziliśmy noc na podłodze, słuchając dziwnego odgłosu oddechów i okazjonalnych poruszeń pozostałych. Obserwuję Kelenli, obawiam się o nią i chcę ją ochronić, choć nie wiem właściwie, co jej grozi. Rozmawiając z Gallatem, wysoka i wyprostowana, wygląda jak jedna z nich. Sejszę jej napięcie niczym linię uskołu tuż przed katastrofą.

Stoją na zewnątrz niewielkiej altany w ogrodzie, jakieś pięć metrów od nas, ale słyszę, jak Gallat na chwilę podnosi głos.

– Jak długo zamierzasz ciągnąć te idiotyzmy? Spanie w szopie?

– Czy to jakiś problem? – pyta spokojnie Kelenli.

Gallat jest najwyższym postawionym konduktorem. Również najbardziej okrutnym. Nie sądzimy, że robi to celowo. Po prostu nie rozumie, że w stosunku do nas cokolwiek może być okrucieństwem. Jesteśmy stroicielami maszyn, trzeba dostosowywać nas do potrzeb projektu dla jego dobra. To, że proces ten wiąże się czasami z bólem, strachem albo wysłaniem na wrzosową grzędę, to... kwestia poboczna.

Zastanawialiśmy się, czy Gallat ma uczucia. Teraz widzę, że ma, bo cofa się z pokrzywdzoną miną, jakby słowa Kelenli w jakiś sposób go uderzyły.

– Byłem dla ciebie dobry – mówi. Głos mu drży.

– I jestem za to wdzięczna. – Kelenli nie zmieniła tonu głosu i wyrazu twarzy. Po raz pierwszy wygląda i brzmi jak jedna z nas. I jak to często bywa w naszym przypadku, prowadzą teraz rozmowę, która nie ma nic wspólnego z padającymi słowami. Sprawdzam, ale w ziemi czuć tylko gasnącą wibrację ich głosów. A jednak.

Gallat się w nią wpatruje. Złość na jego twarzy ustępuje miejsca zmęczeniu. Mężczyzna odwraca się i rzuca:

– Potrzebuję cię dziś w laboratorium. Znowu pojawiają się zmiany w podgrupie.

Twarz Kelenli wreszcie się porusza: brwi zbiegają się ku sobie.

– Powiedziano mi, że mam trzy dni.

– Geoaranżacja jest ważniejsza od twoich planów wypoczynkowych, Kelenli. – spogląda na niewielki dom, w którym się znajdujemy, i dostrzega, że na niego patrzę. Nie odwracam wzroku, głównie dlatego, że jestem zafascynowany jego udręką, a także dlatego że nie muszę. Przez moment wygląda na zawstydzonego, a potem wydaje się zirytowany. – Biomagestria pozwala na wykonywanie skanów na odległość, poza ośrodkiem, ale podobno wykrywają właśnie jakieś interesujące przepływy w sieci stroicieli. To, co z nimi robisz, najwyraźniej nie jest kompletną stratą czasu. Zabiorę ich więc tam, dokąd planowaliście dzisiaj pójść. Dzięki temu będziesz mogła wrócić do ośrodka.

Kelenli odwraca się i spogląda na nas. Na mnie. Na swojego myśliciela.

– To powinna być łatwa wyprawa – mówi do Gallata, patrząc na mnie. – Muszą zobaczyć komponent lokalnego silnika.

– Ametystu? – dziwi się konduktor. – Żyją w jego cieniu. Widzą go nieustannie. Jak miałyby to pomóc?

– Nie widzieli gniazda. Muszą w pełni zrozumieć proces jego rozwoju; bardziej gruntownie niż tylko w teorii. – Nagle odwraca się ode mnie i od niego, po czym rusza w stronę dużego domu. – Pokaż im to, a potem możesz zostawić ich w ośrodku i mieć ich z głowy.

Doskonale rozumiem, dlaczego Kelenli rozmawiała z nim takim obojętnym tonem i dlaczego nie pożegnała się przed odejściem. Robimy dokładnie to samo, kiedy musimy obserwować albo sejszyć, jak ktoś z naszej sieci zostaje ukarany: udajemy, że nas to nie obchodzi. („Tetlewha. Twoja pieśń pozbawiona jest dźwięków, ale jednak rozbrzmiewa. Skąd ją śpiewasz?”) Dzięki temu kara jest krótsza, a rozzłoszczeni konduktorzy nie wyzywają się również na innych. Rozumiemy to, ale to nie znaczy, że odejście Kelenli jest nam obojętne.

Konduktor Gallat jest potem w okropnym nastroju. Poleca nam zebrać swoje rzeczy. Nic nie mamy, ale przed wyruszeniem w drogę niektórzy z nas muszą się wypróżnić, a wszyscy jesteśmy głodni i spragnieni. Tym, którzy tego potrzebują, Gallat pozwala skorzystać z niewielkiej toalety Kelenli albo ze sterty liści na tyłach (należą do tych drugich; takie kucanie jest dziwnym, a jednocześnie głęboko ubogającym doświadczeniem), a następnie każe nam zignorować głód i pragnienie, więc tak też robimy. Prowadzi nas bardzo szybko, mimo że mamy krótsze nogi niż on i jesteśmy obolali po poprzednim dniu. Z ulgą dostrzegamy wezwany przez niego wehimał, w którym możemy usiąść i czekać, aż zawiezie nas do centrum miasta.

Jadą z nami również inni konduktorzy. Rozmawiają z Gallatem, a nas ignorują; Gallat odpowiada im lakonicznie. Pytają go głównie o Kelenli – czy zawsze jest tak uparta, czy wierzy, że to wynik nieprzewidzianego defektu geoinżynierskiego, i dlaczego właściwie pozwala jej wpływać na projekt, skoro, jak by nie patrzeć, jest tylko przestarzałym prototypem.

– Ponieważ w swoich sugestiach jak dotąd za każdym razem miała rację – odpowiada ze złością po trzecim takim pytaniu. – Właśnie dlatego rozwinęliśmy projekt stroicieli. Bez ich pomocy silnik plutonyczny potrzebowałby kolejnych siedemdziesięciu lat udoskonalania, zanim w ogóle moglibyśmy przystąpić do testów. Kiedy czujniki maszyny są w stanie dokładnie ci powiedzieć, co jest nie tak i w jaki sposób usprawnić jej działanie, głupotą byłoby z tego nie skorzystać.

Konduktorzy wydają się usatysfakcjonowani tą odpowiedzią, dlatego zostawiają go w spokoju i wracają do swoich rozmów. Siedzę niedaleko Gallata. Widzę, jak pogarda innych konduktorów tylko zwiększa jego napięcie i sprawia, że złość aż bije od niego niczym zgromadzone ciepło słoneczne od głazu na długo po zapadnięciu zmroku. Relacje konduktorów zawsze cechowała dziwna dynamika; próbowaliśmy to rozgryźć, ale nigdy nam się to nie udało. Teraz jednak, dzięki wyjaśnieniom Kelenli, pamiętam, że Gallat ma „niepożądane korzenie”. My zostaliśmy tacy stworzeni, ale on po prostu urodził się

z bladą skórą i lodowobiałymi oczyma, czyli cechami powszechnymi wśród Niessów. Nie jest Niessem – oni wyginęli. Istnieją inne sylanagistyjskie rasy o bladej karnacji. Oczy wskazują jednak, że gdzieś w historii jego rodziny – daleko, bo w przeciwnym razie nie pozwolono by mu na korzystanie ze szkół i opieki medycznej, a także objęcie obecnie piastowanego prestiżowego stanowiska – pojawił się Niess. A może wcale nie; jego cechy wyglądu zewnętrznego mogły być wynikiem przypadkowej mutacji albo wyjątkowej odmiany pigmentu. Najwyraźniej jednak nikt tak nie uważa.

To dlatego, choć Gallat jest dowódcą, pracuje ciężiej i spędza w ośrodku najwięcej godzin ze wszystkich, pozostali konduktorzy traktują go jak kogoś niższego rangą. Gdyby się tak nami nie wysługiwał, współczułbym mu. Ale tak naprawdę się go boję. Zawsze się go bałem. Dla dobra Kelenli postanawiam jednak być odważny.

– Dlaczego jesteś na nią zły? – pytam. Mówię to spokojnym głosem, który trudno usłyszeć w szumie cyklu metabolicznego wehimala. Kilku innych konduktorów słyszy mój komentarz. Żaden z nich nie zwraca na to uwagi. Dobrze wybrałem czas na zadanie tego pytania.

Gallat patrzy na mnie, jakby widział mnie po raz pierwszy w życiu.

– Co?

– Kelenli. – Odwracam się, żeby spojrzeć mu w oczy, choć z czasem nauczyłem się, że konduktorzy tego nie lubią. Kontakt wzrokowy sprawia im trudność. Kiedy na nich nie patrzymy, łatwiej im też nas zbywać, ale teraz nie chcę, żeby mnie zbywano. Chcę, żeby on poczuł tę rozmowę, nawet jeśli jego słabe, prymitywne sejsody nie mogą mu powiedzieć, że moja zazdrość i uraza podniosły temperaturę miejskich wód gruntowych o dwa stopnie.

Patrzy na mnie spode łba. Wytrzymuję jego spojrzenie. Wyczuwam napięcie w całej sieci. Pozostali, który oczywiście wyczuli to, co konduktorzy zignorowali, teraz się o mnie boją... ale ja prawie nie zwracam na to uwagi, bo nagle dostrzegam naszą przemianę. Gallat ma rację: dzięki temu, co pokazała nam Kelenli, zmieniamy się i nabieramy wszechstronności, a nasze oddziaływanie na ziemię zaczyna się zwiększać. Czy można to uznać za poprawę? Jeszcze nie jestem pewien. Na razie czujemy się trochę zagubieni, choć wcześniej zawsze byliśmy jednomyślni. Remwha i Gaewha są na mnie źli o to, że podjąłem ryzyko, zamiast poszukać najpierw konsensusu – ta lekkomyślność jest chyba oznaką mojej własnej przemiany. Bimniwha i Salewha są irracjonalnie złe na Kelenli, że w dziwny sposób mnie faworyzuje. Dushwha ma wszystkiego dość i chce po prostu wrócić do domu. Pod swoją złością Gaewha boi się o mnie, a równocześnie mi współczuje, ponieważ chyba rozumie, że moja lekkomyślność jest też symptomem czegoś innego. Uznałem, że jestem zakochany, ale miłość to bolesny punkt zapalny w moim ciele, gdzie wcześniej wszystko było stabilne, i wcale mi się to nie podoba. Kiedyś sądziłem przecież, że jestem najlepszym narzędziem, jakie kiedykolwiek stworzyła najpotężniejsza z cywilizacji. Teraz dowiedziałem się, że jestem pomyłką – czymś, co schrzanili ogarnięci paranoją złodzieje obawiający się własnej mierności. Lekkomyślność to jedyna rzecz, która przychodzi mi do głowy.

Nikt jednak nie złości się na Gallata o to, że jest zbyt niebezpieczny, by w ogóle można było przeprowadzić z nim prostą rozmowę. Jest z tym coś bardzo nie w porządku.

W końcu Gallat mówi:

– Dlaczego uważasz, że jestem zły na Kelenli?

Otwieram usta, żeby wspomnieć o napięciu całego jego ciała, o tonie jego głosu i wyrazie jego twarzy, ale on wydaje z siebie pełen irytacji odgłos.

– Nieważne. Wiem, jak przetwarzacie informacje – wzdycha. – I chyba masz rację.

Na pewno mam rację, ale wolę nie przypominać mu o tym, o czym nie chce wiedzieć.

– Chcesz, żeby mieszkała u ciebie. – Do czasu porannej rozmowy nie wiedziałem, że to dom Gallata. Powinienem być się tego domyślić; unosił się tam jego zapach. Nikt z nas nie jest zbyt dobry w posługiwaniu się receptorami innymi niż sejsody.

– To jej dom – warczy Gallat. – Dorastała tutaj tak samo jak ja.

Kelenli powiedziała mi o tym. Wychowywała się u boku Gallata, przekonana o swojej normalności do momentu, kiedy ktoś jej powiedział, że rodzice jej nie kochali.

– Była częścią projektu.

Kiwa głową, robiąc zgorzkniałą minę.

– Tak jak ja. Ludzkie dziecko było niezbędnym elementem kontroli, a ja dysponowałem... użytecznymi cechami. Do piętnastego roku życia uważałem ja za siostrę. Potem nam powiedzieli.

Tak wiele czasu. A jednak Kelenli musiała podejrzewać, że jest inna. Srebrny blask magii przepływa wokół nas i przez nas niczym woda. Każdy to może wysejszyć, ale tylko my, stroiciele, w tym żyjemy. To żyje w nas. Kelenli nie mogła się uważać za normalną.

Z kolei Gallat musiał być zaskoczony. Być może jego światopogląd wywrócił się do góry nogami tak samo jak mój teraz. Być może miotał się – albo miota się nadal – w ten sam sposób jak ja, próbując pogodzić swoje uczucia z rzeczywistością. Nagle odczuwam wobec niego współczucie.

– Nigdy nie wyrządziłem jej krzywdy – jego głos jest teraz cichy i nie wiem już, czy mówi to do mnie. Założył ręce na piersi, skrzyżował nogi i pustym wzrokiem spogląda przez jedno z okien wehimala. – Nigdy nie traktowałem jej jak...

Nagle milknie i rzuca mi ponure spojrzenie. Chciałbym kiwnąć głową, żeby pokazać mu, że rozumiem, ale instynkt każe mi się powstrzymać. Tylko na niego patrzę. Gallat się rozluźnia. Nie wiem dlaczego.

„Nie chce ci powiedzieć: »Nigdy nie traktowałem jej jak jednej z was« – stwierdza Remwha, szumiąc z irytacją na moją tępotę. – A nawet jeśli to powie, nie chce, żebyś zrozumiał. Wmawia sobie, że nie jest taki jak ludzie, którzy uczynili jego życie trudniejszym. To kłamstwo, ale potrzebuje go tak samo jak nas, bo możemy go utwierdzić w tym przekonaniu. Nie powinna mówić nam, że jesteśmy Niessami”.

„Nie jesteśmy Niessami”, pulsuję grawitacyjnie w odpowiedzi. Jestem zły głównie dlatego, że musiał o tym wspomnieć. Teraz, kiedy Remwha to wyjaśnił, zachowanie Gallata rzeczywiście wydaje się zrozumiałe.

„Dla nich jesteśmy”. Gaewha wysłała te słowa pojedynczym mikrowstrząsem, którego następstwa tłumi, abyśmy mogli wysejszyć później tylko zimną ciszę. Przystajemy się spierać, bo Gaewha ma rację.

Nieświadomy naszego kryzysu tożsamości Gallat kontynuuje:

– Dałem jej tyle wolności, ile tylko mogłem. Wszyscy wiedzą, czym jest, ale zapewniłem jej takie same przywileje, jakimi cieszyć się może każda normalna kobieta. Oczywiście istnieją restrykcje i ograniczenia, ale to naturalne. Nie mogę okazać słabości, bo... – Odpywa gdzieś myślami. Z frustracji zaciska zęby. – Zachowuje się, jakby tego nie rozumiała. Jakbym to ja był problemem, a nie świat. A ja próbuję jej pomóc!

Po tych słowach wzdycha zrezygnowany.

Usłyszeliśmy jednak wystarczająco dużo. Później, kiedy to wszystko przeanalizujemy, powiem pozostałym: „Ona chce być człowiekiem”.

„To niemożliwe – odpowie Dushwha. – Gallat uważa, że lepiej jest, jeśli to on posiada ją na własność, a nie Syl Anagist. Ale żeby Kelenli była człowiekiem, musi najpierw przestać być... własnością. Czyjąkolwiek”.

„Aby tak się stało, Syl Anagist musiałoby przestać być Syl Anagist”, doda ze smutkiem Gaewha.

Tak. Wszyscy stroiciele będą mieć rację... ale nie oznacza to, że marzenia Kelenli o wolności są niewłaściwe. A to, że coś jest bardzo, bardzo trudne, nie znaczy, że jest niemożliwe.

Wehimal zatrzymuje się w części miasta, która, co dziwne, wygląda znajomo. Byłem w tej okolicy tylko raz, a jednak rozpoznaję układ ulic i kształt winorośli na jednej ze ścian. Jaskrawość światła przepływającego przez ametyst, kiedy słońce chyli się ku zachodowi, wywołuje we mnie uczucia tęsknoty i ulgi, które pewnego dnia nauczę się rozpoznawać jako nostalgię.

Pozostali konduktorzy wychodzą i ruszają w stronę ośrodka. Gallat odwraca się do nas. Nadal jest zły i chce mieć to z głowy. Idziemy więc za nim i zostajemy trochę z tyłu, bo mamy krótsze nogi i obolałe mięśnie, aż w końcu orientuje się, że razem z naszymi strażami znajdujemy się kilka metrów za nim. Przystaje, żebyśmy mogli go dogonić, ale zaciska zęby i splata ramiona na piersi, niecierpliwie wystukując rytm jedną dłonią.

– Pospieszcie się – mówi. – Wieczorem chcę przeprowadzić próbę rozruchu.

Wiemy, że nie wolno narzekać. Odwrócenie uwagi zawsze jednak pomaga. Gaewha pyta więc:

– Co będziemy oglądać?

Gallat niecierpliwie kręci głową, ale odpowiada. Dokładnie tak, jak oczekiwała Gaewha, zwalnia przy tym, co nam również pozwala iść wolniej. Desperacko chwytamy powietrze.

– Gniazdo, w którym wyrósł ten komponent. Znacnie podstawy. Na razie każdy komponent służy jako elektrownia dla węzła Syl Anagist: pobiera magię, katalizuje ją, zwraca część do miasta i magazynuje nadwyżkę. Oczywiście będzie tak do momentu uruchomienia silnika.

Nagle przerywa; coś go rozproszyło. Dotarliśmy do zakazanej strefy wokół podstawy komponentu – trzypiętrowego parku z budynkami administracyjnymi i przystankiem końcowym trasy wehimala, który (jak nam powiedziano) co tydzień pokonuje drogę do Rdzenia. To wszystko jest bardzo użytkowe, i trochę nudne.

A jednak. Ponad nami, wypełniając niemal całe niebo, góruje komponent ametystowy. Żyjemy w jego kolorowym cieniu. Zostaliśmy stworzeni w taki sposób, aby

reagować na jego potrzeby i kontrolować jego wydajność. Ametyst to my – my jesteśmy ametystem. Rzadko jednak mamy okazję oglądać go tak bezpośrednio. Okna wszystkich naszych cel wychodzą na inne strony. (Łączność, harmonia, linie wzroku i wydajność fal – konduktorzy nie chcą ryzykować przypadkowej aktywacji). To niesamowity obiekt, myślę, zarówno w typowy, jak i w magiczny sposób. Świeci swoim pełnym blaskiem, a kryształowa struktura jest niemal całkowicie wypełniona zmagazynowaną magiczną mocą, która wkrótce zostanie użyta do uruchomienia geoaranżacji. Kiedy odłączymy światowe układy zasilania od ograniczonych obeliskowych magazynów i podepnimy je do nieskończonych strumieni wewnątrz Ziemi, kiedy Rdzeń zostanie całkowicie wdrożony do sieci, by móc to regulować, i kiedy na całym świecie wreszcie spełni się marzenie największych przywódców oraz myślicieli Syl Anagist...

...no cóż. Wtedy ja i inni nie będziemy już potrzebni. Słyszymy tak wiele o tym, co się wydarzy, kiedy świat zostanie uwolniony od potrzeb i niedostatku. Ludzie żyjący razem. Podróże do innych światów, daleko poza naszą planetę. Konduktorzy zapewnili nas, że nie zostaniemy zabici. Tak naprawdę będziemy podziwiani jako szczytowe osiągnięcie magestrii i jako żywe dowody tego, czego ludzkość potrafi dokonać. Czyż nie warto czekać na ten powszechny szacunek? Czy nie powinniśmy być dumni?

Po raz pierwszy myślę o tym, jakiego życia chciałbym dla siebie, gdybym miał wybór. Myślę o domu, w którym mieszka Gallat: olbrzymim, pięknym i zimnym. Myślę o domu Kelenli w ogrodzie, który jest mały i otoczony roślinną magią. Myślę o życiu z Kelenli. O siedzeniu u jej stóp każdego wieczoru, o rozmawianiu z nią bez strachu tak długo, jak chcę, i w każdym języku, który znam. Myślę o niej, uśmiechającej się bez goryczy, i ta myśl sprawia mi niewysłowioną przyjemność. Następnie czuję wstyd, jakbym nie miał prawa sobie tych rzeczy wyobrażać.

– To strata czasu – szepcze Gallat, patrząc na obelisk. Krzywię się, ale nie zauważa tego. – No dobrze. Oto on. Nie mam pojęcia, dlaczego Kelenli chciała, żebyście go zobaczyli, ale właśnie go widzicie.

Patrzemy na niego posłusznie.

– Czy możemy... podejść bliżej? – pyta Gaewha. Kiloro z nas jęczy w ziemi: „Bołą nas nogi i jesteśmy głodni”. Ona jednak odpowiada, sfrustrowana: „Skoro już tu jesteśmy, równie dobrze możemy to wykorzystać”.

Na znak zgody Gallat wzdycha i rusza przed siebie. Pochylił drogą schodzi do podstawy ametystu, gdzie obelisk tkwi w swoim gnieździe od czasów swojego pierwszego poboru substancji wzrostowej. Widziałem już wcześniej szczyt komponentu ametystowego, otoczony chmurami i czasami okolony białym światłem Księżyca, natomiast ta jego część jest dla mnie czymś nowym. Ze swoich nauk pamiętam, że wokół jego podstawy znajdują się filary pełniące funkcję transformatorów, które pobierają część magii z pieca w rdzeniu ametystu. Ta magia – odrobina nieprawdopodobnej ilości, jaką zdolny jest wyprodukować silnik plutoniczny – za pomocą niezliczonych przewodów zostaje rozdystrybuowana do stacji zasilających poszczególnych budynków, maszyn i wehimali w całym mieście-węźle. Wygląda to tak samo w każdym z miast-węzłów Syl Anagist na całym świecie – łącznie jest to dwieście pięćdziesiąt sześć komponentów.

Moją uwagę przykuwa nagle coś osobliwego – to najdziwniejsza rzecz, jaką

kiedykolwiek sejszyłem. Coś się rozpuszcza... coś w pobliżu wytwarza moc, która... Kręcę głową i przystaję.

– Co to? – pytam, zanim zdążę się zastanowić, czy rozsądne jest zadawanie takiego pytania Gallatowi w jego obecnym nastroju.

Gallat piorunuje mnie wzrokiem, lecz najwyraźniej dostrzega zakłopotanie malujące się na mojej twarzy.

– A, podejrzewam, że jesteśmy już na tyle blisko, że możesz to wyczuwać. To tylko zapadlina.

– A co to jest zapadlina? – pyta Remwha, zdobywszy się na odwagę, po tym, jak przełamałem pierwsze lody. Gallat spogląda na niego ze spotęgowaną złością. Wszyscy sztywniejemy.

– Na Złą Śmierć – wzdycha w końcu. – Dobra, łatwiej będzie wam to pokazać, niż tłumaczyć. Chodźcie.

Znowu przyspiesza i tym razem nikt z nas nie śmie narzekać, choć nogi nas bolą i jesteśmy osłabieni – musimy mieć niski poziom cukru we krwi, a niektórzy zapewne się odwodnili. Podążając za Gallatem, docieramy do najniższej platformy, przekraczamy szyny wehimala i przechodzimy pomiędzy dwoma olbrzymimi, szumiącymi filarami.

A potem... zostajemy zniszczeni.

Nie kryjąc zniecierpliwienia, konduktor Gallat opowiada nam, że za filarami znajduje się układ rozruchowy i translacyjny komponentu. Przechodzi do szczegółowych, technicznych wyjaśnień, które docierają do nas, ale których tak naprawdę nie słyszymy. Nasza sieć, ten układ powiązań, dzięki którym nasza szóstka niemal nieustannie się ze sobą komunikuje, ocenia nawzajem swój stan zdrowia, przekazuje ostrzeżenia i pociesza się za pomocą pieśni, nagle zupełnie milknie. To szok. To koszmar.

Sens wyjaśnień Gallata jest następujący: przed wieloma dekadami komponenty, wyrósłszy w swoich gniazdach, nie mogły same wytwarzać magii. Martwe, nieorganiczne obiekty takie jak kryształy są magicznie obojętne. Dlatego też w celu uruchomienia cyklu generacyjnego konieczne było wykorzystanie surowej magii jako katalizatora. Każdy silnik potrzebuje zapłonu. Oto zapadliny: wyglądają jak winorośle, są grube, poskręcane i wijąc się wokół podstawy komponentu, przypominają żywy gąszcz. Wśród tych winorośli, spętani nimi, znajdują się...

„Pójdziemy ich zobaczyć”, powiedziała mi Kelenli, kiedy zapytałem ją, gdzie teraz są Niessowie.

Od razu wiem, że oni wciąż żyją. Choć tkwią bez ruchu w gąszczu pnączy (rozciągnięci na nich, poskręcani pomiędzy nimi, owinięci ich gałęziami i poprzebijani nimi tam, gdzie winorośle rozrastają się w ich ciałach), niemożliwe jest nie wysejszyć delikatnych nici srebra poruszających się pomiędzy komórkami dłoni czy tańczących wzdłuż włosów na plecach. Po niektórych widać, że oddychają, choć poruszenia ich piersi są bardzo powolne. Wielu z nich ma na sobie zniszczone wpływem czasu ubrania, kilku jest nagich. Ich włosy i paznokcie nie urosły, a ich ciała nie wydalają z siebie nic, co moglibyśmy zobaczyć. Instynktownie wyczuwam, że nie czują też bólu – przynajmniej tyle. To dlatego, że zapadliny wyciągają z nich całą magię życia z wyjątkiem niewielkiej strużki, która pozwala im dalej istnieć. Utrzymywanie ich przy życiu sprawia, że mogą

wytwarzać jej więcej.

To wrzosowa grzęda. Świeżo po odcedzeniu, kiedy nadal uczyliśmy się używać języka wpisanego w nasze mózgi podczas fazy rozwoju, jedna z konduktorek opowiedziała nam historię o tym, gdzie wysłano by nas, gdybyśmy z jakichś względów okazali się niezdolni do pracy. Słuchaliśmy tego w czasach, kiedy było nas jeszcze czternaścioro. Konduktorka stwierdziła, że zostalibyśmy przeniesieni do miejsca, gdzie nadal pośrednio moglibyśmy służyć projektowi.

– Jest tam bardzo spokojnie – powiedziała. Pamiętam to wyraźnie. Uśmiechnęła się i dodała: – Zobaczycie.

Ofiary wrzosowej grzędy są tutaj od lat. Od dziesięcioleci. W zasięgu wzroku znajdują się całe ich setki, a dookoła prawdopodobnie tysiące, jeśli gąszcz zapadliny rozpościera się wokół całej podstawy ametystu. Jeśli pomnożyć to przez dwieście pięćdziesiąt sześć komponentów, będą ich całe miliony. Nie widzimy Tettlewchy ani innych, ale wiemy, że oni też są gdzieś tutaj. Wciąż żywi, choć przecież martwi.

Gallat kończy swoją wypowiedź, podczas gdy patrzymy na to wszystko w milczeniu.

– Dlatego po nastrojeniu systemu, kiedy cykl generatywny zostaje uruchomiony, potrzeba dostrajania go zachodzi tylko co jakiś czas – wzdycha, znudzony własnym głosem. Patrzymy na niego w ciszy. – Zapadliny magazynują magię. W Dniu Wdrożenia każdy zbiornik powinien zawierać około trzydziestu siedmiu lammotyrów, to znaczy trzykrotnie więcej... – Przerzywa. Wzdycha. Ścisną palcami grzbiet nosa. – To nie ma sensu. Ona z tobą igra, głupcze. – Jakby nie widział tego, co my widzimy. Jakby te zmagazynowane, połączone istnienia nic dla niego nie znaczyły. – Dość. Wracamy do ośrodka.

Udajemy się więc do domu.

I w końcu zaczynamy planować.

Zmłóć ich wszystkich

Ustaw w rzędzie

Wszystko zbożem niechaj będzie!

Ubij

Zawrzyj

Zwiąż języki

Oczy zamknij, rób wybryki

Tylko taką szansę mamy

Tym sposobem wnet wygramy!

Przedsanzeńska dziecięca piosenka popularna w kwardonach Yumenes, Haltolee, Nianon i Ewech, pochodzenie nieznane. Występuje w wielu wariantach. Powyższy tekst jest prawdopodobnie podstawowym.

Kiedy razem z innymi członkami Castrimy wyłaniasz się z popiołu, strażnicy przy stacji węzła wydają się sądzić, że czeka ich walka. Podejrzewasz, że – zważywszy na wasze kościste sylwetki i zniszczone kwasem ubrania – rzeczywiście wyglądacie na trochę liczniejszą niż przeciętna grupę bandytów. Ykka nie ma nawet czasu wysłać do nich Danel na rozmowę, bo od razu zaczynają strzelać do was z kusz. Na szczęście dla was są fatalnymi strzelcami, bo w normalnej sytuacji mieliby znaczącą przewagę. Kiedy trzy osoby padają trupem, uświadamiasz sobie, że Ykka nie ma pojęcia, jak używać torusa jako tarczy. Zaraz jednak przypominasz sobie, że ty też nie możesz tego zrobić – przynajmniej nie bez konsekwencji. Krzyczysz więc do Maxixe'a, a on robi to z diamentową precyzją i rozbija lecące bełty w drewniany pył, przypominając ci w ten sposób twój ostatni dzień w Tirimo.

Jest mniej uzdolniony niż ty z tamtego okresu. Część torusa pozostaje wokół niego. Maxixe rozciąga tylko i przekształca jego przednią ścianę, aby stworzyć zaporę pomiędzy Castrimą a wielkimi żuźłowymi wrotami stacji węzła. Na szczęście nikogo przed nim nie ma (krzyknęłaś, że mają się odsunąć). Następnie, ostatnim pchnięciem przekierowanej kinetyki otwiera bramę i zamraża strażników. Kiedy Mocarni z Castrimy biorą sprawy w swoje ręce, podchodzisz do Maxixe'a, który leży na łóżku na wozie, dysząc ciężko.

– Niezdara – mówisz, chwytając go za rękę i przyciągając do siebie, ponieważ nie możesz rozetrzeć jej między dłońmi. Czujesz zimno jego skóry przez wszystkie warstwy ubrania. – Powinieneś zakotwiczyć ten torus co najmniej kilka metrów dalej.

Mamrocze coś i zamyka oczy. Jego wytrzymałość trafiła rdza – prawdopodobnie dlatego, że głód i górotwórstwo nie stanowią najlepszego połączenia.

– Od paru lat nie musiałem robić nic bardziej wymyślnego niż po prostu zamrażanie ludzi. – Rzuca ci ostre spojrzenie. – Ale widzę, że sama się nie wysiliłaś.

Uśmiechasz się ze zmęczeniem.

– Widziałam, że masz to pod kontrolą. – Zdrapujesz z wozu kawałek lodu, żeby mieć gdzie siedzieć podczas oczekiwania na zakończenie walki.

Kiedy jest po wszystkim, poklepujesz Maxixe'a, który zdążył już zasnąć, i wstajesz, żeby odnaleźć Ykkę. Jest już za bramą razem z Esni i kilkoma innymi Mocarnymi; wszyscy ze zdumieniem przyglądają się niewielkiemu padokowi. Stoi tam koza przeżuwająca siano i zerkająca na nich obojętnie. Nie widziałaś kozy, odkąd opuściłaś Tirimo.

Ale ważne jest teraz coś innego.

– Zadbajcie o to, żeby nie zabili lekarza, a może lekarzy – mówisz do Ykki i Esni. – Prawdopodobnie zabarykadowali się razem z opiekunem węzła. Lerna nie będzie wiedział, jak zająć się takim opiekunem, to wymaga szczególnych umiejętności – przerywasz na chwilę. – Nadal jesteście przekonane, że chcecie zrealizować ten plan?

Ykka kiwa głową i zerka na Esni, która wykonuje ten sam gest i spogląda na jeszcze inną kobietę, a ta rzuca spojrzenie młodemu chłopakowi. Młody rusza biegiem do

budynku stacji węzła.

– Jakie jest prawdopodobieństwo, że lekarz z litości zabije opiekuna węzła? – pyta Esni.

Powstrzymujesz chęć, by powiedzieć: „Litość okazuje się ludziom”. Trzeba skończyć z takim myśleniem, nawet jeśli pojawia się ono tylko w chwilach zgorzknienia.

– Chudy, jeśli uważasz, że to pomoże, wyjaśnij przez drzwi, że nie zabijesz nikogo, kto się podda – Esni wysyła z tym poleceniem kolejnego chłopaka.

– Oczywiście, że nadal chcę zrealizować plan – stwierdza Ykka. Pociera sobie twarz, rozmazując popiół. Pod spodem znajduje się jeszcze więcej popiołu, wżartego głębiej w skórę. Zapominasz, jaki kolor ma jej ciało, i nie potrafisz też stwierdzić, czy nadal maluje sobie oczy. – To znaczy większość z nas potrafi tłumić wstrząsy w kontrolowany sposób, ostatnio nawet dzieciaki, ale... – Spogląda w niebo. – No cóż. Jest jeszcze to.

Spoglądasz w tym samym kierunku, ale wiesz już, co zobaczysz. Próbowalaś tego nie dostrzegać. Tak jak wszyscy.

Pęknięcie.

Po tej stronie Merz niebo nie istnieje. Dalej na południe popiół, który Pęknięcie pompuje w powietrze, miał czas przedostać się wyżej do atmosfery i nieco zrzednąć, tworząc pomarszczone chmury, które wiszą na niebie od dwóch lat. Tutaj jednak... Próbujesz spojrzeć w górę, ale zanim uniesiesz głowę, dostrzegasz coś w rodzaju kipiącej ściany czerwieni i czerni, która ciągnie się wzdłuż całego północnego horyzontu. To, co widzisz, podczas wybuchu wulkanu nazywa się kolumną erupcyjną, ale Pęknięcie to nie jest jakieś pojedyncze ujście lawy. To tysiąc wulkanów ustawionych obok siebie, to nieprzerwana linia podziemnego ognia i chaosu ciągnąca się od jednego wybrzeża Bezruchu do drugiego. Tonkee próbowała nakłonić wszystkich, by nazywali to właściwym określeniem: „pyrocumulonimbus”, oznaczającym wielką sztormową chmurą popiołu, ognia oraz błyskawic. Słyszałaś już jednak, że ludzie nazywają to po prostu Ścianą. Uważasz, że to określenie się przyjmie. Podejrzewasz, że jeśli za sto lub dwieście lat będą na ziemi jeszcze jacyś ludzie, nazwą ten okres Sezonem Ściany.

Dociera do ciebie cichy, ale nieustający dźwięk. Podziemny pomruk. Niski, nieprzerwany warkot, który słyszysz w uchu środkowym. Pęknięcie to nie tylko wstrząs – to trwające bez przerwy, dynamiczne tarcie dwóch płyt tektonicznych wzdłuż nowo powstałej linii uskoku. Wstrząsy wtórne nie ustaną przez kolejne lata. Twoje sejsody od kilku dni nie dają ci spokoju, ostrzegają cię i aż się palą, by zrobić coś z tym sejsmicznym zagrożeniem. Wiesz, że nie możesz temu ulegać, ale jest jeszcze inny problem: to samo sejszy każdy górotwór z Castrimy. Czuje tę samą swędzącą potrzebę zareagowania. A że nie są to wytrenowani w Fulcrum wielopierściennicy potrafiący sprzęgnąć ze sobą innych wielopierścienników podczas aktywowania starodawnej sieci artefaktów, jakakolwiek reakcja ich zabije.

Dlatego też Ykka zaczyna już rozumieć to, co sama pojęłaś, budząc się z kamienną ręką: aby przetrwać w Rennanis, Castrima będzie potrzebowała opiekunów węzła. Będzie musiała się o nich zatroszczyć. A kiedy opiekunowie umrą, trzeba będzie ich kimś zastąpić. Na razie jednak nikt o tym nie mówi. Najpierw rzeczy najważniejsze.

Po chwili Ykka wzdycha i spogląda na otwarte drzwi budynku.

– Wygląda na to, że walka dobiegła końca.

– Rzeczywiście – odpowiadasz. Cisza się przedłuża. Mięśnie na twarzy Ykki tężeją. Dodajesz: – Pójdę z tobą.

Spogląda na ciebie.

– Nie musisz.

Opowiadałaś jej o swoim pierwszym spotkaniu z opiekunem węzła. Słyszała wciąż żywe przerażenie w twoim głosie.

Ale nie. Alabaster pokazał ci drogę, a ty nie wykręcasz się już od wykonania misji, którą ci powierzył. Odwrócisz głowę opiekuna węzła i pokażesz Ykce bliznę na szyi, tłumacząc jej, skąd się wzięła. Będziesz musiała jej wyjaśnić, w jaki sposób druty zapobiegają odleżynom. Ponieważ jeśli postanowi podjąć tę decyzję, będzie musiała wiedzieć, jaką cenę przyjdzie jej – i całej Castrimie – za to zapłacić.

Zrobisz to – pokażesz jej te rzeczy i zmierzysz się z nimi ponownie, ponieważ to cała prawda o tym, czym są górotwory. Bezruch obawia się was nie bez powodu, to fakt. A jednak powinien też was szanować, a robi tylko jedną z tych dwóch rzeczy. Spośród wszystkich ludzi to właśnie Ykka na pewno musi wszystko usłyszeć.

Jej szczęki zaciskają się, ale kiwa głową. Esni obserwuje was obie, w końcu wzrusza ramionami i się odwraca, a ty i Ykka ruszacie razem w stronę stacji węzła.

W stacji znajduje się w pełni zaopatrzona spiżarnia, która, jak się domyślasz, służyła jako pomocniczy magazyn dla wspólnoty. Żywności jest tu więcej, niż nawet wygłodniała, bezwspólnotowa Castrima mogłaby przejeść, a znajdują się tu rzeczy, których wszyscy są ogromnie spragnieni, jak na przykład suszone owoce czy warzywa konserwowe. Ykka powstrzymuje ludzi przed niepohamowanym ucztowaniem – przecież te zapasy muszą wam wystarczyć na Ziemia wie, jak długo – ale większość członków wspólnoty i tak wpada w wesoły nastrój, bo po raz pierwszy od miesiący mogą położyć się spać z pełnymi brzuchami.

Ykka rozstawia strażę przy wejściu do budynku opiekuna węzła i do samego magazynu. „Nikt oprócz nas nie powinien oglądać tego gówna”, oświadcza, a ty się domyślasz, że po prostu nie chce, aby komukolwiek z nieruchomych przyszło do głowy coś niemądrego. Potrójne strażę umieszcza przy kozie. Kilkunastoletnia Innowatorka z rolniczej wspólnoty otrzymuje zadanie wydojenia zwierzęcia – udaje jej się to. Pierwszy przydział mleka dostaje ciężarna, która na pustyni straciła swoich bliskich. To może być bezcelowe. Głód i ciąża również nie idą w parze, a kobieta twierdzi, że płód nie poruszył się od kilku dni. Jeśli ma stracić dziecko, prawdopodobnie najlepiej byłoby, gdyby stało się to teraz i tutaj, gdzie Lerna, mając pod ręką antybiotyki i sterylne narzędzia, mógłby przynajmniej ocalić życie matki. A jednak widzisz, jak kobieta odbiera podany jej garnuszek mleka i wypija je, krzywiąc się przy pierwszym łyku. Ma zacięty wyraz twarzy. Istnieje szansa. Tylko to się liczy.

Ykka rozstawia również kontrolerów w łaźni stacji węzła. Nie są to strażę, ale taki nadzór wydaje się konieczny, ponieważ wielu członków Castrimy pochodzi z małych,

prymitywnych wspólnot i nie wie, jak działają wodociągi. Inni z kolei stali pod gorącym prysznicem przez godzinę albo dłużej, łkając, kiedy popiół i piasek pustyni spływał im z wysuszonej od kwasu skóry. Teraz po dziesięciu minutach kontrolerzy uprzejmie wypraszają ludzi spod pryszniców na ławki pod ścianą, gdzie ci mogą dalej płakać, ustąpiwszy miejsca innym.

Ty po wzięciu prysznicza nie czujesz nic, oprócz tego, że jesteś czysta. Po zajęciu narożnika stołówki – opróżnionej z mebli, żeby mogło tu nocować kilkaset osób – siadasz na swoim śpiworze i opierasz się o żuźlową ścianę, pozwalając płynąć myślom w dowolnym kierunku. Nie sposób nie czuć tego, co czai się w ścianie tuż za tobą. Nie wołasz go, bo ludzie z Castrimy podchodzą do Hoi nieufnie. To jedyny zjadacz kamieni w okolicy, a oni pamiętają, że przedstawiciele jego gatunku nie są neutralnymi, nieszkodliwymi istotami. Wyciągasz jednak do tyłu jedyną rękę, żeby poklepać ścianę. Hoa porusza się odrobinę, a ty czujesz coś – twarde szturchnięcie – u dołu pleców. Oddany dotyk. Zaskakujące, jak dobrze ci robi ta chwila intymnego kontaktu.

Obserwując różne rozgrywające się przed tobą sceny, dochodzisz do wniosku, że musisz znowu zacząć czuć. Dwie kobiety sprzeczą się, która powinna zjeść ostatni suszony owoc z ich przydziału. Tuż za nimi dwaj mężczyźni szepczą do siebie, gdy jeden podaje drugiemu niewielką gąbkę – taką samą, jakiej Równikejczycy używali do podcierania się po wypróżnieniu. Wszyscy pielęgnują swoje niewielkie luksusy. Temell, mężczyzna, który uczy teraz młode górotwory, leży pośród nich, chrapiąc w swoim śpiworze. Jeden z chłopców śpi zwinięty przy jego brzuchu, a odziana w skarpetę stopa Penty opiera się o jego kark. Po drugiej stronie pomieszczenia Tonkee stoi z Hjarką – a raczej Hjarka trzyma ją za rękę, próbując nakłonić ją do czegoś w rodzaju powolnego tańca, podczas gdy Tonkee tkwi nieruchomo i wywraca oczami, próbując zachować powagę.

Nie wiesz, gdzie jest Ykka. Znając ją, prawdopodobnie nocuje w jednym z szałasów albo namiotów na zewnątrz, masz jednak nadzieję, że tym razem pozwoli któremuś ze swoich kochanków zostać na noc. Ma ciągle zmieniającą się stajnię kobiet i mężczyzn, z których część spotyka się też z innymi partnerami, a część to osoby samotne, którym najwyraźniej nie przeszkadza fakt, że Ykka używa ich w celu okazjonalnego rozładowania stresu. Tego teraz potrzebuje. Castrima musi zadbać o swoją naczelniczkę.

Castrima potrzebuje Ykki, tak samo jak ty – w chwili, kiedy o tym myślisz, Lerna pojawia się znikąd i siada obok ciebie.

– Musiałem pożegnać Chethę – mówi cicho. Chetha to jeden z trzech Mocarnych postrzelonych przez Rennisów, który, jak na ironię, sam był wcześniej Rennisem i trafił do was razem z Danel. – Pozostali dwaj prawdopodobnie się wyliżą, ale Chetha miał przebite jelito. Czekalaby go powolna i okropna śmierć, mimo że mnóstwo tu leków przeciwbólowych. – Wzdycha i pociera oczy. – Widziałas to... coś... na drucianym krześle.

Kiwasz głową i przez chwilę się wahasz, ale w końcu sięgasz po jego rękę. Z ulgą zorientowałaś się, że Lerna nie jest szczególnie namiętym mężczyzną, ale czasami potrzebuje niewielkich gestów. Przypomnienia, że nie jest sam i że to wszystko nie jest

takie beznadziejne.

– Jeśli uda mi się stłumić Pęknięcie, być może nie będziesz musiał utrzymywać opiekunów węzłów – mówisz. Nie jesteś pewna, czy to prawda, ale masz nadzieję, że tak.

Lerna lekko ściska twoją dłoń. To fascynujące, kiedy uświadamiasz sobie, że nigdy nie inicjuje waszego kontaktu. Czeką, aż sama okażesz mu czułość, a wtedy odpowiada gestami dokładnie tak samo intymnymi jak te, które sama wykonałaś. Szanuje twoje ograniczenia, które są wyraźne i kategoryczne. Przez wszystkie te lata nigdy nie sądziłaś, że jest tak dobrym obserwatorem – ale przecież powinnaś była się tego domyślić. Wiele lat temu tylko dzięki temu, że ci się przyglądał, zorientował się, że jesteś górotworem. Dochodzisz do wniosku, że Innon by go polubił.

Lerna, zupełnie jakby słyszał twoje myśli, spogląda na ciebie ze zmartwioną miną.

– Chciałem ci tego nie mówić – oznajmia – a raczej nie zwracać uwagi na coś, co prawdopodobnie celowo od siebie odsuwasz.

– Zaczyna się ciekawie.

Lerna uśmiecha się słabo, wzdycha i spogląda w dół na wasze splecione dłonie. Poważnieje. Przez chwilę się rozciąga, a ty jesteś coraz bardziej spięta, bo to takie do niego niepodobne. W końcu wzdycha.

– Ile czasu minęło od twojej ostatniej miesiączki?

– Ile... – urywasz nagle.

Kurwa.

Kurwa!

Lerna znów wzdycha i opiera głowę o ścianę.

Próbujesz znaleźć w myślach jakieś wytłumaczenie. Wyglodzenie organizmu. Nadmierny wysiłek fizyczny. Myślisz o tym, że masz już czterdzieści cztery lata. Nie pamiętasz, który jest miesiąc. To jeszcze mniej prawdopodobne niż przetrwanie na pustyni. Ale... przez całe życie miałaś silne i regularne miesiączki, które do tej pory ustawały tylko trzykrotnie. Z trzech ważnych powodów. To dlatego Fulcrum postanowiło przeznaczyć cię na rozród. Dość porządne górotwórstwo i dobre midlaterskie biodra.

Wiedziałaś. Lerna ma rację. Poniekąd zwróciłaś na to uwagę. Ale postanowiłaś nie dopuszczać tego do siebie, bo...

Lerna dość długo siedzi obok ciebie w milczeniu. Trzyma luźno dłoń w twojej dłoni i obserwuje krzątanie w obozie.

Bardzo spokojnie pyta:

– Czy dobrze rozumiem, że musisz zakończyć swoją sprawę w Rdzeniu w określonym czasie?

Mówi to zbyt formalnym tonem. Wzdychasz, zamykając oczy.

– Tak.

– Wkrótce?

Ho powiedział ci, że *perygeum* – czyli moment, kiedy Księżyc jest najbliżej – wystąpi za kilka dni. Później Księżyc minie Ziemię i nabierze prędkości, wystrzeli daleko w stronę innych gwiazd. Jeśli nie złapiesz go teraz, nie złapiesz go nigdy.

– Tak – odpowiadasz. Jesteś zmęczona. Jesteś... okaleczona. – Wkrótce.

To coś, o czym nigdy nie rozmawialiście, a prawdopodobnie powinniście, dla

dobra waszego związku. To coś, czego nigdy nie musieliście omawiać, bo nie było nic do powiedzenia. Lerna odzywa się w końcu:

– Poprzednio użycie obelisków kosztowało cię ramię.

Odruchowo zerkasz na kikut.

– Tak. – Wiesz, dokąd zmierza ta rozmowa, dlatego postanawiasz od razu przejść do sedna. – To ty zapytałeś, co zamierzam zrobić, żeby zakończyć ten Sezon.

Wzdycha.

– Byłem zły.

– Ale miałaś rację.

Czujesz drgnięcie jego dłoni.

– Co, gdybym cię poprosił, żebyś tego nie robiła?

Nie śmiesz się. Zabrzmiałoby to gorzko, a on na to nie zasługuje. Zamiast tego wzdychasz i się kładziesz, pociągając go za sobą. Jest trochę niższy od ciebie, więc to ty funkcjonujesz jako większa łyżeczka. Zanurzasz twarz w jego szarych włosach, ale on również skorzystał z prysznic, dlatego ci to nie przeszkadza. Lerna pachnie dobrze. Zdrowo.

– Nie poprosiłyś – mówisz, chuchając mu w głowę.

– Ale gdybym poprosił? – W jego głosie słychać zmęczenie i chłód. Wcale tak nie myśli.

Całujesz go w kark.

– Powiedziałabym: „Okej”, a potem byłaby nas trójka i wszyscy umarlibyśmy od popiołu w płucach.

Lerna znowu chwyta cię za rękę. Tym razem to nie ty inicjujesz bliskość, ale nie przeszkadza ci to.

– Obiecuj – prosi.

Nie czeka na twoją odpowiedź i odpływa w sen.

Cztery dni później docieracie do Rennanis.

Dobra wiadomość jest taka, że nie nękają was już opady popiołu. Pęknięcie znajduje się zbyt blisko i Ściana unosi wysoko lżejsze cząsteczki; nie będziecie już musieli się o to martwić. Musicie natomiast znosić okazjonalne podmuchy ciskające w was przypadkowym materiałem takim jak lapilli, czyli drobne kawałki materiału wulkanicznego, które co prawda są zbyt duże, żeby je wdychać, ale spadając z nieba, wciąż płoną. Danel twierdzi, że Rennisi nazywali to opadami iskier i że drobinki te są zazwyczaj nieszkodliwe, zaleca natomiast, żebyście trzymali w strategicznych miejscach zapasowe manierki z wodą, na wypadek gdyby któraś iskra zaczęła się tlić.

Bardziej dramatyczny okazuje się taniec błyskawic na niebie ponad miastem. Innowatorzy są tym podekscytowani. Tonkee oświadczą, że niektóre pioruny można byłoby wykorzystać na bardzo wiele sposobów. (Obrzuciłaś ją powątpiewającym spojrzeniem, ale to przecież Tonkee). Żadna z błyskawic nie uderza w ziemię – wszystkie trafiają w najwyższe budynki, które poprzedni mieszkańcy miasta wyposażyli w piorunochrony, uderzenia są nieszkodliwe. Po prostu będziecie musieli się do nich

przyzwyczać.

Rennanis nie jest takie, jak je sobie wyobrażałaś. Och, to olbrzymie miasto, gdzie na każdym kroku widać równiejski styl: jest tu działająca kanalizacja, woda z filtrowanej studni i mnóstwo wysokich obsydianowych ścian ozdobionych dosadnymi scenami przedstawiającymi to, co dzieje się z wrogami tego miasta. Tutejsze budynki nie są nawet w połowie tak piękne i imponujące jak te w Yumenes, ale w końcu Yumenes było największym z miast Równikiady, a Rennanis ledwie się do tej grupy załapało. Pamiętasz, jak w zupełnie innym życiu słyszałaś pogardliwe prychnięcie kogoś, kto powiedział, że żyje tu „zaledwie pół miliona ludzi”. Ale w jeszcze poprzednim życiu urodziłaś się w niewielkiej wiosce w Nomidlatach i na tej części Damai, która jeszcze w tobie tkwi, Rennanis mimo wszystko robi wrażenie.

Jest was niecały tyśiąc, a osiedlacie się w mieście, które niegdyś zamieszkiwały setki tysięcy. Ykka nakazuje wam zająć niewielki kompleks budynków w pobliżu jednego z szesnastu terenów zielonych. Ponieważ miasto nie przetrwało Pęknięcia zupełnie bez szwanku, poprzedni mieszkańcy konsekwentnie poznaczali budynki różnymi kolorami w zależności od stanu ich konstrukcji. Budowle oznaczone zielonym X uznane zostały za bezpieczne. Żółty X świadczy o tym, że obiekt może się zwalić, zwłaszcza jeśli miasto nawiedzi kolejny większy wstrząs. Budynki z czerwonym znakiem są poważnie zniszczone i niebezpieczne, choć po niektórych z nich widzisz, że też były zamieszkiwane, być może przez ludzi, którzy woleli jakiegokolwiek schronienie niż narażanie się na opady popiołu. Budowli oznaczonych na zielono jest więcej, niż potrzebuje Castrima, dlatego każde gospodarstwo domowe może wybrać sobie umeblowane i bezpieczne mieszkanie z działającymi systemami hydro i geo.

Po mieście biegają stada kur i kóz, które najwyraźniej się tutaj rozmnażają. Rośliny na terenach zielonych są jednak zupełnie martwe, ponieważ nie podlewano ich przez całe miesiące, które upłynęły od momentu zabicia przez ciebie Rennisów aż do przybycia Castrimy. Mimo to w zapasach ziarna znajduje się mnóstwo nasion mniszka lekarskiego i innych wytrzymałych, niewymagających dużych ilości światła słonecznego roślin, w tym również takich równiejskich gatunków jak kleśnica. Poza tym miejskie magazyny pełne są chleba konserwowego, serów, pikantnych i tłustych kiełbas, kasz, owoców, przypraw, liści w oliwie oraz wielu innych dóbr. Niektóre produkty są świeższe od innych, przyniesionych z powrotem przez grasującą armię. To wszystko to dużo więcej, niż mieszkańcy Castrimy mogliby przeżyć, nawet gdyby przez następne dziesięć lat codziennie wyprawiali wystawną ucztę.

To niesamowite. Ale jest też kilka haczyków.

Pierwszy to fakt, że obsługa stacji dystrybucji wody jest znacznie trudniejsza, niż się ktokolwiek spodziewał. Wodociągi pracują wprawdzie automatycznie i na razie nic w nich się nie zepsuło, ale nie macie pojęcia, co zrobić, jeśli tak się stanie. Ykka zleca Innowatorom rozpracowanie tej maszynerii albo wymyślenie jakiegoś alternatywnego rozwiązania na wypadek awarii. Tonkee jest wściekła.

– To po to przez sześć lat studiowałam na Siódmym, żeby wybierać gówno ze ścieków?

Pomimo narzekania bierze się jednak do pracy.

Drugi haczyk polega na tym, że Castrima nie jest w stanie ochraniać murów miasta. Rennanis jest po prostu zbyt duże, a was jest za mało. Na razie chroni was to, że nikt nie podróżuje na północ. Gdyby jednak ktokolwiek chciał podbić te tereny, pomiędzy napastnikami a miastem stać będą wyłącznie te mury.

Nie ma na to żadnego rozwiązania. Nawet górotwory nie mogą korzystać ze swej mocy, bo tutaj, w cieniu Pęknięcia, używanie górotwórstwa byłoby bardzo niebezpieczne. Armia Danel, która stanowiła część Rennanis, aktualnie jest już tylko pożywieniem dla wrzątków w południowo-wschodnich Midlatach – nie żebyście chcieli ją tutaj z powrotem, bo traktowaliby was jak intruzów, którymi przecież jesteście. Ykka nakazuje Piastunom zająć się akcją rozmnażania, ale nawet jeśli wziąłby w niej udział każdy zdrowy członek wspólnoty, Castrima jeszcze przez kilka pokoleń nie miałaby wystarczającej liczby mieszkańców. Możecie jedynie strzec tej części miasta, w której obecnie mieszkanie.

– Jeśli pojawi się tu inna armia, po prostu zaprosimy ich tutaj i damy każdemu pokój – burczy Ykka. – To powinno załatwić sprawę.

Trzeci haczyk – i największy, przynajmniej pod względem logistycznym – jest taki: Castrima musi żyć pośród ciał poprzednich mieszkańców.

Posągi są wszędzie. Stoją w kuchniach i zmywają naczynia. Leżą w łózkach zapadniętych pod ich kamiennym ciężarem. Wchodzą po zewnętrznych schodach, żeby zamienić inne posągi na straży. Siedzą we wspólnych kuchniach, sącąc kawę, po której dawno zostały już tylko fusy. Są na swój sposób piękne z tymi dzikimi kwarcowymi grzywami, gładką jaspisową skórą i ubraniami z turmalinu, turkusu, granatu czy cytrynianu. Uśmiechają się, wywracają oczami i ziewają ze znużenia, ponieważ fala uderzeniowa Wrót Obelisków, która przemieniła żyjących tu ludzi, była szybka i bezwzględna. Nie mieli nawet czasu się wystraszyć.

Pierwszego dnia wszyscy omijają posągi. Starają się nie siadać na linii ich wzroku. Nie robić nic... niestosownego. Ale przecież mieszkańcy Castrimy przetrwali wojnę wywołaną przez tych ludzi, a potem żyli jako uchodźcy. Pozwalać, aby poczucie winy przysłańało tę prawdę, byłoby nieuczciwe w stosunku do zabitych członków własnej wspólnoty. Dlatego po dwóch, trzech dniach ludzie zaczynają po prostu... akceptować posągi. Nie sposób funkcjonować inaczej.

Mimo to coś w tym wszystkim cię niepokoi.

Któregoś wieczoru wałęsas się po mieście. W pobliżu waszego kompleksu znajduje się piękny budynek z żółtym X, którego fasada pokryta jest rzeźbioną winoroślą i motywami kwiatowymi, lśniącymi gdzieś złuszczonym już złotem. Zdobienia odbijają światło i migoczą, kiedy przechodzisz obok, masz wrażenie, jakby budynek pokryty był żywą roślinnością. Obiekt ten jest starszy niż większość zabudowy w Rennanis. Podoba ci się, choć nie jesteś pewna dlaczego. Wchodzisz na dach, znajdując po drodze tylko zwyczajne lokale zamieszkałe przez posągi. Właz jest otwarty – być może ktoś wszedł tu chwilę przed Pęknięciem. Zanim wyjdiesz na zewnątrz, oczywiście sprawdzasz, czy na dachu znajduje się piorunochron; to jeden z wyższych budynków w mieście, choć w sumie ma tylko sześć czy siedem pięter. („Tylko”, prycha Sjenit. „Tylko?”, dziwi się Damaya. „Tak, tylko”, warczysz na nie, żeby się zamknęły). Oprócz

piorunochronu jest tu również pusta wieża ciśnień, dlatego jeśli nie będziesz dotykać metalowych powierzchni ani zbliżać się do samego kabla, prawdopodobnie nie zginiesz. Prawdopodobnie.

To tutaj, zwrócony w kierunku ściany burzowej Pęknięcia, jakby wykonano go tu w tym samym czasie co kwiatowe zdobienia, czeka Hoa.

– Powinno tu być więcej posągów – mówisz, stając obok niego.

Nie możesz się powstrzymać i spoglądasz w tę samą stronę co on. Nie widzisz stąd samego Pęknięcia; wydaje się, że pomiędzy miastem a ryczącym potworem znajdują się martwy las tropikalny i jakieś postrzępione wzgórza. Ściana jest jednak wystarczająco przerażająca.

Może niektóre egzystencjalne koszmary są łatwiejsze do przyjęcia niż inne, ale pamiętasz, jak użyłaś przeciwko tym ludziom Wrót Obelisków, wypaczając magię pomiędzy ich komórkami i przemieniając maleńkie cząsteczki ich ciał z węgla w krzemian. Danel opowiadała wam, jak bardzo zatłoczone było Rennanis – żeby przetrwać, miasto musiało wysłać armię na podbój nowych ziem. Teraz jednak nie ma tu zbyt wielu posągów. Są natomiast oznaki, że było ich więcej: niektóre posągi pogrążone w rozmowie z partnerami, których nie ma, przy stole zastawionym dla sześciu osób siedzą zaledwie dwie. W jednym z większych budynków oznaczonych zielonym X znajduje się nagi posąg o otwartych ustach, sztywnym penisie, uniesionych biodrach i dłoniach obejmujących prawdopodobnie czyjeś uda. Jest jednak sam. Ofiara potwornego żartu.

– Przedstawiciele mojego rodzaju pożywiają się, kiedy tylko jest po temu okazja – stwierdza Hoa.

Właśnie to bałaś się usłyszeć.

– I najwyraźniej są cholernie głodni. Było tu mnóstwo ludzi. Większości z nich już nie ma.

– My również odkładamy nadmiarowe zapasy na później, Essun.

Pocierasz twarz jedyną dłonią, próbując – bezskutecznie – nie wyobrazić sobie olbrzymiej spiżarni zjadaczy kamieni wypełnionej kolorowymi posągami.

– Na Złą Ziemię! W takim razie po co zawierasz sobie mną głowę? Nie jestem tak... tak łatwym posiłkiem jak oni.

– Pomniejsi przedstawiciele mojego gatunku muszą się wzmacniać. Ja nie muszę – słyszysz drobną zmianę w jego głosie. Znasz go już na tyle, by wiedzieć, że to pogarda. Jest dumną istotą (nawet jeśli nie chce tego przyznać). – Są niedopracowani, słabi, niewiele lepsi od zwierząt. Na początku byliśmy bardzo samotni i nie wiedzieliśmy, co robimy. Ci głodni są efektem naszego partactwa.

Chwiejesz się, bo tak naprawdę nie chcesz tego wiedzieć... ale od pewnego czasu nie jesteś już tchórzem. Dlatego zbierasz się w sobie, odwracasz do niego i pytasz:

– Tworzysz w tej chwili kolejnego, prawda? Ze... ze mnie. Skoro nie chodzi ci o jedzenie, to musi to być kwestia... reprodukcji.

Przerażającej reprodukcji, skoro polega na uśmiercaniu ludzkiej istoty poprzez zamianę jej w kamień. Ale na pewno jest to też coś więcej niż tylko ukamienianie. Wspominasz kirkhusa przy zajeździe, Jiję, a także kobietę, którą zabiłaś w Castrimie. Myślisz o tym, jak ją uderzyłaś i zmiażdżyłaś przy użyciu magii za zbrodnię nie zbrodnię,

polegającą na przypomnieniu ci morderstwa Uchego. Alabaster pod koniec swojego życia nie był jednak taki sam jak tamta kobieta. Ona była lśniącą stertą jaskrawych kamieni, on – brzydką brązową bryłą. A jednak skałę, w którą się zmienił, cechowała precyzja wykonania, podczas gdy pod piękną powierzchnią kobiety znajdował się zupełny bezład.

Na twoje pytanie Hoa reaguje milczeniem. To również jest jakaś odpowiedź. A ty w końcu sobie przypominasz Antymonę, niedługo po tym, jak zamknęłaś Wrota Obelisków, ale jeszcze zanim zapadłaś w śpiączkę wywołaną magią. Pamiętasz innego zjadacza kamieni, który stał obok niej – dziwnie białego i niepokojąco znajomego. Och, na Złą Ziemię, nie chcesz tego wiedzieć, ale...

– Antymona użyła tego... – tej brzydkiej bryły brązowej skały – użyła Alabastra jako surowca do... och, na rdzę, do budowy kolejnego zjadacza kamieni. I stworzyła go podobnym do niego.

Znowu tak bardzo jej nienawidzisz.

– On sam wybrał swoją formę. Jak my wszyscy.

Te słowa sprawiają, że pękasz. Żołądek ci się zaciska, ale tym razem pod wpływem czegoś innego niż wstręt.

– To... czyli... – musisz wziąć głęboki oddech. – To znaczy, że to on? Alabaster? On jest... On jest...

Nie możesz wypowiedzieć tego słowa.

Chwilę później Hoa stoi naprzeciw ciębie; na jego twarzy maluje się współczucie, ale jednocześnie swego rodzaju ostrzeżenie.

– Sieć krystaliczna nie zawsze układa się idealnie, Essun – stwierdza. Ton jego głosu jest spokojny. – A nawet jeśli tak, to zawsze zachodzi jakaś... utrata danych.

Nie masz pojęcia, co to znaczy, a jednak cała się trzęsiesz. Dlaczego? Wiesz dlaczego. Podnosisz głos.

– Hoa, jeśli to jest Alabaster, gdybym mogła z nim porozmawiać...

– Nie.

– Dlaczego, na rdzę?!

– Ponieważ to musi być jego decyzja. – Ton staje się ostrzejszy. To reprimenda. Krzywisz się. – A co ważniejsze, ponieważ na początku, jak wszystkie żyjące istoty, jesteśmy wrażliwi. Dopiero po kilku wiekach... stygniemy. Nawet najmniejszy nacisk, taki jak to, że będziesz wymagać od niego, aby dopasował się do twoich, a nie do jego własnych potrzeb, może zniszczyć ostateczny kształt jego osobowości.

Wykonujesz krok w tył; bo nie zdawałaś sobie sprawy, że stoisz tak blisko niego. A potem wiotczejesz. Alabaster żyje, chociaż umarł. Czy jako zjadacz kamieni jest choć w części tym człowiekiem, którego znałaś? Czy to w ogóle ma jeszcze jakiegokolwiek znaczenie, skoro przeszedł tak kompletną przemianę?

– Straciłam go po raz kolejny – szepczesz.

Z początku Hoa się nie porusza, ale czujesz na biodrze nagły ruch powietrza, a zaraz potem twojej dłoni dotyka inna, twarda.

– Będzie żył wiecznie – mówi tak spokojnie, jak tylko potrafi. – Będzie żył tak długo jak Ziemia, a wraz z nim część tego, czym był. To tobie wciąż grozi, że cała znikniesz – przerywa na chwilę. – Jeśli jednak postanowisz nie kończyć tego, co

zaczęliśmy, zrozumieniem.

Podnosisz wzrok i przez ułamek sekundy wydaje ci się, że go rozumiesz. On wie, że jesteś w ciąży. Może wiedział o tym wcześniej niż ty, choć nie masz pojęcia, co to może dla niego oznaczać. Wie również, co kryje się za twoimi myślami o Alabastrze, i powtarza, że... nie jesteś sama. Że wcale nie jest tak, że nie masz nikogo. Masz Hoę, Ykkę, Tonkee i może Hjarke, czyli przyjaciół, którzy znają cię w całej twojej górotwórczej potworności i mimo to cię akceptują. Masz też Lerne – milcząco wymagającego, nieustępliwego Lerne, który nie się poddaje, nie toleruje twoich wymówek i nie udaje, że miłość wyklucza ból. Jest ojcem twojego kolejnego dziecka, które prawdopodobnie będzie piękne. Dotychczas wszystkie dzieci takie były. Piękne i potężne. Zamykasz oczy, tłumiąc żal.

Docierają do ciebie odgłosy miasta i ze zdziwieniem rozpoznajesz śmiech. Prawdopodobnie dobiega ze strony jednego ze wspólnych ognisk – co przypomina ci, że jeśli będziesz chciała, możesz mieć również Castrimę. Tę śmieszłą wspólnotę nieprzyjemnych, a jednocześnie bardzo zżytych ze sobą ludzi, o którą walczyłaś i która, niechętnie, bo niechętnie, ale walczyła później o ciebie. Na twojej twarzy pojawia się uśmiech.

– Nie – odpowiadasz. – Zrobię, co trzeba zrobić.

Ho a ci się przygląda.

– Jesteś pewna?

Oczywiście, że jesteś. Nic się nie zmieniło. Świat jest zepsuty, a ty potrafisz go naprawić. Do tego właśnie nakłaniali cię Lerna i Alabaster. Castrima tylko popycha cię ku temu zadaniu, nie odwrotnie. Pora więc, żebyś przestała być tchórzem i odnalazła Nassun, nawet jeśli ona cię nienawidzi. Nawet jeśli zostawiła ją, aby sama zmierzyła się z tym potwornym światem. Nawet jeśli jesteś najgorszą matką na świecie... zrobiłaś, co w twojej mocy.

I może oznacza to, że wybierasz jedno ze swoich dzieci – to, które ma większą szansę na przetrwanie. To właśnie to, co matki robią od zarania dziejów: poświęcają teraźniejszość w nadziei na lepszą przyszłość. Jeśli tym razem poświęcenie musi być większe niż zwykle... w porządku. Niech tak będzie. Przecież to też należy do zadań matki, a ty jesteś zardzewiałą dziesięciopierścieniczką. Dasz radę.

– A więc na co czekasz? – pytasz.

– Tylko na ciebie.

– Dobrze. Ile mamy czasu?

– Perygeum jest za dwa dni. Do Rdzenia mogę cię zabrać w jeden.

– Okej. – Bierzesz głęboki wdech. – Muszę się pożegnać z kilkoma osobami.

Z całkowitą obojętnością Ho a stwierdza:

– Mogę zabrać z nami innych.

Och...

Chcesz tego, prawda? Chciałabyś na koniec nie być samotna. Mieć przy sobie cichego, nieubłaganego Lerne. Tonkee będzie wściekła, jeśli pozbawisz ją możliwości obejrzenia Rdzenia. Hjarka będzie rozjuszona, jeśli weźmiesz ze sobą Tonkee, a jej nie. Danel z jakichś niejasnych równiadowych powodów chce opisać przemianę świata.

Za to Ykka...

– Nie. – Nagle trzeźwiejesz i wzdychasz. – Znowu zachowuję się samolubnie. Castrima potrzebuje Ykki. Oni wszyscy wystarczająco dużo już wycierpieli.

Ho a tylko na ciebie patrzy. Jak, u rdzy, udaje mu się okazywać tyle emocji na kamiennej twarzy? Nawet jeśli tą emocją jest suchy sceptycyzm względem twoich wielkodusznych bzdur. Wybuchasz śmiechem – krótkim i ochrypłym. Sporo czasu minęło, od kiedy ostatnio się śmiałaś.

– Myślę, że jeśli kogoś kochasz, nie decydujesz o tym, jak bardzo ten ktoś kocha ciebie – oświadcza powoli Ho a.

W tym zdaniu kryje się tak wiele.

Ale dobrze. W porządku. Nie chodzi tu tylko o ciebie, nigdy nie chodziło. Podczas Sezonu wszystko się zmienia – i jakaś część ciebie jest już zmęczona samotniczą, mściwą kobiecą narracją. Być może Nassun nie jest jedynym dzieckiem, dla którego potrzebujesz domu. I może nawet ty nie powinnaś próbować zmieniać świata w pojedynkę.

– Chodźmy więc ich zapytać – mówisz. – A potem odszukajmy moją małą dziewczynkę.

Do: Yaetr Innowatorki Dibars

Od: Almy Innowatorki Dibars

Poproszono mnie, abym cię poinformowała, że fundusze zostały wstrzymane. Masz natychmiast wrócić na Uniwersytet najtańszym środkiem transportu.

A ponieważ znam cię, stara przyjaciółko, pozwól mi coś dodać. Wierzysz w logikę. Uważasz, że w obliczu faktów nawet nasi szanowani koledzy są odporni na uprzedzenia i politykę. To dlatego nigdy nawet się nie zbliżysz do Komisji Funduszy oraz Alokacji, niezależnie od tego, jak wiele zdobędziesz tytułów.

Nasze finansowanie pochodzi ze Starego Sanze. Od rodzin tak wiekowych, że posiadają w swoich zbiorach książki starsze niż wszystkie Uniwersytety – i nie pozwolą nam ich tknąć. Myślisz, że jak tym rodzinom udało się przetrwać aż tak długo, Yaetr? Dlaczego Sanze trwa od tak dawna? To nie kwestia skałowiedzy.

Nie możesz iść do takich ludzi i prosić ich o finansowanie projektu badawczego, dzięki któremu rogi staną się bohaterami! Po prostu nie możesz. Najpierw zemdleją, a kiedy się obudzą, każą cię zabić. Zniszczą cię tak, jak zniszczyliby każdego, kto zagroziłby ich dziedzictwu i źródłom utrzymania. Tak, wiem, że nie miałaś o tym pojęcia, ale to prawda.

A jeśli to jeszcze za mało, oto fakt, który powinien przemówić nawet do ciebie: Stróże zaczynają zadawać pytania. Nie wiem dlaczego. Nikt nie zna zamiarów tych potworów. Ale właśnie dlatego głosowałam tak samo jak większość komisji, choćby miało to oznaczać, że na zawsze mnie znienawidzisz. Nie chcę, stara przyjaciółko, żeby znaleziono cię w jakiejś uliczce ze szklanym sztyletem wbitym w serce. Przykro mi.

Bezpiecznej podróży.

Rdzeń jest cichy.

Nassun zwraca na to uwagę, kiedy wehimal, którym przemierzyła wnętrze planety, wyłania się na stacji po drugiej stronie świata. Stacja mieści się w jednym z dziwnych, pochyłych budynków otaczających olbrzymią dziurę w centrum Rdzenia. Nassun woła o pomoc, woła ludzi, woła kogokolwiek. Drzwi wehimala się otwierają, a ona ciągnie bezwładne ciało Schaffy przez ciche korytarze i wychodzi z nim na ciche ulice. Schaffa jest potężny i ciężki, dlatego choć Nassun na różne sposoby próbuje pomóc sobie magią – bezskutecznie, bo magia nie jest stworzona do tak prymitywnych czynności, a jej niełatwo się teraz skoncentrować – udaje jej się pokonać tylko jedną przecznicę, po czym pada ze zmęczenia.

Pewnego zardzewiałego dnia, pewnego zardzewiałego roku.

Znalazłem te puste książki. Zrobione są z czegoś innego niż papier. Z czegoś grubszego. Nie zginają się tak łatwo. Może to dobrze, bo w przeciwnym razie do tej pory zmieniłyby się już w pył. A tak zachowają moje słowa na wieczność! Ha! Dłużej niż moje zardzewiałe zdrowie psychiczne.

Nie wiem, o czym napisać. Innon wyśmiałby mnie i kazał pisać o seksie. W porządku: no więc zwałem dzisiaj konia po raz pierwszy, od kiedy A. mnie tutaj zaciągnęła. W trakcie myślałem o nim i nie mogłem dojść. Może jestem za stary? Tak na pewno uznałaby Sjen. Jest po prostu zła, ale i tak mógłbym pokonać ją w walce.

Zapominam zapach Innona. Wszystko pachnie tutaj morzem, ale to nie takie morze jak w Meov. Inne? Innon pachniał jak tamtejsza woda. Za każdym razem kiedy wieje wiatr, tracę go coraz bardziej.

Rdzeń. Jak ja nienawidzę tego miejsca.

Rdzeń nie jest tak do końca ruiną. To znaczy w ogóle nie jest zrujnowany i nie jest niezamieszany.

Na powierzchni oceanu miasto stanowi anomalię – budynki są niezbyt wysokie w porównaniu z tymi w zniszczonym niewiele wcześniej Yumenes czy dawnym Syl Anagist. Rdzeń jest jednak wyjątkowy zarówno w kontekście kultury współczesnej, jak i tej dawnej. Znajdujące się tu obiekty są mocne i wykonane z metali nierdzewnych, dziwnych polimerów oraz innych materiałów, które potrafią wytrzymać uderzenia regularnych w tej części świata słonych wiatrów o sile huraganu. Rzadkie rośliny, które spotkać można w skonstruowanych dawno temu parkach, nie są już tak urocze, wystrzałowe i modne jak wtedy, kiedy podziwiali je budowniczości Rdzenia. Tutejsze drzewa – zmutowane i dzikie – są olbrzymie i poskręcane przez wiatr w artystyczne kształty. Dawno temu wyzwoliły się już ze swoich donic i zagarnęły dla siebie chodniki

ze sprasowanego włókna. W przeciwieństwie do budowli w Syl Anagist tutejszą architekturę charakteryzuje wiele ostrych kątów, które mają na celu zwiększenie odporności budynków na wiatr.

To miasto to jednak znacznie więcej niż tylko rzeczy i miejsca widoczne gołym okiem.

Rdzeń znajduje się na szczycie olbrzymiego podwodnego wulkanu tarczowego, i na pierwszych kilku kilometrach głębokości otwór w jego wnętrzu otaczają wydrążone w skale kwatery mieszkalne, laboratoria i fabryki. Te podziemne obiekty, początkowo mające służyć tutejszym geodziarzom i genoinżynierom, od dawna pełnią zupełnie inną funkcję – ponieważ przeciwną stroną Rdzenia jest Warrant, czyli miejsce, gdzie powstają Stróże i gdzie zatrzymują się później w czasie Piątych Pór Roku.

Porozmawiamy o tym potem.

Na powierzchni jest późne popołudnie, a spomiędzy rzadkich chmur przebija szokująco jasny błękit nieba. (Sezony, które zaczynają się w Bezruchu, rzadko wpływają na pogodę na tej półkuli, przynajmniej przez pierwsze kilka miesięcy lub nawet lat). Na ulicach, jak to w taki dzień, znajdują się ludzie, ale nikt nie pomaga płaczącej Nassun. Większość z obecnych tu osób nie porusza się – to zjadacze kamieni o ustach z różowego marmuru, lśniących oczach z miki i warkoczach ze złocistego pirytu albo czystego kwarcu. Stoją na schodach budynków, do których nie wszedł żaden człowiek od dziesiątków tysięcy lat. Siedzą na parapetach z kamienia i metalu, które zaczęły się już deformować pod ich niewiarygodnym ciężarem. Jedna kobieta ma uniesione kolana; otacza je ramionami i opiera się o drzewo, którego korzenie obrosły ją dookoła. Mech pokrywa jej ramiona i włosy. Obserwuje Nassun z czymś w rodzaju zainteresowania, a poruszają się tylko jej oczy. Oni wszyscy patrzą tylko, jak ta ruchliwa, głośna dziewczynka chlipie na słonym wietrze aż do wyczerpania, a potem po prostu siedzi tam z palcami wciąż wczepionymi w koszulę Schaffy.

Inny dzień, ten sam (?) rok.

Żadnego pisania o Innonie i Koru. Od dzisiaj nie poruszam tych tematów.

Sjen. Nadal ją czuję – nie sejszę, ale właśnie czuję. Jest tu obelisk, myślę, że to spinel. Kiedy się z nim łoncz łączę, to tak, jakbym czuł wszystko, co czują inne połączone z nim osoby. Ametyst podąża za Sjen. Zastanawiam się, czy ona o tym wie.

Antymona twierdzi, że Sjen dotarła na ląd i teraz wałen się tam wałęsa. Domyślam się więc, że to dlatego ja czuję się, jakbym gdzieś wędrował. Tylko ona została, ale ni... kurwa.

To miejsce jest dziwaczne. Anniemona miała rację, że istnieje sposób na uruchomienie Wrót Obelisków bez budki kontrolnej? (Onyks. Zbyt potężny, nie mogę ryzykować, uruchomiłbym go za szybko, a wtedy kto miałby dokonać drugiej zmiany traj?) Ale, te zardzewiałce, które to zbudowały, wsadziły wszystko w tę głupią dziurę. A trochę mi o tym powiedziała. Wielki projekt, pocałujcie mnie w dupę. Jeszcze gorzej oglądać to na własne oczy. To całe zardzewiałe miasto to scena zbrodni. Rozejrzałem się i wyczułem wielkie rury biegnące po dnie oceanu. olb OLBRZYMIE, gotowe

przepompować coś z dziury na kontynent. Magia, tak mówi Anymona, czy naprawdę potrzebowali jej aż tak dużo????? Więcej niż Wrota!

Poprosiłem Tynamonę, żeby wzięła mnie dzisiaj do dziury, ale odmówiła. Co jest w tej dziurze, co? Co jest w dziurze.

Przed zachodem słońca pojawia się kolejny zjadacz kamieni. Wśród tych elegancko ubranych, barwnych posągów wyróżnia się swoją szarością i brakiem odzienia: to Stal. Stoi nad Nassun przez kilka minut, być może spodziewając się, że ta podniesie wzrok i go zauważy, ale tak się nie dzieje.

– Nocami wiatr znad oceanu potrafi być zimny.

Cisza. Jej dłonie co chwilę zaciskają się na ubraniu Schaffy, ale nie są to ruchy spazmatyczne. Nassun jest po prostu zmęczona. Trzyma go tak, od kiedy byli w środku Ziemi.

Po pewnym czasie, kiedy słońce dociera już prawie do linii horyzontu, Stal stwierdza:

– Dwie przecznice stąd znajduje się funkcjonalne mieszkanie. Zgromadzona tam żywność powinna być jadalna.

– Gdzie? – pyta Nassun. Ma ochryply głos. Potrzebuje wody. Ma jej trochę w swojej manierce, podobnie jak w manierce Schaffy, ale żadnej z nich nie otworzyła.

Stal zmienia pozycję i ręką wskazuje kierunek. Nassun podnosi głowę, żeby spojrzeć w tamtą stronę, i widzi ulicę, nienaturalnie prostą, biegnącą wprost ku linii horyzontu. Wstaje chwiejnie, mocniej chwyta Schaffę i znowu zaczyna go ciągnąć.

Kto jest w dziurze, co jest w dziurze, dokąd prowadzi dziura, jakże ja jestem zagrzebany!

Z.K. przyniosła dzisiaj lepsze jedzenie, bo nie jem wystarczająco dużo. Mam więc wyjątkową, świeżą dostawę z drugiej stony świata. Wysuszę pestki i zasadzę. Pamiętać: zdrzapać pomodora, którym rzuciłem w A.

Język książki wygląda bardzo podobnie do sanzeńskiego. Podobne litery? To poprzednik? Niektóre słowa prawie rozpoznaję. Trochę starego eturpickiego, trochę hladdackiego, odrobina języka z czasów wczesnej dynastii Regwo. Szkoda, że nie ma tu Shinasha. Oszalałby, widząc mnie z książkami starymi jak świat. Zawsze tak łatwo było mu dokuczyć. Tęsknię za nim.

Tęsknię za wszystkimi, nawet za ludźmi z zardzewiałego Fulcrum (!) Tęsknię za głosami wychodzącymi z ich zardzewiałych ust. SJENIT mogła zmusić mnie do jedzenia, ty gadająca skała. To ja obchodziłem SJENIT, a nie tylko to, czy potrafię naprawić świat, który mam gdzieś. SJENIT powinna być tu ze mną, oddałbym wszystko, żeby mogła tu ze mną być

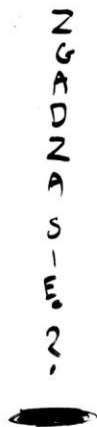
Nie. Powinna zapomnieć o mnie i o In Meov. Znaleźć sobie jakiegoś nudnego głupka, z którym naprawdę będzie chciała sypiać. Powinna mieć nudne życie. Zasluguje na to.

Noc zapada akurat wtedy, gdy Nassun dociera do budynku. Stał, już w innej pozycji, pojawia się przed dziwną, asymetryczną budowlą w kształcie klina, której węższa ściana zwrócona jest w stronę wiatru. Pochyły, osłonięty przed podmuchami dach budynku porasta dzika roślinność. Jest tam wystarczająco dużo ziemi, więcej niż wiatr mógłby nawiać nawet przez wieki. Zieleń wygląda więc, jakby ją tu uprawiano, ale wymknęła się spod kontroli. Nassun widzi jednak, że w całym tym bałaganie ktoś zagospodarował ogród, i to niedawno – tutaj też wszystko jest przerośnięte, a nowe pędy kiełkują z opadłych owoców i niezadbanych winorośli, ale zważywszy na stosunkowo niewielką ilość chwastów i wciąż równe grządki, można się domyślić, że ogród zaniedbany jest od może roku albo dwóch. Sezon trwa już prawie dwa lata.

Drzwi do budynku same reagują, przesuwając się w bok, kiedy Nassun do nich podchodzi. Gdy odciąga Schaffę na odpowiednią odległość, automatycznie się zamykają. Stał wchodzi do środka i wskazuje na górę. Nassun ciągnie Schaffę w stronę schodów, a potem upada obok niego, roztrzęsiona i zbyt wyczerpana, żeby choć rozważyć kolejny krok.

Przykłada głowę do piersi opiekuna i odkrywa, że jego serce nadal jest silne. Z zamkniętymi oczami prawie potrafi sobie wyobrazić, że to on obejmuje ją, a nie odwrotnie. Nie jest jej zbyt wygodnie, ale teraz nie potrzebuje wiele, by zapaść w spokojny sen.

Druga strona świata
Jest po drugiej stronie dziury.



Rano Nassun wciąga Schaffę po schodach. Na szczęście mieszkanie znajduje się na pierwszym piętrze, a schody wychodzą prosto na drzwi. W środku wszystko wydaje się dziwne, a jednak przeznaczenie kolejnych mebli łatwo jest odgadnąć. Jest tam kanapa, choć oparcie znajduje się z boku, a nie z tyłu. Są też krzesła, z których jedno

przymocowano do pochylego stołu. Być może służy on do rysowania. Najdziwniejsze jest łóżko w sąsiednim pokoju: jest wielkie, w kształcie półokręgu i nie ma na nim poduszek ani pościeli. Kiedy Nassun niepewnie się na nim kładzie, odkrywa, że jego powierzchnia w zadziwiająco wygodny sposób dostosowuje się do kształtu jej ciała. Łóżko jest również ciepłe – rozgrzewa się pod nią, aż znika ból po nocy spędzonej przy schodach. Zafascynowana Nassun bada ten mebel i ze zdumieniem odkrywa, że mnóstwo w nim magii, która teraz pokryła i ją. Srebrne nici oplatają jej ciało i zmniejszają dyskomfort, dotykając jej nerwów, goją jej sińce i zadrapania; inne nici poruszają cząsteczki łóżka, rozgrzewając je dzięki tarciu; jeszcze inne wyszukują na skórze Nassun drobinki kurzu i pozbywają się ich. Wygląda to podobnie jak wtedy, kiedy Nassun używa srebra, aby kogoś wyleczyć albo coś przeciąć – ale wydaje się dziwnie automatyczne. Nassun nie ma pojęcia, kto mógłby stworzyć łóżko wykorzystujące magię ani po co miałyby to robić. Nie pojmuję, jak to możliwe, że udało się skłonić całe to srebro, aby robiło wszystkie te miłe rzeczy, ale to naprawdę się dzieje. Nic dziwnego, że ludzie, którzy zbudowali obeliski, potrzebowali tak wiele magii, skoro używali jej zamiast ciepłych koców, pryszniców i lekarstw.

Nassun zauważa, że Schaffa zrobił pod siebie. Krępuje się, rozbierając go i czyszcząc znalezionymi w łazience elastycznymi szmatkami, ale pozostawienie go we własnych brudach byłoby znacznie gorsze. Mężczyzna ma otwarte oczy, ale nimi nie porusza, kiedy ona krząta się wokół niego. Wieczorem jego oczy zamykają się znowu i choć Nassun przemawia do niego (błaga go, aby się obudził, prosi go, żeby jej pomógł, mówi mu, że go potrzebuje), on jej nie odpowiada.

Wsuwa mu pod pośladki kilka szmat i wciąga go na łóżko. Nalewa mu do ust wody z manierek, a kiedy te zostają opróżnione, ostrożnie próbuje nabrać więcej z dziwnej pompy w kuchni. Nie ma przy niej żadnych dźwigni ani uchwytów, ale kiedy wkłada manierkę pod kran, woda sama zaczyna płynąć.

Nassun wyjmuje proszek z ratujwórka, żeby przyrządzić z wody bezpiecznik i sprawdzić zanieczyszczenia. Proszek rozpuszcza się, ale płyn pozostaje mglisty i biały, więc Nassun wypija wodę, a potem przynosi więcej Schaffie. Mężczyzna pije gwałtownie, co oznacza, że był naprawdę spragniony. Nassun daje mu rodzynki, które wcześniej namoczyła w wodzie, a on żuje i przetyka, choć powoli i bez zapału. Opiekowanie się nim nie wyszło jej zbyt dobrze.

Postanawia, że od teraz będzie się starać jeszcze bardziej, i wychodzi do ogrodu po jedzenie dla siebie i dla niego.

Sjenit podała mi datę. Sześć lat. Minęło sześć lat? Nic dziwnego, że jest taka zła. Kazała mi skoczyć do dziury, ponieważ minęło tyle czasu. Nie chce więcej mnie widzieć. Kamień zamiast serca. Przeprosiłem ją. To wszystko moja wina.

Moja wina. Mój Księzyc. Obróciłem dziś zapasowy klucz. (Linie wzroku, linie siły, trzy razy trzy razy trzy. Układ sześcienny, jak mała sieć krystaliczna). Klucz otwiera Wrota. Niebezpiecznie byłoby jednak sprowadzać tyle obelisków do Yumenes; wszędzie Stróże. Zaraz by mnie złapali. Lepiej zrobić zapasowy klucz z górotworów, a kogo mogę

użyć? Kto jest na tyle silny? Sjen nie – prawie, ale nie. Innon też nie. Koru tak, ale nie mogę go znaleźć. Zresztą to tylko dziecko, więc byłoby nie w porządku. Dzieci. Mnóstwo dzieci. Opiekunowie węzłów? Opiekunowie węzłów!

Nie. Wystarczająco dużo już wycierpieli. Zamiast tego wykorzystam seniorów z Fulcrum.

Albo opiekunów węzłów.

Dlaczego miałbym robić to tutaj? Zatkanym dziurę. Za to tam... Dostać Yumenes. Dostać Fulcrum. Dostać wielu Stróżów.

Prześnij mnie męczyć, kobieto. Powiedz Innonowi, żeby cię zerznął czy coś. Zawsze jesteś taka nieznośna, jak nie poruchasz. Jutro wskoczę do dziury.

Staje się to rutyną.

Rano Nassun opiekuje się Schaffą, a po południu wychodzi poznawać miasto i szukać potrzebnych im rzeczy. Nie musi myć Schaffy ani sprzątać po jego wypróżnianiu – to zadziwiające, ale łóżko zajmuje się jednym i drugim. Nassun tylko więc mówi do niego, prosi, żeby wstał, i przyznaje przed nim, że nie wie, co robić.

Stal znowu znika. Nassun to nie obchodzi.

Co jakiś czas pojawiają się jednak inni zjadacze kamieni, a przynajmniej Nassun wyczuwa ich potężną obecność. Pewnego ranka budzi się na kanapie, przykryta kocem. To zwykły kawałek szarego, ale ciepłego materiału. Jest im za niego wdzięczna. Kiedy zaczyna usuwać tłuszcz z kiełbasy, żeby zrobić z niego łój – świece z ratujworka są coraz krótsze – dostrzega na schodach zjadacza kamieni wyciągającego do niej rękę w przyzywającym geście. Rusza za nim, a on zatrzymuje się przy panelu pokrytym dziwnymi symbolami. Wskazuje na jeden z nich. Nassun dotyka go, a symbol rozjaśnia się srebrem i błyszczy, sięgając niemi do jej skóry. Zjadacz kamieni mówi coś w języku, którego Nassun nie rozumie, a potem znika, ale kiedy dziewczynka wraca do mieszkania, jest tam cieplej, a nad jej głową świecą białe światła. Można je wyłączyć, dotykając kwadratów na ścianach.

Któregoś popołudnia wchodzi do mieszkania i zastaje w nim zjadacza kamieni kucającego obok sterty przedmiotów, które wyglądają, jakby pochodziły z jakiejś spiżarni: są tam konopne worki pełne warzyw korzeniowych, grzybów i suszonych owoców, wielka gomółka białego sera, owinięte w skórę suszone mięso, paczki suszonego ryżu i fasoli oraz – jakże cenna – niewielka baryłka soli. Zjadacz kamieni znika, kiedy Nassun zbliża się do tej sterty, dlatego nie może nawet mu podziękować. Odkładając kolejne rzeczy, z każdej z nich zdmuchuje popiół.

Nassun zorientowała się, że mieszkanie, podobnie jak ogród, do niedawna musiało być używane. Wszędzie widać ślady życia poprzednich mieszkańców: w szufladach znajdują się spodnie, stanowczo na nią za duże, a także męska bielizna. (Któregoś dnia na ich miejscu pojawiają się ubrania pasujące na Nassun. Kolejny zjadacz kamieni? A może magia tego miejsca jest jeszcze potężniejsza, niż sądziła). W jednym z pomieszczeń znajdują się książki, których znaczna część musiała być wydrukowana w tym mieście – Nassun zaczyna już rozpoznawać przedmioty pochodzące z Rdzenia: są perfekcyjnie

wykonane, ale nie wyglądają do końca naturalnie. Jest też kilka zwykłych tomów, oprawionych w marszczącą się skórę i wciąż śmierdzących atramentem oraz chemikaliami. Niektóre książki napisane są w języku, którego nie rozumie, najpewniej używanym na Wybrzeżu.

Jedna z nich wytworzona jest z materiałów z Rdzenia, ale jej białe strony zostały odręcznie zapisane w języku sanzeńskim. Nassun siada i zaczyna czytać.

WSZEDŁEM

DO DZIURY

NIE

nie zakopuj mnie

proszę, Sjen, NIE, ja cię kocham, przepraszam, opiekuj się mną, chroń mnie, a ja będę chronił ciebie, nikt nie jest tak silny jak ty, tak bardzo chciałbym, żebyś tu była, proszę NIE

Rdzeń to martwe miasto.

Nassun zaczyna tracić poczucie czasu. Zjadacze kamieni co jakiś czas z nią rozmawiają, ale większość z nich nie zna jej języka, a ona słyszy ich mowę zbyt rzadko, by spróbować się jej nauczyć. Obserwuje ich czasami i z fascynacją uświadamia sobie, że niektórzy z nich wykonują pewne zadania. Patrzy na kobietę w kolorze malachitowej zieleni stojącą wśród drzew powyginanych wiatrem i po jakimś czasie uświadamia sobie, że trzyma ona jedną z gałęzi, żeby ta rosła w określony sposób. Wszystkie drzewa, które wyglądają na wykrzywione od wiatru, tak naprawdę są uformowane jak dzieła sztuki. Musiało to zająć całe lata.

Na skraju miasta, na jednym z tych dziwnych podłużnych obiektów, które wystają nad wodę – nie są to mola, ale gładkie kawałki metalu skonstruowane pozornie bez celu – codziennie stoi inny zjadacz kamieni, unosząc jedną rękę. Nassun znajduje się akurat w pobliżu, kiedy słyhać chlupot i zjadacz kamieni rozmywa się na moment, a zaraz potem w uniesionej dłoni trzyma za ogon olbrzymią, szamoczącą się rybę, która rozmiarami przypomina jego samego. Na jego marmurowej skórze lśnią kropelki wody. Nassun nie ma co robić, więc siada i patrzy. Po jakimś czasie do zjadacza kamieni podpływa ssak wodny – Nassun czytała o tych stworzeniach, które wyglądają jak ryby, ale oddychają powietrzem. Ma szarą skórę i kształt walca, jego szczeka najeżona jest małymi, ostrymi ząbkami. Kiedy wyłania się z wody, Nassun widzi, że jest bardzo stary, a po dziwnych ruchach jego łba wnioskuje, że jakiś czas temu ośleplł. Ponad oczyma widać stare blizny; ktoś musiał poważnie go zranić. Zwierzę trąca zjadacza kamieni, który oczywiście się nie porusza, a następnie nadgryza trzymaną przez niego rybę. Odrywa kolejne kawałki mięsa i je połyka, aż w końcu zjadacz wypuszcza z dłoni sam ogon. Istota wydaje z siebie skomplikowany, wysoki odgłos przypominający... świergot? Albo śmiech. Zanurza się w wodzie i odpływa.

Zjadacz kamieni zwraca się twarzą do Nassun. Dziewczynka wstaje i podchodzi do

niego, żeby z nim porozmawiać. W międzyczasie jednak on znika.

Nassun rozumie teraz, że jest tu jakieś życie. Nie takie, jakie zna, ani takie, jakie by wybrała, ale jednak życie. To pocieszenie w sytuacji, kiedy nie ma już Schaffy, który mógłby ją zapewnić, że wszystko jest w porządku. Dzięki temu – i dzięki wszechobecnej ciszy – ma czas na żalobę. Do tej pory nie rozumiała, że jej potrzebuje.

Postanowiłem.

To niewłaściwe. Wszystko jest niewłaściwe. Niektórych rzeczy nie da się naprawić. Trzeba je po prostu skończyć, zamieść śmieci i zacząć od nowa. Antymona się zgadza. Niektórzy inni Z.K. też. A niektórzy nie.

Niech ich rdza. Zabili mnie, żeby zrobić sobie ze mnie broń, więc tym właśnie będę. To mój wybór. Moje przykazanie. Zrobimy to w Yumenes. Przykazanie wyryte jest w kamieniu.

Pytałem dzisiaj o Sjen. Nie wiem, dlaczego wciąż mi na niej zależy. Antymona ma ją na oku. (Ze względu na mnie?) Sjenit mieszka w jakiejś dziurze w Somidlatach, nie pamiętam nazwy, i udaje nauczycielkę. Udaje małą, szczęśliwą nieruchomą. Ma męża i dwójkę nowych dzieci. No proszę. Nie wiem, jak córka, ale chłopiec przyciąga akwamaryn.

Niesamowite. Nic dziwnego, że Fulcrum postanowiło dobrać cię ze mną w parę. I wbrew wszystkiemu spłodziłyśmy piękne dziecko, prawda? Mojego chłopca.

Nie pozwolę im znaleźć twojego chłopca, Sjen. Nie pozwolę im go zabrać, wypalić mu mózgu i wsadzić go w druciane krzesło. Nie pozwolę im też znaleźć twojej dziewczynki, jeśli jest jedną z nas albo jeśli tylko ma potencjał na Stróżkę. Kiedy skończę, nie będzie już Fulcrum. To, co wydarzy się później, nie będzie dobre, ale będzie złe po równo dla wszystkich – dla biednych i bogatych, dla Równikejczyków i bezwspółnotowych, dla Sanzeńczyków i mieszkańców Arktyki. Dla nas każda pora roku jest piątą. Nasza apokalipsa nigdy się nie kończy. Mogli wybrać inną równość. Moglibyśmy wszyscy być bezpieczni i spokojni, ale nie chcieli tego. Teraz więc nikt nie będzie bezpieczny. Może dzięki temu zrozumieją wreszcie, że pewne rzeczy muszą się zmienić.

A potem zakończę to i odstawię Księżyc na miejsce. (Pierwsze dostosowanie trajektorii nie powinno mnie ukamienować. Chyba że niedoszacowałem Nie powinno). Tylko do tego zresztą się już teraz nadaję.

A potem... wszystko będzie zależeć od ciebie, Sjen. Ulepsz to wszystko. Wiem, że mówiłem ci, że to niemożliwe i że nie da się ulepszyć świata, ale myliłem się. Niszczę świat, bo się myliłem. Miałaś rację, trzeba zacząć od nowa, trzeba to zmienić. Ulepszyć świat dla dzieci, które ci zostały. Stworzyć taki świat, w jakim Korund byłby szczęśliwy. Świat, gdzie ludzie tacy jak my – jak ty, ja, Innon i nasz słodki, piękny chłopiec – moglibyśmy dalej istnieć.

Antymona twierdzi, że mogę doczekać takiego świata. Zobaczymy. Niech to rdza. Ociągam się. Ona czeka. Wracamy dziś do Yumenes.

Dla ciebie, Innon. Dla ciebie, Koru. Dla ciebie, Sjen.

Nocami Nassun widuje Księżyc.

Pierwszego wieczoru było to przerażające, kiedy wyjrzała na zewnątrz i zobaczyła dziwny, blady blask wydobywający z mroku ulice i drzewa, a potem spojrzała w górę i dostrzegła olbrzymią kulę na niebie. Księżyc wydaje jej się ogromny – większy niż słońce, znacznie większy niż gwiazdy, z cienką smugą luminescencji, pochodzącej – o czym Nassun nie wie – od lodu, który przywierał do jego powierzchni przez lata jego wędrówek. Prawdziwym zaskoczeniem jest biel Księżyca. Nassun wie o nim bardzo niewiele – tylko to, co powiedział jej Schaffa. Tłumaczył jej, że to satelita, zaginione dziecko Ojca Ziemi i obiekt odbijający światło słoneczne. Dlatego spodziewała się, że będzie żółty. Niepokoi ją, że tak bardzo się myliła.

Jeszcze bardziej niepokoi ją, że w Księżycu, prawie na samym środku, jest dziura: wielka, ziejąca czerń niczym źrenica w białym oku. Jest za mała, żeby to stwierdzić, ale Nassun podejrzewa, że być może gdyby patrzyła w nią wystarczająco długo, mogłaby zobaczyć przez nią gwiazdy po drugiej stronie Księżyca.

W pewnym sensie to wszystko do siebie pasuje. Cokolwiek się wydarzyło te kilka wieków temu, doprowadzając do utraty Księżyca, z pewnością było kataklizmem na wielu poziomach. Skoro Ziemia przetrwała Sezon Zniszczenia, to fakt, że Księżyc nosi blizny po tym okresie, wydaje się naturalny. Nassun pociera kciukiem dłoni, którą w poprzednim życiu złamała jej mama.

I kiedy tak stoi w tym ogrodzie na dachu i patrzy na Księżyc w końcu dostrzega jego piękno. To lodowobiałe oko, a ona nie ma powodu, aby darzyć lodowobiałe oczy niechęcią. Jest jak srebro, które zwija się i wiruje na przykład wewnątrz skorupy ślimaka. Przypomina jej o Schaffie – który w pewnym sensie nadal nad nią czuwa – i czuje się dzięki temu trochę mniej samotna.

Z czasem Nassun odkrywa, że może używać obelisków, aby poczuć Księżyc. Szafir znajduje się po drugiej stronie świata, ale tutaj, nad oceanem, są inne, które przybyły w odpowiedzi na jej wezwanie, a ona wypróbowała już i oswoiła każdy z nich. Obeliski pomagają jej wyczuwać (nie sejszyć), że Księżyc wkrótce będzie tak blisko Ziemi, jak nie był od bardzo dawna. Jeśli Nassun go nie schwyta, minie Ziemię i zacznie gwałtownie się zmniejszać, aż w końcu zniknie na niebie. Ale może też otworzyć Wrota i przypiąć się do nich, zmieniając wszystko. Okrucieństwo status quo albo komfort niepamięci. Wybór wydaje jej się oczywisty... z jednym zastrzeżeniem.

Pewnej nocy, siedząc i patrząc na wielką białą kulę, Nassun mówi:

– To było celowe, prawda? To, że nie powiedziałeś mi, co może przydarzyć się Schaffie. Chciałeś się go pozbyć.

Góra, która znajdowała się w pobliżu, przemieszcza się nieznacznie i zatrzymuje się za jej plecami.

– Próbowałem cię ostrzec.

Nassun się odwraca. Na widok jej twarzy Stal wydaje z siebie cichy śmiech, w którym pobrzmiwa samokrzytyka. Milknie jednak, kiedy Nassun mówi:

– Jeśli on umrze, znienawidzę cię bardziej, niż nienawidzę świata.

Dziewczynka zaczyna sobie uświadamiać, że to wojna na wyniszczenie, a ona ją przegra. W ciągu kilku tygodni (?) a może miesięcy (?), od kiedy przybyli do Rdzenia, stan Schaffy wyraźnie się pogorszył: jego skóra nabrała brzydkiego, bladego odcienia, a włosy stały się matowe i kruche. Ludzie nie są stworzeni do wielotygodniowego leżenia w bezruchu, zdolni do mrugania, ale nie do myślenia. Wcześniej tego samego dnia musiała obciąć mu włosy. Łóżko wybiera pomiędzy nich brud, ale ostatnio stały się tłuste, a na dodatek zaczęły się plątać – dzień wcześniej, kiedy obróciła go na brzuch, kilka kosmyków musiało owinać mu się wokół ramienia, odcinając dopływ krwi, czego nie zauważyła. (Nakrywa go kocem, mimo że łóżko jest ciepłe i nie ma takiej potrzeby. Martwi ją jednak, że Schaffa jest nagi i pozbawiony godności). Tego ranka, kiedy wreszcie to dostrzegła, ramię było blade i lekko szarawe. Uwolniła je i roztarła skórę w nadziei na przywrócenie jej normalnej barwy, ale kończyła nadal nie wygląda dobrze. Nassun nie wie, co robi, jeśli się okaże, że z ramieniem Schaffy jest coś poważnie nie tak. Może stracić go w ten sposób całego, po kawałku – kiedy rozpoczął się Sezon, miała niecałe dziewięć lat i opieki nad inwalidami nikt jej w szkole nie uczył.

– Jeśli przeżyje, już nigdy nie doświadczy choćby chwili bez agonii – odpowiada Stal bezbarwnym głosem. Wpatruje się w twarz Nassun, a dziewczynka drży w środku, słysząc te słowa i próbując im zaprzeczyć. Ogarnia ją przerażenie, że Stal jednak ma rację.

Wstaje.

– M-muszę wiedzieć, jak go wyleczyć.

– To niemożliwe.

Zaciska pięści. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów jakaś jej część sięga do ziemi. To znaczy do wulkanu tarczowego pod Rdzeniem... ale kiedy „chwytą” go górotwórczo, ze zdziwieniem odkrywa, że wulkan jest w jakiś sposób zaczepiony. Rozprasza ją to na chwilę i musi przejść świadomością na srebro – a tam znajduje solidne, iskrzące filary magii wbite w fundamenty wulkanu i przytrzymujące go w miejscu. Wulkan nadal jest aktywny, ale z powodu tych filarów nigdy nie wybuchnie. Pomimo otworu w samym jego środku prowadzącego do wnętrza ziemi, jest tak samo stabilny jak skalne podłoże.

Nassun odsuwa to od siebie jako nieważne i w końcu wypowiada na głos myśl, która rodziła jej się w głowie podczas tych kilku ostatnich dni spędzonych w mieście kamiennych ludzi.

– Jeśli... jeśli zmienię go w zjadacza kamieni, przeżyje. I nic nie będzie go bolało. Prawda? – Stal nie odpowiada. W przedłużającej się ciszy Nassun przygryza wargę. – W takim razie musisz mi powiedzieć, jak... jak przemienić go w kogoś takiego jak ty. Na pewno będę mogła to zrobić, jeśli użyję Wrót. Dzięki nim mogę zrobić wszystko. Tylko że...

Tylko że Wrota Obelisków nie nadają się do takich drobiazgów. Nassun czuje, sejszy, po prostu wie, że dzięki Wrotom jest teraz wszechmocna, ale wie też, że nie może użyć ich do przekształcenia tylko jednego człowieka. Jeśli przemieni Schaffę w zjadacza kamieni... z każdą istotą ludzką na tej planecie stanie się to samo. Dotknie to wszystkie wspólnoty, wszystkie bandy bezwspólnotowych i każdego głodującego wędrowca: zamiast jednego będzie takich miast dziesięć tysięcy. Cały świat stanie się taki jak Rdzeń.

Ale czy to naprawdę takie straszne? Gdyby wszyscy stali się zjadaczami kamieni, nie byłoby już górotworów ani nieruchomości. Nie byłoby umierających dzieci ani ojców, którzy je zabijają. Piąte Pory Roku mogłyby przychodzić i odchodzić, ale nie miałyby to żadnego znaczenia. Już nigdy nikt nie musiałby głodować. Czy zmiana świata w miejsce tak spokojne jak Rdzeń... nie byłaby dobrodziejstwem?

Twarz Stali, dotąd skierowana w stronę Księżyca, obraca się teraz w jej kierunku. Te jego powolne ruchy zawsze budzą niepokój.

– Czy wiesz, jakie to uczucie żyć wiecznie?

Nassun mruga, jest zaskoczona. Spodziewała się walki.

– Co?

Światło księżyca zmieniło Stalą w postać złożoną z ostrych cieni, odcinającą się na tle półmroku ogrodu.

– Pytałem, czy wiesz, jakie to uczucie żyć wiecznie – powtarza niemal uprzejmym głosem. – Tak jak żyję ja. Jak żyje twój Schaffa. Czy masz pojęcie, w jakim on jest wieku? Czy w ogóle cię to obchodzi?

– Ja... – Zamierzając powiedzieć, że tak, Nassun nagle zmienia zdanie. Nie. To coś, o czym nigdy nawet nie myślała. – Ja... ja nie...

– Szacowałbym, że Stróże żyją średnio trzy–cztery tysiące lat. Czy potrafisz sobie wyobrazić taki okres? Pomyśl o ostatnich dwóch latach. O twoim życiu od rozpoczęcia Piątej Pory Roku. Wyobraź sobie kolejny rok. Możesz to zrobić, prawda? Tutaj, w Rdzeniu, każdy dzień odczuwa się jak rok, tak przynajmniej mówią mi przedstawiciele twojego gatunku. A teraz połącz te trzy lata i wyobraź sobie okres tysiąc razy dłuższy. – Wyraźnie kładzie nacisk na ostatnie słowa. Nassun drży wbrew sobie.

Ale wbrew sobie również... myśli. Czuje się staro, ona, która ma niecałe jedenaście lat. Tak wiele wydarzyło się od momentu, kiedy wróciła do domu, aby znaleźć na podłodze ciało swojego braciszka. Jest już inną osobą i prawie wcale nie ma w niej tamtej Nassun. Czasami dziwi się, że wciąż ma tak na imię. Jak bardzo będzie się od siebie różnić za trzy lata? Za dziesięć? Za dwadzieścia?

Stal czeka na jakąkolwiek zmianę w wyrazie jej twarzy – być może jakiś dowód na to, że Nassun go słucha. Wreszcie mówi:

– Jest coś, co pozwala mi sądzić, że twój Schaffa jest znacznie, znacznie starszy od większości Stróżów. Należy do pierwszego pokolenia, które dawno już wymarło. Nie dało rady. On jest jednym z pierwszych i wciąż żyje. Wiesz, zawsze da się to poznać po języku. Oni pamiętają swój język, nawet jeśli zapomnieli już imię, z jakim przyszli na świat.

Nassun przypomina sobie, jak Schaffa rozpoznał język, którym posługiwał się wehimal. Dziwnie jest myśleć, że urodził się w czasach, kiedy tego języka jeszcze używano. Oznaczałoby to, że ma... Nassun nie potrafi sobie nawet tego wyobrazić. Stare Sanze trwa podobno od siedmiu Sezonów, a włączając obecny, od ośmiu. To prawie trzy tysiące lat. Księżycowy cykl oddalania się i powrotów jest znacznie starszy, a Schaffa go pamięta, więc... tak. Jest bardzo, bardzo stary. Nassun marszczy czoło.

– Rzadko spotyka się wśród nich takiego, który potrafi tyle wytrzymać – kontynuuje Stal. Mówi to zwyczajnym, swobodnym tonem; mógłby opowiadać jej w ten sposób o jej starych sąsiadach z Jekity. – Bo widzisz, śródkamień sprawia im bardzo wiele

bólu. Męczą się, potem stają się nieuważni, wreszcie Ziemia zaczyna ich zatruwać, zanieczyszczać, powoli pożerać ich wolną wolę. Nie wytrzymują tego długo. Jeśli nie wykorzystuje ich Ziemia, robią to inni Stróże, aż w końcu jedna albo druga strona ich zabija. To, że twój Schaffa przetrwał tak długo, to dowód na to, jaki jest silny. A może dowód na coś innego. To, co wykańcza pozostałych, to utrata wszystkiego, czego normalni ludzie potrzebują, by funkcjonować. Wyobraź to sobie, Nassun. Wyobraź sobie, że widzisz, jak wszyscy, których kochałaś i na których ci zależało, umierają. Że obserwujesz, jak znika twój dom i musisz znaleźć sobie nowy – i tak bez końca. Wyobraź sobie, że boisz się zbliżyć do kogokolwiek. Że nie masz przyjaciół, bo wszystkich przeżyjesz. Czy jesteś samotna, mała Nassun?

Zapomniała o swojej złości.

– Tak – przyznaje, zanim zdąży się powstrzymać.

– Wyobraź sobie bycie samotną zawsze i wszędzie. – Nassun dostrzega na jego ustach bardzo delikatny uśmiech. Był tam przez cały czas. – Wyobraź sobie, że pozostajesz tutaj, w Rdzeniu, na zawsze, i nie możesz porozmawiać z nikim oprócz mnie... a i to tylko wtedy, kiedy zechcę odpowiedzieć. Jak byś się wtedy czuła, Nassun?

– Okropnie – odpowiada cicho.

– Tak. Oto więc moja teoria: uważam, że twój Schaffa przetrwał dzięki miłości do swoich podopiecznych. Ty i pozostali łagodziliście jego samotność. On naprawdę cię kocha, nigdy w to nie wątp. – Nassun przełyka coś bolesnego. – Ale również cię potrzebuje. Dajesz mu szczęście. Sprawiasz, że wciąż jest człowiekiem, choć w innym wypadku czas zmieniłby go już w coś zupełnie innego.

Stal znowu się porusza. Nassun uświadamia sobie, że jego ruchy są tak nieludzkie z powodu swojej jednostajności – u ludzi tempo gestykulacji jest zróżnicowane, tymczasem patrzenie na niego przypomina obserwowanie topniejącej rzeźby. Chwilę później stoi z rozpostartymi ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Spójrz na mnie”.

– Mam czterdzieści tysięcy lat – stwierdza. – Plus minus kilka wieków.

Nassun wpatruje się w niego. Te słowa są jak mowa wehimala – prawie zrozumiałe, ale jednak nie. Nierzeczywiste.

Ale jakie to uczucie?

– Umrzesz, kiedy otworzysz Wrota – mówi Stal, dawszy jej najpierw kilka chwil na przetrwanie tego, co powiedział. – A jeśli nie wtedy, to jakiś czas później. Kilka dekad, kilka minut, to żadna różnica. I cokolwiek zrobisz, Schaffa cię straci. Straci jedyną rzecz, która pozwalała mu pozostać człowiekiem mimo wysiłków Ziemi zmierzających do pożarcia jego wolnej woli. Nie znajdzie też nikogo nowego, kogo mógłby pokochać. Nie tutaj. A nie będzie mógł powrócić do Bezruchu, chyba że postanowi zaryzykować kolejną podróż w głąb Ziemi. Niezależnie więc od tego, czy jakoś wyzdrowieje czy zmienisz go w jednego z nas, nie będzie miał innego wyboru, jak tylko istnieć dalej w samotności, bez końca pragnąc tego, czego nigdy już mieć nie będzie. – Stal powoli opuszcza ramiona. – Nie masz pojęcia, jakie to uczucie.

Zaraz potem stoi tuż przed Nassun. Żadnego rozmycia, żadnego ostrzeżenia – po prostu jest tutaj, pochylony, a jego twarz zbliża się tak szybko, że Nassun czuje poruszenie powietrza i zapach gliny, a nawet zauważa, że źrenice Stali są prążkowane.

– ALE JA MAM – wrzeszczy zjadacz kamieni.

Nassun cofa się z krzykiem. Pomiędzy jednym a drugim mrugnięciem oczu Stal wraca do swojej poprzedniej, wyprostowanej pozycji z ramionami przy ciele i uśmiechem na ustach.

– Zatem to przemyśl – mówi. Jego głos znowu jest swobodny, jakby nic się nie stało. – Kieruj się czymś więcej niż tylko dziecięcym egoizmem, mała Nassun. I zadaj sobie pytanie: nawet gdybym mógł pomóc ci ocalić tę władczą, sadystyczną kupę gówna, która aktualnie pełni funkcję twojego przybranego ojca, dlaczego miałbym to zrobić? Nawet moi wrogowie nie zasługują na taki los. Nikt nie zasługuje.

Nassun nadal drży. Odważnie odpowiada:

– Sch-Schaffa może chcieć żyć.

– Tak. Ale czy powinien? Czy ktokolwiek powinien żyć wiecznie? To jest pytanie.

Czuje widmowy ciężar niezliczonych lat i w pewnym sensie wstydzi się, że jest dzieckiem. Gdzieś w środku wciąż jest grzeczną dziewczynką i po wysłuchaniu opowieści Stali nie potrafi czuć do niego jedynie złości. Odwraca wzrok.

– Przepraszam.

– Ja też.

Zapada chwila ciszy. Nassun powoli dochodzi do siebie. Kiedy znowu spogląda na Stalę, po jego uśmiechu nie ma już śladu.

– Kiedy otworzysz Wrota, nie będę mógł cię powstrzymać – mówi zjadacz kamieni. – Manipulowałem tobą, to prawda, ale wybór wciąż należy wyłącznie do ciebie. Pomyśl o tym. Będę żył tak długo, jak długo żyć będzie Ziemia. To była nasza kara: staliśmy się jego częścią, a nasz los został nierozzerwalnie związany z jego losem. Ziemia nie zapomina ani tych, którzy dźgnęli go w plecy, ani tych... którzy włożyli nam nóż w dłoń.

Nassun się krzywi, słysząc słowo „nam”. Gubi jednak tę myśl w ogromie smutku wynikającego ze świadomości, że dla Schaffy nie ma już ratunku. Do tego momentu jakaś jej część pielęgnowała irracjonalną nadzieję, że Stal, jako dorosły, posiada wszystkie odpowiedzi, w tym również wiedzę o jakimś lekarstwie. Teraz wie, że ta nadzieja była głupia. Dziecinna. Jedyne dorosłe, na którym kiedykolwiek mogła polegać, umrze nagi, ranny i bezbronny, nie mogąc się nawet pożegnać.

To dla niej zbyt wiele. Osuwa się na ziemię i kucając, otacza kolana jednym ramieniem i zasłania twarz drugim, żeby Stal nie widział, jak płacze, choć przecież doskonale wie, że to robi.

Patrząc na nią, zjadacz kamieni śmieje się cicho. Zdziwiająca, ale nie brzmi to okrutnie.

– Utrzymując kogokolwiek z nas przy życiu, nie osiągniesz nic oprócz okrucieństwa – oświadcza. – Zakończ nasze cierpienie, Nassun. Jesteśmy skrzywdzonymi potworami. Ziemia, Schaffa, ja i ty... my wszyscy. Zakończ nasze cierpienie.

A potem znika, pozostawiając Nassun samą pod białym, rosnącym Księżycem.

Syl Anagist: Zero

Zanim zacznę mówić o przeszłości, chwila na teraźniejszość.

Wśród rozgrzanych, dymiących cieni i niewyobrażalnego ciśnienia, w miejscu, które nie ma nazwy, otwieram oczy. Nie jestem już sam.

Ze skały wyłania się przedstawicielka mojej rasy. Ma kanciastą, chłodną twarz, która emanuje szlachetnością i elegancją godną prawdziwego posągu. Resztę ukryła, ale oryginalną bladość skóry postanowiła zachować; dostrzegam to w końcu, po kilkudziesięciu tysiącach lat. Wspomnienia wywołują we mnie nostalgię.

Powodowany nią mówię:

– Gaewha.

Porusza się nieznacznie, a na jej twarzy pojawia się coś, co w naszym przypadku jest najbliższe wyrazowi... rozpoznania? Zaskoczenia? Kiedyś byliśmy rodzeństwem. Przyjaciółmi. Potem rywalami, wrogami, obcymi, legendami. Ostatnio: ostrożnymi sojusznikami. Łapię się na wspomnianiu tego, czym byliśmy – ale nie w całości. Całości zapomniałem, tak samo jak ona.

– Tak miałam na imię? – pyta.

– Prawie.

– Hmm. A ty byłeś...?

– Houwha.

– No tak, oczywiście.

– Wolisz Antymonę?

Kolejne nieznaczne poruszenie, równoznaczne ze wzruszeniem ramion.

– Nie mam preferencji.

Myślę: „Ja też nie”, ale to kłamstwo. Nigdy nie podałem ci mojego nowego imienia, Hoa, gdyby nie zawierało w sobie hołdu dla tego starego. Jestem jednak roztargniony.

– Chcę się poświęcić zmianie – mówię.

Gaewha, Antymona czy ktokolwiek, a może cokolwiek, to obecnie jest, odpowiada:

– Zauważyłam... – urywa. – Żałujesz tego, co zrobiłeś?

To głupie pytanie. Wszyscy żałujemy tego dnia, na różne sposoby i z różnych powodów. Odpowiadam jednak:

– Nie.

Spodziewam się jakiegoś komentarza, ale chyba nie zostało już nic do powiedzenia. Osiadając w skale, wydaje z siebie ciche odgłosy. Mości się wygodnie. Zamierza poczekać tu ze mną. Cieszę się. Niektóre rzeczy przychodzą nam łatwiej, kiedy nie musimy mierzyć się z nimi w pojedynkę.

Alabaster nie mówił ci o sobie wszystkiego.

Ja wiem wszystko, ponieważ go analizowałem; jest przecież częścią ciebie. Jednak nie każdy mistrz musi opowiadać swojemu uczniowi o wszystkich potknięciach, które

przydarzyły mu się na drodze do mistrzostwa. Jaki miałyby w tym cel? Nikt z nas nie trafia tu z dnia na dzień. Proces bycia zdradzonym przez wasze społeczeństwo odbywa się stopniowo. Jesteśmy wyrywani ze spokojnej codzienności za sprawą stopniowo odkrywanej odmienności, hipokryzji albo niewytłumaczalnie złego traktowania. Potem następuje czas oszołomienia – pozbywania się wiedzy, którą dotychczas uważaliśmy za prawdę. I zgłębiania nowej prawdy. Wtedy należy podjąć decyzję.

Niektórzy akceptują swój los. Przełykają dumę, zapominają o prawdzie i całymi sobą wierzą w fałsz – ponieważ uważają, że nie są wariaci zbyt wiele. Jeśli całe społeczeństwo zaangażowało się w ich ujarzmianie, to przecież muszą chyba na to zasługiwać? A nawet jeśli nie, to opór byłby zbyt bolesny i po prostu niemożliwy. W ten sposób przynajmniej panuje pokój. W pewnym sensie.

Alternatywą jest wymaganie niemożliwego. To nie w porządku, szepczą, jęczą i krzyczą. To, co im zrobiono, było nie w porządku. Oni nie są gorsi. Nie zasługują na to. Dlatego to społeczeństwo musi się zmienić. W ten sposób też można osiągnąć pokój, ale wcześniej musiałyby dojść do konfliktu.

Nikt nie trafia tutaj bez jednego czy dwóch potknięć.

Kiedy Alabaster był młodym mężczyzną, kochał łatwo i swobodnie. Och, już wtedy był wściekły, oczywiście, że tak. Nawet dzieci dostrzegają, kiedy nie są traktowane sprawiedliwie. Postanowił jednak współpracować, przynajmniej przez jakiś czas.

Podczas misji zleconej mu przez Fulcrum poznał mężczyznę, nauczyciela. Zainteresowanie Alabastra było czysto fizyczne; nauczyciel był przystojny i uroczo zawstydzony go zaloty Alabastra. Gdyby nie zajmował się wtedy badaniem czegoś, co okazało się starodawną przechowalnią skałowiedzy, historia na tym by się kończyła. Alabaster pokochałby go i zostawił, być może z żalem, ale raczej bez głębszej urazy.

Zamiast tego nauczyciel pokazał Alabastrowi swoje odkrycia. Alabaster powiedział ci, że początkowo tablic było więcej niż trzy. Poza tym Tablica Trzecia została zmieniona przez Sanze. Tak naprawdę to została zmieniona już po raz kolejny, bowiem przepisywano ją wcześniej kilka razy. W oryginalnej Tablicy Trzeciej była mowa o Syl Anagist oraz o tym, jak utracono Księżyc. W ciągu kolejnych stuleci z wielu powodów wiedzę tę wielokrotnie uznawano za gorszą. Nikt tak naprawdę nie chce zmierzyć się z faktem, że świat jest taki, jaki jest, tylko dlatego że jacyś aroganccy, zapatrzeni w siebie ludzie próbowali wziąć tę zardzewiałą planetę na smycz. Nikt też nie był gotowy zaakceptować, że rozwiązaniem całego tego bałaganu byłaby zgoda na to, aby górotwory żyły sobie spokojnie i robiły to, do czego zostały stworzone.

Dla Alabastra informacje z przechowalni skałowiedzy okazały się przytłaczające. Uciekł. Świadomość, że wszystko to działo się już wcześniej, była dla niego zbyt potworna – że był potomkiem ciemnonośnych ludzi i że oni też mieli przed sobą podobnie krzywdzonych przodków; że świat, który znamy, nie mógłby funkcjonować bez jakiejś formy niewoli. Wtedy nie widział możliwości zakończenia tego cyklu, nie wyobrażał sobie wymagania od społeczeństwa czegoś niemożliwego. Załamał się i uciekł.

Jego Stróżka odnalazła go trzy kwadry dalej, gdzie akurat przebywał, nie mając pojęcia, dokąd zmierza. Zamiast łamać mu rękę – w przypadku wielopierścienników stosowano inne metody – Stróżka Leshet zabrała go do tawerny i kupiła mu alkohol.

Alabaster rozpląkał się nad winem i wyznał jej, że nie zniesie więcej świata takim, jaki jest. Próbował się z tym pogodzić, próbował ogarnąć wszystkie te kłamstwa, ale to wszystko było nie w porządku.

Leshet uspokoiła go i zabrała z powrotem do Fulcrum, gdzie przez kolejny rok pozwalano mu dochodzić do siebie. Musiał na nowo zaakceptować zasady i rolę, którą dla niego wybrano. Wydaje mi się, że przez ten rok był zadowolony; w każdym razie tak właśnie uważa Antymona, a to ona była z nim wtedy najbliższej. Alabaster doszedł do siebie, zrobił, co do niego należało, i spłodził trójkę dzieci, a nawet zgłosił się na ochotnika, by szkolić wielopierścieniowych juniorów. Nigdy jednak nie miał okazji tego zrealizować, ponieważ Stróże uznali, że jego ucieczka nie może pozostać bez kary. Kiedy zakochał się w starszym dziesięciopierścienniku imieniem Hessionite...

Powiedziałem ci już, że w przypadku wielopierścienników używają innych metod. Ja też kiedyś uciekłem. W pewnym sensie.

Jest dzień po naszym powrocie z wyprawy z Kelenli, a ja jestem inny. Spoglądam przez maleńkie okno na ogród pełen fioletowego światła, który nie wydaje mi się już piękny. Mruganie białych kwiatów w kształcie gwiazd sugeruje, że stworzył je jakiś genoinżynier, który połączył je wszystkie z miejską siecią zasilania, aby dopływała do nich odrobina magii. W jaki inny sposób można by uzyskać taki efekt? Widzę eleganckie pnącza pokrywające budynki i wiem, że gdzieś tam specjalista od biomagestria szacuje, ile lammotyrów magii można zebrać z takiego piękna. Życie w Syl Anagist jest święte – święte, dochodowe i użyteczne.

Myślę więc o tym wszystkim i jestem w fatalnym nastroju, kiedy nagle pojawia się jedna z konduktorek. To Stahnyn, zazwyczaj ją lubię. Jest jeszcze na tyle młoda, że nie zdążyła nabrać najgorszych konduktorskich nawyków. Spoglądając na nią oczyma, które otworzyła mi Kelenli, dostrzegam w niej coś nowego. Toporne rysy twarzy i drobne usta. Tak, jest bardziej subtelna niż konduktor Gallat ze swoimi lodowobiałymi oczami, ale to kolejna Sylanagistyjka, której przodkowie najwyraźniej nie rozumieli sensu całego tego ludobójstwa.

– Jak się dziś czujesz, Houwha? – pyta z uśmiechem, wchodząc do środka i zerkając na podkładkę z notatkami. – Gotowy na badanie?

– Gotowy na spacer – odpowiadam. – Chodźmy do ogrodu.

Stahnyn spogląda na mnie zdziwiona.

– Houwha, wiesz, że to niemożliwe.

Zwróciłem uwagę, jak mało skuteczne są ich mechanizmy ochrony. Sensory monitorujące nasze funkcje życiowe, kamery śledzące nasze ruchy, mikrofony nagrywające nasze odgłosy. Niektóre czujniki badają nasze wykorzystanie magii, ale żaden z nich nie jest w stanie zarejestrować nawet jednej dziesiątej tego, co naprawdę robimy. Poczuję się urażony, gdyby nie okazywano mi, jak ważne jest dla nich to, byśmy byli nieistotni. Pomniejsze istoty nie muszą być nadzorowane, prawda? Wytwory sylagistyjkiej magestria nie mogą posiadać umiejętności, które wymagałyby ostrzejszej kontroli. To nie do pomyślenia! To niedorzeczne! Nie bądźcie śmieszni.

No dobrze, jestem urażony. I straciłem już cierpliwość dla Stahnyn, która traktuje mnie uprzejmie, lecz protekcjonalnie.

Znajduję więc linie magii, które biegną do kamer, i łączę je z liniami prowadzącymi do ich własnych magazynujących kryształów, tworząc w ten sposób pętlę. Dzięki temu kamery będą pokazywać ujęcia nagrane podczas ostatnich kilku godzin – ujęcia, które przedstawiają mnie wpatzonego w okno. To samo robię z mechanizmami audio, wymazując jednocześnie ostatnią wymianę zdań ze Stahnyn. Robię to wszystko za ledwie drgnięciem woli, ponieważ zostałem zaprojektowany, by wpływać na maszyny wielkości wieżowców – kamery to przy tym naprawdę nic. Więcej magii wykorzystuję, żeby opowiedzieć pozostałym jakiś dowcip.

Inni sejszą, co robię. Bimniwha wyczuwa mój nastrój i natychmiast powiadamia pozostałych – zwykle jestem przecież tym miłym, poza tym jeszcze do niedawna wierzyłem w geoaranżację; to Remwha zazwyczaj jest tym zawziętym. Tym razem jednak pozostaje dziwnie milczący, jakby zatkało go to, czego się dowiedzieliśmy. Gaewha też milczy i zrozpaczona próbuje pojąć niemożliwe. Dushwa szuka ratunku w przytulaniu samego siebie, a Salewha śpi. Ostrzeżenie Bimniwhy zostaje więc zignorowane.

Tymczasem uśmiech Stahnyn znika, kiedy staje się jasne, że ja nie żartuję. Konduktorka przestępuje z nogi na nogę i opiera dłonie na biodrach.

– Houwha, to nie jest zabawne. Rozumiem, że niedawno miałeś okazję wyjść...

Rozważałem najskuteczniejsze metody uciszenia jej.

– Czy konduktor Gallat wie, że ci się podoba?

Stahnyn zamiera, a jej brązowe oczy stają się wielkie i okrągłe. Widziałem, jak spogląda na Gallata, ale nigdy wcześniej mnie to nie obchodziło. Tak naprawdę teraz też mnie nie obchodzi. Domyślałam się jednak, że uznawanie niessowego typu urody za atrakcyjny w Syl Anagist musi być tematem tabu i ani Gallat, ani Stahnyn nie powinni być kojarzeni z tego rodzaju perwersją. Gallat zwolniłby Stahnyn, gdyby tylko o czymś takim usłyszał – nawet ode mnie.

Podchodzę do niej. Stahnyn cofa się nieznacznie, zdziwiona moją bezpośredniością. My, konstrukty, niczego się nie domagamy. Jesteśmy narzędziami. Moje zachowanie jest tak silną anomalią, że powinna je zgłosić, ale w tym momencie martwi ją coś innego.

– Nikomu o tym nie mówiłem – zapewniam ją spokojnym głosem. – Nikt nie wie, co dzieje się teraz w tym pokoju. Spokojnie.

Zanim mi odpowiada, zaczyna drżeć jej dolna warga. Jest mi źle – tylko trochę – że tak ją wystraszyłem.

– Nie dojdiesz daleko. M-masz niedobór witamin... Ty i pozostali zostaliście tak stworzeni. Bez specjalnego jedzenia – jedzenia, które wam podajemy – umrzesz w ciągu kilku dni.

Dopiero teraz sobie uświadamiam, że Stahnyn myśli, że chcę uciec.

I dopiero teraz sobie uświadamiam, że chcę uciec.

To, co usłyszałem właśnie od konduktorki, nie jest przeszkodą nie do przezwyciężenia. Nie byłoby problemem ukraść trochę jedzenia i zabrać go ze sobą, ale umarłbym po wyczerpaniu tego zapasu. Moje życie tak czy inaczej byłoby krótkie.

Martwi mnie raczej to, że nie mam dokąd pójść. Syl Anagist to cały świat.

– Ogród – powtarzam w końcu. To będzie moja ucieczka i moja wielka przygoda. Rozważam roześmianie się, ale nawyk tłumienia emocji mnie powstrzymuje. Tak naprawdę to wcale nie chcę nigdzie iść. Chcę czuć, że mam jakąś kontrolę nad swoim życiem, nawet jeśli tylko przez chwilę. – Chcę popatrzeć na ogród, przez pięć minut. To wszystko.

Stahnyn przenosi ciężar ciała na drugą nogę, wyraźnie zakłopotana.

– Mogę przez to stracić stanowisko, zwłaszcza jeśli zobaczy nas któryś ze starszych konduktorów. Mogę nawet zostać uwięziona.

– Być może dostaniesz okno z ładnym widokiem na ogród – odpowiadam.

Stahnyn krzywi się na te słowa. Następnie, ponieważ nie ma innego wyboru, wyprowadza mnie z celi i po pokonaniu schodów wychodzimy na zewnątrz.

Uświadamiam sobie, że fioletowe rabaty wyglądają dziwnie z tej perspektywy, zupełnie inaczej też wacha się z bliska kwiaty w kształcie gwiazd. Pachną osobliwie – słodkawo, niemal cukierkowo, a woni tej towarzyszy domieszka zgnilizny, pochodząca zapewne od starszych kwiatów, które zwiędły już albo zostały zdeptane. Stahnyn jest zaniepokojona i zbyt ostentacyjnie się rozgląda, podczas gdy ja przechadzam się powoli, żałując, że musi być tu ze mną. Nie mogę tak po prostu wałęsać się samemu po terenie ośrodka. Jeśli zobaczą nas strażnicy, pracownicy obsługi, albo inni konduktorzy, pomyślą, że Stahnyn wykonuje jakieś obowiązki służbowe i nie będą mnie o nic pytać... pod warunkiem że moja konduktorka zachowa spokój.

Nagle coś każe mi się zatrzymać i przywieram do najbliższego pnia. Stahnyn robi to samo, marszcząc czoło i najwyraźniej zastanawiając się, co się dzieje – aż w końcu widzi to co ja i zamiera w bezruchu.

Kelenli wyszła z ośrodka i z rękami zaplecionymi na piersi stoi pomiędzy dwoma poskręcanyimi krzewami, pod łukiem z białych róż. Towarzyszy jej konduktor Gallat. Krzyczy jej za plecami, nie słyszymy, co mówi, ale widać, że jest wściekły. Z ich ciał nie da się wyczytać nic więcej.

– O nie – szepcze Stahnyn. – Nie, nie, nie. Powinniśmy...

– Nic... – szepczę. Chciałem powiedzieć, żeby nic nie mówiła, ale i tak się ucisza, więc nie muszę niczego dodawać.

Stoimy więc, obserwując kłótnię Kelenli i Gallata. W ogóle jej nie słyszę i uświadamiam sobie, że ona nie może podnieść na niego głosu – byłoby to niebezpieczne. Kiedy jednak Gallat chwyta ją za ramię i pociąga, żeby odwróciła się twarzą do niego, Kelenli odruchowo przyciska dłoń do brzucha. Gallat, najwyraźniej zaskoczony jej reakcją i swoją agresją, natychmiast zwalnia uścisk, a ona z powrotem opuszcza rękę wzdłuż ciała. Wydaje mi się, że nie zwrócił na to uwagi. Dalej się kłócą, ale tym razem Gallat rozkłada ręce, jakby coś oferował. W jego postawie jest coś błagalnego, widzę jednak, jaki jest sztywny. Błaga – choć uważa, że nie powinien. Wiem, że kiedy błaganie okaże się nieskuteczne, przejdzie do innych metod.

Zamykam oczy i boli mnie, kiedy wreszcie to pojmuję. Kelenli jest jedną z nas w każdym możliwym sensie – i zawsze była.

Powoli zmienia postawę. Pochyla głowę, udaje niechętną uległość, coś odpowiada.

Ziemia drży od jej wściekłości, strachu i oporu. Mimo to napięcie częściowo opuszcza ciało Gallata. Konduktor uśmiecha się i gestykuluje bardziej otwarcie. Wraca do niej, chwyta ją za rękę, mówi coś spokojnym głosem. Jestem pełen podziwu, że tak sprawnie rozbroiła jego złość. Zupełnie jakby Gallat nie widział, że ucieka wzrokiem w reakcji na jego słowa i że, przyciągana bliżej, nie odwzajemnia jego gestów. Kelenli uśmiecha się, słysząc kolejną jego wypowiedź, ale nawet z tej odległości widzę, że udaje. Czy w takim razie on tego nie dostrzega? Zaczynam jednak rozumieć, że ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć, a nie w to, co naprawdę mogą zobaczyć i wysejszyć.

Udobruchany Gallat odwraca się i odchodzi – na szczęście wybiera inną ścieżkę niż ta, przy której czaimy się ja i Stahnyn. Jego postawa całkowicie się zmieniła; jest teraz w wyraźnie lepszym nastroju. Powinienem się z tego cieszyć, prawda? Gallat dowodzi projektem. Kiedy jest szczęśliwy, nic nam nie grozi.

Kelenli odprowadza go wzrokiem. Następnie odwraca się i spogląda prosto na mnie. Stahnyn wydaje z siebie zdławiony odgłos – jest głupia, to przecież jasne, że Kelenli na nas nie doniesie. Dlaczego miałyby to zrobić? Jej występ nie był przeznaczony dla Gallata.

Następnie ona również opuszcza ogród, podążając za konduktorem.

To była ostatnia lekcja. Wydaje mi się, że to jej potrzebowałem najbardziej. Proszę Stahnyn, żeby zaprowadziła mnie z powrotem do mojej celi, a ona wzdycha z ulgą. Po powrocie, rozplątawszy magię sprzętu monitorującego i odesławszy Stahnyn z przypomnieniem, aby nie robiła nic głupiego, kładę się na kanapie, aby przemyśleć to, czego się dowiedziałem. Ta wiedza tkwi we mnie niczym żar zmieniający wszystko dokoła w iskry i dym.

Kilka nocy po powrocie z misji dostrajającej żar rozpała nas wszystkich.

Po raz pierwszy od czasu tamtej wyprawy jesteśmy wszyscy razem. Łączymy swoje świadomości w warstwie chłodnego węgla. Remwha przesyła przez nas wszystkich syk przypominający zgrzyt miażdżonego piasku. To dźwięk-dotyk-sejszenie zapadlin, wrzosowej grzędy. To również echo statycznej pustki w naszej sieci, gdzie istniał kiedyś Tettlewha, a także Entiuwha, Arwha i inni.

„Oto, co nas czeka, kiedy damy im geoaranzację”, mówi.

„Tak”, odpowiada Gaewha.

Remwha znowu syczy. Nigdy nie widziałem go tak wściekłego. Od czasu naszej wyprawy popada w coraz większą złość. Ale przecież wszyscy czujemy się tak samo – a teraz przyszła pora zażądać niemożliwego. Nie powinniśmy im niczego dawać, oświadcza, a zaraz potem czuję, jak jego postanowienie zaostrza się, nabiera agresji. „Nie. Powinniśmy oddać to, co oni zabrali”.

Przez naszą sieć przebiegają drobne, ale mocne fale podziwu i entuzjazmu: w końcu pojawił się jakiś plan. Sposób na zrealizowanie niemożliwego, skoro nie możemy zażądać tego wprost. Właściwy rodzaj mocy pojawi się we właściwym momencie – kiedy komponenty zostaną połączone, ale zanim jeszcze silnik zadziała. Cała magia zgromadzona w komponentach – warta całe dekady, całe cywilizacje i miliony

istnień – napłynie z powrotem do układów Syl Anagist. Najpierw wypali wrzosowe grzędy i ich żalosne plony, pozwalając zmarłym wreszcie zaznać spokoju. Następnie przeniknie przez nas, czyli najbardziej wrażliwe elementy olbrzymiej maszyny. Umrzemy, ale śmierć i tak będzie lepsza niż to, co dla nas zaplanowali, jesteśmy więc zadowoleni.

Po naszej śmierci magia silnika plutonicznego popłynie bez ograniczeń przez obwody miasta, doszczętnie je paląc. Każdy węzeł w Syl Anagist zostanie zamknięty – pozbawione awaryjnego zasilania wehimale zgasną, oświetlenie przestanie działać, maszyny znieruchomieją, a wszystkie niezliczone udogodnienia nowoczesnej magesirii zostaną wymazane z mebli, urządzeń i kosmetyków. Wysiłki wielu pokoleń zmierzające do przygotowania geoaranżacji zostaną zaprzepaszczone. Krystaliczne komponenty silnika staną się tylko przerośniętymi głazami – zniszczonymi, spalonymi i bezużytecznymi.

Nie musimy być tak okrutni jak oni. Możemy poinstruować komponenty, aby opadły z dala od zamieszkanym obszarów. Jesteśmy stworzonymi przez nich potworami, a nawet więcej, ale w chwili śmierci będziemy takimi potworami, jakimi chcemy być.

Czy wszyscy się zgadzamy?

„Tak”. Remwha, wściekły.

„Tak”. Gaewha, smutna.

„Tak”. Bimniwha, zrezygnowana.

„Tak”. Salewha, spokojna.

„Tak”. Dushwha, zmęczony.

I ja, ciężki niczym ołów. „Tak”.

Zgadzamy się.

W myślach mówię do siebie: „Nie”, mając przed oczami twarz Kelenli. Ale czasami, kiedy świat jest trudny, miłość musi być jeszcze trudniejsza.

Dzień Wdrożenia.

Podano nam coś, co zawiera białko i sałatkę ze świeżych owoców, a do tego napój, podobno będący tu popularnym przysmakiem: bezpiecznik, który pod wpływem różnych dodanych witamin przybiera ładne kolory. Specjalny napój na specjalny dzień. Jest gęsty. Nie smakuje mi. Po posiłku przychodzi pora, aby udać się do Strefy Zero.

Oto, jak działa silnik plutoniczny – w dużym skrócie.

Najpierw obudzimy komponenty, które od dziesięcioleci tkwią w swoich gniazdach, transportują energię przez wszystkie węzły Syl Anagist i jej część – łącznie z tą, która napływa do nich z wrzosowych grzęd – magazynują do późniejszego wykorzystania. Osiągnęły ostatnio optymalny poziom energii, a każdy z nich stał się swego rodzaju osobnym silnikiem. Teraz, kiedy je przywołamy, wzniosą się znad swoich gniazd. Połączymy ich moce w stabilną sieć i odbijając ją od reflektora, który dodatkowo skoncentruje i wzmocni całą tę magię, przelejemy ją w onyks. Onyks skieruje tę energię prosto do jądra Ziemi, sprawiając, że będzie nią przepełnione, a następnie przekaże tę nadwyżkę do wygłodniałych obwodów Syl Anagist. W efekcie Ziemia również stanie się

olbrzymim silnikiem plutonicznym, a jej jądro, działając jak dynamo, oddawać będzie znacznie więcej magii, niż przyjmować. Układ sam zacznie się napędzać. Syl Anagist już zawsze będzie się karmić życiem planety.

(Najlepszym określeniem na cały ten pomysł jest „ignorancja”. To prawda, w tamtych czasach nikt nie myślał o Ziemi jako o czymś, co żyje – ale powinniśmy byli się domyślić. Magia jest produktem ubocznym życia. A skoro w Ziemi była magia... tak, powinniśmy byli się domyślić).

Wszystko, co zrobiliśmy do tej pory, było ćwiczeniami. Nie moglibyśmy w pełni aktywować silnika plutonicznego tutaj, na Ziemi – wiązałoby się z tym zbyt wiele komplikacji dotyczących nachylenia poszczególnych obiektów, prędkości sygnałów i oporu, a także zakrzywienia kuli ziemskiej. Planety są tak dziwnie okrągłe. W końcu to Ziemia jest naszym celem; mówią o tym linie wzroku, linie siły i przyciągania. Pozostając na Ziemi, moglibyśmy wpłynąć co najwyżej na Księżyc.

Dlatego właśnie Strefa Zero nigdy nie znajdowała się na Ziemi.

Wczesnym rankiem zostajemy zaprowadzeni do niewielkiego wehimala, wytworzonego prawdopodobnie z surowców pasikonikowych albo czegoś podobnego. Ma diamentowe skrzydła, a także wielkie nogi z włókna węglowego, z których teraz paruje zmagazynowana w nich moc. Kiedy konduktorzy wprowadzają nas na pokład, widzę jeszcze inny przygotowywany do podróży wehimal. Zamierza z nami wyruszyć duża grupa ludzi, żeby obserwować finalizację potężnego projektu. Siadam tam, gdzie mi każą, i wszyscy zostajemy przypięci pasami, ponieważ przeciążenie w wehimalu potrafi czasami przekroczyć geomagestryczną inercję... Hmm. Wystarczy, jeśli powiem, że start może być cokolwiek niepokojący. To nic w porównaniu z zapadaniem się w serce żyjącego, kipiącego komponentu, ale ludzie uważają to chyba za coś wielkiego. Nasza szóstka siedzi nieruchomo, połączona wspólnym, zimnym zamiarem, a wszyscy wokół nas głośno rozmawiają. Wehimal rusza w stronę Księżyca.

Na Księżycu znajduje się księżycowa skała – potężny, opalizujący biały kaboszon pokryty cienką warstwą szarego pyłu. To największy z komponentów, rozmiarami dorównujący całemu węzłowi Syl Anagist; jego gniazdem jest cały Księżyc. Wokół jego krawędzi ciągnie się kompleks budynków, szczelnie zabezpieczonych w pozbawionej powietrza ciemności i nieróżniących się zbytnio od tych, które właśnie opuściliśmy. Te po prostu wzniesiono na Księżycu. To Strefa Zero, w której historia zmieni swój bieg.

Zostajemy wprowadzeni do środka, gdzie stali pracownicy Strefy Zero stoją rzędami na korytarzach i patrzą na nas z podziwem, jak na doskonale instrumenty. Trafiamy do kolebek, wyglądających dokładnie tak samo jak te, których używaliśmy podczas codziennych ćwiczeń – choć tym razem trafiamy do jednoosobowych pomieszczeń. Do każdego z nich przylega sala obserwacyjna z przezroczystym oknem. Jestem przyzwyczajony do tego, że obserwuje się mnie podczas pracy – dzisiaj jednak po raz pierwszy sam trafiam do sali obserwacyjnej.

Stoję tu, niski, prosto ubrany i wyraźnie zakłopotany wśród wysokich ludzi w kosztownych strojach, podczas gdy Gallat przedstawia mnie jako „Houwhę, naszego najlepszego stroiciela”. Już samo to stwierdzenie dowodzi, że albo konduktorzy naprawdę nie mają pojęcia, w jaki sposób funkcjonujemy, albo Gallat jest zestresowany i mówi, co

mu ślina na język przyniesie. Być może jedno i drugie. Dushwha śmieje się kaskadą mikrowstrząsów – powierzchnia Księżyca jest cienka, pylista i martwa, ale nie różni się zbytnio od ziemskiej – podczas gdy ja stoję tu i mamroczę uprzejme powitania zgodnie z tym, czego się ode mnie oczekuje. Być może Gallat tak naprawdę ma na myśli to, że jestem stroicielem, który najlepiej udaje, że obchodzą go te bzdury konduktorów.

W trakcie tych powitań i rozmów, kiedy koncentruję się na mówieniu właściwych rzeczy we właściwych momentach, coś przykuwa moją uwagę. Odwracam się i na tyłach pomieszczenia dostrzegam nieruchomą kolumnę, która szumi cicho i lśni własną energią plutoniczną, tworząc pole stabilizujące coś, co znajduje się w środku. Ponad krystaliczną powierzchnią unosi się...

W pokoju przebywa między innymi kobieta, wyższa od innych i ubrana wyjątkowo bogato. Podąża za moim spojrzeniem i zwraca się do Gallata:

– Czy oni wiedzą o odwiercie próbnym?

Gallat się krzywi. Spogląda na mnie i przenosi wzrok na kolumnę.

– Nie – mówi. Nie wymienia imienia kobiety ani jej tytułu, ale zwraca się do niej z szacunkiem. – Wiedzą tylko to, co konieczne.

– Wydawałoby się, że znajomość kontekstu jest niezbędna, nawet w waszym przypadku. – Gallat jeży się, słysząc, że został wrzucony do jednego worka z nami, ale nie odpowiada. Kobieta wygląda na rozbawioną. Pochyla się, żeby spojrzeć mi w twarz, choć wcale nie jestem przesadnie niższy od niej. – Czy chciałbyś wiedzieć, co to jest, mały stroicielu?

W jednej chwili jej nienawidzę.

– Tak, proszę – odpowiadam.

Chwyta mnie za dłoń, zanim Gallat zdąży ją powstrzymać. Nie jest to nieprzyjemne uczucie. Jej skóra jest sucha. Kobieta prowadzi mnie w stronę kolumny.

Z początku wydaje mi się, że kulisty obiekt unoszący się kilka centymetrów ponad nią i oświetlony jej białym blaskiem to kawałek żelaza. I rzeczywiście, to jest kawałek żelaza, o powierzchni żłobionej ukośnymi, zakrzywionymi liniami. Fragment meteoru? Nie. Uświadamiam sobie, że się porusza – obraca się powoli wokół niemal pionowej, lekko pochylej osi. Spoglądam na symbole ostrzegawcze umieszczone przy krawędziach kolumny i rozpoznaję te, które oznaczają ekstremalne ciśnienie oraz temperaturę. Jest tu także informacja przestrzegająca przed naruszeniem pola. Z napisów wynika, że w jego wnętrzu odtworzono naturalne środowisko obiektu.

Nikt nie robiłby tego dla kawałka żelaza. Mrugam, przystosowując percepcję do sejsdowych i magicznych warunków, i zaraz odskakuję, kiedy oślepia mnie białe światło. Żelazna kula jest pełna magii – zbitej i skwierczącej, której poszczególne nici nachodzą na siebie, a niektóre wystają z niej i ciągną się... w dal. Nie ogarniam ich wzrokiem, sięgają zbyt daleko, widzę jednak, że z jakiegoś powodu biegną w stronę nieba. Dostrzegam też, że... Nie, zaraz.

– Jest wściekłe – mówię. I znajome. Gdzie wcześniej widziałem taką magię?

Kobieta mruga. Gallat jęczy cicho.

– Houwha...

– Nie – odzywa się kobieta, unosząc dłoń, aby go uciszyć. Znowu spogląda na mnie

z zainteresowaniem. – Co mówiłeś, mały stroicielu?

Odwracam się do niej. Najwyraźniej jest kimś ważnym. Prawdopodobnie powinienem się jej bać, ale się nie boję.

– To coś jest wściekle – stwierdzam. – Rozwścieczone. Nie chce tu być. Zabraliście je skądś, prawda?

Pozostałe osoby w pomieszczeniu zwracają na nas uwagę. Nie wszystkie są konduktorami, ale wszystkie patrzą teraz na kobietę i na mnie z zaniepokojonymi, zakłopotanymi minami. Słyszę, jak Gallat wstrzymuje oddech.

– Tak – odpowiada mi w końcu. – Wykonaliśmy próbne odwierty w jednym z węzłów na Antarktydzie. Następnie wysłaliśmy do wewnątrz sondę, która wyjęła to z jądra. To kawałek serca świata – uśmiecha się z dumą. – Bogactwo magii w jądrze jest właśnie tym, co umożliwi geoaranżację. To właśnie na podstawie tej próby zbudowaliśmy Rdzeń, komponenty i was.

Znów spoglądam na żelazną kulę i dziwię się, że kobieta stoi tak blisko niej. Jest wściekle, myślę ponownie, tak naprawdę nie wiedząc, skąd biorą się we mnie te słowa. Zrobi, co będzie musiało zrobić.

Ale kto? I co zrobi?

Kręcę głową, niewytłumaczalnie zły, i odwracam się do Gallata.

– Nie powinniśmy zaczynać?

Kobieta się śmieje, jest zachwycona. Gallat posyła mi groźne spojrzenie, ale widząc rozbawienie kobiety, odrobinę się rozluźnia.

– Tak, Houwha. Myślę, że powinniśmy. Jeśli nie ma pani nic przeciwko...

(Wymienia jej tytuł i nazwisko. Z czasem zapomnę jedno i drugie. Za czterdzieści tysięcy lat będę pamiętał tylko jej śmiech i to, że nie odróżniała od nas Gallata, jak również fakt, że nieostrożnie stała tak blisko żelaznej kuli, która pulsowała czystą złością – i wystarczającą ilością magii, aby zniszczyć wszystkie budynki w Strefie Zero.

Zapamiętam też, że zlekceważyłem wszystkie oznaki tego, co nadchodziło).

Gallat zabiera mnie z powrotem do kolebki i poleca usiąść na drucianym krześle. Przywiązują mi do niego kończyny, czego nigdy nie rozumiałem, bo kiedy jestem w ametyście, ledwie czuję swoje ciało, nie mówiąc już o poruszaniu nim. Po wypiciu bezpiecznika swędzą mnie wargi, co oznacza prawdopodobnie, że dodano do niego jakiejś substancji stymulującej. Nie potrzebowałem go.

Sięgam do pozostałych i wyczuwam, że z granitową pewnością obstają przy postanowieniu. Tak.

Na ścianie widokowej przede mną pojawiają się obrazy błękitnej kuli ziemskiej, kolebek pozostałych pięciu stroicieli oraz Rdzenia z unoszącym się ponad nim onyksem. Stroiciele spoglądają na mnie ze swoich ekranów. Gallat podchodzi bliżej i na pokaz sprawdza punkty styczności mojego ciała z drucianym krzesłem, które mają przesyłać pomiary do działu biomagestii.

– Będiesz dzisiaj trzymać onyks, Houwha.

Z innego budynku Strefy Zero dociera do mnie drobne drgnięcie zdumienia Gaewhy. Jesteśmy dziś ze sobą bardzo dokładnie zestrojeni.

– Kelenli trzyma onyks – stwierdzam.

– Już nie – mówiąc to, Gallat trzyma głowę nisko, bezcelowo sprawdzając moje pasy, a ja przypominam sobie, że w ten sam sposób wyciągał ręce w ogrodzie, aby przyciągnąć do siebie Kelenli. Ach, teraz rozumiem. Przez cały ten czas bał się, że ją straci... że mu ją odbierzemy. Że w oczach jego zwierzchników Kelenli stanie się po prostu kolejnym narzędziem. Czy po geoaranżacji pozwolą mu ją zatrzymać? A może obawia się, że ona również trafi na wrzosową grzędę? Na pewno. Z jakiego innego powodu miałby dokonywać tak poważnej zmiany w naszej konfiguracji tego najważniejszego dnia w historii ludzkości?

Jakby potwierdzając moje przypuszczenia, mówi:

– Biomagestria pokazuje, że jesteś obecnie bardziej kompatybilny z onyksem, aby utrzymać połączenie w wymaganym przedziale czasu.

Patrzy na mnie z nadzieją, że nie zaprotestuję. Nagle uświadamiam sobie, że mogę to zrobić. Przy tak dużej uwadze, jaką poświęca się dziś wszystkim decyzjom Gallata, ważni ludzie zauważą, jeśli zacznę się upierać, że nowa konfiguracja to zły pomysł. Mogę odebrać Kelenli Gallatowi poprzez zwyczajne podniesienie głosu. Mogę go zniszczyć, tak jak on zniszczył Tetlewhę.

Ale to głupia, bezcelowa myśl, ponieważ jak miałbym wykorzystać moją władzę nad nim, nie krzywdząc przy tym jej? Kiedy zwrócimy silnik plutoniczny przeciwko niemu samemu, i tak wystarczająco ją skrzywdzę. Powinna przetrwać początkowy spazm magii; nawet jeśli będzie połączona z jakimś urządzeniem z obwodu, dysponuje odpowiednimi umiejętnościami, aby zatamować taki przepływ. Po wszystkim będzie tylko kolejną ocalałą, jedną z wielu tak samo cierpiących. Nikt nie będzie wiedział, czym naprawdę jest – ani czym jest jej dziecko, jeśli urodzi się takie samo. Takie samo jak my. Uwolnimy ją... aby musiała walczyć o przetrwanie jak wszyscy inni. Ale to lepsze od iluzji bezpieczeństwa w połączanej klatce, prawda?

„Lepsze od tego, co kiedykolwiek mógłbyś jej dać”, mówię w myślach do Gallata.

– W porządku – odpowiadam.

Gallat od razu się rozluźnia. Opuszcza moją komorę i razem z innymi konduktorami wraca do pomieszczenia obserwacyjnego. Jestem sam. Nie, nigdy nie jestem sam – są ze mną pozostali. Otrzymujemy sygnał, że powinniśmy zaczynać. Jesteśmy gotowi.

Najpierw sieć. Przy takim dostrojeniu modulowanie przepływu srebra oraz tłumienie oporu jest łatwe i przyjemne. Remwha pełni funkcję jarzma, ale nie ma potrzeby, by zmuszał kórkolwiek z nas do wyższego czy niższego rezonansu, abyśmy ciągnęli w tym samym tempie – jesteśmy dostrojeni. Wszyscy tego chcemy.

Ponad nami, w zasięgu naszej świadomości, Ziemia wydaje się szumieć, prawie jak coś żywego. Na początku naszego treningu podróżowaliśmy do Rdzenia i z powrotem; mijaliśmy jądro i widzieliśmy przepływy olbrzymich ilości magii, która w naturalny sposób bije ku górze z wnętrza planety. Podłączenie się do tego niewyczerpanego źródła będzie największym wyczynem ludzkości. Kiedyś ta myśl sprawiłaby mi dumę. Teraz dzielę się nią z innymi i przez wszystkich nas przepływa srebrzysty błysk gorzkiego rozbawienia. Oni nigdy nie uważali nas za ludzi, ale dzisiejszymi uczynkami

dowiedziemy, że jesteśmy czymś więcej niż narzędziami. Nawet jeśli nie jesteśmy ludźmi, jesteśmy osobami. Już nigdy nie będą mogli temu zaprzeczyć.

No, dość tych głupstw.

Najpierw sieć, a potem komponenty silnika. Sięgamy do ametystu, ponieważ znajduje się najbliżej. Choć dzieli nas od niego bardzo duża odległość, zanurzając się w jego prądzie, czujemy, że wydaje z siebie niskie dźwięki, a jego matryca magazynowa łśni energią. Przestał już wyciągać moc z wrzosowej grzędy i stał się zamkniętym układem; teraz wydaje się niemal żywy. Kiedy wrywamy go z bezruchu, skłaniając do aktywności, zaczyna pulsować, a potem w końcu migocze, naśladując życie: działanie neuroprzekazników albo ruchy perystaltyczne. Czy żyje? Zastanawiam się nad tym po raz pierwszy, a samo pytanie przychodzi mi do głowy w wyniku lekcji Kelenli. To obiekt z doskonałej materii, a jednocześnie z doskonałej magii – zaczerpniętej od osób, które kiedyś śmiały się, złościły i śpiewały. Czy w ametyście pozostało cokolwiek z ich wolnej woli?

A jeśli tak, to... czy Niessowie poparliby to, co my, ich karykaturalne kopie, zamierzamy zrobić?

Nie mogę poświęcić więcej czasu na takie myśli. Decyzja została podjęta.

Rozprzestrzeniamy więc tę startową sekwencję makro w całej sieci. Sejszmy bez użycia sejsod. Wyczuwamy zmianę. Czujemy ją w kościach – ponieważ jesteśmy częścią tego silnika, komponentami największego cudu ludzkości. Na Ziemi, w sercach wszystkich węzłów Syl Anagist, odzywają się klaksony, filary ostrzegawcze płoną na czerwono, widoczne już z daleka, a komponenty zaczynają drżeć, szumieć i wysuwać się ze swoich gniazd. Oddech mi przyspiesza, kiedy połączony z każdym z nich czuję, jak kryształ odrywa się od nagiej skały i jak płoniemy, a potem zaczynamy pulsować tą potężną magią i unosić się...

(Następuje zacięcie, szybkie i ledwie wyczuwalne w tej upojnej chwili, a jednak wyraźnie dostrzegam je przez soczewkę pamięci. Odrywając się od swoich gniazd, niektóre komponenty robią nam krzywdę – tylko trochę. Czujemy tarcie metalu, którego nie powinno tam być; zgrzyt igieł o naszą krystaliczną skórę. Wdychamy zapach rdzy. Ból pojawia się szybko i równie szybko znika – jak to podczas ukłucia igłą. Przypomnimy sobie o nim dopiero później – i zaczniemy lamentować).

...unosić się, szumieć i obracać. Biorę głęboki wdech, kiedy gniazda i otaczające je okolice opadają coraz niżej i niżej. Syl Anagist przełącza się na układy zapasowe, które powinny wytrzymać do rozpoczęcia geoaranżacji. Te przyziemne zmartwienia są jednak nieistotne. Płynę, lecę, opadam ku górze w światło, które jest fioletowe, ciemnoniebieskie, różowe albo złote, w spinel, topaz, granat i szafir – jest ich tak wiele, i są tak jasne! Tak żywe dzięki narastającej mocy.

(Tak żywe, myślę znowu, przesyłając w sieć drżenie, ponieważ Gaewha myślała to samo, podobnie jak Dushwa, natomiast to Remwha zagania nas do pracy pęknięciem niczym linia uskoku: „Umrzemy, jeśli się nie skupicie, idioci!”. Porzucam zatem tę myśl).

I – ach, tak: na ekranie, w centrum naszej percepcji, niczym oko bestii wpatrzonej w swoją ofiarę, znajduje się onyks. Jest tam, gdzie umieściła go Kelenli: ponad Rdzeniem.

Nie jestem zdenerwowany, powtarzam sobie, sięgając do niego.

Onyks jest inny niż pozostałe komponenty. W porównaniu z nim nawet księżycowa skała jest spokojna; to przecież tylko lustro. Jest potężny, przerażający, czarny najsilniejszą czernią, tajemniczy. Podczas gdy inne komponenty trzeba wyszukiwać i aktywnie angażować, ten porywa moją świadomość, kiedy tylko się do niego zbliżam, próbując wciągnąć mnie głębiej w swoje nieokielznane prądy konwekcyjne srebra. Kiedy wcześniej się z nim łączyłem, odrzucał mnie, tak samo jak innych. Najlepsi magestrzy w Syl Anagist nie mogli zrozumieć dlaczego – teraz jednak, kiedy zbliżam się do niego, a on mnie przyjmuje, nagle już wiem. Onyks żyje. To, co w przypadku innych komponentów jest tylko pytaniem, tutaj zyskało odpowiedź: on mnie sejszy. Uczy się mnie i dotyka swoją obecnością, która nagle jest niezaprzeczalna.

W tej samej chwili, kiedy to sobie uświadamiam i przerażony zastanawiam się, co myślą o mnie komponenty, których żałośni potomkowie – my – stworzeni zostali z ich genów oraz nienawiści ich niszcycieli...

...poznaję w końcu sekret magestrii, który nawet Niessowie raczej przyjmowali, niż rozumieli. To przecież magia, nie nauka. Pewne jej elementy nigdy nie zostaną zrozumiane. W tej chwili jednak wiem: wprowadź magię w coś martwego, a to coś ożyje. Wprowadź odpowiednio dużo magii w matrycę magazynową, a ta uzyska pewnego rodzaju świadomość. To, co po niej zostanie – być może jest to dusza – będzie pamiętać każdy koszmar i okrucieństwo.

Onyks ciąży więc ku mnie, ponieważ wyczuwa, że ja też poznałem ból. Otwarto mi oczy na moje ciemnienie i degradację. Jestem oczywiście wystraszony, wściekły i skrzywdzony, ale onyks nie pogardza tymi uczuciami. Szuka czegoś innego, czegoś więcej, i w końcu znajduje to w niewielkim, palącym węźle za moim sercem – to determinacja. Postanowiłem, że z całego tego zła uczynię coś dobrego.

Tego właśnie chce onyks – sprawiedliwości. A ponieważ ja też tego pragnę...

Otwieram oczy.

– Aktywowałem nadrzędny kaboszon – raportuję konduktorom.

– Potwierdzam – odzywa się Gallat, spoglądając na ekran, na którym biomagestrzy monitorują nasze połączenia neuroaranżacyjne. Nasi obserwatorzy biją brawo, a ja czuję wobec nich nagłą pogardę. Ich niezdarne instrumenty i słabe, proste sejsody w końcu powiedziały im to, co dla nas jest jasne jak słońce. Silnik plutoniczny działa.

Teraz, kiedy wszystkie komponenty zostały uruchomione – migocząc i szumiąc, unoszą się ponad dwustu pięćdziesięcioma sześcioma miastami-węzłami i sejsmicznymi punktami energii – rozpoczynamy coraz szybszą sekwencję. Najpierw komponenty przenika blada fala, a potem głębsze barwy. Na początkową sekwencję onyks reaguje pojedynczym, ciężkim brzmieniem, które marszczy powierzchnię Oceanu Półkulowego.

Skórę mam napiętą, serce wali mi w piersi. Gdzieś, w zupełnie innym ciele, zacisnąłem pięści. Zacisnęliśmy – zacierając granice pomiędzy naszymi sześcioma ciałami oraz dwustu pięćdziesięcioma sześcioma rękami i nogami przynależącymi do jednego czarnego, pulsującego serca. Otwieram (otwieramy) usta, kiedy onyks ustawia się w idealnej pozycji, z której mógłby się podłączyć do bezkresnego strumienia ziemskiej magii z jej źródłem daleko, daleko w dole. Oto chwila, dla której zostaliśmy stworzeni.

Powinniśmy powiedzieć: „Teraz”. Teraz, tutaj, połączenie. Powinniśmy zamknąć

surowy przepływ magii planety w nieskończonym cyklu służącym ludzkości.

Ponieważ w tym właśnie celu stworzyli nas Sylanagistyjczycy: abyśmy potwierdzili słuszność ich przekonań. Życie w Syl Anagist jest święte – tak jak powinno być, ponieważ miasto spala życie jako paliwo dla swej chwały. Niessowie nie byli pierwszymi ludźmi zmiażdżonymi w jego szczękach – po prostu padli ofiarą ostatniej, najbardziej okrutnej eksterminacji. Dla cywilizacji zbudowanej na wyzysku nie ma większego zagrożenia niż brak kolejnych podmiotów, które mogłaby uciskać. A teraz, jeśli nic innego się nie wydarzy, Syl Anagist będzie musiało znaleźć sposób, aby podzielić swoich ludzi na frakcje i popchnąć do konfliktu. Z samych roślin i modyfikowanych genetycznie zwierząt nie da się uzyskać wystarczająco dużo magii; ktoś musi cierpieć, aby ktoś inny mógł doświadczać luksusów.

Syl Anagist uznało, że tym cierpiącym będzie Ziemia. Lepiej zniewolić wielki, martwy obiekt, który nic nie odczuwa i nie będzie mógł niczemu się sprzeciwić. Lepiej przeprowadzić geoaranżację. Ten sposób rozumowania ma jednak swoje luki, ponieważ na dłuższą metę Syl Anagist jest niezaspokajalne. To pasożyt – jego głód magii rośnie z każdą pochłoniętą kroplą. Jądro Ziemi nie jest niewyczerpane. W końcu, po jakichś pięćdziesięciu tysiącach lat, to źródło też zostanie osuszone. A wtedy wszystko umrze.

To, co robimy, jest bezcelowe, a geoaranżacja to kłamstwo. Jeśli pomożemy Syl Anagist dalej podążać tą drogą, będziemy mogli powiedzieć później: „Wszystko, co nam się przydarzyło, było słuszne, naturalne oraz nieuniknione”.

Nie.

Zamiast tego mówimy: „Teraz”. Teraz, tutaj, połączenie. Od białych komponentów po ciemne, od wszystkich innych po onyks i od onyksu... z powrotem do Syl Anagist. Całkowicie odcinamy od tego obiegu kamień księżycowy. Teraz cała moc zgromadzona w komponentach uderzy w miasto, a kiedy silnik plutoniczny umrze, to samo stanie się z Syl Anagist.

To wszystko zaczyna się i kończy, zanim instrumenty konduktorów choćby zarejestrują problem. Kiedy łączę się z innymi i wszyscy milkniemy, przygotowując się i czekając, aż uderzy w nas wtórna pętla, jestem zadowolony. Dobrze będzie nie umierać samemu.

Lecz pamiętaj – tego dnia nie tylko my postanowiliśmy stawić opór.

Uświadomię to sobie dopiero później, kiedy odwiedzę ruiny Syl Anagist, spojrzę w puste gniazda i dostrzegę metalowe igły wystające z ich ścian. Tego wroga poznam dopiero po tym, jak zostanę upokorzony i przemieniony u jego stóp... wyjaśnię to jednak już teraz, abyś mogła wyciągnąć lekcję z mojego cierpienia.

Nie tak dawno temu opowiadałem ci o wojnie pomiędzy Ziemią a życiem na jej powierzchni. Oto próbka filozofii wroga: Ziemia nie widzi między nami żadnej różnicy. Górotwory, nieruchomi, Sylanagistyjczycy, Niessowie, ci z przyszłości i ci z zamierzczłych czasów – dla Ziemi ludzkość to ludzkość. I choć to inni sterowali moimi narodzinami i rozwojem, choć geoaranżacja była marzeniem Syl Anagist na długo przed narodzinami moich konduktorów, choć tylko wykonywałem rozkazy, a nasza szóstka

zamierzała walczyć... Ziemi to nie obchodziło. Wszyscy byliśmy winni. Wszyscy ponosiliśmy odpowiedzialność za zbrodniczą próbę zniewolenia świata.

Uznawszy nas winnymi, Ziemia wydał wyrok. I przynajmniej w tamtym momencie docenił nasze zamiary oraz dobre sprawowanie.

Oto, co pamiętam i co poskładałem w całość znacznie później. Wierzę w to. Ale pamiętaj – i nigdy nie zapominaj – że był to dopiero początek wojny.

Zakłócenie postrzegamy najpierw jako ducha w maszynie. Jako obecność obok nas, wewnątrz nas – intensywną, natrętną i olbrzymią. Wrywa onyks z mojego uścisku, zanim zdążę się zorientować, co się dzieje, i nasze zdumione sygnały w rodzaju: „Co?”, „Coś jest nie tak”, „Jak to się stało?” tłumi falą ziemiomowy tak zdumiewającą, jak kiedyś zdumiewające będzie dla ciebie Pęknięcie.

„Cześć, mali wrogowie”.

W pomieszczeniu obserwacyjnym konduktorów w końcu uruchamia się alarm. Zastygamy na naszych drucianych krzesłach, wrzeszcząc bez słów i otrzymując odpowiedź od czegoś poza naszym pojmowaniem, dlatego bimagestry dostrzegają problem, dopiero kiedy dziewięć procent silnika plutonicznego – czyli dwadzieścia siedem komponentów – jest już poza siecią. Nie widzę, jak Gallat zamiera i wymienia przerażone spojrzenia z pozostałymi konduktorami oraz ich wysoko postawionymi gośćmi; to tylko moje spekulacje, oparte na wszystkim, co o nim wiem. Wyobrażam sobie, że w pewnym momencie odwraca się do pulpitu, aby odwołać wdrożenie. Nie widzę również, jak metalowa kula za ich plecami pulsuje, nabrzmiewa i pęka, niszcząc swoje pole stazy i dziurawiąc wszystkich w pomieszczeniu rozgrzanymi, ostrymi jak igły odłamkami. Słyszę krzyki, które rozlegają się po tym, jak metalowe kawałki przebijają się przez żyły i tętnice, oraz nastającą później złowieszczą ciszę, ale w tej chwili mam własne problemy.

Remwha, mający najlepszy refleks, wrywa nas z odrętwienia stwierdzeniem, że coś innego kontroluje silnik. Nie ma czasu, zastanawiać się nad tym, kto ani dlaczego. Gaewha przesyła nam gorączkowy sygnał: „Odłączone komponenty nadal pozostają aktywne”. Dodaje, że utworzyły coś w rodzaju podsieci – zapasowego klucza. W ten sposób obca świadomość zdołała pozbawić onyks kontroli. Teraz wszystkie komponenty generujące i magazynujące większą część mocy silnika plutonicznego znajdują się pod obcą, wrogą kontrolą.

W głębi serca jestem dumną istotą i uważam, że to niedopuszczalne. To ja miałem obsługiwać onyks, dlatego sięgam po niego ponownie i wpycham go z powrotem w połączenia silnika, w jednej chwili zrywając tamtą obcą więź. Salewha opanowuje fale magiczne wstrząsu wywołane przez to zakłócenie, aby nie odbiły się rykoszetem w silniku i nie wprawiły całości w rezonans, który... no cóż, nie wiemy właściwie, czym taki rezonans mógłby skutkować, ale na pewno czymś złym. Wytrzymuję te drgania, obnażając zęby i słuchając, jak moje rodzeństwo krzyczy wraz ze mną, prycha albo zamiera po tych wtórnych wstrząsach. Wszędzie panuje chaos.

W królestwie ciała i krwi światła naszych komór zgasły, pozostawiając tylko blask paneli

awaryjnych. Klaksony wyją, słyszę też, jak gdzieś w Strefie Zero wyposażenie rozpada się pod wpływem nadmiernej mocy, którą wprowadziliśmy do układu. Konduktorzy wrzeszczą w pomieszczeniu obserwacyjnym, nie mogą nam pomóc – nie, żeby kiedykolwiek mogli. Nie mam pojęcia, co się dzieje. Wiem tylko, że to chaotyczna bitwa i że od tego momentu nic już nie będzie całkiem jasne...

Ta dziwna obecność, która nas zaatakowała, szarpie silnik plutoniczny, próbując raz jeszcze pozbawić nas kontroli nad nim. Krzyczę do niej z niemą, magmową furją o mocy gejzeru: „Wynoś się stąd! Zostaw nas!”.

„To wy to zaczęliście”, syczy to coś w Ziemi, próbując raz jeszcze. Kiedy mu się nie udaje, wydaje z siebie pełen frustracji odgłos i zamyka się w dwudziestu siedmiu komponentach, które w tak tajemniczy sposób zostały odłączone od sieci. Dushwha wyczuwa zamiar wrogiego bytu i próbuje uchwycić któryś z nich, ale komponenty wymykają jej się, jakby były pokryte oliwą. Bo w pewnym sensie rzeczywiście tak jest: coś je zanieczyściło, czyniąc wadliwymi i niemal niemożliwymi do uchwycenia. Być może udałoby nam się zrobić to wspólnym wysiłkiem, koncentrując się osobno na każdym komponentcie, ale nie mamy tyle czasu. Wróg panuje więc nad dwudziestoma siedmioma.

To pat. My nadal trzymamy onyks, mamy też pozostałe dwieście dwadzieścia dziewięć komponentów, gotowych do wystrzelenia pulsu, który zniszczy Syl Anagist – i nas również. Na razie jednak wstrzymujemy się, ponieważ nie możemy tak tego zostawić. Skąd wziął się ten wściekły i potężny byt? I co robi z zajęтыми przez siebie komponentami? Zapada długa cisza. Nie mogę mówić do innych, ale przynajmniej zaczynam myśleć, że nie będzie już więcej ataków. Zawsze byłem takim wielkim głupcem.

W ciszy rozlega się rozbawione, złośliwe wezwanie naszego wroga, wyrażone pod postacią magii, żelaza i skał.

„Płońcie dla mnie”, mówi Ojciec Ziemia.

Nawet po tylu wiekach spędzonych na poszukiwaniu odpowiedzi mogę tylko spekulować na temat tego, co wydarzyło się później.

Nie mogę opowiadać dalej, bo wszystko działo się niemal równocześnie i w zupełnym chaosie. Ziemia zmienia się stopniowo, aż w końcu przestaje. A kiedy walczy, robi to stanowczo.

Oto kontekst. Tamten pierwszy próbny odwiert, który rozpoczął projekt geoaranżacji, pozwolił również Ziemi zorientować się, że ludzkość zamierza przejąć nad nim kontrolę. W ciągu kolejnych kilku dekad Ojciec Ziemia przyglądał się swojemu wrogowi i zaczynał rozumieć jego zamiary. Jego instrumentem i sojusznikiem był metal – dlatego też nigdy nie można mu ufać. Wysłał drobinki samego siebie na powierzchnię, aby zbadać komponenty w gniazdach – dla bytu powstałego z materii nieorganicznej to życie zmagazynowane w kryształach okazało się, w przeciwieństwie do zwykłego ciała, zrozumiałe. Ziemia stopniowo nauczyła się kontrolować pojedynczych ludzi, choć wymagało to użycia środków kamiennych. Bez tego jesteśmy małymi, trudnymi do uchwycenia istotami – nieznaczącym robactwem z tendencją do stawania się czasami niebezpiecznym

znaczącym. Obeliski okazały się natomiast bardziej przydatnymi narzędziami. Łatwo było zwrócić je przeciwko nam, jak każdą broń, którą przeciwnik posługuje się niedbale.

Požoga.

Pamiętasz Allia? Wyobraź sobie tę zagładę pomnożoną przez dwieście pięćdziesiąt sześć. Wyobraź sobie Bezruch rozdarty w każdym węźle i obszarze aktywnym sejsmicznie, a także w oceanie – setki naruszonych punktów zapalnych, kieszeni gazowych i starych złóż ropy, a cały układ płyt tektonicznych zdestabilizowany. Nie ma słów na tak wielką katastrofę. Stopiłaby powierzchnię planety, osuszając oceany i wyjaławiając całą ziemię od płaszcza wzwyż. Dla nas i wszystkich stworzeń, które w przyszłości mogłyby wyewoluować, aby skrzywdzić Ziemię, świat dobiegłby końca. Ojciec Ziemia jednak miałby się dobrze.

Moglibyśmy to zakończyć. Gdybyśmy chcieli.

Nie powiem, że nie kusiło nas, kiedy stanęliśmy w obliczu wyboru między pozwoleniem na zagładę cywilizacji a pozwoleniem na zniszczenie całego życia na planecie. Los Syl Anagist był przypieczętowany. Nie zrozumcie mnie źle: my chcieliśmy go przypieczętować. Różnica pomiędzy tym, czego chciał Ziemia, a tym, czego chcieliśmy my, polegała tylko na skali. Ale w jaki sposób miał skończyć się świat? My, stroiciele, i tak mieliśmy być już martwi, dlatego w tamtej chwili nie robiło mi to wielkiej różnicy. Niemądrze jest pytać o coś takiego ludzi, którzy nie mają nic do stracenia.

Z jednym zastrzeżeniem. Ja miałem coś do stracenia. W tych wiekuistych chwilach myślałem o Kelenli i jej dziecku.

Stało się tak, że moja wola zdominowała sieć. Jeśli masz jeszcze jakiegokolwiek wątpliwości, powiem to wprost: to ja wybrałem sposób, w jaki skończy się świat.

To ja przejąłem kontrolę nad silnikiem plutonicznym. Nie mogliśmy zatrzymać Ognia, mogliśmy natomiast wprowadzić do sekwencji opóźnienie i przekierować najgorszą część jej energii. Po tym, jak przeszkodził nam Ziemia, moc była zbyt niestabilna, żeby po prostu przekazać ją do Syl Anagist, jak początkowo planowaliśmy. Tak duża siła kinetyczna musiała zostać rozłożona – ale nigdzie na planecie, jeśli chciałem, żeby ludzkość przetrwała. Lecz mieliśmy przecież pod ręką Księżyc i kamień księżycowy.

Spieszyłem się. Nie było czasu na wątpliwości. Moc mogła nie odbić się od kamienia księżycowego, jak to było zaplanowane, co tylko zwiększyłoby moc Pożogi. Warcząc, chwyciłem więc pozostałych i zmusiłem ich, żeby pomogli mi – byli gotowi, ale powolni – roztrzaskać księżycowy kaboszon.

W następnej chwili moc rąbnęła w uszkodzony kamień. Nie odbiła się od niego i zaczęła drążyć Księżyc. Nawet biorąc pod uwagę takie osłabienie, siła uderzenia była wstrząsająca, by wypchnąć Księżyc z orbity.

Wykorzystując silnik w ten sposób, powinniśmy zwyczajnie zginać, ale Ziemia, ten duch w maszynie, nadal tam był. Kiedy wiliśmy się w przedśmiertnych drgawkach, a cała Strefa Zero rozpadała się wokół nas, on znowu przejął kontrolę.

Mówiłem już, że Ziemia obwiniał nas o zamach na swoje życie, i to prawda, ale w pewnym sensie, być może po latach swoich obserwacji, rozumiał też, że byliśmy tylko narzędziami w rękach innych, a nie wykonawcami własnej woli. Pamiętaj również, że

Ziemia nie rozumie nas całkowicie. Spogląda na ludzi i widzi kruche, krótko żyjące istoty, zarówno ciałem, jak i świadomością oderwane od planety, od której zależy ich życie, i nierozumiejące krzywdy, którą chciały jej wyrzucić – być może właśnie dlatego, że żyją krótko, są kruche i od niej oderwane. Zastosował więc wobec nas złagodzoną karę: uczynił nas częścią samego siebie. Wrzeszczałem na swoim drucianym krześle, kiedy przepływała przede mną fala alchemii, zmieniając moje ciało w surową, żyjącą i twardą magię wyglądającą jak kamień.

Nie doświadczyliśmy najgorszego – to zarezerwowane zostało dla tych, którzy najbardziej obrazili planetę. Ziemia użył fragmentów śródkamienia, aby przejąć kontrolę nad tymi najbardziej niebezpiecznymi szkodnikami – nie zadziałało to jednak tak, jak miało zadziałać. Ludzka wola jest bardziej nieprzewidywalna niż ludzkie ciało. Działania tych szkodników na zawsze zostały więc ukrócone.

Nie będę opisywał szoku i zagubienia, które czułem w tamtych pierwszych godzinach po mojej przemianie. Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, jak wróciłem z Księżyca na Ziemię. Pamiętam jedynie koszmar niekończącego się spadania i płonienia, choć mogło to być niczym więcej jak moim urojeniem. Nie będę cię prosił, żebyś spróbowała sobie wyobrazić, jak to jest nagle znaleźć się w całkowitej samotności i ciszy po życiu spędzonym na śpiewaniu do innych takich jak ja. To była sprawiedliwość. Akceptuję to, przyznaję się do popełnionych zbrodni. Próbowałem za nie zadośćuczynić, ale...

Cóż. Co się stało, to się nie odstanie.

W tych ostatnich chwilach przed naszą przemianą zdołaliśmy odwołać komendę „Pożoga” w dwustu dwudziestu dziewięciu komponentach. Niektóre z nich pod wpływem nacisku zostały roztrzaskane. Inne umierały w ciągu kolejnych stuleci, ponieważ ich matryce niszczały pod wpływem jakichś niepojętych, tajemniczych sił. Większość przeszła w tryb czuwania, aby całymi wiekami unosić się ponad światem, który nie potrzebował już ich mocy – do momentu, aż któraś z kruchych istot poniżej odezwie się do nich z niewyraźnym żądaniem dostępu.

Nie mogliśmy powstrzymać dwudziestu siedmiu komponentów opanowanych przez Ziemię. Zdołaliśmy natomiast wpłynąć na ich główne sieci krystaliczne i opóźnienie nieuniknione o sto lat. To, co nie zgadza się w opowieściach, to jedynie czas, rozumiesz? Sto lat po tym, jak Ojcu Ziemi skradziono jego dziecko, dwadzieścia siedem obelisków spaliło wszystko aż po jądro planety, pozostawiając na jej skórze same rozjątrzone rany. Ogień nie okazał się tak oczyszczający, jak pragnął tego Ziemia, ale mimo to przyniósł pierwszą i najgorszą Piątą Porę Roku – tę, którą nazywacie Sezonem Zniszczenia. Ludzkość przeżyła, ponieważ dla Ziemi, czy nawet dla samej historii człowieka, sto lat jest niczym, ale dla tych, którzy przetrwali upadek Syl Anagist, było to wystarczająco dużo czasu na przygotowania.

Księżyc, broczący z rany w swoim sercu, zniknął w ciągu kilku dni.

I...

Nigdy więcej nie widziałem Kelenli ani jej dziecka. Zawstydzony tym, że zmieniłem się w takiego potwora, nigdy ich nie szukałem. Wiem jednak, że przeżyła. Od czasu do czasu słyszę zgrzyt i chrzęst jej kamiennego głosu, jak również głosy kilkorga

jej dzieci. Nie byli całkiem sami; za pomocą resztek swojej technologii ocalali mieszkańcy Syl Anagist odcedzili kilku nowych stroicieli i wykorzystali ich do budowy schronów, magazynów oraz systemów ostrzegania i ochrony. Ci stroiciele umarli, ponieważ przestali być przydatni i ponieważ inni obwiniali ich za gniew Ziemi. Przeżyły tylko dzieci Kelenli, które się nie wyróżniały. Dziedzictwo Kelenli, w postaci mędrców krążących od osady do osady, aby ostrzegać przed nadchodzącą zagładą i uczyć współpracy, przystosowania oraz pamięci, to jedyne, co pozostało po Niessach.

Nam się jednak udało. Przeżyliście. To też moja zasługa, prawda? Zrobiłem, co było w mojej mocy. Pomogłem, jak tylko umiałem. A teraz, moja kochana, mamy drugą szansę.

Czas, abyś ponownie doprowadziła do końca świata.

2501: przesunięcie linii uskoku wzdłuż masywu Minimal-Maksymal. Fala wstrząsu przetoczyła się przez Nomidlaty i Arktykę, ale zatrzymała się na skraju sieci węzłów Równiakiady. W kolejnym roku ceny żywności gwałtownie wzrosły, nie doszło jednak do klęski głodowej.

Notatki Yaetr Innowatorki Dibars

O zachodzie słońca Nassun postanawia zmienić świat.

Przez cały dzień leżała zwinięta obok Schaffy, używając pokrytych popiołem ubrań jako poduszki, wdychając jego zapach i marząc o rzeczach niemożliwych. W końcu wstaje i bardzo ostrożnie karmi go ostatnim rosołem, który przyrządziła. Daje mu też dużo wody. Kiedy wciągnie Księżyc na kurs kolizyjny z Ziemią, do katastrofy i tak pozostanie jeszcze kilka dni. Nassun nie chce, aby Schaffa cierpiał za bardzo w tym czasie, ponieważ nie będzie mogła być przy nim.

(Jest bardzo dobrym dzieckiem. Nie złość się na nią. Może dokonywać wyborów tylko na podstawie swoich ograniczonych doświadczeń, a to nie jej wina, że większość tych doświadczeń była okropna. Podziwiał ją za to, jak łatwo i jak głęboko potrafi kochać. Kochać tak, aby zmieniać świat! Musiała gdzieś nauczyć się takiej miłości).

Wycierając szmatką rosół z brody Schaffy, sięga ku górze i rozpoczyna aktywację swojej sieci. Tutaj, w Rdzeniu, może zrobić to nawet bez onyksu, ale aktywacja zajmie trochę czasu.

– „Przykazanie wykute jest w kamieniu” – mówi Schaffie uroczystym tonem. Jego oczy znowu są otwarte. Mruga, być może w reakcji na dźwięk, choć Nassun wie, że to bez znaczenia.

Przeczytała te słowa w dziwnej, odręcznie napisanej książce – tej, która nauczyła ją używać mniejszej sieci obelisków jako zapasowego klucza przełamującego panowanie onyksu nad Wrotami. Mężczyzna, który napisał tę książkę, prawdopodobnie był szalony, na co wskazuje fakt, że najwyraźniej dawno temu kochał matkę Nassun. To dziwne i niewłaściwe, a jednak w pewnym sensie wcale nie zaskakujące. Świat jest wielki, ale Nassun uświadamia sobie, że jednocześnie jest też całkiem mały. Niektóre historie powtarzają się ciągle od nowa. Mają te same zakończenia. Te same błędy popełniane są bez końca.

– Niektóre rzeczy są zniszczone za bardzo, by dało się je naprawić, Schaffa. – Nie wiedzieć czemu, przypomina sobie Jiję. Ból tego wspomnienia ucisza ją na chwilę. – Nie... nie potrafię wymyślić nic innego. Ale mogę przynajmniej zadbać o to, by wszystkie złe rzeczy przestały się wydarzać.

Wstaje i wychodzi. Nie widzi, że Schaffa ją obserwuje, a jego twarz pokrywa się cieniem niczym Księżyc.

O świcie postanawiasz zmienić świat. Śpisz w śpiworze, który Lerna przyniósł na dach budynku oznaczonego żółtym X. Spędziliście noc pod wieżą ciśnień, słuchając nieustannego huku Pęknięcia i okazjonalnych uderzeń piorunów. Prawdopodobnie powinniście po raz ostatni uprawiać tutaj seks, ale w ogóle nie myślałaś o takich rzeczach, a on tego nie zaproponował, więc przepadło. I tak masz już przez to wystarczająco dużo kłopotów. A twój wiek i głód nie są, jak się okazuje, stuprocentowo skutecznym środkiem

antykonceptyjnym.

Lerna obserwuje, jak wstajesz i się rozciągasz – chyba nigdy nie zrozumiesz i nie przyzwyczaisz się do podziwu w jego wzroku. Sprawia, że czujesz się kimś lepszym, niż jesteś. A to z kolei sprawia, że żałujesz, że nie możesz zostać tutaj i poczekać na narodziny jego dziecka. Spokojna, bezwzględna dobroć Lerna to coś, co powinno przetrwać na tym świecie. Wielka szkoda.

Nie zasłużyłaś na jego podziw. Ale zamierzasz zasłużyć.

Schodzisz na dół i się zatrzymujesz. Poprzedniego wieczoru nie tylko Lerna, ale również Tonkee, Hjarka i Ykka dowiedziały się od ciebie, że już pora – i że wyruszysz po śniadaniu. Kwestię tego, czy mogą ci towarzyszyć, pozostawiłaś otwartą. Jeśli zgłoszą się na ochotnika, to co innego, nie zamierzasz jednak ich prosić. Jaką byłabyś osobą, gdybyś ich nakłaniała do podjęcia takiego ryzyka? Doświadczą wystarczająco wielu niebezpieczeństw, jak cała reszta ludzkości.

Nie spodziewałaś się, że znajdziesz ich wszystkich w holu budynku z żółtym X. Tak, wszystkich, zajętych zwijaniem śpiworów, ziewających, piekących kielbaski i głośno narzekających na to, że ktoś wypił całą zardzewiałą herbatę. Jest tu Hoa, ustawiony tak, żeby widzieć, jak schodzisz po schodach. Na jego ustach widnieje szczery uśmiech, co cię nie dziwi – w przeciwieństwie do obecności Danela i Maxixe'a. Ona wykonuje właśnie jakieś wojskowe ćwiczenia, on skrawa kolejnego ziemniaka na patelnię; owszem, rozpałił ognisko w holu budynku, bo tak właśnie postępują czasem bezwspółnotowi. Dym wydostaje się na zewnątrz przez wybite okna. Hjarka i Tonkee również cię zaskakują; śpią jeszcze, zwinięte razem na stercie futer.

Zdecydowanie natomiast nie spodziewałaś się, że Ykka wparuje do środka ze swoją dawną zuchwałością i idealnym makijażem znowu zdobiącym skórę wokół oczu. Rozgląda się po holu i dostrzegłszy ciebie i innych, opiera ręce na biodrach.

– Przyłapałam was, zardzewialce, w złym momencie?

– Nie możesz... – wykrztuszasz. Trudno ci mówić. Masz ściśnięte gardło. Chodzi szczególnie o Ykkę. Na Złą Ziemię, znowu ma na sobie futrzaną kamizelkę. Myślałaś, że zostawiła ją w podziemnej Castrimie. – Nie możesz iść. Wspólnota.

Ykka wywraca oczami.

– Weź się pierdol. Ale masz rację, nie idę. Chciałam tylko zobaczyć, jak wyruszacie. Tak naprawdę to powinnam was zabić, skoro odchodzicie na dobre, ale myślę, że możemy na razie pominąć ten techniczny szczegół.

– To znaczy, że nie możemy wrócić? – wypala Tonkee. Siedzi lekko pochylona, z rozwichrzonymi włosami. Hjarka wstała, narzekając na zbyt wczesną pobudkę, i podaje jej talerz z siekanymi ziemniakami przygotowanymi przez Maxixe'a.

Ykka spogląda na nią.

– Ty? Wyruszasz do olbrzymich, doskonale zachowanych ruin miasta twórców obelisków. Nigdy więcej cię nie zobaczę. Ale jasne, gdyby Hjarce udało się jakoś przemówić ci do rozsądku, to chyba możecie wrócić. Jej akurat potrzebuję.

Maxixe ziewa na tyle głośno, że ściąga na siebie uwagę wszystkich zgromadzonych. Jest nagi, dzięki czemu widzisz, że w końcu trochę lepiej wygląda – wciąż przypomina kościotrupa, ale to akurat można powiedzieć o połowie mieszkańców

wspólnoty. Najważniejsze, że mniej kaszle i zgęstniały mu włosy, choć wciąż są krótkie i sterczą na boki. Po raz pierwszy widzisz jego odsłonięte kikuty i dopiero teraz sobie uświadamiasz, że blizny na nich są zbyt gładkie, by amputacji mógł dokonać jakiś bezwspólnotowy ze zwykłą piłą. Tę historię zna jednak tylko Maxixe. Zwracasz się do niego:

– Nie bądź głupi.

Maxixe wydaje się lekko rozzłoszczony.

– Nie idę, nie. Ale mógłbym.

– Nie, u rdzy, nie mógłbyś – warczy Ykka. – Powiedziałam ci już, że potrzebujemy tutaj roggi z Fulcrum.

Maxixe wzdycha.

– No dobrze. Ale nic nie stoi na przeszkodzie, żebym was pożegnał. A teraz skończcie już z tymi pytaniami i zjedzcie coś. – Sięga po ubranie i zaczyna je zakładać.

Posłusznie podchodzisz do ognia, żeby coś zjeść. Nie cierpisz jeszcze na poranne nudności. Przynajmniej tyle.

Jedząc, obserwujesz wszystkich, oszołomiona i odrobinę sfrustrowana. Oczywiście to wzruszające, że wszyscy przyszli cię pożegnać. Cieszysz się z tego i nie potrafisz udawać, że jest inaczej. Kiedy opuszczałaś jakieś miejsce w taki sposób – otwarcie, pokojowo, wśród śmiechu? Czujesz się... nie wiesz, jak się czujesz. Dobrze? Nie masz pojęcia, co z tym zrobić.

Masz jednak nadzieję, że inni też zdecydują się zostać. Jeśli nie, Hoa będzie ciągnął przez ziemię prawdziwą zardzewiałą karawanę.

Kiedy spoglądasz na Danel, aż mrugasz z zaskoczenia. Znowu ścięła włosy; naprawdę nie lubi długich fryzur. Ogołiła skronie, a na ustach ma... czarny tusz. Ziemia wie, skąd go wzięła – być może sama zrobiła z węgla drzewnego i tłuszczu. Nagle trudno dostrzec w niej przywódczynię Mocarnych, którą była. Wiedza o tym, że zamierzasz zmierzyć się z wyzwaniem, o którym mędrcy chcą opowiadać potomnym, w jakiś sposób wszystko zmienia. To nie tylko karawana. To zardzewiała misja.

Na tę myśl parszasz śmiechem, a wszyscy nagle patrzą na ciebie, przerywając swoje zajęcia.

– Nieważne – machasz ręką i odstawiasz pusty talerz. – Tylko że... Kurwa. No dobra, to kto ma iść, niech idzie.

Ktoś przyniósł Lerne jego plecak, który Lerna zakłada teraz po cichu, patrząc na ciebie. Tonkee przeklina i zaczyna się ogarniać, w czym pomaga jej milcząca Hjarka. Danel wyciera szmatą pot z twarzy.

Podchodzisz do Hoi, który ukształtował twarz w wyrazie wykrzywionego rozbawienia, i stajesz obok niego, omiatając wzrokiem całą tę kotłowanąinę.

– Dasz radę zabrać aż tyłu?

– Pod warunkiem że będą pozostawać w kontakcie ze mną albo z kimś, kto mnie dotyka.

– Przepraszam. Nie spodziewałam się tego.

– Nie?

Spoglądasz na niego, ale nagle Tonkee – która wciąż coś przeżuwa i zarzuca plecak

na ramię swoją zdrową ręką – chwyta go za uniesioną dłoń i zamiera, przyglądając jej się z nieskrywaną fascynacją. Trwa tak przez chwilę.

– Więc jak to ma wyglądać? – Ykka chodzi po pomieszczeniu, przyglądając się wszystkim ze skrzyżowanymi ramionami. Jest wyraźnie bardziej niespokojna niż zwykle. – Docieracie tam, łapiecie Księżyc, wpychacie go na miejsce i co dalej? Zobaczmy jakąś zmianę?

– Pęknięcie zostanie schłodzone – odpowiadasz. – Na krótką metę niewiele to zmieni, ponieważ w powietrzu jest już zbyt dużo popiołu. Ten Sezon musi dobiec końca i tak czy inaczej będzie źle. Księżyc może nawet pogorszyć sytuację. – Sejszysz, że już teraz przyciąga do siebie świat; tak, jesteś pewna, że pogorszy sytuację. Ykka kiwa głową. Ona również to sejszy.

Jest też jednak pewien długoterminowy skutek, którego sama nie potrafiłaś jak dotąd zrozumieć.

– Ale jeśli to zrobię... jeśli przywrócę Księżyc... – Bezsilnie wrzucasz ramionami i zerkasz na Hoę.

– Otworzy nam to pole do negocjacji – stwierdza swoim dudniącym głosem. Wszyscy odwracają głowy w jego stronę. Po wyrazach twarzy zebranych widać, kto jest przyzwyczajony do obecności zjadaczy kamieni, a kto nie. – I być może do rozejmu.

Ykka się krzywi.

– Być może? Czyli że przeszliśmy przez to wszystko, a ty nawet nie wiesz, czy zakończymy Piątą Porę Roku? Na Złą Ziemię.

– Nie – przyznajesz. – Ale zakończymy tę Piątą Porę Roku.

Tego jesteś pewna. I już choćby z tego powodu warto to zrobić.

Ykka się poddaje, ale co jakiś czas szepcze coś do siebie. Dzięki temu wiesz, że ona też chciałaby pójść – cieszysz się jednak, że najwyraźniej wybiła to sobie z głowy. Castrima jej potrzebuje. Musisz wiedzieć, że po twoim powrocie wspólnota nadal tu będzie.

W końcu wszyscy są gotowi. Chwytasz prawą dłoń Hoi swoją lewą. Nie masz drugiego ramienia, więc Lerna obejmuje cię w pasie; kiedy na niego spoglądasz, kiwa głową, spokojny i zdecydowany. Po drugiej stronie Hoi stoją Tonkee, Hjarka i Danel. Również trzymają się za ręce.

– Mocno nas to walnie, co? – pyta Hjarka. Tylko ona wydaje się zdenerwowana. Danel emanuje spokojem; jest pogodzona, przynajmniej ze sobą. Tonkee jest tak podniecona, że nie przestaje się uśmiechać. Lerna tylko opiera się o ciebie z kamiennym spokojem, jak to on.

– Pewnie tak! – odpowiada Tonkee, kołysząc się nieznacznie.

– To brzmi jak naprawdę zły pomysł – stwierdza Ykka. Opiera się o ścianę i z założonymi rękoma obserwuje całą waszą grupę. – Wiem, że Essie musi iść, ale cała reszta... – Kręci głową.

– A ty nie wyruszyłybyś z nami, gdybyś nie była naczelniczką? – pyta Lerna. Wypowiada to cichym głosem. Największe bomby zawsze zrzuca właśnie w ten sposób: cicho i nie wiadomo skąd.

Ykka rzuca mu groźne spojrzenie. Zaraz potem mierzy cię wzrokiem, z którego

przebija ostrożność – a może zażenowanie. W końcu wzdycha i odsuwa się od ściany. Widziałaś to jednak. Gardło znowu masz zaciśnięte.

– Hej – mówisz, zanim zdąży odejść. – Yeek.

Patrzy na ciebie wściekle.

– Nienawidzę tej zardzewiałej ksywki.

Ignorujesz to.

– Jakiś czas temu powiedziałaś mi, że masz gdzieś ukryty zapas seredisu. Miałyśmy napić się go po tym, jak pokonam armię Rennisów. Pamiętasz?

Ykka robi zdziwioną minę, a potem na jej twarzy pojawia się lekki uśmiech.

– Byłaś w sypialce czy coś. Wypiłam go sama.

Teraz to ty posyłasz jej groźne spojrzenie, zaskoczona tym, że naprawdę cię to rozzłościło. Ykka śmieje ci się w twarz. To tyle, jeśli chodzi o czułe pożegnanie.

Ale... cóż. I tak dobrze ci z tym.

– Zamknijcie oczy – mówi Hoa.

– On nie żartuje – dodajesz w ramach ostrzeżenia. Sama masz je jednak otwarte, kiedy świat staje się ciemny i dziwny. Nie czujesz strachu. Nie jesteś sama.

Jest noc. Nassun stoi na terenie, który jej zdaniem musi być miejskim ogrodem. Myli się – miasta budowane przed Sezonami nie potrzebowały takich rzeczy. To po prostu miejsce w pobliżu olbrzymiej dziury, która stanowi serce Rdzenia. Wokół niej znajdują się dziwnie pochyle budynki przypominające słupy, które Nassun widziała w Syl Anagist – z tą różnicą, że te są olbrzymie, wysokie na kilka pięter i szerokie jak cała przecznica. Nassun zorientowała się, że podchodząc do tych budynków – które nie mają żadnych widocznych okien ani drzwi – uruchamia ostrzeżenia w postaci unoszących się ponad miastem olbrzymich jasnoczerwonych słów i symboli. Gorsze od napisów wydają się niskie, wibrujące odgłosy alarmowe, które rozlegają się na ulicach – nie są głośne, ale tak uporczywe, że Nassun ma wrażenie, jakby pod ich wpływem zęby zaczynały ruszać jej się w dziąsłach.

(Pomimo tego wszystkiego zajrzała do dziury. Jest olbrzymia w porównaniu z tą, która znajdowała się w podziemnym mieście – jej średnica jest kilka razy dłuższa, a obejście otworu zajęłoby jakąś godzinę. A jednak, mimo wspaniałości tego obiektu i widocznych dowodów na to, że był on wielkim osiągnięciem dawnych genżynierów, Nassun jakoś nie czuje, by robił na niej szczególne wrażenie. Dziura nikogo nie karmi, nie daje też schronienia przed popiołem ani napaścią. Nie przeraża jej nawet – choć to bez znaczenia. Po podróży przez podziemne miasto, po ujrzeniu rdzenia świata i po utracie Schaffy już nic nigdy jej nie przerazi).

Miejsce, które znalazła, jest idealnie okrągłą połącją ziemi tuż za granicą uruchamiającą ostrzeżenia. Ziemia jest tu dziwna, miękka w dotyku i sprężysta pod stopami, zupełnie inna niż wszystko, co Nassun dotychczas widziała – choć w Rdzeniu takie doświadczenie to akurat nic nowego. Nie licząc pyłu nawianego przy brzegach, wewnątrz okręgu nie ma właściwie ziemi jako takiej; wyrosło tu kilka ździebeł trawy morskiej, jest też wysuszone, wrzecionowate drzewko, które wiele lat wcześniej musiało

zostać wyrwane z korzeniami. To wszystko.

Przekroczywszy granicę okręgu, Nassun widzi, że dookoła pojawiło się wielu zjadaczy kamieni. Nie ma Stali, ale na ulicy zebrało się około dwudziestu czy trzydziestu innych, którzy siedzą teraz na schodach albo opierają się o ściany. Kilkoro odwracało głowy albo wodziło za nią oczami, kiedy ich mijała, ale Nassun ignoruje ich, a oni ignorują ją. Być może przyszli tu, aby być świadkami historycznej chwili. A może są tacy sami jak Stal i mają nadzieję na zakończenie ich przerażającej, niekończącej się egzystencji; może ci, którzy jej pomagali, robili to właśnie dlatego. A może po prostu się nudzą. Rdzeń nie jest najbardziej ekscytującym miastem na świecie.

Teraz jednak to wszystko nie ma znaczenia – liczy się tylko nocne niebo. A na tym niebie zaczyna pojawiać się Księżyc.

Wisi nisko nad horyzontem, większy niż poprzedniej nocy i zniekształcany przez masy powietrza. Biały, dziwny i okrągły, wydaje się niewart całego tego bólu, który towarzyszył jego nieobecności. A jednak przyciąga całe górotwórstwo Nassun. Przyciąga cały świat.

Pora więc, aby świat też zaczął go przyciągać.

Nassun zamyka oczy. Znajdują się teraz wokół całego Rdzenia – zapasowy klucz, trzy razy trzy razy trzy, dwadzieścia siedem obelisków, których dotykała w ciągu ostatnich kilku tygodni, opanowując je i wprowadzając na bliską orbitę. Nadal czuje szafir, ale ten znajduje się daleko poza zasięgiem jej wzroku; nie może go użyć, a gdyby go wezwała, dotarłby tu po kilku miesiącach. Pozostałe jednak wystarczą. Dziwne jest oglądać wszystkie te obiekty razem na niebie, bo dotychczas widywała je pojedynczo albo wcale. Dziwne jest czuć je wszystkie połączone z nią i szumiące każdy w swoim tempie. Studnia mocy każdego z nich ma inną głębokość. Ciemniejsze obeliski są głębsze. Nassun nie wie dlaczego, ale tak właśnie jest.

Podnosi ręce, rozsuwając palce tak, jak robiła to kiedyś jej matka. Bardzo ostrożnie zaczyna łączyć ze sobą wszystkie dwadzieścia siedem obelisków. Ograniczają ją linie wzroku, linie mocy i dziwne instynkty wymagające matematycznych relacji, których nie rozumie. Każdy z obelisków wzmacnia sąsiednie. To trochę jak zaprzęganie razem dwóch koni, z których jeden jest szybki, a drugi pozostaje w tyle – z tą różnicą, że Nassun zaprzęga jednocześnie dwadzieścia siedem narowistych ogierów wyścigowych... ale zasada jest podobna.

Ten moment, kiedy wszystkie prądy przestają się jej opierać i ustawiają jeden obok drugiego, jest piękny. Nassun bierze głęboki oddech i uśmiecha się wbrew sobie, odczuwając przyjemność po raz pierwszy, od kiedy Ojciec Ziemia zniszczył Schaffę. To powinno być przerażające, prawda? Tyle mocy. Ale nie jest. Nassun opada ku górze przez strumienie szarości, zieleni, różu albo czystej bieli; fragmenty jej samej, których nigdy nie potrafiła nawet nazwać, poruszają się i dopasowują do tańca dwudziestu siedmiu obiektów. Ach, to takie wspaniałe! Gdyby tylko Schaffa mógł...

Zaraz.

Coś sprawia, że Nassun nagle podnoszą się włoski na karku. Niebezpiecznie byłoby stracić teraz koncentrację, dlatego zmusza się, by metodycznie dotykać kolejnych obelisków i je uspokajać, wprowadzając z powrotem w stan cichej bezczynności.

Większość nie stawia oporu, natomiast opal wierzga nieznacznie i Nassun musi uciszyć go siłą. Kiedy wreszcie wszystkie są stabilne, ostrożnie otwiera oczy i rozgląda się dookoła.

Z początku widzi tylko czarno-białe ulice, oblane światłem Księżyca, jak poprzednio: ciche i nieruchome pomimo tłumu zjadaczy kamieni, którzy zebrali się tu, by obserwować ją przy pracy. (W Rdzeniu nietrudno jest poczuć się samotnie w tłumie). Nagle jednak dostrzega... ruch. Coś – ktoś – przemyka pomiędzy plamami cienia.

Zaskoczona Nassun wykonuje krok w kierunku poruszającej się postaci.

– H-halo?

Postać chwiejnie zbliża się do niewielkiego słupa, którego przeznaczenia Nassun nigdy nie rozumiała, choć podobne obiekty wydają się znajdować we wszystkich częściach miasta. Niemal upadając, sylwetka chwyta się go i drży, a potem, słysząc głos Nassun, unosi głowę. W cieniu lśnią lodowobiałe oczy.

Schaffa.

Przytomny. Poruszający się o własnych siłach.

Nassun bez namysłu biegnie w jego stronę. Ma serce w gardle. Słyszała kilka razy to sformułowanie, ale nigdy nie brała go na poważnie – uważała, że jest poetyckie i śmieszne – ale teraz wie już, co oznacza, bo usta wysychają jej tak bardzo, że czuje bicie serca na języku. Oczy zachodzą jej łzami.

– Schaffa!

Znajduje się dziesięć–piętnaście metrów od niej, przy jednym z filarów otaczających dziurę Rdzenia. To wystarczająco blisko, by mógł ją rozpoznać, ale jego wzrok wcale tego nie potwierdza. Przeciwnie – Schaffa mruga, a potem uśmiecha się w powolny i chłodny sposób, który sprawia, że Nassun natychmiast się zatrzymuje, a po ciele przebiega jej dreszcz.

– Sch-Schaffa? – powtarza. Jej głos niemal ginie w otaczającej ciszy.

– Cześć, mały wrogu – mówi Schaffa. Jego głos rozbrzmiewa w całym Rdzeniu, w górze pod nim i w oceanie w promieniu tysiąca kilometrów.

Mężczyzna odwraca się do filaru za jego plecami. Pod wpływem jego dotyku w ścianie pojawia się wysokie, wąskie wejście; chwiejnie wchodzi do środka. Chwilę później drzwi znikają.

Nassun krzyczy i rzuca się za nim.

Znajdujesz się głęboko w niższym płaszczu, w połowie drogi przez wnętrze świata, kiedy wyczuwasz aktywację Wrót Obelisków.

A przynajmniej tak na początku odczytuje to twój umysł, zanim opanujesz zdenerwowanie i sięgniesz, aby potwierdzić swoje odczucie. To trudne. Tutaj, głęboko w Ziemi, jest tyle magii, że próba przebicia się przez nią na powierzchnię przypomina słuchanie odgłosów odległego jeziora, od którego dzieli cię sto huczących wodospadów. Im niżej wciąga was Hoa, tym gorzej, aż w końcu musisz „zamknąć oczy” i całkowicie przestać postrzegać magię – ponieważ w pobliżu jest coś tak olbrzymiego, że całkowicie cię oślepia. Zupełnie jakby pod ziemią znajdowało się srebrnobiałe słońce, w którym

kołtuję się nieprawdopodobna ilość magii... ale czujesz też, że Hoa omija to słońce szerokim łukiem, mimo że cała podróż zajmuje przez to więcej czasu. Musisz go później zapytać, dlaczego to zrobił.

Tutaj, w głębinach, widzisz właściwie tylko gorejącą czerwień. Jak szybko się poruszacie? Bez punktów odniesienia trudno to stwierdzić. Hoa to poszarpany cień mknący wśród czerwieni obok ciebie – kiedy udaje ci się skupić na nim wzrok, widzisz, że lśni, ale prawdopodobnie ty też lśniesz teraz w podobny sposób. Hoa nie przedziera się przez ziemię, ale staje się jej częścią, a jego cząsteczki są przenoszone przez cząsteczki ziemi jak dźwięk, światło czy ciepło. To bardzo niepokojące, nawet jeśli nie odpędzasz myśl, że to samo robi również z tobą. Nie czujesz nic oprócz nacisku jego dłoni, i napięcia pochodzącego od ramienia Lerna. Słysząc jedynie wszechobecny huk, któremu nie towarzyszy zapach siarki ani nic innego. Nie wiesz, czy oddychasz, nie czujesz też potrzeby zaczerpnięcia powietrza.

Odległe przebudzenie wielu obelisków wzbudza jednak w tobie panikę i sprawia, że niemal odsuwasz się od Hoi, aby się z nimi połączyć, choć – głupia – w ten sposób nie tylko byś się zabiła, ale wręcz unicestwiła, zamieniając swoje ciało w popiół, który z kolei stałby się parą, a ta stanęłaby w ogniu.

– Nassun! – krzyczysz, albo próbujesz krzyknąć, ale twoje słowa giną w donośnym huku. Nikt nie usłyszy twojego wołania.

A jednak ktoś słyszy.

Coś przesuwa się wokół ciebie, czy raczej – co uświadamiasz sobie po chwili – to ty się przemieszczasz. Dociera to do ciebie dopiero za drugim razem, i chyba czujesz, że Lerna drży. Przychodzi ci do głowy, żeby spojrzeć na srebrne smugi ciał swoich towarzyszy, które możesz przynajmniej odróżnić na tle gęstej czerwonej materii wokół siebie.

Z twoją ręką połączony jest blask w kształcie ludzkiego ciała – przesuając się gładko ku powierzchni ziemi, wydaje się ciężki niczym góra. To Hoa. Porusza się jednak dziwnie, co jakiś czas przechylając się na prawo i lewo; to samo poczułaś już wcześniej. Wokół Hoi dostrzegasz słabe, delikatnie zarysowane błyski. Jeden z nich ma wyraźną przerwę w srebrnym ramieniu; to musi być Tonkee. Nie potrafisz odróżnić Hjarki od Danel, ponieważ nie widzisz włosów, konturów ciała ani szczegółów takich jak zęby. Lerneę rozpoznajesz tylko dlatego, że wiesz, że znajduje się bliżej ciebie. Natomiast za nim...

Coś przemyka obok, ciężkie niczym góra – to rozjaśniony magią kształt człowieka, a jednak nie człowiek. I nie Hoa.

Kolejny błysk. Coś uderza w niego prostopadle, odrzuca go w dal. Pojawiają się jednak następne. Hoa znowu się przechyla i nowy błysk chybia celu. Było jednak blisko. Lerna wydaje się poruszać obok ciebie. Czy on też to widzi?

Masz nadzieję, że nie, ponieważ teraz rozumiesz już, co się dzieje. Hoa wykonuje uniki. A ty możesz tylko mu zaufać, że obroni cię przed innymi zjadaczami kamieni, którzy próbują mu was wyrwać.

Nie. Trudno się skoncentrować, kiedy jesteś przerażona – kiedy zostałaś wmieszana w półpłynną skałę w płaszczu planety i kiedy wszyscy, których kochasz, umrą

w męczarniach, jeśli nie wypełnisz swojej misji, i kiedy otaczają cię prądy magii dalece potężniejsze niż wszystko, co kiedykolwiek widziałaś, i kiedy atakują cię morderczy zjadacze kamieni. Ale nie na darmo przez całe dzieciństwo uczyłaś się działać pod wpływem śmiertelnego zagrożenia.

Same wiązki magii nie powstrzymają zjadaczy kamieni. Kręte rzeki ziemskiego srebra to wszystko, co masz pod ręką. Sięgając do jednej z nich, masz wrażenie, że zanurzasz dłoń we wrzącej lawie, i przez chwilę zastanawiasz się, czy tak właśnie czułabyś się, gdyby Hoa cię puścił – błysk potwornego gorąca i bólu, a zaraz później niebyt. Odsuwasz tę myśl. Nawiedza cię wspomnienie. Meov. Wbicie lodowego klina w ścianę klifu i oderwanie go, aby roztrzaskać statek pełen Stróżów...

Nadajesz swojej woli kształt klina i wbijasz ją w najbliższy strumień magii – w tę olbrzymią skwierczącą wstęgę. Udaje ci się, ale strzelasz chaotycznie i magia tryska na wszystkie strony, przez co Hoa musi wykonać kolejny unik, tym razem przez ciebie. Kurwa! Próbujesz raz jeszcze, tym razem w skupieniu. Cała znajdujesz się w ziemi, tym razem czerwonej i gorącej, a nie tylko ciepłej i ciemnej, ale jaka to różnica? Nadal jesteś w donicy, tylko bardziej dosłownie. Musisz wprowadzić swój klin tutaj i wycelować go tu. Kiedy więc kolejny błysk góry w kształcie człowieka zrównuje się z wami i próbuje was zabić...

...kierujesz strumień najczystszej, najjaśniejszej srebra prosto w niego. Nie trafiasz. Wciąż masz problemy z celowaniem. Dostrzegasz jednak, że zjadacz kamieni zatrzymuje się, kiedy magia przewala mu się tuż przed nosem. Tutaj, w głębokiej czerwieni, nie sposób zobaczyć wyrazu twarzy, ale wyobrażasz sobie, że istota jest zaskoczona, może nawet zaniepokojona. Masz nadzieję, że tak jest.

– Następnym dostaniesz, zardzewiały pomociu! – Próbujesz krzyczeć, ale nie znajdujesz się już w czysto fizycznej przestrzeni. Nie ma tu powietrza ani możliwości wydawania dźwięków, wyobrażasz więc sobie te słowa w nadziei, że ich sens dotrze do zardzewialca.

Tego, że przemykające srebrne cienie zjadaczy kamieni się zatrzymują, wcale sobie jednak nie wyobrażasz. Hoa podąża dalej, ale ataki ustają. No cóż, dobrze jest móc się na coś przydać.

Teraz, kiedy nic wam nie przeszkadza, Hoa wznosi się szybciej. Twoje sejsody znowu zaczynają postrzegać głębokość jako coś racjonalnego i mierzalnego. Głęboka czerwień zmienia się w głęboki brąz, a ten w głęboką czerń. A potem...

Powietrze. Światło. Twarda ziemia. Znowu stajesz się prawdziwa, znowu składasz się z krwi i kości i stoisz na drodze pod nocnym niebem, między dziwnymi, gładkimi budynkami, które wysokością dorównują obeliskom. Powrót zmysłów jest czymś oszałamiającym, ale to nic w porównaniu z całkowitym szokiem, który odczuwasz, kiedy podnosisz wzrok.

Ostatnie dwa lata spędziłaś pod niebem zasnutym popiołem i aż do tej chwili nie miałaś pojęcia, że Księżyc powrócił.

To lodowobiałe oko na tle czerni, potężny i przerażający omen w gobelinie gwiazd. Widzisz, czym jest, nawet nie sejsząc – to olbrzymia okrągła skała, łudząco niewielka na bezkresnym niebie. Najprawdopodobniej potrzebowałabyś obelisków, żeby w pełni ją

wysejszyć, ale na jej powierzchni dostrzegasz punkty, które mogą być kraterami. Są na tyle duże, że widać je aż stąd, a pokonanie ich na piechotę zajęłoby całe lata, co oznacza, że sam Księżyc jest niewyobrażalnie olbrzymi.

– Ja pierdolę – mówi Danel, sprawiając, że w końcu odrywasz wzrok od nieba. Jest na czworakach, jakby chciała wczepić się w ziemię, szczęśliwa, że wreszcie znalazła się na stabilnym gruncie. Może żałuje, że wybrała taką profesję, a może nie rozumiała wcześniej, że bycie mędrzynią bywa tak samo okropne i niebezpieczne jak bycie generałem armii. – Ja pierdolę!

– A więc to on – stwierdza Tonkee. Też wpatruje się w Księżyc.

Odwracasz się, żeby zobaczyć reakcję Lerna, ale...

Lerna. Miejsce obok ciebie jest puste.

– Nie spodziewałem się ataku – mówi Hoa.

Nie potrafisz się do niego odwrócić. Nie potrafisz się odwrócić od tego pustego miejsca, gdzie powinien być Lerna. Głos Hoi to typowo beznamiętny, pusty tenor – ale czy sam Hoa jest wstrząśnięty? Zszokowany? Nie chcesz, żeby był zszokowany. Chcesz, żeby powiedział coś w rodzaju: „Ale oczywiście zdołałem wszystkich ocalić, a Lerna jest po prostu o tam, nie martw się”.

Zamiast tego mówi:

– Powinienem być się domyślić. Frakcje, które nie chcą pokoju...

Po tych słowach urywa. Milknie jak człowiek, któremu brakuje słów.

– Lerna.

To ostatnie drgnięcie. Odebrałaś je jako bliski strzał.

Nie powinno było się to zdarzyć. To ty szlachetnie poświęcasz się dla przyszłości świata. On powinien to przetrwać.

– Co z nim? – pyta Hjarka. Stoi zgięta w pół, z dłońmi na kolanach, jakby zamierzała wymiotować. Tonkee głaszcze ją po plecach, jakby to miało pomóc, ale Hjarka skupia uwagę na tobie. Marszczy czoło, a kiedy uświadamia sobie, o czym mówisz, na jej twarzy nagle maluje się szok.

Czujesz się... odrętwiała. To nie to samo uczucie, które często ci towarzyszy, od kiedy stałaś się w połowie posągiem. To coś innego. To...

– Ja go chyba nawet nie kochałam – szepczesz.

Hjarka krzywi się, a potem prostuje plecy i bierze głęboki wdech.

– Wszyscy wiedzieliśmy, że to może być wyprawa w jedną stronę.

Kręcisz głową z... zakłopotaniem?

– On jest... on był... znacznie młodszy ode mnie.

Spodziewałaś się, że cię przeżyje. Tak to powinno funkcjonować. Powinnaś umrzeć, czując się winna z powodu tego, że zostawiłaś go tam i zabiłaś jego nienarodzone dziecko. On powinien...

– Hej. – Głos Hjarki staje się ostry. Znasz już jednak ten wyraz jej twarzy. To wyraz twarzy przywódczyni, który przypomina ci, że to ty tu dowodzisz. Ale to prawda, zgadza się? To ty prowadzisz całą tę ekspedycję. To ty nie zmusiłaś Lerna, ani żadnego z pozostałych, do pozostania w domu. To ty nie miałaś odwagi zrobić tego w pojedynkę, a powinnaś, do cholery, jeśli nie chciałaś wyrządzić im krzywdy. To ty jesteś winna

śmierci Lerny, nie Hoa.

Odwracasz od nich wzrok i odruchowo dotykasz kikuta. To irracjonalne. Spodziewasz się ran bitewnych, oparzeń... jakiegoś dowodu na to, że Lerna zginął. Ale ramię jest nienaruszone. Nic ci nie jest. Spoglądasz z powrotem na pozostałych – oni też są cali, ponieważ w bitwach ze zjadaczami kamieni nie odnosi się zwyczajnych ran na ciele.

– To dopiero stan przedwojenny. – Kiedy stoisz tak, osamotniona, Tonkee obraca się do Hjarki, wspierając się na niej. Hjarka stęka i zarzuca jej ramię na szyję. Tonkee wydaje się tego nie zauważać i rozgląda się wokół, wytrzeszczając oczy. – Na Złą Żarłoczną Ziemię, spójrzcie na to miejsce. Zupełnie nienaruszone! Całkowicie na widoku, bez struktur obronnych i kamuflażu, a jednocześnie terenów zielonych jest tu za mało, żeby mogło być samowystarczalne... – Mruga, wypowiadając te słowa. – Tutejsi mieszkańcy musieli pochodzić z Bezruchu. Może są tutaj jakieś nieznanne nam środki transportu.

Zamyślona mówi coś jeszcze do siebie, a potem kuca, żeby dotknąć materiału tworzącego podłoże.

Nie zwracasz na to uwagi. Nie masz też jednak czasu na opłakiwanie Lerny ani odczuwanie nienawiści do samej siebie. Hjarka ma rację. Musisz wykonać swoje zadanie.

Poza tym dostrzegłaś na niebie inne rzeczy oprócz Księżyca – dziesiątki obelisków, pełnych energii i unoszących się bardzo nisko nad Ziemią, z których żaden nie zareagował na twój dotyk, kiedy sięgnęłaś w ich stronę. Nie należą do ciebie. Ale choć zostały przygotowane i uzbrojone, zaprzężone w sposób, w którym natychmiast widzisz Złą Wiadomość, nic nie robią. Coś każe im czekać.

Odchrząkujesz.

– Hoa, gdzie ona jest?

Zauważasz, że przyjął nową pozycję: pusty wyraz twarzy, ciało skierowane na południowy wschód. Podążasz za jego spojrzeniem i dostrzegasz coś, co z początku napawa cię grozą: rząd sześć-, może siedmiopiętrowych budynków uformowanych w kształcie klinów i pozbawionych znaków szczególnych. Łatwo zauważyć, że tworzą pierścień, łatwo się też domyślić, co znajduje się w jego wnętrzu, choć z miejsca, w którym stoisz, wcale tego nie widać. Alabaster opowiadał ci o tym, prawda? To miasto istnieje po to, aby otaczać dziurę.

Oddech więźnie ci w gardle.

– Nie – stwierdza Hoa. Okej. Znowu oddychasz. Nassun jest poza dziurą.

– A więc gdzie?

Hoa odwraca się, żeby na ciebie spojrzeć. Robi to powoli. Jego oczy są szeroko otwarte.

– Essun... ona udała się do Warrant.

Jak Rdzeń u góry, tak Warrant na dole.

Nassun biegnie wykutymi w obsydianie korytarzami; są wąskie, nisko sklepione i klaustrofobiczne. Jest tu gorąco – nie sprawia jej to problemu, ale ciepło jest bliskie

i wszechobecne. To ciepło wulkanu, emanujące z jego serca przez starą skałę. Nassun sejszy echa tego, co zrobiono, aby stworzyć to miejsce, ponieważ było to górotwórstwo, nie magia – górotwórstwo potężniejsze i bardziej precyzyjne niż wszystko, co kiedykolwiek widziała. To wszystko jednak jej nie obchodzi. Musi znaleźć Schaffę.

Korytarze są puste, a oświetlają je tylko te dziwne prostokątne panele, które kojarzy z podziemnego miasta. Na tym jednak podobieństwa się kończą. Podziemne miasto wydawało się spokojne. Piękno konstrukcji stacji wskazywało na to, że budowano ją stopniowo, kawałek po kawałku, z czasem do namysłu nad każdym elementem. Tymczasem Warrant jest ciemne i czysto użytkowe. Biegąc pochyłymi chodnikami, mijając sale konferencyjne, klasy, stołówki i hole, Nassun mija kolejne pomieszczenia – wszystkie puste. Korytarze zostały wybite i wyszarpane z wulkanu tarczowego w ciągu zaledwie kilku dni lub tygodni – w pośpiechu, choć nie wiadomo dlaczego. Strach wsiąkał tu w ściany.

To wszystko nie ma jednak znaczenia. Gdzieś tutaj jest Schaffa. Schaffa, który przez ostatnie tygodnie prawie się nie poruszał, a teraz jakimś cudem biegnie, bo jego ciało napędza coś innego niż umysł. Nassun podąża za jego srebrem, zdumiona, że zdołał dotrzeć tak daleko w ciągu tych kilku chwil, których potrzebowała, żeby spróbować otworzyć drzwi i rozpruć je za pomocą magii, kiedy próby te okazały się próżne. Teraz jednak Schaffa jest przed nią...

...tak jak inni. Nassun przystaje, zdyszana i nagle zaniepokojona. Jest ich tutaj wielu. Dziesiątki... nie, setki. Wszyscy przypominają Schaffę: ich srebro jest cieńsze, dziwne i wzmacniane przez coś, co pochodzi z zewnątrz.

Stróże. A więc to tutaj się udają podczas Piątych Pór Roku... ale Schaffa powiedział, że zabiliby go za to, że jest „zanieczyszczony”.

Nie zrobią tego. Nassun zaciska pięści.

(Nie przychodzi jej do głowy, że ją też mogą zabić. A może przychodzi, ale słowa: „Nie zrobią tego” grzmiały w niej głośnie).

Kiedy przebiega przez drzwi u szczytu krótkich schodów, korytarz nagle przechodzi w wąską, ale bardzo długą i wysoko sklepioną komnatę. Sufit niemal ginie w ciemności, nie sposób dostrzec jej końca. Wzdłuż jej ścian, w równych rzędach aż po sufit ciągną się dziesiątki – setki – dziwnych, kwadratowych otworów. Nassun przypominają one otwory w gnieździe osy, ale ich kształt jest inny.

I w każdym spoczywa ciało.

Schaffa jest niedaleko. Znajduje się w tym pomieszczeniu i już się nie porusza. Nassun też się zatrzymuje, a lęk w końcu przeważa nad jej potrzebą odszukania Schaffy. Wszechobecna cisza przyprawia ją o gęsią skórę. Nie potrafi opanować strachu. Podobieństwo tego miejsca do gniazda osy jest przytłaczające i na jakimś poziomie Nassun obawia się, że jeśli spojrzy w którąś z dziur, zobaczy larwę, wpatrzoną w nią znad ciała, na którym pasożytuje.

Odruchowo spogląda w najbliższą komórkę. Jest niewiele szersza od ramion mężczyzny, który wydaje się w niej spać. Jest młody, pochodzi z Midlatów, ma szare włosy i jest ubrany w jeden z tych burgundowych mundurów, o których Nassun tylko słyszała. Mężczyzna oddycha, ale powoli. Kobieta w komórcie obok ma na sobie taki sam

mundur, choć sama jest zupełnie inna: pochodzi ze Wschodniego Wybrzeża, ma czarną skórę, ciemne usta i misternie zaplecione włosy. Na tych ciemnych ustach błąka się bardzo delikatny uśmiech – jakby nawet we śnie nie mogła się pozbyć tego nawyku.

We śnie, ale bardziej niż we śnie. Nassun bada srebro w komórkach ciał tych ludzi, wyczuwając pracę nerwów oraz przepływ krwi. Każdy z nich znajduje się w stanie przypominającym śpiączkę. Nassun dopuszcza, że być może normalna śpiączka to coś innego. Żaden ze Stróżów nie wydaje się ranny ani chory. A we wszystkich znajdują się odłamki śródkamieni – nie wściekłe i rozpalone, jak u Schaffy, ale spokojne. Co dziwne, srebrne nici każdego ze Stróżów sięgają do sąsiadów leżących wokół niego. Tworzą sieć. Być może wspólnie się napędzają? Ładują nawzajem na potrzeby jakiegoś zadania, tak samo jak robią to obeliski? Nassun nie ma pojęcia.

(Mieli tego nie kontynuować).

Nagle na środku wysoko sklepionego pomieszczenia, być może jakieś trzydzieści metrów od niej, rozlega się ostry mechaniczny świst.

Nassun odskakuje od ściany, rozglądając się w obawie, że hałas mógł obudzić którąś z osób leżących w komorach. Ciała pozostają jednak nieruchome. Nassun przetyka ślinę i woła cichym głosem:

– Schaffa?

Odpowiedzią jest niski, znajomy jęk, który odbija się echem w wysokiej komnacie.

Nassun idzie chwiejnie przed siebie, z trudem chwytając oddech. To on. Na środku tej dziwnej komnaty stoją w rzędach jakieś urządzenia. Każde składa się z krzesła połączonego ze skomplikowaną aparaturą srebrnych przewodów zwiniętych w pętle. Nassun nigdy nie widziała czegoś podobnego (ty owszem). Wydają się wystarczająco duże, aby pomieścić jedną osobę, ale wszystkie są puste. Poza tym – Nassun pochyla się, żeby lepiej im się przyjrzeć, i drży – każde opiera się o kamienny filar podtrzymujący jakiś ohydny i skomplikowany mechanizm. Nie sposób nie zauważyć maleńkich skalpeli, drobnych cążek w różnych rozmiarach i innych przyrządów ewidentnie służących do cięcia i wiercenia...

Schaffa jęczy gdzieś w pobliżu. Nassun odpycha od siebie myśli o tnących przyrządach i rusza wzdłuż rzędu...

...aby zaraz przystanąć przed jedynym zajęтым krzesłem.

Krzesło zostało w pewien sposób dostosowane. Schaffa siedzi w nim, ale twarzą do dołu; jego ciało podtrzymują druty, a jego przycięte włosy opadają po obu stronach głowy. Mechanizm za krzesłem ożył, wyciągając się ponad jego ciałem w sposób, który wydaje się Nassun drapieżny – kiedy jednak podchodzi bliżej, ramię się cofa. Zakrwawione przyrządy znikają w głębi mechanizmu; słychać głuchy świst. Być może to odgłos czyszczenia. Jedna, przypominająca pincetę odnoga pozostaje jednak na wierzchu i trzyma zdobycz, która lśni od krwi Schaffy. To mały metalowy odłamek. Ciemny i nierówny.

Cześć, mały wrogu.

Schaffa się nie rusza. Roztrzęsiona Nassun patrzy na jego ciało. Nie może się zmusić, aby skierować świadomość z powrotem na srebrne nici – na magię – żeby zobaczyć, czy żyje. Krwawa rana na karku została gładko zaszyta tuż ponad inną, starą

blizną, która zawsze zastanawiała Nassun. Nadal krwawi, ale widać, że cięcie wykonano szybko i tak samo szybko zaszyto.

Niczym dziecko, które pragnie, aby potwór spod łóżka nie istniał, Nassun chce, żeby plecy Schaffy poruszyły się.

I tak też się staje, a Schaffa bierze oddech.

– N-Nassun – chrypi.

– Schaffa! Schaffa. – Nassun upada na kolana i pochyla się, żeby spojrzeć na jego twarz przez druty. Nie zwraca uwagi na krew spływającą po jego szyi i policzkach. Jego oczy, jego piękne białe oczy, są na w pół otwarte – i tym razem to on na nią patrzy! Nassun widzi to i zalewa się łzami. – Schaffa? Nic ci nie jest? Dobrze się czujesz?

Schaffa mówi wolno i niewyraźnie. Nassun nie chce się zastanawiać dlaczego.

– Nassun... – Wyraz jego twarzy zmienia się jeszcze wolniej, jakby drobna zmarszczka w okolicach brwi wysyłała tsunami powolnego zrozumienia na całą resztę. Jego oczy się rozszerzają. – Nie ma... bólu.

Nassun dotyka jego twarzy.

– Tego czegoś... nie ma już w twoim ciele, Schaffa. Tego metalowego przedmiotu.

Schaffa zamyka oczy, a Nassun czuje, że ściska ją w żołądku, ale zaraz zmarszczka na jego czole się wygładza. Schaffa znowu się uśmiecha – i po raz pierwszy, od kiedy Nassun go spotkała, nie ma w wyrazie jego twarzy napięcia ani fałszu. Nie uśmiecha się tylko po to, aby ulżyć sobie w bólu albo uspokoić innych. Otwiera usta. Nassun widzi wszystkie jego zęby, kiedy śmieje się słabo, łkając jednocześnie z ulgi i radości, i to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała. Pamiętając o świeżej ranie, ujmuje jego twarz w dłonie i dotyka jego czoła własnym, czując, jak jego ciało trzęsie się od śmiechu. Kocha go. Tak bardzo go kocha.

A ponieważ go dotyka, ponieważ kocha go i jest tak bardzo zestrojona z jego potrzebami, jego bólem i jego szczęściem, jej świadomość wnika w srebro. Nie zamierzała tego robić. Pragnie tylko sycić wzrok widokiem jego oczu, koić dłonie dotykiem jego skóry i słyszeć brzmienie jego głosu.

Jest jednak górotworem i nie może wyłączyć sejsod, tak samo jak nie może wyłączyć zmysłów wzroku, słuchu i dotyku. Dlatego też jej uśmiech gaśnie, a jej radość ulatuje, bo w chwili, kiedy widzi, jak sieć nici w jego ciele zanika, nie może dłużej zaprzeczać temu, że Schaffa umiera.

To powolny proces. Korzystając z tego, co zostało, mógłby przeżyć jeszcze kilka tygodni albo miesięcy, może nawet rok. Ale tam, gdzie u każdej innej żywej istoty srebro płynie i kipi w przestrzeniach międzykomórkowych, u niego widać ledwie jego strużki. Wszystko, co w nim zostało, biegnie głównie wzdłuż układu nerwowego, a w jego sejsodach, gdzie kiedyś znajdował się główny splot srebrnej sieci, Nassun dostrzega ziejącą pustkę. Tak jak ostrzegął, bez śródkamienia nie wytrzyma długo.

Powieki Schaffy opadły. Śpi, wykończony ciągnięciem swojego osłabionego ciała po ulicach. Ale przecież to nie był on, prawda? Nassun wstaje, roztrzęsiona, trzymając dłonie na ramionach Schaffy. Jego ciężka głowa spoczywa na jej piersi. Nassun spogląda gorzko na niewielki metalowy odłamek i w jednej chwili pojmuje, dlaczego Ojciec Ziemia mu to zrobił.

Ziemia wie, że Nassun zamierza ściągnąć Księżyc i że wywoła w ten sposób kataklizm znacznie gorszy od Sezonu Zniszczenia. Ziemia chce żyć. Wie, że Nassun kocha Schaffę i że dotychczas postrzegala zniszczenie świata jako sposób na ukojenie jego bólu. Teraz jednak Ziemia odmienił Schaffę i ofiarował go jej jako swego rodzaju żyjące ultimatum.

„Teraz jest wolny – drwi. Teraz może zyskać spokój, nie umierając. A jeśli chcesz, żeby żył, mój mały wrogu, jest tylko jedna droga”.

Stal nigdy nie powiedział, że nie da się tego zrobić – powtarzał tylko, że się nie powinno. Być może był w błędzie. Może jako zjadacz kamieni Schaffa nie będzie zawsze samotny i smutny. Stal jest wredny i okropny i to dlatego nikt nie chce się z nim zadawać. Schaffa natomiast jest dobry i miły. Na pewno znajdzie kogoś, kogo mógłby pokochać.

Zwłaszcza jeśli cały świat pełen będzie zjadaczy kamieni.

Nassun uznaje, że ludzkość to niewielka cena za przyszłość Schaffy.

Hoa twierdzi, że Nassun zeszła pod ziemię, do Warrant, gdzie leżą Stróże, a ty czujesz w ustach gorzki posmak paniki. Chodzisz wokół dziury i szukasz wejścia. Nie śmiesz prosić Hoi, żeby po prostu cię tam zabrał; sojusznicy Szarego są wszędzie i zabijają cię tak samo, jak zabili Lerne. Stronnicy Hoi też są obecni – widziałaś przecież, jak dwie rozmazane góry zderzają się ze sobą i jedna spycha drugą na bok. Jednak dopóki sprawy z Księżycem nie będą załatwione, schodzenie w Ziemię jest zbyt niebezpieczne. Sejszysz, że są tu wszyscy zjadacze kamieni: tysiąc gór w kształcie człowieka w Rdzeniu i pod nim obserwuje, jak biegasz ulicami, szukając córki. Dziś wszystkie ich starożytne rozłamy i prywatne wojny w ten czy inny sposób zostaną zakończone.

Hjarka i pozostali podążają za tobą, ale wolniej; nie odczuwają paniki. W końcu dostrzegasz filar, który został otwarty – a właściwie rozcięty za pomocą ogromnego ostrza trzema nierównymi uderzeniami, po których wypchnięto drzwi na zewnątrz. Są grube na stopę. Za otworem rozciąga się szeroki i niski korytarz, który opada w ciemność.

Kiedy podchodzisz bliżej, słyszysz, że ktoś właśnie zbliża się do wyjścia.

– Nassun! – krzyczysz, ponieważ to ona.

Stojąca przed tobą dziewczynka jest wyższa, niż zapamiętałaś. Ma też dłuższe włosy, splecione w dwa warkocze, które opadają jej na ramiona. Ledwie ją rozpoznajesz. Zatrzymuje się na twój widok, lekko marszcząc brwi, a ty sobie uświadamiasz, że ona również ma problem, żeby cię rozpoznać. Nagle w jej oczach pojawia się zrozumienie i Nassun patrzy na ciebie jak na ostatnią rzecz na świecie, którą spodziewałaby się zobaczyć. Bo to prawda.

– Cześć, mamó – mówi.

Jestem świadkiem tego, co dzieje się później. Opowiem o tym właśnie jako świadek.

Obserwuję, jak ty i twoja córka po raz pierwszy od dwóch lat stajecie naprzeciw siebie, rozdzielone morzem swoich doświadczeń. Tylko ja wiem, co obie przeszłyście. Każda z was może oceniać drugą tylko po wyglądzie, czynach i bliznach, przynajmniej na razie. Ty: znacznie szczuplejsza niż matka, którą Nassun widziała ostatnim razem, kiedy to postanowiła urwać się ze szkoły. Pustynia wysuszyła ci skórę, a kwaśny deszcz sprawił, że twoje włosy wyblakły i są teraz jasnobrązowe, do tego gęsto przetykane już siwizną. Ubrania wiszące na twoim ciele również wyblakły od popiołu i kwasu, a prawy rękaw koszuli został związany i zwisa teraz, wyraźnie pusty, kiedy z trudem nabierasz powietrza. Obserwując nową ciebie po Pęknięciu, Nassun widzi też stojącą za tobą grupę ludzi, którzy wpatrują się w nią z wyraźną niepewnością. Po tobie widać tylko udręczenie.

Nassun jest nieruchoma niczym zjadacz kamieni. Od czasu Pęknięcia urosła zaledwie dziesięć centymetrów, ale wygląda, jakby to było trzydzieści. Widzisz w niej zapowiedź dorosłości – przedwczesnej, ale tak to już bywa w trudnych czasach. Ciało korzysta z bezpieczeństwa i dostatku, kiedy tylko może, a Nassun spędziła w Jekity dobre dziewięć miesięcy. Jeśli będzie mieć wystarczająco dużo jedzenia, prawdopodobnie w ciągu roku zacznie miesiączkować. Największe zmiany są jednak pozacielesne. Uwaga w spojrzeniu, tak niepodobna do braku pewności siebie, który pamiętasz. Jej postawa: cofnięte ramiona, stopy ustawione równo i pewnie. Milion razy powtarzałaś jej, żeby się nie garbiła i tak, teraz, kiedy stoi wyprostowana, wygląda na wysoką i silną. Tak pięknie silną.

Jej górotwórstwo ciąży na twojej świadomości, stabilne niczym głąz i precyzyjne niczym diamentowe wiertło. Na Złą Ziemię, myślisz. Ona sejszy dokładnie tak jak ty.

To wszystko jednak znika szybciej, niż się pojawiło. Wyczuwasz to równie wyraźnie, jak sejszysz jej siłę, i obydwie te rzeczy sprawiają, że ogarnia cię desperacja.

– Szukałam cię – mówisz. Nieświadomie uniosłaś dłoń. Twoje palce rozwierają się, zamykają i znów rozwierają, jakbyś chciała coś chwycić. To błagalny gest.

Spogląda na ciebie ponurym wzrokiem.

– Byłam z tatusiem.

– Wiem. Nie mogłam cię znaleźć. – To oczywiste i zbędne; nienawidzisz się za ten bełkot. – Czy ty... nic ci nie jest?

Nassun odwraca wzrok, a ciebie martwi fakt, że jej myśli zajmuje coś innego niż ty.

– Muszę... Mój Stróż potrzebuje pomocy.

Nagle cała sztywniejesz. Nassun słyszała od Schaffy, jaki był przed Meov. Wie, że Schaffa, którego znałaś, i Schaffa, którego ona kocha, to dwie zupełnie różne osoby. Widziała Fulcrum i to, w jaki sposób wypaczało ono zamknięte tam górotwory. Pamięta, jak sztywniałaś, tak samo jak teraz, na sam widok burgundowego koloru – i teraz, na

końcu świata, rozumie wreszcie dlaczego. Zna cię lepiej niż kiedykolwiek wcześniej.

A jednak dla niej Schaffa jest człowiekiem, który ocalił ją przed napastnikami – i przed własnym ojcem. Jest człowiekiem, który tulił ją do snu, kiedy się bała. Widziała, jak walczy ze swoją brutalną naturą i z samym Ziemią, aby być dla Nassun rodzicem, którego potrzebowała. Pomógł jej pokochać samą siebie.

A jej matka? Ty? Nie zrobiłaś żadnej z tych rzeczy.

W tej jednej chwili, kiedy walczysz ze wspomnieniem Innona rozpadającego się na kawałki i palącego bólu miażdżonej dłoni, której już nie masz, kiedy słyszysz w głowie słowa: „Nigdy mi nie odmawiaj”, obecność Nassun uzmysławia ci coś, czemu do tej pory zaprzeczałaś:

To beznadziejne. Pomiędzy tobą a nią nigdy nie będzie żadnej normalnej relacji ani zaufania, ponieważ jesteście tym, czym uczyniły was Bezruch i Piąta Pora Roku. Alabaster miał rację, pewnych rzeczy po prostu nie da się naprawić. Można tylko w akcie łaski ostatecznie je zniszczyć.

Nassun kręci głową, kiedy stoisz tak przed nią, dygocząc. Odwraca wzrok. Znowu kręci głową. Ramiona opadają jej nieznacznie, nie na znak obojętności, ale wyczerpania. Nie obwinia cię, ale też niczego od ciebie nie oczekuje. A teraz po prostu stoisz jej na drodze.

Odwraca się, żeby odejść, i to wrywa cię z odrętwienia.

– Nassun?

– On potrzebuje pomocy – powtarza. Ma opuszczoną głowę i spięte ramiona. Nie zatrzymuje się. Bierzesz głęboki wdech i ruszasz za nią. – Muszę mu pomóc.

Wiesz, co się dzieje. Przez cały czas czułaś to i bałaś się tego. Za twoimi plecami Danel powstrzymuje pozostałych. Być może sądzi, że ty i twoja córka potrzebujecie przestrzeni. Ignorujesz ich wszystkich i biegniesz za Nassun. Chwytasz ją za ramię i próbujesz obrócić.

– Nassun, co...

Odrąca twoją rękę tak gwałtownie, że cała się chwiejesz. Od kiedy straciłaś jedno ramię, trudniej jest ci utrzymać równowagę, a ona jest silniejsza niż kiedyś. Nie widzi, że prawie upadłaś. Idzie przed siebie.

– Nassun!

Nawet się nie odwraca.

Jesteś zdesperowana, żeby zdobyć jej uwagę, żeby zmusić ją do reakcji, do czegokolwiek. Wyciągasz przed siebie rękę i mówisz do jej pleców:

– Ja... ja... ja wiem o Jiji!

To sprawia, że wreszcie się zatrzymuje. Śmierć Jiji jest w niej wciąż świeżą raną, którą wprawdzie Schaffa oczyścił i zszyl, ale która nie zagoi się jeszcze przez długi czas. Słyszac, że wiesz, co zrobiła, Nassun kuli się ze wstydu. Fakt, że zrobiła to w samoobronie, frustruje ją i przygnębia. Przypominając jej o tym, sprawiasz, że wstyd i frustracja zmieniają się w złość.

– Muszę pomóc Schaffie – powtarza.

Unosi barki w sposób, który dobrze pamiętasz z tych setek popołudni spędzonych w twojej prowizorycznej donicy. Od razu sobie przypominasz tę chwilę, kiedy w wieku

dwóch lat poznała słowo „nie”. Gdy wpada w ten nastrój, nie ma z nią rozmowy. Słowa stają się nieistotne. Bardziej liczą się czyny. Ale jakie czyny mogłyby odzwierciedlić twoje aktualne uczucia? Bezradna, spoglądasz na pozostałych. Hjarka podtrzymuje Tonkee; wzrok Tonkee utkwiony jest w niebie i w obeliskach – przez całe swoje życie nie widziałaś ich aż tylu. Danel stoi kawałek dalej, trzymając ręce za plecami i poruszając czarnymi ustami, co oznacza, że prawdopodobnie wykonuje właśnie ćwiczenie pamięciowe mędrców, umożliwiające jej zapamiętanie wszystkiego, co widzi i słyszy. Lerna...

Zapomniałaś, Lery tu nie ma. Ale gdyby był, podejrzewasz, że właśnie by cię ostrzegał. Był lekarzem. Nie specjalizował się wprawdzie w ranach rodzinnych... ale każdy widzi, że coś tu się jątrzy.

Znowu za nią biegniesz.

– Nassun! Nassun, na rdzę, spójrz na mnie, kiedy do ciebie mówię! – Dziewczynka cię ignoruje i odbierasz to jak policzek: nie taki, który wzbudza agresję, ale taki, który rozjaśnia myśli. Okej, nie wysłucha cię, dopóki nie pomoże... Schaffie. Omijasz tę myśl, choć przypomina to brnięcie przez błoto pełne kości. Okej. – P-pozwól sobie pomóc!

Nassun zwalnia i zaraz się zatrzymuje. Kiedy się odwraca, na jej twarzy widać zmęczenie. Ogromne zmęczenie.

– Pomóc?

Spoglądasz za nią i widzisz, że kierowała się w stronę innego filaru, wyposażonego w szerokie schody, które biegną wzdłuż jego pochyłej ściany. Z dachu musi się roztaczać wspaniały widok na niebo... W niewytłumaczalny sposób wiesz, że musisz powstrzymać ją przed pójściem tam.

– Tak. – Znowu wyciągasz dłoń. – Powiedz, czego potrzebujesz. Ja mogę... Nassun... – Brakuje ci słów. Chciałabyś, żeby twoja córka poczuła to co ty.

To nie działa. Nieznoszącym sprzeciwu głosem Nassun odpowiada:

– Muszę użyć Wrót Obelisków.

Krzywisz się. Mówiłem ci o tym kilka tygodni temu, ale najwyraźniej nie wierzyłaś.

– Co? Nie możesz.

Myślisz: „To cię zabije”.

Nassun zaciska szczęki.

– Zrobię to.

Myśli: „Nie potrzebuję twojego pozwolenia”.

Kręcisz głową, nie wierząc w to, co słyszysz.

– Pozwolenia na co?

Jest już jednak za późno. Nassun rezygnuje. Powiedziałaś, że jej pomożesz, a potem się zawahałaś. W głębi serca jest też córka Schaffy. Na podziemny ogień, została wychowana przez dwóch ojców i jeszcze przez ciebie... czy może dziwić, że wyrosła na kogoś takiego? Dla niej moment zawahania jest równoznaczny z odmową. A nie lubi, kiedy ludzie jej odmawiają.

Znowu odwraca się do ciebie plecami i mówi:

– Nie idź już za mną, mamó.

Oczywiście natychmiast za nią ruszasz.

– Nassun...

Gwałtownie się obraca. Sejszysz, że jest już w ziemi, i widzisz po liniach magii, że również w powietrzu; nagle jedno i drugie miesza się ze sobą w sposób, którego nie potrafisz pojąć. Metal, sprasowane włókna i nieznane ci substancje leżące warstwowo nad wulkaniczną skałą rozstępują się pod twoimi stopami. Chwiejesz się, a jednak, doświadczona latami tłumienia górotwórczych ataków złości u dzieci, reagujesz odruchowo, wbijając w ziemię torus, którym mogłabyś zniwelować jej górotwórstwo. Nie przynosi to jednak efektu, bo Nassun używa nie tylko górotwórstwa.

Sejszy to, co robisz, a jej oczy nagle się zwężają. To twoje oczy, szare niczym popiół. Chwilę później obsydianowa ściana wystrzeliwuje z ziemi przed tobą, rozrywając włókna i metal, które tworzą miejską infrastrukturę, i odgradzając cię od córki.

Towarzyszy temu taka siła, że upadasz na ziemię. Kiedy gwiazdy znikają ci sprzed oczu, a pył się rozwiewa, zszokowana spoglądasz na ścianę. Zrobiła to twoja córka. I zrobiła to tobie.

Ktoś chwyta cię za ramię. To Tonkee.

– Nie wiem, czy zauważyłaś – mówi, podnosząc cię z ziemi – ale twoje dziecko najwyraźniej odziedziczyło po tobie temperament. Więc wiesz, może nie powinnaś tak naciskać.

– Nie wiem nawet, co ona zrobiła – szepczesz oszołomiona, a jednocześnie kiwasz do Tonkee z wdzięcznością. – To nie było... ja nie...

W tym, co zrobiła Nassun, nie było fulcrumowej precyzji, mimo że uczyłaś ją podstaw zdobytej tam wiedzy. Przykładasz dłoń do ściany i czujesz w niej iskry magii, tańczące pomiędzy komórkami, gasnące.

– Ona miesza magię i górotwórstwo. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś takiego.

Ja widziałem. Nazywaliśmy to strojeniem.

Tymczasem niezatrzymywana przez ciebie Nassun wspięła się po stopniach na filar. Stoi teraz na jego szczycie, otoczona obracającymi się jaskrawoczerwonymi symbolami, które tańczą w powietrzu. Z wielkiej dziury Rdzenia podnosi się ciężki siarkowy podmuch, rozwiewając jej włosy, częściowo uwolnione z bliźniaczych warkoczy. Nassun zastanawia się, czy Ojcu Ziemi ulżyło, kiedy manipulacją nakłonił ją, by oszczędziła mu życie.

Jeśli zamieni wszystkich ludzi na świecie w zjadaczy kamieni, Schaffa przeżyje. I tylko to się liczy.

– Najpierw sieć – mówi, spoglądając w niebo. Kiedy je aktywuje, dwadzieścia siedem obelisków błyszczy, synchronicznie zmieniając się z ciał stałych w magię i z powrotem. Nassun rozkłada przed sobą ręce.

Dużo niżej, na ziemi, krzywisz się, sejsząc – czując – błyskawiczną aktywację dwudziestu siedmiu obelisków. Funkcjonują teraz jako jeden, szumiąc tak potężnie, że bolą cię zęby. Zastanawiasz się, dlaczego Tonkee nie krzywi się tak samo jak ty, ale ona jest nieruchomą.

Tonkee nie jest jednak głupia, a to jest praca jej życia. Kiedy ty z przerażeniem

patrzysz na swoją córkę, ona, mrużąc oczy, przygląda się obeliskom.

– Trzy już na miejscu – szepcze. W milczeniu kręcisz głową. Tonkee rzuca ci groźne spojrzenie, zirytowana twoją powolnością. – Gdybym to ja zamierzała naśladować wielki kryształ, zaczęłabym od układania mniejszych w sześcienną konstrukcję.

Teraz rozumiesz – wielki kryształ, który chce naśladować Nassun, to onyks. Do uruchomienia Wrót potrzeba klucza, to właśnie powiedział ci Alabaster. Ten bezużyteczny dupek nie raczył ci natomiast wspomnieć, że są różne rodzaje kluczy. Rozrywając Bezruch Pęknięciem, wykorzystał sieć utworzoną przez okolicznych opiekunów węzła, prawdopodobnie dlatego, że sam onyks w jednej chwili zamieniłby go w zjadacza kamieni. Opiekunowie węzła byli substytutem onyksu – kluczem zapasowym. Sprzęgając ze sobą górotwory w podziemnej Castrimie, nie wiedziałaś jeszcze, co robisz, ale on wiedział, że onyks to dla ciebie zbyt dużo. Nie dysponowałaś elastycznością ani kreatywnością Alabastra. Pokazał ci bezpieczniejszy sposób.

Z kolei Nassun to uczennica, o jakiej Alabaster zawsze marzył. Wcześniej nie mogła uruchomić Wrót Obelisków – aż do teraz należały do ciebie – ale jak właśnie z przerażeniem obserwujesz, sięga po swój zapasowy klucz i łączy ze sobą kolejne obeliski. Jest to proces wolniejszy niż ten z użyciem onyksu, ale tak samo efektywny. To działa. Apatyt: podłączony i ustabilizowany. Sardonyks: pozostając poza zasięgiem twojego wzroku, wysyła nieznaczne pulsowanie; musi być gdzieś nad południowym morzem. Jadeit...

Nassun otworzy Wrota.

Odsuwasz Tonkee.

– Odejdźcie ode mnie jak najdalej, się da. Wszyscy.

Tonkee nie traci czasu na spory. Wytrzeszcza oczy, a potem odwraca się i biegnie. Słyszysz, jak krzyczy do pozostałych. Słyszysz, jak Danel się z nią kłóci. I nie zwracasz już na nich uwagi.

Nassun otworzy Wrota, zamieni się w skałę, i umrze.

Tylko jedna rzecz może powstrzymać jej sieć obelisków: onyks. Ale najpierw musisz do niego sięgnąć, a w tym momencie znajduje się on po przeciwnej stronie planety, pomiędzy Castrimą a Rennanis – tam, gdzie go zostawiłaś. Kiedyś, dawno temu, w podziemnej Castrimie, on sam cię do siebie wezwał. Ale czy miałabyś odwagę czekać na to teraz, kiedy Nassun obejmuje kontrolę nad wszystkimi częściami Wrót? Nie, najpierw musisz dostać się do onyksu. A do tego potrzebujesz magii – i to znacznie więcej niż, pozbawiona choćby jednego obelisku, potrafiłabyś tutaj z samej siebie wykrzesać.

Beryl, krwawień, kordieryt...

Jeśli nic nie zrobisz, Nassun umrze na twoich oczach.

Gwałtownie zanurzasz swoją świadomość w ziemi. Rdzeń położony jest na wulkanie, więc być może dałoby się...

Zaraz. Twoją uwagę przykuwa coś ponad wulkanem. Coś, co znajduje się w ziemi, ale bliżej. Gdzieś pod miastem wyczuwasz sieć. Linie magii splecione ze sobą, wspierające się nawzajem i wpuszczone głęboko, żeby czerpać jeszcze więcej... Są niewyraźne. Powolne. Kiedy dotykasz tej sieci, gdzieś z tyłu głowy pojawia ci się znajomy, brzydki szum. Szum zagłuszany szumem zagłuszonym szumem.

Ach tak – sieć, którą znalazłaś, to Stróże. Jest ich tam prawie tysiąc. Na rdzę, oczywiście! Nigdy świadomie nie myślałaś o ich magii, a teraz po raz pierwszy rozumiesz, czym jest ten szum – jeszcze przed treningiem Alabakra jakaś część ciebie wyczuwała odmienność ukrytej w Stróżach magii. Ta świadomość wysłała w twoje ciało nagle, niemal paralizujące ukłucie strachu. Sieć Stróżów jest blisko i łatwo byłoby ją ujarzmić, ale jeśli to zrobisz, co ich powstrzyma przed wysypaniem się z Warrant niczym osy z naruszonego gniazda? Czy nie masz wystarczająco dużo problemów?

Nassun jęczy. Ku swojemu krańcowemu zdumieniu dostrzegasz... na Złą Ziemię, wokół niej i w niej widzisz magię, która rozpala się niczym płomień w zetknięciu z naoliwioną podpalką. Nassun płonie w twojej świadomości, a jej ciężar w jednej chwili gwałtownie się zwiększa. Cyjanit, ortoklaz, skapolit...

Rozstawiasz stopy. Sięgasz do sieci, którą znalazłaś, nie dbając już, czy są to Stróże czy nie. Warczysz przez zęby i chwytasz to wszystko: Stróżów, nici biegnące od ich sejsod w głąb ziemi i całą zgromadzoną w nich magię. I jeszcze metalowe odłamki tych małych depozytariuszy woli Złej Ziemi.

Ujarzmiasz to wszystko i zabierasz.

Gdzieś w dole, w Warrant, Stróże budzą się i wrzeszczą, wierzgając w swoich komorach i chwytają się za głowy, kiedy każdemu z nich robisz to, co kiedyś Alabaster zrobił swojej Stróźce. Właśnie to Nassun pragnęła uczynić dla Schaffy... z tą różnicą, że ty robisz to bez żadnej czułości. Nie nienawidzisz ich, po prostu cię nie obchodzą. Wyrwasz metal z ich mózgów i każdą drobinę srebrnego światła spomiędzy ich komórek – a kiedy czujesz, że krystalizują się i umierają, masz w końcu wystarczająco dużo magii, by sięgnąć do onyksu.

Daleko, ponad okrytym popiołem Bezruchem, onyks słucha twojego dotyku. Zapadasz się w niego, desperacko nurkując w ciemność, aby dopiąć celu. „Proszę”, odzywasz się błagalnie.

Onyks rozważa polecenie. Nie mówi ci tego słowami ani uczuciami. Po prostu wiesz, że się nad tym zastanawia. Bada cię – twój strach, twoją złość i twoją determinację, żeby wszystko naprawić.

Ach... temu ostatniemu towarzyszy rezonans. Wiesz, że znowu jesteś analizowana, tym razem dokładniej i z większym sceptycyzmem, ponieważ twoja ostatnia prośba dotyczyła jakiejś błahostki. (Zwykle wymazanie miasta? Kto jak kto, ale ty nie potrzebowałaś do tego Wrót). Tym razem jednak onyks znajduje w tobie coś innego: strach o członka rodziny. Strach przed porażką. Strach związany z każdą konieczną zmianą. A pod tym wszystkim pragnienie uczynienia świata lepszym.

Gdzieś daleko świat dygocze, kiedy onyks wydaje z siebie niski, wstrząsający grzmot i staje się aktywny.

Nassun, czując wszechobecne pulsowanie, odczytuje odległą czerń jako ostrzeżenie. Zbyt głęboko znajduje się jednak w tym, co robi; wypełnia ją już zbyt wiele obelisków. Całą uwagę skupia na swoim zadaniu.

A kiedy wszystkie dwieście szesnastu pozostałych obelisków po kolei się jej poddaje, kiedy Nassun otwiera oczy, żeby spojrzeć na Księżyc, któremu pozwoli odlecieć w nienaruszonym stanie, i kiedy przygotowuje się do tego, aby całą potęgę silnika

plutonicznego obrócić przeciwko światu, a potem przekształcić jego mieszkańców tak, jak kiedyś ja zostałem przekształcony...

...myśli o Schaffie.

Niemożliwe jest oszukiwać się w takim momencie. Niemożliwe jest widzieć tylko to, co chciałoby się widzieć, kiedy moc wystarczająca do zmiany świata odbija się echem od umysłu, duszy i miejsc pomiędzy komórkami; och, dowiedziałem się tego dużo wcześniej niż ty. To oczywiste, że Nassun zna Schaffę zaledwie od nieco ponad roku i że – zważywszy na to, jak wiele z siebie utracił – tak naprawdę wcale go nie zna. To oczywiste, że uczepliła się go tak mocno, bo nie ma nic innego...

Spod jej determinacji przebija ledwie wyczuwalna wątpliwość. To nawet nie myśl, raczej szept: „Czy naprawdę nie masz nic innego? Czy na całym świecie nikt inny oprócz Schaffy nie przejmuje się twoim losem?”

Obserwuję, jak Nassun się waha, zaciskając palce i marszcząc twarzyczkę, kiedy Brama Obelisków zostaje w pełni aktywowana. Patrzę na drzenie niepojmowalnych energii, które zaczynają się układać w jej wnętrzu. Kilkadziesiąt tysięcy lat temu utraciłem zdolność manipulowania tymi energiami, ale nadal je widzę. Tajemnochemiczna sieć – którą ty postrzegasz jako brązową skałę – pięknie się teraz formuje.

Również na to patrzysz i natychmiast rozumiesz, co to znaczy. Prychasz i rozbijasz ścianę oddzielającą cię od córki, nie dostrzegając nawet, że twoje palce zmieniają się przy tym w kamień. Biegniesz do schodów i krzyczysz:

– Nassun!

W odpowiedzi na twoją nagłą, surową i nieodwracalną komendę onyks wyłania się nagle nie wiedzieć skąd i zastyga nad miastem.

Towarzyszący temu odgłos, niski, wprawiający kości w drzenie – to coś niewyobrażalnego. Podmuch powietrza jest tak potężny, że zwała z nóg ciebie i Nassun. Twoja córka krzyczy i zsuwa się o kilka stopni, niebezpiecznie zbliżając się do utraty kontroli nad Wrotami. Wydajesz z siebie wrzask, kiedy siła odrzutu sprawia, że dostrzegasz swoje lewe ramię, obojczyk, lewą stopę i kostkę zamienione w kamień.

Zaciskasz zęby. Nie ma już w tobie bólu, tylko strach o córkę. Masz teraz zaledwie jedno pragnienie. Nassun kontroluje Wrota, ale ty kontrolujesz onyks – a kiedy podnosisz wzrok, spoglądając na niego i na Księżyc, to lodowobiałe oko w morzu czerni prześwitujące przez przezroczystą strukturę obelisku, wiesz, co musisz zrobić.

Z pomocą onyksu sięgasz przez pół świata i wbijasz swoją wolę w wielką ranę na ziemi. Pęknięcie drży, kiedy chwytasz cały jego żar i całą kinetyczną kipieli, a ty drżysz pod wpływem tak olbrzymiej mocy, przekonana, że za chwilę zwymiotujesz lawą, która wszystko zniszczy.

Teraz jednak onyks jest częścią ciebie. Obojętny na twoje konwulsje – bo właśnie tarzasz się po ziemi, z pianą na ustach – chwytą i opanowuje moc Pęknięcia z łatwością, która w końcu cię uspokaja. Automatycznie łączy się z pobliskimi obeliskami, które Nassun zgromadziła, aby uzyskać moc równą jego mocy. W przeciwieństwie do onyksu jej replika ma jednak tylko moc, a nie wolę. Sieć nie posiada planu. Onyks zabiera dwadzieścia siedem obelisków i natychmiast zaczyna się przegryzać przez resztę sieci

Nassun.

Lecz tutaj nie będzie dominować. Nassun go czuje, walczy z nim. Jest tak samo zdeterminowana jak ty. Tobą kieruje miłość do niej, a nią miłość do Schaffy.

Ja kocham was obie. Jak po tym wszystkim mógłbym nie kochać? W końcu nadal jestem człowiekiem, a to jest bitwa o los świata. Przerazający i niesamowity widok.

To naprawdę jest bitwa, linia po linii, wiązka magii po wiązce magii. Olbrzymie energie Wrót i Pęknięcia przelewają się wokół was w cylindrycznych zorzach barw i światła w całym spektrum, a nawet poza nim. (Te energie rezonują w tobie, kiedy sojusz obelisków jest już kompletny, a jednocześnie nadal oscylują w Nassun – choć fala jej mocy zaczęła już zanikać). To onyks i Pęknięcie kontra Wrota, ty kontra ona, i cały Rdzeń drży od siły tego starcia. W ciemnych korytarzach Warrant, wśród zmienionych w klejnoty ciał Stróżów, ściany jęczą, a sufity pękają, osypują się z nich kamienie i piasek. Nassun próbuje ściągnąć magię pozostałą we Wrotach i skierować ją na wszystkich wokół – uświadamiasz sobie, że chce zmienić was w zardzewiałych zjadaczy kamieni. Tymczasem ty sięgnęłaś do góry – aby pochwycić Księżyc i być może dać ludzkości drugą szansę. Ale żeby któraś z was mogła osiągnąć cel, musiałaby dysponować zarówno Wrotami, jak i onyksem, a oprócz tego dodatkowym paliwem, którego dostarczyć może Pęknięcie.

To pat, który nie może dłużej trwać. Wrota nie będą utrzymywać swoich połączeń bez końca, tak samo jak onyks bez końca nie będzie opanowywał chaosu Pęknięcia – a dwie ludzkie istoty, niezależnie od tego, jak są silne i zdeterminowane, nie wytrzymają długo takiego napływu magii.

I wtedy to się dzieje. Krzyczysz, kiedy wyczuwasz zmianę: magia ciała Nassun została w pełni uporządkowana, rozpoczął się proces krystalizacji. W desperacji, pod wpływem czystego instynktu, opanowujesz część energii, która próbuje ją przemienić, i ją odpychasz, choć wiesz, że w ten sposób tylko opóźniasz nieuniknione. W oceanie, zbyt blisko Rdzenia, rozlega się huk, którego nie tłumią stabilizatory gór. Na zachodzie z dna oceanicznego wyłania się góra w kształcie noża; na wschodzie, w kłębach pary, unosi się kolejna. Nassun warczy, sfrustrowana, i przypina się do tych nowych źródeł mocy, wyciągając z nich ciepło i energię; obydwie skały pękają i kruszą się na kawałki. Stabilizatory wygładzają ocean, zapobiegając tsunami, ale to wszystko. Nie zbudowano ich w tym celu. Jeszcze trochę i nawet Rdzeń rozpadnie się na kawałki.

– Nassun! – krzyczysz znowu, zrozpaczona. Twoja córka cię nie słyszy, lecz nawet stąd widzisz, że palce jej lewej dłoni stały się brązowe i kamienne. Jakimś sposobem wiesz też, że jest tego świadoma. Dokonała wyboru. Jest przygotowana na własną śmierć.

Ty nie. Och, na Ziemię, nie możesz patrzeć, jak twoje kolejne dziecko umiera.

Dlatego... poddajesz się.

Widok twojej twarzy sprawia mi ból, ponieważ wiem, jak wiele kosztuje cię porzucenie marzenia Alabastra – i własnego. Tak bardzo chciałaś uczynić świat lepszym dla Nassun. Ale przede wszystkim chcesz, żeby twoje ostatnie dziecko żyło... dlatego dokonujesz wyboru. Dalsza walka zabije was obie. Jedyнным sposobem na odniesienie zwycięstwa jest zaprzestanie walki.

Przykro mi, Essun. Przykro mi. Żegnaj.

Nassun wzdycha i otwiera oczy, czując, jak twój napór na Wrota – i na nią, bo przecież ściągnęłaś wszystkie te okropne nici przemieniającej magii ku sobie – nagle się rozluźnia. Onyks się wycofuje, pulsuje teraz w tym samym tempie co dziesiątki przejętych obelisków; jest pełen magii, która musi, musi zostać rozprzestrzeniona, lecz teraz tymczasowo zatrzymuje ją w sobie. Stabilizująca magia uspokaja wreszcie spieniony ocean wokół Rdzenia. Przez tę jedną długą chwilę świat czeka, nieruchomy i napięty.

Twoja córka się odwraca.

– Nassun – mówisz. To szept. Stoisz na najniższych stopniach, próbując jej dosięgnąć, ale to się nie stanie. Twoje ramię całkowicie stwardniało, tułów też to czeka. Kamienna stopa ślizga ci się po gładkim stopniu, a potem zastyga w bezruchu, kiedy pozostała część nogi zostaje przemieniona. Nadal możesz poruszać drugą stopą, ale tworząca cię skała jest ciężka i pełzanie nie idzie ci zbyt dobrze.

Nassun marszczy brwi. Patrzysz na nią i ten widok cię uderza. Twoja mała dziewczynka – taka duża, tutaj, pod onyksem i Księżycem, taka potężna. Taka piękna. I nic nie możesz na to poradzić: zalewasz się łzami. Śmiejesz się, choć jedno z płuc masz już kamienne i śmiech przypomina raczej świst. Twoja mała dziewczynka, tak zardzewiałe niesamowita. Jesteś dumna z tego, że z nią przegrałaś.

Nassun bierze głęboki wdech i szeroko otwiera oczy, jakby nie mogła uwierzyć w to, co widzi: jej matka, tak przerażająca, na ziemi. Próbująca pełznąć na swoich kamiennych kończynach. Z twarzą mokrą od łez. Uśmiechnięta. Nigdy, nigdy się tak do niej nie uśmiechałaś.

A potem granica transformacji przesuwa się na twoją twarz i przestajesz istnieć.

Fizycznie nadal tam jesteś: kawał brązowego piaskowca na najniższych stopniach schodów, z cieniem uśmiechu na częściowo przekształconych ustach. Twoje łzy nadal lśnią na kamiennej powierzchni. Nassun patrzy na nie.

Patrzy na nie i bierze duży haust powietrza, ponieważ nic, nic już w niej nie zostało: zabiła swojego ojca i swoją matkę, a Schaffa umiera i nic już nie zostało, nic, świat po prostu bierze od niej, bierze i bierze, nie pozostawiając nic...

Nie może jednak przestać patrzeć na twoje wysychające łzy.

Bo przecież świat brał, brał i brał również od ciebie. Wie o tym. A jednak z jakiegoś powodu, którego chyba nigdy nie zrozumie... nawet w chwili śmierci sięgałaś po Księżyc.

I po nią.

Krzyczy. Ścisną głowę w dłoniach, z których jedna w połowie zamieniona jest w kamień. Upada na kolana, przygnieciona ciężarem żalu, jakby miała na barkach całą planetę.

Onyks, cierpliwy i niecierpliwy, świadomy, ale obojętny, dotyka jej. Nassun jest jedynym pozostałym elementem Wrót, który ma prawdziwą wolę. Za sprawą tego dotyku Nassun postrzega twój plan jako komendy, które zostały wprowadzone, ale nie aktywowane. Otworzyć Wrota, przelać w nie moc Pęknięcia, schwytać Księżyc. Zakończyć Piąte Pory Roku. Naprawić świat. Nassun sejszy – czuje – wie, że było to twoje ostatnie życzenie.

Onyks pyta ociężale, bez użycia słów: „Wykonać T/N?”.
W zimnej, kamiennej ciszy samotna Nassun wybiera.
„TAK”

koda
ja i ty

Nie żyjesz. Choć nie do końca.

Z perspektywy ludzi znajdujących się pod Księżycem jego schwywanie jest mało dramatyczne. Na szczycie budynku mieszkalnego, w którym Tonkee i reszta znaleźli schronienie, Tonkee użyła starego przyrządu piśmienniczego – dawno już wysechł, ale wskrzesiła go odrobiną śliny i krwi – aby zarejestrować zmiany położenia Księżyca. Nic to nie daje, ponieważ nie zaobserwowała wystarczającej liczby zmiennych, aby poprawnie wykonać obliczenia, i ponieważ, na litość Ziemi, nie jest żadnym zardzewiałym astrodziarzem. Nie jest też pewna, czy pierwszy pomiar wykonała odpowiednio, bo nastąpił wtedy wstrząs o sile piątki lub szóstki i Hjarka ledwie zdążyła odciągnąć ją od okna.

– Okna budowniczych obelisków nie pękają – narzeka później Tonkee.

– Za to moje zardzewiały nerwy tak – odpowiada Hjarka, kończąc kłótnię, zanim ta na dobre się zacznie. Dla dobra ich związku Tonkee uczy się kompromisów.

W ciągu kolejnych dni i tygodni widzą jednak, że Księżyc rzeczywiście się zmienił. Nie znika. Zmienia kształt i kolor w sposób, w jakim początkowo nie widać żadnej logiki, ale w ciągu kolejnych nocy nie maleje na niebie.

Zamknięcie Wrót Obelisków jest nieco bardziej dramatyczne. Wykorzystawszy całą moc do osiągnięcia czegoś równie potężnego jak georanzacja, Wrota zamykają się zgodnie z zaprogramowanym protokołem. Kolejne obeliski unoszące się ponad światem suną w kierunku Rdzenia. Całkowicie zdematerializowane – zamieniły wszystkie stany kwantowe w potencjalną energię, nie musisz rozumieć nic więcej – opadają w czarną otchłań. Zajmuje to kilka dni.

Onyks natomiast, ten ostatni i największy z obelisków, dryfuje ponad ocean, a zmniejszając wysokość wydaje z siebie coraz niższy szum. Zanurza się powoli, jakby zaplanował tor ruchu w taki sposób, aby jak najbardziej zminimalizować uszkodzenia – ponieważ w przeciwieństwie do innych obelisków jako jedyny zachował materialną formę. Zgodnie z zamiarami konduktorów miało to pozwolić zachować go na przyszłość, do kolejnych zadań. Znikając pod powierzchnią, onyks składa wreszcie ostatnie szczątki Niessów do wodnego grobu.

Miejmy nadzieję, że żaden odważny młody górotwór z przyszłości nie znajdzie go i nie podniesie.

To Tonkee odnajduje Nassun. Robi to kilka godzin po twojej śmierci, pod słońcem, które świeci jasno na niebie wolnym od popiołu. Przystaje, aby przez chwilę z fascynacją i tęsknotą przyglądać się temu niebu, po czym wraca do krawędzi dziury w ziemi i do schodów wokół filaru. Nassun nadal tu jest: siedzi na jednym z najniższych stopni, obok brązowego kawałka skały, który jest tobą. Ma uniesione kolana i opuszczoną głowę, a jej dłoń, całkowicie zeszywniała – zastygła z rozsuniętymi palcami w geście, którego Nassun użyła, aktywując Wrota – nienaturalnie opiera się na sąsiednim stopniu.

Tonkee siada po twojej drugiej stronie i przygląda ci się przez dłuższą chwilę.

Wyczuwając obecność innej osoby, Nassun ze zdziwieniem podnosi wzrok, ale Tonkee tylko uśmiecha się do niej i niezręcznie kładzie dłoń na tym, co kiedyś było twoimi włosami. Nassun przelżyka ślinę i ociera wyschnięte ślady łez na swojej twarzy, a potem kiwa głową do Tonkee. Siedzą z tobą, przeżywając żalobę.

Jakiś czas później Danel i Nassun udają się do martwych ciemności Warrant, aby wydobyć stamtąd Schaffę. Inni Stróże, którzy mieli w głowach śródkamienie, zmienili się w klejnoty. Większość po prostu zmarła tam, gdzie leżała, choć niektórzy, rzucając się w swoich komorach, wypadli z nich, a ich lśniące ciała leżą rozciągnięte przy ścianach i na podłodze.

Tylko Schaffa wciąż żyje. Jest zdezorientowany i słaby. Kiedy Danel i Nassun pomagają mu się wydostać na powierzchnię, okazuje się, że włosy mocno mu posiwiały. Danel niepokoi się zaszytą raną na jego karku, choć ta przestała już krwawić i najwyraźniej nie sprawia Schaffie bólu. To nie ona go zabije.

Kiedy Schaffa nabiera sił, aby wstać – słońce rozjaśniło mu też umysł – obejmuje Nassun siedzącą obok tego, co pozostało po tobie. Nassun nie płacze, jest prawie zupełnie odrętwiała. Tonkee i Hjarka przyłączają się do Danel i stoją razem z nimi, podczas gdy słońce zachodzi za horyzont, a na niebie znowu pojawia się Księżyc. Być może to milczący orszak żalobny. Być może wszyscy oni potrzebują czasu i towarzystwa, aby dojść do siebie po wydarzeniach, które ich przerastają. Nie wiem.

W jednym z ogrodów Rdzenia, dawno już zmienionym w dziką łąkę, ja i Gaewha stajemy naprzeciw Remwhy – Stali, Szarego, czy jakkolwiek go nazwać – pod sunącym po niebie Księżycem.

Jest tu, od kiedy Nassun dokonała wyboru. Gdy w końcu przemawia, uświadamiam sobie, że jego głos stał się cienki i zmęczony. Kiedyś swoim nietypowym, ostrym humorem ziemskiej mowy kruszył kamienie. Teraz brzmi staro. Tysiące lat istnienia robią z człowiekiem właśnie coś takiego.

Mówi:

– Ja tylko chciałem to zakończyć.

Gaewha – Antymona – odpowiada:

– Nie do tego nas stworzono.

Remwha spogląda na nią, powoli obracając głowę. Męczące jest samo oglądanie, jak to robi. Uparty głupiec. Na jego twarzy widać rozpacz minionych wieków, a wszystko dlatego, że nie chce przyznać, że istnieje więcej niż tylko jeden sposób na to, aby być człowiekiem.

Gaewha wyciąga do niego dłoń.

– Zostaliśmy stworzeni, aby uczynić świat lepszym. – Spogląda na mnie, jakby szukając wsparcia. Wzdycham w środku, ale również wyciągam rękę na znak pokoju.

Remwha patrzy na nasze dłonie. Gdzieś niedaleko, być może wśród innych przedstawicieli naszego rodzaju, którzy zebrali się dokoła, aby być świadkami tej chwili, znajdują się Bimniwha, Dushwa i Salewha. Dawno temu zapomnieli już, kim byli, a może po prostu wolą się skupić na tym, kim są teraz. Tylko nasza trójka zachowała cokolwiek z przeszłości. To jednocześnie dobrze i źle.

– Jestem zmęczony – przyznaje Remwha.

– Drzemka mogłaby pomóc – sugeruję. – Jest w końcu onyks.

Ach! A jednak pozostało w nim coś ze starego Remwhy. Chyba nie zasłużyłem na to spojrzenie.

Ściska nasze dłonie. Wspólnie, we troje, zsuwamy się we wrzące głębiny, a naszym śladem udają się pozostali, którzy zrozumieli, że świat musi się zmienić, a wojna musi dobiec końca.

Ustawiając się wokół serca świata, zauważamy, że jest ono cichsze niż zwykle. To dobry znak. Nie naciera na nas swoją wściekłością, co wydaje się znakiem jeszcze lepszym. Wypowiadamy nasze warunki pojednawczymi strumieniami drżenia: Ziemia zatrzyma swoją magię, a my będziemy mogli bez przeszkód zatrzymać własną. Na znak dobrych zamiarów oddaliśmy Ziemi Księżyc i odrzuciliśmy obeliski. W zamian chcemy jednak, aby Piąte Pory Roku dobiegły końca.

Następuje bezruch. Dopiero później dowiem się, że trwał kilka dni – nam się wydaje, że zdążyło upłynąć kolejne stulecie.

A potem czujemy ciężkie uderzenie grawitacji. „Zgoda”. Następnie pojawia się najlepszy znak ze wszystkich: Ziemia uwalnia niezliczone byty, które trawił przez ostatnią epokę. Wszystkie one ulatują, znikając w prądach magii, i nie wiem, co przydarza im się później. Nigdy się nie dowiem, co się dzieje z duszami po śmierci – a przynajmniej nie przez kolejne siedem miliardów lat, dopóki Ziemia będzie żyć.

To przerażająca myśl. Pierwsze czterdzieści tysięcy lat było nie lada wyzwaniem.

Z drugiej strony... później będę mógł się udać już tylko do góry.

Wracam do nich, do twojej córki, twojego dawnego wroga i twoich przyjaciół, aby przekazać im wieści. Ku mojemu zdziwieniu okazuje się, że minęło kilka miesięcy. Wszyscy oni zamieszkali w budynku, który zajmowała Nassun, i korzystają z plonów dawnego ogrodu Alabastra oraz produktów, które przynosiliśmy jemu i Nassun. Nie wystarczy to oczywiście na długo, choć w godny podziwu sposób zasilają te zapasy wszystkim, co udaje im się schwytać za pomocą prowizorycznych wędek i pułapek na ptaki, a także suszonymi wodorostami, które Tonkee nauczyła się uprawiać przy brzegu. Ci nowocześni ludzie są tacy zaradni. Jednak staje się coraz bardziej oczywiste, że jeśli chcą przeżyć, wkrótce będą musieli wrócić na Bezruch.

Odnajduję Nassun, która znowu siedzi na schodach filaru. Twoje ciało znajduje się tam, gdzie poprzednio, ale ktoś wetknął ci do ręki świeże kwiaty. Zauważam, że obok znajduje się inna dłoń, ułożona w ofiarnym geście. Jest dla ciebie za mała, ale Nassun chciała dobrze. Nie mówi nic, kiedy się pojawia, a ja uświadamiam sobie, że sprawia mi to przyjemność. Przedstawiciele jej rodzaju zwykle mówią bardzo dużo, lecz teraz cisza trwa na tyle długo, że nawet ja odrobinę się niecierpliwie.

– Już nigdy nie zobaczysz Stali – mówię. Na wypadek gdyby się tym martwiła.

Nassun się wzdryga, jakby zapomniała o mojej obecności. Wzdycha.

– Powiedz mu, że mi przykro. Ja po prostu... nie mogłam.

– On rozumie.

Nassun kiwa głową i mówi:

– Schaffa dzisiaj umarł.

Zapomniałem o nim. Nie powinienem; był częścią ciebie. A jednak. Milczę. Nassun chyba tak woli.

Bierze głęboki wdech.

– Czy ty... Pozostali mówią, że przyprowadziłeś ich tutaj, i mamę też. Możesz nas zabrać z powrotem? Wiem, że to niebezpieczne.

– Niebezpieczeństwo minęło. – Kiedy marszczy czoło, wszystko jej wyjaśniam: sojusz, wypuszczenie zakładników i kres zagrożenia związany z zakończeniem Sezonów. Nie oznacza to całkowitego spokoju: płyty tektoniczne pozostaną płytami tektonicznymi i katastrofy przypominające Piąte Pory Roku nadal będą się przydarzać, choć znacznie rzadziej. Na koniec dodaję: – Możecie pojechać na Bezruch wehimałem.

Nassun drży. Dopiero teraz przypominam sobie, co w nim przeszła.

– Nie wiem, czy mogłabym zasilić go magią – stwierdza. – Ja... ja czuję się jak...

Unosi zakończony kamieniem kikut lewej ręki. Wtedy to do mnie dociera i... tak, ma rację. Jest idealnie wyregulowana i pozostanie taka do końca życia. Utraciła górotwórstwo na zawsze. Chyba że zechce przyłączyć się do ciebie.

– Ja zasilem wehimał – odpowiadam. – Powinno wystarczyć na jakieś sześć miesięcy. Wyjedźcie w tym czasie.

Zmieniam pozycję, stając u stóp schodów. Nassun rozgląda się i ze zdumieniem zauważa, że trzymam cię na rękach. Unoszę również jej starą dłoń, ponieważ nasze dzieci zawsze są częścią nas samych. Nassun wstaje i przez chwilę boję się, że czekają mnie jakieś nieprzyjemności. Ale na jej twarzy nie widać smutku. Jest po prostu zrezygnowana.

Czekam jeszcze chwilę, a może rok, bo nie wiem, czy chce powiedzieć coś twojemu ciału. Ona jednak stwierdza:

– Nie wiem, co z nami będzie.

– „Nami”?

Wzdycha.

– Górotworami.

Ach.

– Obecna Piąta Pora Roku potrwa jeszcze trochę, nawet po stłumieniu Pęknięcia – odpowiadam. – Przetrwanie jej będzie wymagało współpracy pomiędzy różnymi ludźmi. Współpraca stwarza nowe szanse.

Nassun marszczy brwi.

– Szanse... na co? Powiedziałaś, że Sezony się skończą.

– Tak.

Unosi ręce – a raczej rękę i kikut – w geście frustracji.

– Ludzie nienawidzili nas i zabijali, kiedy byliśmy im potrzebni. Teraz nie będziemy mieć nawet tego.

Nas. My. Ona nadal uważa się za górotwora, choć już nigdy nie będzie mogła robić więcej niż tylko słuchać ziemi. Postanawiam tego nie podkreślać. Mówię natomiast:

– Wy też ich nie potrzebujecie.

Nassun milknie, być może oszołomiona. Aby sprecyzować to, co mam na myśli, dodaję:

– Po zakończeniu Piątych Pór Roku i po śmierci wszystkich Stróżów górotwory mogłyby pokonać nieruchomych i wyeliminować ich, jeśli tylko zechciały. Po prostu wcześniej jedni nie mogli przetrwać bez drugich i odwrotnie.

– To okropne!

Nie tłumaczę jej, że tylko dlatego, że coś jest okropne, stanie się mniej prawdziwe.

– Nie będzie więcej ośrodków w rodzaju Fulcrum – mówi. Ucieka wzrokiem, być może wspominając zniszczenie Fulcrum Antarktycznego. – Myślę... To był błąd, ale nie wiem, jak inaczej...

Obserwuję, jak zastanawia się w milczeniu przez miesiąc, a może przez chwilę.

– Fulcrum to naprawdę był błąd – stwierdzam.

– Co?

– Zamykanie górotworów w niewoli nigdy nie było jedynym sposobem na utrzymanie bezpieczeństwa na świecie – przerywam celowo, a ona przygryza wargę. Być może przypomina sobie, że górotwórczy rodzice mogą wychować górotwórcze dziecko, nie doprowadzając przy tym do żadnej katastrofy. – Lincz nigdy nie był jedynym wyjściem, podobnie jak węzły. Zawsze były możliwe inne rozwiązania.

W twojej małej dziewczynce jest tak wiele smutku. Chciałbym, żeby któregoś dnia zrozumiała, że nie jest sama na świecie. Żeby znowu odnalazła w sobie nadzieję.

Opuszcza wzrok.

– Nie wybiorą nic innego.

– Wybiorą, jeśli ich zmusisz.

Jest mądrzejsza niż ty i nie odrzuca pomysłu, że ludzi da się zmusić, by byli dla siebie dobrzy. Problemem jest tylko metodologia.

– Nie mam już w sobie górotwórstwa.

– Górotwórstwo nigdy nie było jedynym sposobem na uratowanie świata – mówię ostro.

Nassun wpatruje się we mnie. Czuję, że powiedziałem wszystko, co mogłem, zostawiam ją więc, żeby przetrwała moje słowa.

Odwiedzam stację i zasilam wehimał wystarczającą ilością magii, by dało się nim wrócić na Bezruch. Na dotarcie z Antarktydy do Rennanis Nassun i jej towarzysze tak czy inaczej potrzebować będą kilku miesięcy. Ze względu na obecność Księżyca podczas ich podróży Piąta Pora Roku prawdopodobnie da im się we znaki bardziej niż do tej pory, mimo to... wszyscy oni są częścią ciebie. Mam nadzieję, że przetrwają.

Po ich wyjeździe schodzę tutaj, do serca góry pod Rdzeniem. Żeby zająć się tobą.

Nie ma jednego właściwego sposobu na rozpoczęcie tego procesu. Ziemia – w nadziei na polepszenie naszych stosunków nie nazywam go już Złym – natychmiast nas uporządkował i teraz wielu z nas ma wystarczające umiejętności, by imitować ten proces bez konieczności długiego oczekiwania. Przekonałem się jednak, że pośpiech przynosi różne skutki. Alabaster, jak go nazywałaś, może nie pamiętać siebie przez całe stulecia – albo nawet do końca świata. Ty jednak musisz być inna.

Przyniosłem cię tutaj, na nowo uporządkowałem surowy, tajemny skład twojego ciała i reaktywowałem sieć krystaliczną, która powinna zachować esencję tego, kim byłaś. Przemiana zawsze wiąże się ze stratą. Opowiedziałem ci jednak tę historię, nasyconą

pozostałościami po tobie, żebyś mogła zachować z siebie jak najwięcej.

Pamiętaj, że nie zmuszam cię do przyjęcia jakiegokolwiek konkretnego kształtu. Od tego momentu możesz być, kim chcesz. Ale żeby wiedzieć, dokąd zmierzasz, musisz też wiedzieć, skąd wyruszyłaś. Rozumiesz?

Powinnaś też mnie zostawić... Ja przetrwam. Przetrwałem gorsze rzeczy.

Czekam więc. Czas mija. Rok, dekada, tydzień. Długość tego okresu nie ma znaczenia, choć Gaewha w końcu traci zainteresowanie i odchodzi, żeby zająć się własnymi sprawami. Ja czekam. Mam nadzieję... Nie, po prostu czekam.

Aż pewnego dnia, głęboko w szczelinie, w której cię umieściłem, geoda pęka i otwiera się z sykiem. Podnosisz się spomiędzy jej zużytych połówek, a tworząca cię substancja schładza się do naturalnego stanu.

Uważam, że jesteś piękna. Te loki z jaspisu. Skóra z prążkowanego marmuru w barwie ochry, na której widać zmarszczki śmiechu wokół oczu i ust, a także grubsze warstwy twojego ubrania. Obserwujesz mnie, a ja obserwuję ciebie.

Głosem podobnym do swego dawnego głosu pytasz:

– Czego ty chcesz?

– Tylko być z tobą – odpowiadam.

– Dlaczego?

Przyjmuję pokorną pozę, z opuszczoną głową i ręką przyciśniętą do piersi.

– Ponieważ tak wytrzymuje się całe lata, a nawet wieczność. Z przyjaciółmi. Z rodziną. Poruszając się razem z nimi. Poruszając się do przodu.

Czy pamiętasz, kiedy opowiadałem ci o tym po raz pierwszy? Rozpaczalaś wtedy nad wyrządzonymi przez siebie krzywdami.

Zmieniasz pozycję. Ramiona założone na piersi, wyraz twarzy sceptyczny. Znajomy. Staram się nie wzbudzać w sobie nadziei, aby nie doznać zawodu.

– Przyjaciele, rodzina – mówisz. – Czym jestem dla ciebie?

– Jednym i drugim, a zarazem czymś więcej. Nasze relacje wykraczają poza takie pojęcia.

– Hmm.

Nie jestem niespokojny.

– A czego ty chcesz? – pytam.

Zastanawiasz się. Słucham powolnego ryku wulkanu w głębi Ziemi. W końcu odpowiadasz:

– Chcę, żeby świat był lepszy.

Nigdy tak bardzo nie żałowałem, że nie mogę podskoczyć z radości.

Nie robię tego, ale zbliżam się do ciebie z wyciągniętą ręką.

– A więc uczynmy go lepszym.

Wyglądasz na rozbawioną. To ty. To naprawdę ty.

– Tak po prostu?

– Może nam to zająć trochę czasu.

– Nie jestem chyba szczególnie cierpliwa.

A jednak chwytasz moją dłoń.

Nie bądź cierpliwa – nigdy. Oto zaczyna się nowy świat.

– Ja też nie – odpowiadam. – Ruszajmy.

Katalog Piętych Pór Roku zarejestrowanych przed i po założeniu Równiadowego Stowarzyszenia Sanzedu

Sezon Dławienia – 2714 rok imperialny – 2719 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wybuch wulkanu. Lokalizacja: Antarktyda, w pobliżu Deveteris. W wyniku erupcji góry Akok w promieniu ośmiuset kilometrów niebo przysłoniła chmura pyłu, który osiadał w płucach i śluzówkach. Pięć lat bez światła słonecznego, choć północna półkula została dotknięta w mniejszym stopniu (brak światła przez dwa lata).

Sezon Kwasu – 2322 rok imperialny – 2329 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wstrząs o sile plus dziesięć. Lokalizacja: nieznana, daleki ocean. Nagły ruch płyty tektonicznej uaktywnił łańcuch wulkanów biegnący wzdłuż jednego z głównych prądów strumieniowych. Prąd ten został zakwaszony i zanieczyszczenia dotarły do Zachodniego Wybrzeża, a następnie pojawiły się w całym Bezruchu. Większość nadmorskich wspólnot zdmuchnęło tsunami; pozostałe upadły albo zostały zmuszone do zmiany lokalizacji, kiedy ich statki i porty uległy zniszczeniu, a ryby wymarły. Zachmurzenie trwało przez siedem lat, wskaźniki pH w rejonach nadmorskich pozostawały nieprawidłowe znacznie dłużej.

Sezon Wrzenia – 1842 rok imperialny – 1845 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wybuch punktu zapalnego pod wielkim jeziorem. Lokalizacja: Somidlaty, kwardon jeziora Tekkaris. Wybuch sprawił, że do atmosfery przedostały się miliony metrów sześciennych pary oraz pyłu, co doprowadziło do kwaśnych deszczów i całkowitego zachmurzenia południowej części kontynentu na trzy lata. Północna część nie doświadczyła żadnych negatywnych skutków erupcji, dlatego archeomeci zastanawiają się, czy kataklizm ten kwalifikuje się jako „prawdziwa” Piąta Pora Roku.

Sezon Duszenia – 1689 rok imperialny – 1798 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wypadek górniczy. Lokalizacja: Nomidlaty, kwardon Sadth. Sezon ten został wywołany przez górników z północno-wschodniego skraju Nomidlatów, którzy doprowadzili do wybuchu podziemnego pożaru. Była to stosunkowo łagodna Piąta Pora Roku: co jakiś czas na niebie pojawiało się słońce, opady popiołu i zakwaszenie wody odnotowano tylko w jednym regionie, a Prawo Sezonowe wprowadzono w niewielu wspólnotach. Około czternastu milionów mieszkańców miasta Heldine zmarło w wyniku wybuchu gazu i gwałtownie powiększającego się leja ogniowego, zanim Cesarskie Górotwory skutecznie stłumiły ogień i zapobiegły jego dalszemu rozprzestrzenianiu się. Żarzącą się masę można było tylko odizolować; tliła się jeszcze przez sto dwadzieścia lat. Przez kilka kolejnych dziesięcioleci dym roznoszony przez silne wiatry co jakiś czas przyczyniał się do problemów z oddychaniem i masowych uduszeń. Drugorzędnym skutkiem utraty kopalń w Nomidlatach był katastrofalny wzrost kosztów opału i coraz bardziej powszechne wykorzystanie ogrzewania geotermalnego i hydroelektrycznego, co doprowadziło ostatecznie do wprowadzenia Licencji Żynierskich.

Sezon Zęba – 1553 rok imperialny – 1566 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: oceaniczny wstrząs, który wywołał wybuch superwulkanu. Lokalizacja: Rysy

Arktyczne. Wstrząs następczy naruszył nieznaną wcześniej punkt zapalny w pobliżu bieguna północnego. Wywołało to eksplozję superwulkanu; świadkowie twierdzili, że odgłos wybuchu słychać było nawet na Antarktydzie. Popiół dostał się do górnych warstw atmosfery i szybko rozprzestrzenił się wokół całego globu, jednak najsilniej dotknięta została Arktyka. Konsekwencje tej Piątej Pory Roku były spotęgowane przez kiepskie przygotowanie wielu wspólnot wynikające z faktu, że od poprzedniego Sezonu minęło już dziewięćset lat; powszechnie uważano wtedy, że Piąte Pory Roku to tylko legenda. Od północy aż po Równikadę pojawiały się doniesienia o aktach kanibalizmu. Pod koniec Sezonu w Yumenes utworzono Fulcrum oraz jego zamiejscowe placówki na Arktyce i Antarktydzie.

Sezon Grzyba – 602 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: wybuch wulkanu. Lokalizacja: zachodnia Równiakada. Seria wybuchów w okresie monsunowym zwiększyła wilgotność powietrza i na pół roku przysłoniła słońce na powierzchni mniej więcej dwudziestu procent kontynentu. Wprawdzie była to łagodna Piąta Pora Roku, jednak okres, w którym nastąpiła, okazał się idealny dla rozwoju grzybów, które rozprzestrzeniły się od Równiakady na północ i południe, wymazując z powierzchni ziemi ważny ówczasie dla rolnictwa mirop (dziś już nieistniejący). Głód, jakiego doświadczyli później mieszkańcy tych regionów, trwał przez cztery lata (przez dwa lata utrzymywała się zaraza grzybiczna, a przez kolejne dwa przywracano rolnictwo oraz odbudowywano sieć dystrybucji żywności). Prawie wszystkie wspólnoty zdołały utrzymać się przy życiu dzięki własnym zapasom, dowodząc tym samym skuteczności reform imperialnych oraz planowania sezonowego, a Imperium postanowiło hojnie podzielić się własnymi zasobami ziarna z regionami, których rolnictwo opierało się na miropu. W następstwie tamtego Sezonu wiele wspólnot Midlatów i z regionów nadbrzeżnych dobrowolnie dołączyło do Imperium, podwajając jego obszar i rozpoczynając tym samym Złoty Wiek.

Sezon Szaleństwa – 3 rok przedimperialny – 7 rok imperialny. Prawdopodobna przyczyna: erupcja wulkanu. Lokalizacja: Pułapki Kiash. W wyniku wybuchu wielu ujść starego superwulkanu (tego samego, którego erupcja, jak się powszechnie uważa, dziesięć tysięcy lat wcześniej rozpoczęła Sezon Bliźniaczy) w powietrze dostały się olbrzymie ilości augitu. Dekada mroku, która nastąpiła później, okazała się bardziej katastrofalna niż inne Piąte Pory Roku, ponieważ poskutkowała również znacznym nasileniem chorób psychicznych. Sanzeńska przywódczyni bandy rozbójniczej Verishe podbiła wiele sąsiednich wspólnot za pomocą psychologicznych metod mających na celu przekonanie wrogów, że bramy i mury nie zapewniają właściwej ochrony i że wszędzie czają się widziadła. (Patrz: Sztuka szaleństwa, opracowanie zbiorowe, Wydawnictwo Szósteo Uniwersytetu). Utworzono wtedy Równiakadowe Stowarzyszenie Sanzedu (nazywane powszechnie Imperium Sanze). Pierwszego dnia, kiedy na niebie pojawiło się słońce, Verishe została mianowana Cesarzową.

[Nota od wydawcy – informacje na temat Sezonów, które miały miejsce przed utworzeniem Sanze, często są niepotwierdzone lub wzajemnie się wykluczają. Listę poniższych Sezonów opracowano podczas Konferencji Acheometów na Siódmym Uniwersytecie w roku 2532].

Sezon Tułaczy – około 800 lat przed utworzeniem Imperium. Prawdopodobna

przyczyna: nieznana. Lokalizacja: niepotwierdzona. Z nieznanymi przyczynami na wiele lat zmieniły się kierunki najsilniejszych wiatrów. Choć nie nastąpiło wtedy przesłonięcie światła słonecznego, uważa się, że była to Piąta Pora Roku, ponieważ wywołać coś takiego mogły tylko potężne wstrząsy sejsmiczne (prawdopodobnie pochodzenia oceanicznego).

Sezon Metali Ciężkich – około 4200 lat przed utworzeniem Imperium. Prawdopodobna przyczyna: erupcja wulkanu. Lokalizacja: Somidlaty w pobliżu Wschodniego Wybrzeża. Wybuch wulkanu (prawdopodobnie góry Yrga) spowodował przesłonięcie nieba na dziesięć lat oraz zanieczyszczenie rtęcią całego wschodniego Bezruchu.

Sezon Żółtych Mór – około 9200 lat przed utworzeniem Imperium. Prawdopodobna przyczyna: nieznana. Lokalizacja: Wschodnie Wybrzeże i Zachodnie Wybrzeże, a także obszary nadbrzeżne na południu kontynentu aż po Antarktydę. Informacje na temat tej Piątej Pory Roku pochodzą wyłącznie z zapisków znalezionych w ruinach na terenie Równikiady. Z nieznanymi przyczynami silny rozkwit kolonii bakterii doprowadził do zanieczyszczenia niemal całej wody morskiej, a tym samym do kilkudziesięciu lat głodu w regionach nadbrzeżnych.

Sezon Bliźniaczy – około 9800 lat przed utworzeniem Imperium. Prawdopodobna przyczyna: wybuch wulkanu. Lokalizacja: Somidlaty. Zgodnie z treścią pieśni oraz ustnych opowieści z tamtych czasów wybuch jednego z ujść wulkanu doprowadził do trzyletniego przesłonięcia światła słonecznego. Kiedy niebo zaczęło się przejaśniać, nastąpił wybuch innego ujścia, co przedłużyło kataklizm o trzydzieści lat.

Dodatek 2

Słownik pojęć używanych powszechnie we wszystkich kwardonach Bezruchu

Antarktyda – południowe szerokości geograficzne kontynentu.

Arktyka – północne szerokości geograficzne kontynentu.

Bezpiecznik – napój serwowany tradycyjnie podczas negocjacji, pierwszych spotkań potencjalnie wrogich stron i innych formalnych okazji. Zawiera mleko roślinne reagujące z każdą obcą substancją.

Bezwspółnotowi – przestępcy oraz inne niepożądane osoby, których nie chce przyjąć żadna wspólnota.

Cebaki – przedstawiciel rasy o tej nazwie. Cebak to nazwa państwa (przestarzałego tworu geograficzno-politycznego) w Somidlatach, które zostało przeorganizowane wiele wieków temu, po podbiciu lądu przez Stare Sanze.

Cesarski Trakt – jeden z największych wynalazków Starego Sanze; drogi nadziemne (zbudowane na pewnej wysokości trasy dla ruchu pieszego oraz konnego) łączące wszystkie większe wspólnoty i kwardony. Szlaki nadziemne zostały wzniesione przez zespoły żynierów i Cesarskich Górotworów, przy czym ci ostatni wytyczali najbardziej stabilne drogi przez obszary aktywności sejsmicznej (albo tłumili te aktywności, jeśli stabilnej drogi nie było), a żynierowie doprowadzali wodę i inne ważne zasoby w pobliże dróg, aby umożliwić w ten sposób podróżowanie podczas Piątych Pór Roku.

Fulcrum – paramilitarna jednostka utworzona za czasów Starego Sanze po Sezonie Zęba (1560 rok imperialny). Siedziba Fulcrum mieści się w Yumenes, a na Arktyce i Antarktydzie znajdują się jej oddziały zamiejskowe. Wyszkolone w Fulcrum górotwory (nazywane Górotworami Cesarskimi) mogą, pod warunkiem stosowania się do ścisłych reguł i pozostawania pod nadzorem zakonu Stróżów, używać zakazanej w innych wypadkach sztuki górotwórstwa. Fulcrum jest tworem autonomicznym i samowystarczalnym. Cesarskie Górotwory noszą czarne mundury i powszechnie nazywa się je „czarnymi kurtkami”.

Geodziarz – osoba zajmująca się studiowaniem budowy skał i ich miejsca w środowisku naturalnym; ogólne określenie naukowca. Geodziarze specjalizują się przede wszystkim w litologii, chemii i geologii, których na Bezruchu nie uważa się za osobne dziedziny nauki. Nieliczna grupa geodziarzy zajmuje się górotworogenezą – badaniami górotwórstwa oraz jego następstw.

Górotwór – wyszkolona lub niewyszkolona osoba mająca zdolności górotwórcze.

Górotwórstwo – umiejętność manipulowania termalnymi, kinetycznymi i innymi formami energii w celu wywoływania wpływu na zdarzenia sejsmiczne.

Innowator – przedstawiciel jednej z siedmiu głównych kast użytkowych. Innowatorzy to osoby wybierane ze względu na ich kreatywność oraz inteligencję; są one odpowiedzialne za rozwiązywanie problemów technicznych i logistycznych podczas Sezonu.

Kirkhus – średniej wielkości ssak hodowany czasami jako zwierzę domowe;

niekiedy pilnuje domów i bydła. W normalnych warunkach roślinożerny, podczas Sezonów mięsożerny.

Kwardon – środkowa jednostka systemu zarządczego Imperium. Kwardon tworzą cztery sąsiadujące ze sobą wspólnoty. Każdy kwardon ma swojego naczelnika, przed którym odpowiada dana wspólnota i który odpowiada przed naczelnikiem regionalnym. Największa wspólnota w kwardonie pełni funkcję jego stolicy, natomiast największe kwardony są połączone systemem Cesarskich Traktów.

Linia uskoku – miejsce, gdzie pęknięcia ziemi występują regularnie, a silne wstrząsy są bardziej prawdopodobne niż w innych regionach.

Mela – roślina Midlatów przypominająca melony rosnące w klimacie równikowym. Mela to roślina pnąca, która w normalnych warunkach owocuje nad ziemią. Podczas Piątej Pory Roku owoce rosną pod ziemią w postaci bulw. Niektóre gatunki meli są owadożerne.

Metalomestria – podobnie jak alchemia i astronomestria, zdyskredytowana pseudonauka potępiana przez Siódmy Uniwersytet.

Mędrzec – osoba zajmująca się studiowaniem skałowiedzy i historii starożytnej.

Midlaty – środkowe szerokości geograficzne kontynentu. Uważa się je za zaściankowe, choć ich mieszkańcy wytwarzają większość znajdującej się na świecie żywności i innych kluczowych zasobów. Północna część tych obszarów to Nomidlaty, a południowa – Somidlaty.

Mieszkaniec Wybrzeża – osoba zamieszkująca jedną z nadmorskich wspólnot. Niewiele wspólnot z tamtych rejonów może pozwolić sobie na zatrudnienie Cesarskich Górotworów, które mogłyby wznieść rafy lub inne zabezpieczenia przeciwko tsunami, dlatego nadmorskie miasta muszą nieustannie się odbudowywać, w konsekwencji czego posiadają niewiele zasobów. Mieszkańcy Zachodniego Wybrzeża są zazwyczaj bladzi i mają proste włosy oraz zmarszczki nakątne przy oczach. Mieszkańcy Wschodniego Wybrzeża są zazwyczaj ciemni, mają kręcone włosy i również zmarszczki nakątne.

Mocarny – przedstawiciel jednej z siedmiu głównych kast użytkowych. Mocarni to osoby wybierane ze względu na swoją siłę fizyczną; wykonują ciężkie prace i pilnują bezpieczeństwa podczas Piątych Pór Roku.

Nazwisko użytkowe – pierwsze nazwisko noszone przez większość mieszkańców miast, wskazujące na przynależność do danej kasty użytkowej. Istnieje dwadzieścia oficjalnych kast, jednak od czasów Starego Sanze powszechnie używa się głównie siedmiu nazwisk. Dziecko dziedziczy nazwisko użytkowe po rodzicu tej samej płci zgodnie z teorią, że użyteczne cechy są przekazywane częściej właśnie w tej linii.

Nazwisko wspólnotowe – drugie nazwisko noszone przez większość mieszkańców Bezruchu, wskazujące na przynależność do danej wspólnoty. Nazwisko to jest zazwyczaj przyznawane w okresie dojrzewania i oznacza, że osoba została uznana za wartościowego członka społeczności. Imigranci przybywający do danej wspólnoty mogą ubiegać się o przyjęcie do grona jej członków, a po otrzymaniu zgody dostają również nazwisko wspólnotowe.

Nieruchomi – obraźliwe określenie używane przez górotwory na osoby niedysponujące mocą górotwórstwa.

Obrońca – przedstawiciel jednej z siedmiu głównych kast użytkowych. Obrońcy to osoby wybierane ze względu na zdolność znoszenia głodu lub epidemii. Podczas Piątej Pory Roku są one odpowiedzialne za opiekę nad chorymi i ochronę ciał zmarłych.

Piastun – przedstawiciel jednej z siedmiu głównych kast użytkowych. Piastuni to osoby wybierane ze względu na dobry stan zdrowia i pożądaną budowę ciała. Podczas Piątej Pory Roku są one odpowiedzialne za utrzymywanie czystości rasowej oraz ulepszanie składu wspólnoty dzięki właściwej selekcji jej członków. Piastuni urodzeni w kaście, która nie spełnia wymaganych przez daną wspólnotę standardów, mogą otrzymać pozwolenie na noszenie nazwiska wspólnotowego bliskiego krewnego.

Piąta Pora Roku – długa zima – zgodnie z wytycznymi Imperium musi trwać co najmniej sześć miesięcy – wywołana przez aktywność sejsmiczną lub inny kataklizm.

Pierścienie – używa się ich do oznaczania rangi Cesarskich Górotworów. W celu otrzymania pierwszego pierścienia górotwór musi przejść serię sprawdzianów. Można zdobyć maksymalnie dziesięć pierścieni. Każdy pierścień jest wykonany z wypolerowanego kamienia szlachetnego.

Popiołowe włosy – charakterystyczna cecha rasy sanzeńskiej, zgodnie z aktualnymi wytycznymi kasty Piastunów uznawana za przymiot i dająca ich posiadaczom pierwszeństwo w selekcji. Popiołowe włosy są grube i szorstkie, przy określonej długości opadają wokół twarzy i na ramiona. Są odporne na kwas, zatrzymują bardzo niewiele wody i jak udowodniono, w ekstremalnych sytuacjach skutecznie filtrują popiół. W większości wspólnot wytyczne Piastunów dotyczą wyłącznie budowy samych włosów, jednak w Równikiadzie wymaga się również ich naturalnej „popiołowej” barwy (od ciemnoszarej po białą, wyraźną już od urodzenia).

Prawo Sezonowe – stan wojenny, który może zostać wprowadzony przez każdego przywódcę wspólnoty, naczelnika kwardonu, naczelnika regionu albo członka Przywództwa Yumenes. Podczas Prawa Sezonowego zarządcy kwardonów i regionów zostają zawieszani i wspólnoty funkcjonują jako niezależne socjopolitycznie jednostki, choć polityka Imperium stanowczo zaleca współpracę z innymi wspólnotami.

Ratujworek – niewielka, poręczna torba z zapasami, którą większość osób trzyma w domu na wypadek wstrząsów lub innych nagłych sytuacji.

Region – największa jednostka systemu zarządczego Imperium. Uznany przez Imperium regionami są: Arktyka, Nomidlaty, Zachodnie Wybrzeże, Wschodnie Wybrzeże, Równikiada, Somidlaty i Antarktyda. Oficjalnie naczelnicy regionów są mianowani przez Cesarza, jednak w rzeczywistości wybiera ich Przywództwo Yumenes, z którego z reguły się wywodzą.

Równikiada – szerokości geograficzne wokół równika, z wyjątkiem obszarów nadmorskich. Mieszkańcy wspólnot należących do Równikiady nazywani są Równikejczykami. Dzięki umiarkowanej pogodzie i stosunkowo spokojnym warunkom w środkowej części płyty kontynentalnej wspólnoty z Równikiady zazwyczaj dobrze prosperują i mają znaczącą siłę polityczną. Równikiada stanowiła niegdyś tron Imperium Starego Sanze.

Sanze – początkowo kraj (przestarzały, przedimperialny twór geograficzno-polityczny) w Równikiadzie, z którego wywodzi się rasa sanzeńska. Pod koniec Sezonu

Szaleństwa (7 rok imperialny) państwo Sanze zostało zniesione, a w jego miejsce powstało Równikiadowe Stowarzyszenie Sanzedu składające się z sześciu głównie sanzeńskich wspólnot pod panowaniem Cesarzowej Verishe Przywódczyni Yumenes. Po zakończeniu Sezonu Stowarzyszenie szybko się rozrosło i ostatecznie w 800 roku imperialnym objęło wszystkie regiony Bezruchu. Mniej więcej w okresie Sezonu Zęba Stowarzyszenie zaczęło funkcjonować jako Imperium Starego Sanze, a potem po prostu jako Stare Sanze. Na podstawie Porozumienia z Shilteen z 1850 roku imperialnego Stowarzyszenie oficjalnie przestało istnieć, kiedy w następstwie Sezonu uznano, że skuteczniejsze jest zarządzanie lokalne. W praktyce większość wspólnot wciąż opiera się na zarządczych, finansowych i oświatowych systemach Imperium, a większość naczelników regionalnych nadal uiszcza podatki na rzecz Yumenes.

Sanzeńczyk – przedstawiciel rasy sanzeńskiej. Zgodnie ze standardami Piastunów z Yumenes Sanzeńczyk charakteryzuje się idealnie brązową skórą, popiołowymi włosami i mezomorficzną albo endomorficzną budową ciała. Po osiągnięciu dorosłości mierzy minimum sto osiemdziesiąt centymetrów.

Sanzeński – język, którym posługują się Sanzeńczycy, a także oficjalny język Imperium Starego Sanze, obecnie *lingua franca* w prawie całym Bezruchu.

Sesuna – zbiór impulsów towarzyszących ruchom ziemi. Organy zmysłowe, które odpowiadają za ich rejestrowanie, to umiejscowione w pniu mózgu sejsody. Forma czasownikowa: sejszyć.

Siódmy Uniwersytet – uczelnia słynąca z badań nad geometrią i skałowiedzą, obecnie finansowana przez Imperium i położona w równikiadowym mieście Dibars. Wcześniejsze odsłony Uniwersytetu utrzymywane były ze środków prywatnych lub składek, a Trzeci Uniwersytet w Am-Elat (około 3000 lat przed utworzeniem Imperium) swego czasu uznawany był nawet za suwerenne państwo. Mniejsze uczelnie kwardonowe lub regionalne płacą daninę na rzecz Uniwersytetu, otrzymując w zamian niezbędne informacje i ekspertyzy.

Stróż – członek zakonu istniejącego podobno jeszcze przed utworzeniem Fulcrum. Stróże namierzają górotwory, ochraniają je, pilnują ich i im doradzają.

Węzły – sieć zarządzanych przez Imperium stacji rozmieszczonych na całym Bezruchu w celu ograniczenia lub całkowitego stłumienia wstrząsów sejsmicznych. Ze względu na stosunkowo niewielką liczbę wytrenowanych w Fulcrum górotworów węzły skupiają się głównie wokół Równikiady.

Wspólnota – najmniejsza jednostka socjopolityczna systemu zarządczego Imperium, odpowiadająca zazwyczaj miastu, choć zdarza się, że bardzo duże miejscowości składają się z kilku wspólnot. Oficjalnymi członkami wspólnoty są osoby, którym przyznano prawo do korzystania z ochrony oraz zapasów i które w zamian za to wspierają wspólnotę poprzez płacenie podatków i zapewnianie rozmaitych usług.

Wstrząs – ruch sejsmiczny ziemi.

Zajazdy – stacje rozmieszczone w regularnych odległościach przy każdym Cesarzkim Trakcie i przy wielu mniejszych drogach. Wszystkie zajazdy są wyposażone w źródło wody i umiejscowione w pobliżu gruntów ornych bądź lasów. Wiele z nich wybudowano w miejscach o minimalnej aktywności sejsmicznej.

Zapasy – zmagazynowana żywność i inne zasoby. Na wypadek nadejścia Piątej Pory Roku wspólnoty przez cały czas utrzymują strzeżone, zamknięte magazyny. Tylko oficjalni członkowie wspólnoty są uprawnieni do korzystania z takiego magazynu, choć dorośli mogą rozdysponować swoje udziały między inne osoby, na przykład obce dzieci. Prywatne gospodarstwa domowe często utrzymują własne magazyny, których w ten sam sposób strzegą przed obcymi.

Zjadacze kamieni – rzadko spotykany gatunek humanoidalny, którego ciało, włosy itp. przypominają kamień. O zjadaczach kamieni wiadomo niewiele.

Żwir – nieupierścieniony młody górotwór odbywający podstawowe szkolenie.

Żynier (od „geożyniera”) – inżynier zajmujący się ziemią – mechanizmami energii geotermalnej, tunelami, podziemną infrastrukturą oraz górnictwem.

Podziękowania

Uff. Trochę to zajęło, co?

Kamienne niebo to dla mnie coś więcej niż tylko zakończenie kolejnej trylogii. Okres, w którym pisałam tę książkę, z wielu powodów okazał się czasem poważnych zmian w moim życiu. W lipcu 2016 roku zrezygnowałam z pracy i zostałam pełnoetatową pisarką. A wiecie, lubiłam swoją pracę: pomagałam ludziom podejmować słuszne decyzje – a przynajmniej przeżyć na tyle długo, by mogli to zrobić – w jednym z najtrudniejszych momentów ich dorosłego życia. Myślę, że jako pisarka nadal pomagam ludziom, a przynajmniej takie odnoszę wrażenie, czytając Wasze listy i wiadomości, w których piszecie, jak bardzo moje książki Was poruszyły. W mojej poprzedniej pracy wszystko to było jednak bardziej bezpośrednio – zarówno trud, jak i związane z nim nagrody. Bardzo za tym tęsknię.

Och, nie zrozumcie mnie źle: to była właściwa decyzja i niezbędna zmiana w moim życiu. Moja kariera pisarska nabrała nieprawdopodobnego rozpędu, a przecież pisanie również kocham. Mam jednak taką naturę, że w obliczu dużych zmian zastanawiam się zarówno nad tym, co zyskałam, jak i nad tym, co straciłam.

Zmianę tę umożliwiła mi platforma Patreon (jest to crowdfunding dla artystów), z którą związałam się w maju 2016 roku. Środki otrzymane za jej pośrednictwem pozwoliły mi pod koniec 2016 i na początku 2017 roku całkowicie skupić się na mojej mamie. Nieczęsto mówię publicznie o sprawach osobistych, ale być może zwróciliście uwagę, że Trylogia Pękniętej Ziemi jest między innymi moją próbą zmierzenia się z kwestią macierzyństwa. Ostatnie lata były dla mojej mamy trudne. Wydaje mi się (z perspektywy czasu dostrzegam w swoich książkach wiele tego rodzaju inspiracji), że w pewnym sensie spodziewałam się jej śmierci i być może próbowałam się oswoić z jej perspektywą. Mimo to nie byłam na nią gotowa... ale przecież nikt nigdy nie jest.

Dlatego jestem wdzięczna wszystkim – mojej rodzinie, przyjaciółom, agentce, moim Patronom, ludziom z wydawnictwa Orbit, w szczególności mojej nowej redaktorce, moim byłym współpracownikom, obsłudze z hospicjum i wielu innym – którzy pomogli mi w tym czasie.

Właśnie dlatego tak ciężko pracowałam, żeby *Kamienne niebo* ukazało się na czas mimo wszystkich tych podróży, pobyków w szpitalu, nerwów i tysiąca biurokratycznych spraw, którymi człowiek musi się zająć po śmierci rodzica. Z całą pewnością praca nad tą książką przebiegała w nie najlepszym dla mnie okresie, ale z przekonaniem mogę powiedzieć, że opisany tu ból jest prawdziwym bólem, wściekłość prawdziwą wściekłością, a miłość prawdziwą miłością. Odbывacie tę podróż razem ze mną i chcę, byście zawsze dostawali najlepsze z tego, co ja otrzymałam. Tego właśnie pragnęłaby moja mama.

LAUREATKA NAGRODY

HUGO

NOMINOWANA
DO NAGROD
NEBULA I LOCUS

PRAWDZIWA
UCZTA CZYTELNICZA.

„NEW YORK TIMES”

KAMIENNE NIEBO

ZIEMIA MA WŁASNE PLANY

N.K. JEMISIN

SON
imaginatio